

L A U R A M O R E L L I



NOCNY  
PORTRET

POWIEŚĆ O II WOJNIE ŚWIATOWEJ I CZASACH LEONARDA DA VINCI



LETRA

L A U R A M O R E L L I

NOCNY  
PORTRET

LETRA

# Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

## CZĘŚĆ I. MACHINY WOJENNE

1. Leonardo
2. Edith
3. Edith
4. Cecilia
5. Leonardo
6. Dominic
7. Leonardo

## CZĘŚĆ II. COŚ PIĘKNEGO

8. Cecilia
9. Dominic
10. Cecilia
11. Edith
12. Cecilia
13. Dominic
14. Edith
15. Leonardo
16. Cecilia
17. Dominic
18. Cecilia
19. Edith
20. Leonardo
21. Cecilia

22. Leonardo
23. Edith
24. Dominic
25. Cecilia
26. Dominic
27. Edith
28. Dominic
29. Edith

### CZEŚĆ III. UKRYTE PRZED WZROKIEM

30. Leonardo
31. Cecilia
32. Dominic
33. Edith
34. Cecilia
35. Edith
36. Edith
37. Cecilia
38. Edith
39. Dominic
40. Cecilia
41. Edith
42. Leonardo
43. Edith
44. Cecilia
45. Edith
46. Cecilia
47. Edith

### CZEŚĆ IV. PRZEDMIOT POŻĄDANIA

48. Leonardo
49. Dominic
50. Edith
51. Dominic
52. Edith

- 53. Dominic
- 54. Edith
- 55. Cecilia
- 56. Dominic
- 57. Edith
- 58. Dominic
- 59. Edith
- 60. Dominic
- 61. Edith

#### CZEŚĆ V. KRAJ RODZINNY

- 62. Leonardo
- 63. Edith
- 64. Cecilia
- 65. Edith
- 66. Dominic
- 67. Edith
- 68. Dominic
- 69. Edith
- 70. Cecilia
- 71. Edith
- 72. Dominic
- 73. Leonardo
- 74. Edith
- 75. Edith
- 76. Cecilia
- 77. Edith

#### CZEŚĆ VI. WSPOMNIENIE

- 78. Dominic
- 79. Edith
- 80. Cecilia
- 81. Edith
- 82. Dominic
- 83. Dominic

84. Cecilia
85. Leonardo
86. Dominic
87. Leonardo
88. Cecilia
89. Edith
90. Cecilia
91. Leonardo

Podziękowania

Poznaj Laurę Morelli

Od Autorki

Rozmowa z Robertem Edselem, założycielem Monuments Men Foundation

Polecane lektury

Przypisy



Tytuł oryginału: *The Night Portrait*  
Text copyright © 2020 by Laura Morelli

Copyright for the Polish edition © Wydawnictwo ARKADY Sp. z o.o., Warszawa 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana w jakiegokolwiek formie ani powielana graficznie, elektronicznie czy mechanicznie, w tym za pomocą kopiowania, nagrywania, ani przechowywana w informatycznej bazie danych bez pisemnej zgody wydawcy. Prosimy o przestrzeganie praw twórców do ich własności intelektualnej i niedostępnianie treści książki w sieci.

Tłumaczenie: Anna Cichowicz  
Redakcja: Margarita Kardasz  
Korekta: Małgorzata Stalmierska  
Projekt okładki: 3oko Krzysztof Kielbasiński  
Skład i łamanie: Sylwia Szur

ISBN 978-83-213-5264-0

CIP – Biblioteka Narodowa  
Morelli, Laura  
Nocny portret / Laura Morelli ; [tłumaczenie:  
Anna Cichowicz]. Wydanie I. - Warszawa : LeTra, 2023

Wydanie I, 2023, Symbol 5317/R

Wydawnictwo ARKADY Sp. z o.o.  
ul. Dobra 28, 00-344 Warszawa  
tel. 22 444 86 50/51

e-mail: [info@arkady.eu](mailto:info@arkady.eu), [www.arkady.eu](http://www.arkady.eu)

Facebook: [@Wydawnictwo.Arkady](https://www.facebook.com/Wydawnictwo.Arkady), Instagram: [@wydawnictwo.arkady](https://www.instagram.com/wydawnictwo.arkady)

Facebook: [@Wydawnictwo.Letra](https://www.facebook.com/Wydawnictwo.Letra), Instagram: [@wydawnictwo\\_letra](https://www.instagram.com/wydawnictwo_letra)

księgarnia firmowa tel. 22 444 86 61

e-mail: [ksiegarnia@arkady.eu](mailto:ksiegarnia@arkady.eu)

księgarnia wysyłkowa tel. 22 444 86 97

[www.arkady.info](http://www.arkady.info)

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c)

*Dla Maxa  
i wszystkich innych,  
którzy pracują na rzecz dobra*



Ta książka jest fikcją literacką. Odniesienia do rzeczywistych osób, zdarzeń, instytucji, organizacji czy miejsc mają służyć jedynie wywołaniu poczucia autentyczności i są użyte w kontekście fabularnym. Wszystkie pozostałe postacie, wydarzenia i dialogi są dziełem wyobraźni autorki i nie należy ich uważać za prawdziwe.

**Część I**

**MACHINY  
WOJENNE**

# LEONARDO

Florencja, Włochy

Luty 1476

Ciemny szyb w zboczu. Widzę go oczyma wyobraźni. W głębi długiego korytarza, w zapomnianej kryjówce pod fortyfikacjami miasta, przyglądam się, jak ludzie zakładają ładunki czarnego prochu.

Najlepsi robotnicy do tego zadania, jak myślę, na co dzień pracują w kopalni. Ci ludzie są przyzwyczajeni harować w rozrzedzonym powietrzu, w ciemności, umieją się obchodzić z pochodnią i kilofem. Ich palce i policzki są ciągle czarne, ich portki sztywne od ziemi i miazgu węglowego. Jakie mogłoby dla nich być lepsze zajęcie niż w służbie przy oblężeniu?

Dzielnie posuwają się do przodu w ciemności, wysoko trzymając lampy. Po cichu, nie wzbudzając podejrzeń, rozmieszczają czarny proch w najdalszych zakątkach szybu. Kiedy wychodzą, kanonier bezgłośnie obraca kołem przekładni zębatej i wtacza maszynę do korytarza. Mieszkańcy rozpierzchają się w chaosie, wśród eksplozji plujących kamieniami. Niebawem atakujący będą już mieć wroga w garści.

Oczywiście projekt żyje jedynie w mojej wyobraźni. Muszę to przyznać. Jednak ciągnie mnie, żeby go przelać na papier. Te myśli, te maszyny. Trzymają mnie przy życiu jeszcze długo po godzinie, w której słońce zamienia Arno w złoto, a potem chowa się za wzgórzami. Te wynalazki wypełniają moje sny. Budzę się spocony, pragnąc za wszelką cenę uchwycić obrazy na papierze, zanim rozplyną się jak pierwsza poranna mgła nad rzeką.

W rzeczywistości znajduję się w swoim starym pokoju, z kominkiem, na którym tli się ogień, w otoczeniu chybottliwych stert pergaminów na stole, kałamarzy z ich metalicznym zapachem, lamp olejowych o zwęglonych knotach

i kotów wylegujących się w coraz to innych pozach. Założyłem na drzwi żelazną zasuwę, aby zniechęcać tak zwanych przyjaciół, którzy mogliby mnie wywabić do gospody. Niech sobie idą sami.

Mam ważniejsze zadania do wykonania. Jeśli nie przeniosę ich na stronicie moich notesów, odlecą jak barwne motyle tuż poza zasięgiem mojej siatki.

Mniejsza o tę kłopotliwą deskę na sztaludze, która rozprasza moją uwagę. Oto moja nieudolna próba uchwycenia podobizny pospolitej córki kupca. Spogląda na mnie z drugiego końca pokoju. Jest niezadowolona i ma do tego pełne prawo. Jej ojciec prosił mnie, bym zrobił z niej piękność, zanim wyśle portret pretendenciowi do jej ręki, z Umbrii. Nie mam do tego serca, szczerze przyznaję, ale też nie mam nic przeciwko wynagrodzeniu. Zapewnia chleb i wino na moim stole. Tymczasem temperowe pigmenty na topolowej desce dawno już wyschły. Naciągam na portret zasłonę, by karcący wzrok dziewczyny już mnie nie rozpraszał. Nie mogę się doczekać, żeby wrócić do mojego rysunku. Gdybym tylko umiał przekonać klienta, żeby zapłacił mi za maszyny wojenne zamiast za powielenie profilu jego córki.

Mam swój udział w nieukończonych dziełach mojego mistrza. Anioł i pejzaż w chrzcie Chrystusa. Mnisi miesiącami nagabywali mistrza Verrocchia. Madonna z dzieciątkiem – banalna, jeśli mam być szczerzy wobec siebie samego – dla szlachetnej damy w pobliżu Santa Maria Novella. Przysłała mi kolejny list z zapytaniem, kiedy dostarczę.

Jak mogę sobie pozwolić na takie błażostki, kiedy tyle mam do przelania z mojej wyobraźni? Wracam do swoich notesów.

Dlaczego tunele? Będą mnie pytać ci ludzie, którzy myślą o wojnie tak jak ja. Ale ja to już przemyślałem. Jak zaskoczony może być wróg, kiedy przeciwnik wyjdzie spod ziemi, żeby go pokonać! Zobaczą, że wał napędzający maszynę pozwala jej przemieszczać się płynnie i bez wysiłku krętymi korytarzami pod ziemią, nie robiąc hałasu. A jeśli te kopalnie nie zostaną wysadzone, jakie skarby mogą być w nich ukryte – przed tymi, którzy mogliby zechcieć je ukraść – głęboko w podziemiach, tam gdzie jest miedź, węgiel i sól?

Wroga trzeba trzymać blisko. Tak mówią.

Ale co ja tam wiem? Jestem tylko kimś, kto wyobraża sobie takie fantastyczne rzeczy i przelewa je na papier. Kimś, kto wierzy, że czasami

sztuka musi być użyta w służbie wojnie.

Biorę do ręki swój srebrny rysik i zaczynam znów rysować.

## 2

# EDITH

Monachium, Niemcy  
Wrzesień 1939

Edith Becker miała nadzieję że zebrani wokół stołu mężczyźni nie widzą, jak trzęsą się jej ręce.

W każdy inny czwartek Edith siedziałaby przed sztalugą w swojej pracowni konserwatorskiej na parterze, mając na nosie okulary powiększające, w których wyglądała jak wielki owad. Tam, w ciszy i spokoju, mogła stracić poczucie czasu, pochłonięta zadaniem naprawy rozdarcia kilkusetletniego obrazu, usuwania warstwy brudu narosłej przez dziesięciolecia albo uzupełniania ubytków złocenia na starej, poobtłukiwanej ramie. Jej praca polegała na ratowaniu dzieł sztuki, jednego po drugim, przed rozpadem i zniszczeniem. To był jej zawód, jej powołanie. Dzieło jej życia.

Tymczasem przez ostatnie pół godziny oczy ludzi najważniejszych w Alte Pinakothek, jednym z najwspanialszych monachijskich muzeów, zwrócone były na Edith. Przyglądali się, jak rozwiązuje tasemki każdej z teczek i wyjmuje jedną po drugiej karty reprezentujące obrazy z prywatnych kolekcji należących do rodzin w całej Polsce.

– Tożsamość mężczyzny na tym portrecie jest nieznana – powiedziała, puszczając w obieg faksymile portretu autorstwa malarza włoskiego renesansu Rafaela Santi. Patrzyła, jak ich wzrok przesuwają się po podobiznie mężczyzny o puszystych włosach, przytrzymującego zarzucony na ramię futrzany płaszcz i patrzącego z ukosa na widza.

Edith była zadowolona, że zamieniła swoją codzienną sukienkę w kolorze wyblakłej szarości i konserwatorski kitel na najelegantszy ubiór, jaki miała, brązową tweedową spódnicę i żakiet. Poświęciła trochę czasu, żeby ułożyć

włosy wijące się symetrycznie po obu stronach twarzy i dopilnowała, żeby szwy pończoch z tyłu były proste. Mężczyźni obdarzyli ją niepodzielną uwagą: kustosz starożytności, prezes zarządu muzeum, nawet sam dyrektor muzeum, Ernst Buchner, sławny uczony, z którym Edith nigdy do tej pory nie rozmawiała bezpośrednio.

– Jest kilka koncepcji co do tożsamości modelu – mówiła dalej. – Niektórzy uważają nawet, że może to być autoportret artysty.

Edith była jedyną kobietą w sali pełnej pracowników muzeum sprawujących funkcje kierownicze. Wolałaby, żeby nie prosili jej o opuszczenie spokojnej pracowni konserwatorskiej, gdzie od kilku tygodni pracowała nad przywróceniem pierwotnego wyglądu dużej scenie bitewnej XVI-wiecznego monachijskiego malarza Hansa Werla. W którymś momencie, w XIX wieku, inny konserwator przemalował postacie ludzkie i konie na obrazie. Teraz, pracując żmudnie w niemiłosiernie powolnym tempie, Edith usuwała przemalowania za pomocą szmatki nasączonej rozpuszczalnikiem. Z entuzjazmem obserwowała żywe barwy, jakie wyszły spod pędzla artysty, ukazujące się na płótnie centymetr po centymetrze. Wolałaby, żeby pozwolili jej wrócić do pracy, zamiast skupiać na niej całą uwagę.

Jej wzrok nerwowo omiatał siedzących przy stole, aż w końcu zatrzymał się na Manfredzie, muzealnym archiwście, którego znała od dawna. Manfred spojrzał na nią znad swoich małych, okrągłych okularów i uśmiechem zachęcał ją do kontynuowania. Chyba tylko on jeden w tej sali rozumiał, jak trudno jest jej występować przed zgromadzonymi tu osobami.

Edith zdała sobie sprawę, że Manfred jako jedyny spośród jej kolegów z pracy wiedział coś o jej życiu poza muzeum. Rozumiał trudności, z jakimi się boryka, opiekując się ojcem, z którego umysłem i pamięcią było z dnia na dzień coraz gorzej. Manfred i jej ojciec studiowali razem w Akademii Sztuk Pięknych i to dzięki Manfredowi skrupulatna i sumienna córka Herr Beckera została zatrudniona w dziale konserwacji. Edith wiedziała, że jeśli ma utrzymać posadę, a co dopiero odnieść zawodowy sukces, musi chronić swoje życie prywatne przed ludźmi. Uchwyciła się uśmiechu Manfreda, który dodawał jej otuchy i pomagał opanować drżenie rąk.

– Arcydzieło – stwierdził prezes zarządu, ostrożnie trzymając w rękach faksymile obrazu Rafaela. – Widzę, że rodzina Czartoryskich miała ambicję



zgrupować imponującą kolekcję włoskiego malarstwa.

– Rzeczywiście – Edith również była zaskoczona, dowiadując się o skarbach zamkniętych w zamkach, klasztorach, muzeach i domach prywatnych na ziemiach wschodnich. W Polsce znajdowały się obszerne kolekcje rodzinne, gromadzone przez wieki. Sama kolekcja książąt Czartoryskich stanowiła ciche repozytorium o niepoliczalnej wartości.

Teraz Edith zaczynała rozumieć cel wszystkich tych godzin, dni i tygodni spędzonych w muzealnych archiwach i wśród bibliotecznych półek. Poinstruowano ją, że ma wyszukać i uporządkować informacje o obrazach w polskich kolekcjach dla zarządu muzeum. Dopiero teraz stało się to dla niej oczywiste. Ktoś chciał zdobyć te obrazy. Kto i dlaczego?

– A to jest ostatni – zapowiedziała, wyciągając ostatnią kartę ze stosu reprodukcji obrazów z kolekcji Czartoryskich.

– Ten, na który czekamy – powiedział Herr Direktor Buchner. Jego brwi sięgały na boki do kępek ciemnych, rozwichrzonych włosów, które nad wysokim czołem zaczesane były do góry.

– Tak – potwierdziła Edith. – Około roku 1800, jednocześnie z *Portretem młodzieńca* Rafaela zakupionym od włoskiej rodziny, Adam Jerzy Czartoryski nabył *Damę z gronostajem* Leonarda da Vinci. Przywiózł te obrazy z Włoch do domu, do swojej rodzinnej kolekcji we wschodniej Polsce.

– I ona tam pozostaje? – chciał wiedzieć kustosz starożytności, zawieszając w powietrzu dłoń z piórem, jakby to był papieros. Dał o sobie znać dawny nawyk kustosza z czasów sprzed wprowadzonego ostatnio zakazu palenia w budynkach instytucji państwowych. Edith uświadomiła sobie, że zaledwie kilka miesięcy temu pomieszczenie byłoby pełne dymu.

– Nie – odparła Edith, czując ulgę, że przed spotkaniem przejrzała swoje notatki. – Portret *Damy z gronostajem* często podróżował w ciągu ostatnich stu lat. W latach 30. XIX wieku, po wkroczeniu wojsk rosyjskich, rodzina dla bezpieczeństwa zawiozła go do Drezna. Potem przywieźli obraz z powrotem do Polski, ale ponieważ czasy wciąż były niespokojne, ukryli go w należącym do rodu pałacu w Pełkiniach. Kiedy się uspokoiło, przenieśli go do swoich prywatnych apartamentów w Paryżu, gdzie znajdował się w latach 40. XIX wieku.

– A potem wrócił do Polski?

– W końcu tak. Rodzina sprowadziła go z powrotem w latach 80. XIX wieku. Został z wielką pompą wystawiony publicznie. Wielu ludzi dopiero wtedy dowiedziało się o jego istnieniu, a historycy rozpoczęli badania. Kilku ekspertów od razu rozpoznało w nim dzieło Leonarda, ludzie spekulowali na temat tożsamości modelki. I tak to się skończyło – wskazała stos kart – obraz jest powszechnie publikowany i reprodukowany.

– Kim ona jest? – spytał Buchner, bębniąc grubymi palcami o blat stołu.

– Przyjmuje się, że to jedna z kochanek księcia Mediolanu, Cecilia Gallerani, pochodząca z rodziny sienneńskiej. Prawdopodobnie miała około szesnastu lat, kiedy Ludovico Sforza poprosił Leonarda o namalowanie jej portretu.

Przyglądała się, jak faksymile obrazu przechodzi z rąk do rąk wokół stołu. Mężczyźni analizowali inteligentną twarz dziewczyny, jej nastrój, trzymane przez nią w ramionach zwierzątko i jego białe futro.

– Podczas Wielkiej Wojny obraz znów znalazł się w Niemczech – Edith podjęła swoją opowieść. – Dla bezpieczeństwa był przechowywany w Gemäldegalerie w Dreźnie, ale ostatecznie wrócił do Krakowa.

– Niezwykle, że obraz przetrwał to wszystko, jeśli wziąć pod uwagę, jak często był przenoszony z miejsca na miejsce – zauważył Manfred.

– Rzeczywiście – zgodził się Herr Direktor Buchner, oddając Edith faksymile. Włożyła je do grubej teczki i zaczęła zawiązywać tasiemki. – Fräulein Becker, należy się pani pochwała za tak gruntowną i wnikliwą pracę badawczą na potrzeby tego projektu.

– Starszy kustosz nie zrobiłby tego lepiej – dodał kustosz sztuki zdobniczej.

– *Danke schön* – wykrztusiła w końcu Edith. Miała nadzieję, że teraz pozwolą jej wrócić do pracowni konserwacji. Czekala, kiedy wreszcie będzie mogła włożyć kitel i wziąć się za stabilizowanie francuskiego obrazu, którego rama została uszkodzona przez wodę, kiedy niefortunnie umieszczono go pod rurą kanalizacyjną w magazynowym boksie.

Generaldirektor Buchner wstał. – A teraz – zaczął, biorąc głęboki wdech – chciałbym coś ogłosić. W tych dniach złożył mi wizytę sam Marszałek Rzeszy Göring we własnej osobie, który, jak może wicie, został włączony przez naszego Führera w poszukiwanie arcydzieł takich jak te oglądane tutaj przed

chwilą. Powstaje nowe muzeum w Linzu. Zostało w całości ufundowane przez naszego Najwyższego Wodza, który jak wiecie, jest osobiście zainteresowany wielką sztuką i jej ochroną. Muzeum w Linzu, gdy zostanie ukończone, będzie repozytorium zapewniającym bezpieczeństwo wszystkim ważnym dziełom sztuki – przerwał, aby potoczyć wzrokiem po twarzach przy stole – na świecie.

Rozległ się zbiorowy stłumiony okrzyk. Edith zaczekała, aż to do niej dotrze. Adolf Hitler właśnie otworzył Dom Sztuki Niemieckiej, kilka kroków od jej miejsca pracy. Poszli z Manfredem zobaczyć twórczość oficjalnie zaakceptowanych współczesnych rzeźbiarzy i malarzy. Ale teraz... Wszystkie ważne w historii sztuki dzieła z całego świata pod jednym dachem, wszystkie pod opieką Rzeszy. To było trudne do wyobrażenia, niemal nie do pomyślenia.

– Jak możecie sobie wyobrazić – mówił dalej Buchner, jakby ożywiając myśli Edith – ta nowa wizja naszego Führera będzie potężnym przedsięwzięciem. My wszyscy, uprawiający zawody związane ze sztuką, jesteśmy włączeni jako opiekunowie w służbę ochrony tych dzieł. Skoro sytuacja staje się bardziej... niebezpieczna... każdy z nas musi robić co do niego należy i we wspólnym wysiłku zmierzać do tego celu.

– Przecież to szaleństwo! – obruszył się kustosz starożytności. – Wszystkie ważne dzieła sztuki na świecie? Niemcy będą zarządzać kulturowym dziedzictwem świata? Kim my jesteśmy, żeby być strażnikami takiej spuścizny? I kim my jesteśmy, żeby zabierać ją z miejsc, w których się obecnie znajduje?

W sali zapadła cisza niemal nie do zniesienia i Edith zastanawiała się, czy biedny kustosz już żałuje swojego wybuchu. Widziała, jak Manfred mocno przyciska pióro do kartki, kreśląc esy-floresy, a drugą dłoń zakrywa usta, jakby się powstrzymywał przed odezwaniem się.

Prezes zarządu muzeum przerwał ciszę.

– Nie, Hansie. To działanie w słusznej sprawie. Mam niezbite dowody, że Amerykanie chcą zabrać cenne europejskie obrazy i umieścić je w żydowskich muzeach w Ameryce. W przeciwieństwie do tego idea *Führermuseum*... jest genialna. Zresztą, musisz zdać sobie sprawę, że to dopiero początek. Przygotowujemy również spisy ważnych niemieckich dzieł sztuki wywiezionych przez Francuzów i Anglików w minionych stuleciach. Wrócą one do Niemiec w stosownym czasie.

Edith przyglądała się uważnie twarzy dyrektora. Herr Buchner, ignorując komentarz, stał wyprostowany i kontynuował przemowę, chociaż Edith zdawało się, że zauważyła u niego drganie mięśni szyi. – Wszyscy otrzymamy rozkazy od funkcjonariuszy w *Braunes Haus*. Będziemy współpracować z najlepszymi niemieckimi artystami, historykami, kuratorami i krytykami. Każdemu z was zostanie przydzielone zadanie odpowiadające jego specjalności. Wielu z nas, ze mną włącznie, będzie podróżować po terenach, aby gromadzić dzieła, które zostaną sprowadzone do naszych magazynów albo do innych niemieckich muzeów.

– Ale co z naszą pracą tutaj? – to pytanie wyrwało się Edith mimowolnie. – Laboratorium konserwatorskie...

– Obawiam się, że nasze aktualnie realizowane projekty zostaną w większości zawieszono. Co do samego muzeum, już zaczęliśmy przeorganizowywać nasze zbiory w magazynie, aby przyjąć dzieła przychodzące do nas, załatwiliśmy też dodatkowe pomieszczenia poza muzeum.

– Dokąd pojedziemy? – spytał kustosz starożytności.

– Konkretne przydziały otrzymamy jeszcze w tym tygodniu – odparł dyrektor. – Fräulein Becker, podejrzewam, że jest duże prawdopodobieństwo skierowania pani do Polski – wskazał teczki pełne skompletowanych przez nią faksymiliów.

Polska.

Edith poczuła, jak ściska jej się żołądek.

– Z... z pewnością... – zająknęła się – z pewnością nie będzie się od nas oczekiwać...

– Na jak długo? – przerwał jej bezceremonialnie asystent kustosa.

Buchner wzruszył ramionami, a Edith znów dostrzegła drganie jego mięśni szyi. – Do czasu, aż praca zostanie wykonana. Tak długo, jak będzie trzeba. Mamy wojnę.

To powiedziawszy, dyrektor zebrał teczki, skinął głową na pożegnanie i wyszedł z sali. Muzealny personel podążył za nim.

Edith dołączyła na końcu do idących jeden za drugim mężczyzn. Po dojściu do znajomych drzwi łazienki dla pań, pchnęła je, po czym zamknęła za sobą.

Rzuciła teczkę z dokumentacją na podłogę, usiadła na sedesie i przycisnęła dłonie do twarzy. Brakowało jej powietrza, czuła się, jakby miała zemdleć.

Do Polski? Na czas nieokreślony? Jak sobie da radę? Kto się zaopiekuje ojcem? Co z jej planami małżeńskimi, wreszcie, po tylu latach nadziei? Czy naprawdę została powołana na front? Grozi jej, że straci życie?

Po dłuższej chwili Edith wstała i zimną wodą z kranu ochlapała twarz i rękę. Kiedy wyszła z łazienki, natknęła się na Manfreda, który chodził w tę i z powrotem w korytarzu.

– Wszystko w porządku? – spytał szeptem, biorąc ją za rękę.

– Ja... nie jestem pewna, jeśli chcesz znać prawdę. Och, Manfredzie... – z westchnieniem przystanąła, opierając się plecami o chłodne kafelki, jakimi wyłożone były ściany korytarza. – Co za wiadomość. Trudno mi w to uwierzyć – jej ręce nie przestawały się trząść.

– Myślę, że wszyscy jesteśmy w szoku – zauważył. – Nawet ci z nas, którzy... przewidywali, że tak się stanie.

Edith ścisnęła jego przedramię. Niewiele wiedziała o życiu Manfreda poza muzeum, wiedziała jednak, że zorganizował w Monachium grupę znaną ze sprzeciwu wobec polityki Rzeszy. Ich idee były rozpowszechniane za pomocą ulotek na papierze przebitkowym, zostawianych na ławkach w parku albo na pustych siedzeniach w tramwaju.

– Wiedziałaś, co oni planują?

Manfred przytaknął, zaciskając usta.

– Generaldirektor już zakupił kilka ciężarówek obrazów skonfiskowanych żydowskim kolekcjonerom w całej Bawarii. Jeśli mi nie wierzysz, wejdź na trzecie piętro. W moim biurze jest tyle obrazów, że ledwo mogę dojść do biurka.

Usta Edith same się otworzyły ze zdumienia. – Trudno mi to sobie wyobrazić. Ale ty... Dokąd ty pojedziesz?

– Założę się, że będą mnie trzymać tutaj, żebym katalogował wszystko, co przychodzi. Poza tym jestem już stary – wzruszył ramionami i zmusił się do uśmiechu. – Mogło być gorzej. Poza linią ognia. Ale ty, moja droga... Jak sobie poradzisz? Twój ojciec...

Edith znów przycisnęła dłonie do twarzy. – Nie mam pojęcia – przyznała. – Heinrich. Mój narzeczony. Jego też wysyłają do Polski.

– Ach! – Manfred przewrócił oczami. – W takim razie przynajmniej jedziecie w to samo miejsce.

– Tak, ale... *Heiliger Strohsack!* – wyrzuciła z siebie głośnym szeptem. – Nie tego się spodziewałam.

– Chciałbym móc powiedzieć to samo, moja droga Fräulein Konservator. Jesteś za młoda, żeby pamiętać początek poprzedniej wojny. I znów jesteśmy w tym samym miejscu. Wszystko to samo, cóż możemy zrobić? Kiedy Führer wzywa, raczej nie mamy wyboru. Wydadzą nam karty powołania. Odmowa nie wchodzi w grę, dopóki...

Manfred wskazał na okno na końcu korytarza, które wychodziło na plac, gdzie żydowskie sklepy brutalnie zamknięto albo nawet spalono w ostatnich miesiącach. Edith wiedziała, że teraz żydowskie rodziny wsiadają do wagonów – albo z wyboru, albo z przymusu – wiozących w miejsce przesiedlenia, gdzie wyznaczono im los, którego nie była w stanie przewidzieć. Nusbaumowie, małżeństwo z dwojgiem małych dzieci, mieszkający w tej samej co ona kamienicy, wyjechali kilka tygodni temu. W korytarzu na parterze, pod baczynym okiem ich portiera, Edith patrzyła, jak Frau Nusbaum ładuje zniszczone skórzane torby i worki na zboże pełne ich najcenniejszych rzeczy na zdezelowane taczki.

Wiedziała, że Manfred ma rację, kiedy mówi, że odmowna odpowiedź na wezwanie Führera nie wchodzi w grę, ale jej umysł pracował na najwyższych obrotach, szukając wyjścia z tej kłopotliwej sytuacji. Czy prosi o zbyt wiele, chcąc wrócić do swojej pracowni konserwatorskiej, do swojego skromnego mieszkania, do ojca, do nowego życia z mężem?

– Cóż – powiedział Manfred z wymuszonym, bladym uśmiechem. – Polska! Może to ma i dobrą stronę. Będiesz mogła zobaczyć te wszystkie arcydzieła, którym poświęciłaś tyle czasu.

### 3

## EDITH

Monachium, Niemcy  
Wrzesień 1939

Edith walczyła właśnie z zamkiem w drzwiach mieszkania, kiedy usłyszała krzyk ojca.

Włosy stanęły jej na głowie, a wzdłuż kręgosłupa przeszedł prąd jak w trakcji tramwajowej pod napięciem. Nigdy jeszcze nie słyszała, by tak przeraźliwy dźwięk wydobył się z jego ust. Zaczęła walić w drzwi z całej siły. – Tato!

Wreszcie klucz zaskoczył w zamku i drzwi się otworzyły. Edith niemal wpadła do mieszkania. Zrzuciła z ramienia torbę, z której wypadły przyniesione z pracy książki o sztuce i teczki. Zakładki i odręczne notatki rozsypały się po wydeptanej drewnianej podłodze. Edith pobiegła korytarzem w kierunku głosu dobiegającego z nastawionego na cały regulator radia. Spiker ogłaszał, że niemieckie oddziały przekroczyły Wisłę na południu Polski. W pokoju od frontu zastała ojca, który siedząc w swoim fotelu, bronił się chudymi rękami i nogami przed pochylającą się nad nim drobną kobietą.

– Herr Becker! – Elke, kobieta, która opiekowała się ojcem, kiedy Edith była w pracy, usiłowała złapać starca za przedramiona. Włosy miała w nieładzie, bo wymknęły się szpilkom przytrzymującym je na czubku głowy. Jej twarz wykrzywił grymas. Długie nogi ojca Edith znów wykonywały sztywne i nieskoordynowane ruchy w kierunku goleni Elke.

Wtem do Edith dotarła odrażająca woń uryny i ekskrementów, ręce jej opadły.

– Nie chce pójść do toalety! – Elke w końcu puściła Herr Beckera i odwróciła się do Edith. – Nie mogę go zmusić, żeby wstał z tego fotela!



– W porządku – powiedziała Edith, starając się panować nad głosem. – Proszę mi pozwolić z nim porozmawiać.

Elke z irytacją machnęła rękami i wycofała się do kuchni. Edith przeszła przez pokój, żeby wyłączyć radio i uciszyć pełną patosu tyradę spikera.

– Tato – uklęła na dywanie przy fotelu ojca, tak samo jak wtedy, kiedy była małą dziewczynką, która bardzo chciała usłyszeć jeszcze jedną z opowiadanych przez ojca historii o książętach i księżniczках z dawnych czasów. Kwiatowe wzory na podłokietnikach fotela wyblakły, materiał poprzecierał się, siedzisko było tak zapadnięte, że na pewno nie było już dla tego mebla ratunku. Edith z całej siły starała się nie zwracać uwagi na fetor.

– Ta kobieta... – powiedział ojciec, jego oczy rozszerzone z powodu furii stały się mętnymi gałkami w żółtych obwódkach. Z kuchni dochodził szum wody i trzaskanie garnków.

Szorstkie białe włosy sterczały na jego brodzie. Edith wyobrażała sobie, jak Elke godzinami walczyła z ojcem. Stawało się to codziennością – Herr Becker odmawiał udziału w najprostszycy czynnościach, czy chodziło o założenie czystej koszuli, czy o golenie. Namówienie go na kąpiel było niemal niemożliwe, w ostatnich tygodniach zaczął przejawiać niewytłumaczalny strach przed wodą. Edith żał było Elke, a jednocześnie czuła się sfrustrowana, że żadna z ciągle zmieniających się opiekunek, które zatrudniała, nie rozumiała, jak należy podejść do jej ojca, żeby go skłonić do współpracy. Musiała przyznać, że wymagało to ogromnej cierpliwości i odrobiny sprytu.

Ze szpary między obiciem a ramą fotela Edith wydobyła Maxa, sfatygowanego pluszowego psa, który należał do niej, gdy była dzieckiem. Teraz Max był stałym towarzyszem jej ojca, a jego białe futro uległo zmierzwieniu i pobrudzeniu.

– Już dobrze, tato – powiedziała uspokajająco Edith, kładąc dłoń na jego przedramieniu, na którego cienkiej, pomarszczonej skórze widoczne były ciemniejsze plamy. Drugą ręką ojciec przycisnął mocno pluszowego zwierzaka do swojego boku. Z tyłu za nimi głośno tykał szwajcarski zegar. Książki o sztuce leżały w bezładnych stertach wzdłuż ścian, paski papieru wystawały w różnych miejscach z każdego tomu. Zakurzone, pożółkłe strony katalogów i czasopism naukowych, które jej ojciec kiedyś pochłaniał, teraz popadły w zapomnienie.

– Może cię umyjemy? Coś mi się wydaje, że będziesz mieć gościa.

Oczy ojca rozbłyły, kiedy dotarł do niego sens jej niewinnego kłamstwa, a ją przeszło bolesne poczucie winy. Żaden z przyjaciół ojca nie przychodził z wizytą. Kiedy przestał rozpoznawać ich twarze i nie mógł sobie przypomnieć imion, wykruszyli się jeden po drugim. Edith patrzyła bez słowa i nie mogła tego powstrzymać.

Ojciec stracił orientację w czasie, ale Edith wiedziała, że minęły miesiące od wizyty ostatniego gościa, nie licząc jej narzeczonego, Heinricha. A teraz nawet to miało się skończyć. Heinrich wkrótce wsiądzie do pociągu do Polski, z przydziałem do nowo formowanej dywizji piechoty Wehrmachtu. Gdy tylko wkroczenie do Polski zostało ogłoszone w radio i gazetach niecałe dwa tygodnie temu, Edith wstrzymała oddech i zaczęła się modlić, ale oficjalny rozkaz dla Heinricha nadszedł i tak.

Teraz jednak nie chciała o tym myśleć.

W łazience podstawiła dłoń pod kran i czekała, aż woda zrobi się ciepła. Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że bariera wstydu między ojcem a córką może tak całkowicie zniknąć. A co innego mogłaby zrobić? Kiedy opiekunki, które wynajmowała, nieuchronnie rezygnowały z użerania się z jej upartym ojcem, komu innemu, jak nie jego jedynej córce zależałoby, żeby zdjąć mu spodnie, delikatnie obmyć go wilgotną szmatką, ostrożnie poprowadzić brzytwę po jego szczęce? Matka Edith zmarła prawie pięć lat temu i w chwilach takich jak ta tęsknota za nią była odczuwalna bardziej niż kiedykolwiek.

– *Guten Abend!*

Wychyliwszy głowę zza drzwi łazienki, Edith zdążyła zobaczyć, że do mieszkania wszedł Heinrich i ledwo przywitał się z Elke, a niebieski płaszcz przeciwdeszczowy i kapelusz pielęgniarki mignęły i już jej nie było.

Pojawienie się narzeczonego podniosło Edith na duchu, ale jednocześnie podłamało ją czmychnięcie Elke. Jutro znowu będzie musiała odwiedzić agencję w poszukiwaniu kolejnej pielęgniarki, żeby móc nadal pracować w muzeum i zarabiać na życie.

Heinrich pospiesznie pocałował Edith w usta. – Co tu się stało? Cuchnie jak gnojówka na wsi.

Edith wtuliła twarz w szyję Heinricha i przez chwilę chłonęła jego zapach. – Będę go teraz myła. Przepraszam. Nie wiem, czy Elke w ogóle wzięła się za robienie obiadu. Zobacz w kuchni.

Głos narzeczonego córki w korytarzu wywabił Herr Beckera z frontowego pokoju. Stał oparty o framugę drzwi, w obwisłych spodniach, z niepewnym uśmiechem na twarzy.

– Czołem żołnierzu! – Heinrich uśmiechnął się do swojego przyszłego teścia i pospieszył, żeby go podeprzeć. Edith widziała, z jakim wysiłkiem ojciec próbuje mocno uścisnąć dłoń Heinricha. – Wygląda na to, że czeka cię golenie i zrobi to ta śliczna pani. Szczęściarz z ciebie!

Z wdzięcznością i ulgą patrzyła, jak Heinrich umiejętnie podprowadza Herr Beckera do drzwi łazienki. Potem starała się jak mogła, żeby go umyć, okazując mu tyle cierpliwości i współczucia, ile była w stanie znaleźć w sobie. Kiedy wyszli z łazienki, ojciec był ubrany w czystą piżamę. Edith zobaczyła, że Heinrich przysunął zabrudzony fotel do otwartego okna, żeby się wietrzył i postawił na stole przyniesioną z kuchni miskę z owocami i chleb. Teraz zbierał papiery i książki, które rozsypały się jej przy drzwiach wejściowych.

Przez moment przyglądała się Heinrichowi klęczącemu nad jej teczką w przyćmionym świetle korytarza. Był jak niewzruszona latarnia morska podczas sztormu. Miał na sobie szarą bawełnianą koszulę z kołnierzykiem, która podkreślała jasną szarość jego oczu. Nie mogła znieść myśli, że będzie stać na peronie i patrzeć, jak on w wyprasowanej kurtce mundurowej macha do niej z okna pociągu.

– Przepraszam, że nie ma obiadu – powiedziała, klękając koło niego, żeby podnieść z podłogi ostatnie kartki.

– Mamy chleb. Mamy owoce. Mamy odgrzaną owsiankę ze śniadania, co nie zmienia faktu, że jest zdrowa. Na pewno mamy więcej niż ma wielu ludzi.

Edith pomogła ojcu usiąść na krześle przy stole, tam gdzie zawsze, i położyła przed nim kawałek chleba. Wreszcie odetchnęła głęboko, rozluźniając się. Usiadła przy stole i wysłużonym nożem zaczęła obierać jabłko.

– Co to za papiery? – spytał Heinrich.

– Dokumentacja. Poprosili mnie, żebym skompletowała dossier obrazów starych mistrzów w polskich kolekcjach. Pamiętasz, mówiłam ci o tym

przesiadaniu w bibliotece w ostatnich tygodniach? Dziś miałam wystąpienie przed dyrektorem.

– Przed Herr Professorem Doktorem Buchnerem? – Heinrich uniósł brwi.

– Tak – Edith poczuła skurcz żołądka na myśl o sali pełnej ludzi, o muzeum Führera, o wiadomości, którą nie miała pojęcia jak przekazać Heinrichowi i ojcu.

– Myślałem, że trzymają cię zamkniętą w magazynie od tyłu, z pędzelkiem i chemikaliami – powiedział Heinrich.

Przytaknęła. – Tak. Zazwyczaj tam jest moje miejsce, ale Herr Kurator Schmidt poprosił, żebym to zrobiła. Powiedział, że mam szczególną wiedzę o włoskim malarstwie renesansowym. Wiesz, że wolę siedzieć schowana w moim małym dziale naukowym, zamiast występować przed publicznością.

Heinrich odchylił się w tył na swoim krześle i przekartkował kciukiem jeden z dużych, ilustrowanych tomów, które Edith przyniosła do domu z muzealnej biblioteki. Patrzyła na niego zdenerwowana, szukając słów, żeby powiedzieć im obu to, co miała do powiedzenia. Ale jak im to powiedzieć? Kiedy Heinrich doszedł do założonego zakładką, całostronicowego, barwnego faksymile obrazu z kobietą trzymającą małe białe stworzenie, zatrzymał się.

– Leonardo da Vinci – odczytał podpis. – Portret *Damy z gronostajem* – podniósł wzrok na Edith. – Co to jest gronostaj?

Edith wzruszyła ramionami. – Damy włoskiego renesansu trzymały rozmaite egzotyczne zwierzaki. Gronostaj to coś w rodzaju fretki.

– Nie – zaprotestował jej ojciec, podnosząc zakrzywiony palec. – Jest różnica. Fretki są udomowione, a gronostaje dzikie. Ich futro zimą robi się białe.

Heinrich i Edith spojrzeli po sobie i wybuchli głośnym śmiechem na tę uwagę Herr Beckera. Edith nabierała otuchy za każdym razem, kiedy iskierka przytomności błyskała we mgle, kiedy jej prawdziwy ojciec wracał do niej, choćby na ulotną chwilę.

– Brawo, tato. Nie miałam pojęcia – powiedziała, ale chwila przeminęła i jej ojciec wrócił do mieszania łyżką w wodnistej owsiance. – To jeden z moich ulubionych obrazów – mówiła dalej. – Leonardo namalował go, kiedy był jeszcze młody, zanim stał się znany.

– Dziwne stworzenie – stwierdził Heinrich, poklepując palcem reprodukcję obrazu – ale piękna dziewczyna.

Tego właśnie będzie jej najbardziej brakować, pomyślała Edith – siedzenia z ojcem i Heinrichem i rozmów o sztuce. Chciała znów słuchać lekcji ojca, przypadkowych strzępów informacji, jakie wyciągał z zakurzonych kątów swojego umysłu, pozostałych po latach wykładania historii sztuki na uniwersytecie, ogromu historycznych faktów, które przekazywał swojej córce wraz z pasją do sztuki. Czy prosiła o zbyt wiele? Chciała tylko śmiać się ze swoim ojcem i jeść posiłek z mężczyzną, którego kocha. Nie chciała musieć organizować kolejnej opiekunki do pomocy swojemu prawie zupełnie bezradnemu tacie. A ponad wszystko nie chciała liczyć dni pozostałych do odjazdu pociągu, do którego wsiądzie Heinrich. Zepchnęła tę myśl w odległy zakamarek umysłu, wstała i zaczęła sprzątać ze stołu.

Heinrich podsunął do okna inny fotel, w którym usadził Herr Beckera, żeby mógł przyglądać się światłom zapalającym się w oknach mieszkań przy parku. Podniósł Maxa z podłogi i posadził tego starego, obszarpanego, pluszowego psa na kolanach Herr Beckera. Potem Edith usłyszała, jak Heinrich mówi łagodnie do ojca, opowiadając mu o jakimś zabawnym zdarzeniu, które miało miejsce w sklepie spożywczym jego ojca, znajdującym się tuż obok Kaufingerstrasse. Wiedziała, że po kilku minutach ojciec nic z tego nie będzie pamiętał, ale nie to było ważne. Przy następnej wizycie Heinricha jego miła, znajoma twarz wystarczy, żeby skusić ojca do wstania z fotela.

Nie tak dawno Edith siedziałyby z ojcem po obiedzie, słuchając jego pełnych emocji opinii o aktualnych wydarzeniach, jego krytyki chciwości i korupcji wśród urzędników państwowych. Teraz zastanawiała się, czy ojciec ma jakiegokolwiek pojęcie o tym, co się dzieje poza ścianami ich mieszkania. Ciągłe doniesienia o korupcji. Rozbiórka synagog. Konfiskata firm i mieszkań należących do żydowskich sąsiadów. Wzmoczony nadzór nad mieszkańcami kamienicy, sprawowany przez działaczy pełniących funkcje porządkowych, którzy zdawali się odnotowywać każdy jej krok. Nagły, niewyjaśniony wyjazd dwóch członków personelu muzeum. Nieniemieckie książki wyciągane z bibliotek i palone na ulicach. Nowe prawo karzące każdego, kto słucha zagranicznych audycji radiowych.

Przede wszystkim martwiła się zniknięciem małego chłopca z parteru. Weszło w zwyczaj, że co rano, wychodząc do pracy, szukała synka Nusbaumów. Znajdowała go siedzącego w korytarzu, z przyborami do rysowania i papierem. Zatrzymywała się, żeby się z nim przywitać, a on pokazywał jej, co narysował. Chwaliła go i zachęcała, żeby rysował dalej. Ale pewnego dnia zniknął ze swoją niewinną buzią i wyrafinowanymi rysunkami. Reszta jego rodziny znikła również. Po prostu odeszli, w płaszczach na grzbiecie i z rozklekotanym wózkiem.

Chociaż Edith starała się skupiać na sprawach zawodowych i życiu domowym, czuła głęboki niepokój, widząc jak bardzo Monachium zmieniło się w ostatnich miesiącach. Co więcej, brakowało jej komentarzy ojca na temat aktualnej sytuacji, które mogłyby służyć jej za kompas pomagający w nawigacji przez wzburzone fale wydarzeń dziejących się wokół.

– Edith?

Odwróciła się i napotkała utkwiony w niej wzrok szeroko otwartych, lśniących oczu ojca, jakby właśnie rozpoznał jej twarz po długim czasie niewidzenia się z nią.

– Tak, tato! – powiedziała ze śmiechem.

Wyciągnął przed siebie rękę z psem Maxem. – To chyba twoje.

Edith popatrzyła w oczy z guzików, które jej matka przyszywała wielokrotnie przez lata. Max miał swoje miejsce w jej dziecięcym łóżeczku, a kiedy podrosła, poszedł w odstawkę. Ojciec odkrył Maxa na nowo pewnego dnia, niedługo po śmierci matki, kiedy zaczął się zapadać w sobie, i przywiązał się do niego jak do ukochanego pupila.

– Max – Edith pogłaskała zmierzwioną sierść pluszowego zwierzaka. – Ale nie chciałabym, żeby mi się zgubił – wcisnęła zabawkę z powrotem w ręce ojca. – Zaopiekujesz się nim?

Ojciec posadził zniszczonego pluszowego psa na kolanach.

– Dobrze – obiecał niepewnie.

– Tak bardzo cię kocham, tato – Edith ścisnęła dłonie ojca, starając się panować nad głosem.

Kiedy ojciec zdrzemnął się w fotelu, dołączyła do Heinricha w kuchni. Wycierał naczynia wystrzępioną ścierką i ustawiał je na drewnianych półkach

nad zlewem.

– Ona nie wróci, prawda? Ta kobieta w płaszczu przeciwdeszczowym.

Edith westchnęła. – Obawiam się, że nie. Z samego rana muszę zadzwonić do agencji. Problem w tym, że on się zrobił taki uparty! To mają niby być profesjonalne pielęgniarki, a nie umieją go zmusić do najprostszych rzeczy! Nie wiem, co robić.

Poczuła na plecach dłoń Heinricha. Zamilkła, odwróciła się i przycisnęła czoło do jego piersi. Jego ręce przesunęły się na jej biodra i tam pozostały. Stali tak przytuleni przez długi moment.

– Nie mam prawa obciążać cię tym, kiedy masz większe zmartwienia. Przepraszam – powiedziała, wtulając twarz w jego bawełnianą koszulę, pod którą wyczuwała szczupły, twardy tors. Wdychała jego czysty, męski zapach i słuchała głośnego tykania zegara w przedpokoju. Jak miałaby mu powiedzieć, że nie tylko on ma oficjalne rozkazy?

– Edith... – zaczął łagodnie. – Podali mi datę. Mam się zameldować na Hauptbahnhof za dwa tygodnie. – Musiał wyczuć, że jej ciało zeszywniało w jego ramionach, bo przerwał. – Chcę tylko, żebyś wiedziała, że cokolwiek się stanie...

– Ciiii – położyła mu palec na ustach i pokręciła głową. Jej jasnobrązowe loki dotknęły policzków. – Jeszcze nie. Nie możemy po prostu sprawić, żeby to trwało trochę dłużej?



## 4

# CECILIA

Mediolan, Włochy  
Grudzień 1489

- Tu jest jakaś żywa. Czuję, jak pełźnie.
- Gdzie?
- Właśnie tu. Za uchem.

Cecilia Gallerani czuła stwardniałe opuszki grubych palców matki przesuwające się po pasmach jej ciemnych włosów, rozplątując ich skręty. Matka chwyciła włos między swoje połamane paznokcie i szarpnęła tak mocno, że Cecilia zagryzła wargę. Słyszała, jak matka strzepuje dłoń do stojącej obok miseczki z mieszanką wody i octu, na powierzchni której unosiły się martwe białe gnidy.

- Masz ją?

Pełne irytacji cmoknięcie. – Była za szybka. Możesz siedzieć spokojnie?

Ból powoli ogarniał czoło Cecylii. Od ilu już godzin siedziały przy oknie? W jego ramie migdałowe oczy Cecylii wpatrywały się w warstwę zimnej mgły, jaka zaległa na wewnętrznym dziedzińcu. Przyglądała się gołębiczy, która sfrunęła z nagich gałęzi na wysoki parapet okna nad pustymi, symetrycznymi ścieżkami. Co za dziwne miejsce, ten surowy, zimny, kamienny pałac z warownymi wieżami i zbrojną strażą chodzącą w tę i z powrotem po górnej galerii. Jakże odległy od oślepiająco słonecznych placów i hałaśliwych, ruchliwych ulic rodzinnego miasta.

Kiedy poprzedniego popołudnia ich powóz toczył się ulicami Mediolanu, Cecilia obserwowała, jak płaski, nudny krajobraz nagle zamienia się w skupisko pięknych budowli i zatłoczonych ulic. Podczas powolnej jazdy

wśród tłumu mogła dostrzec białe sterczyny mediolańskiej katedry w budowie. Przed oczami migały jej mieszkancki miasta z długimi warkoczami oplecionymi jedwabiem i przezroczystym woalem, mężczyźni w skórzanych butach na futrze sięgających do kolan i ich oddechy parujące w zimnym powietrzu. Cecilia dziwiła się ich odmiennej, mediolańskiej mowie, dialektowi, który brzmiał szybko i twardo, a jednocześnie płynął z ich warg jak piosenka. Zdołała uchwycić kilka znajomych słów, ale mówili za szybko, żeby mogła zrozumieć znaczenie.

Wreszcie dotarli do Castello Sforzesco na skraju miasta. Wartownicy uzbrojeni we włócznie i kusze opuścili zwodzony most nad fosą i dudnienie kopyt ich koni rozległo się echem w sklepionym przejeździe przez budynek bramny, prowadzącym na warowny dziedziniec wewnętrzny.

– Aj! Czuję, że znów się rusza.

Kolejne cmoknięcie wyrażające irytację. Nie dbając o delikatność, matka przejechała grzebieniem przez splątane włosy. – Szczerze mówiąc, Cecilio, nie widzę w tym sensu. Za kilka dni i tak całe te włosy będą ostrzyżone.

– To nie jest postanowione – Cecilia poczuła znajomy ścisk żołądka, który dawał w ten sposób znak niezadowolenia.

To jak najbardziej miało sens. Oczywiście, że tak. Jej najstarszy brat Fazio, największa duma matki, imiennik i następca ojca, wyłożył to jasno i logicznie. Już się umówił z benedyktyнками z San Maurizio al Monastero Maggiore. Cecilia powinna uważać się za szczęśliwą, mając taką możliwość – powiedzieli jej. Tylko dzięki pozycji jej brata jako tokańskiego dyplomaty na dworze w Mediolanie, pozycji, jakiej ich ojciec nie był w stanie nigdy osiągnąć, nawet po latach służby i zabiegów na książęcym dworze, ta możliwość otworzyła się przed Cecilią. To przede wszystkim spowodowało je do tego zimnego pałacu.

– Już niedługo – powiedziała półgłosem matka, jakby sama do siebie. Cecilia dostrzegła brązową dłoń i przedramię matki, grube jak jeden z prosiaków na podwórku ich domu w Sienie. Czowała, jak wstyd i zażenowanie okrywa je obie, siedzące w oknie. To śmiechu warte, żeby jej krępa matka o skórze pokrytej plamami od słońca siedziała tu wśród bladych, eleganckich dam z książęcego pałacu. Jakie miejsce przypadnie im tutaj? W Sienie nosiły głowy wysoko jako żona i córka petenta na mediolańskim dworze. Ale tutaj, w tym północnym pałacu, w siedzibie Jego Wysokości i ośrodka jego władzy, Cecilia i jej matka

uchodziły za jakieś wieśniaczki. Była pewna, że kobiety w sukniach z jedwabiu będą się z nich wyśmiewać, ukryte za swoimi rękawiczkami i wachlarzami.

Jak szybko jej los się odmienił.

Jeszcze latem jej przyszłość zapowiadała się zupełnie inaczej. Ona i Giovanni Stefano Visconti mieli się pobrać, co było ustalone, odkąd ledwo nauczyła się chodzić. Jak mówił ojciec, było to doskonałe rozwiązanie – wydać najmłodszą, jedyną córkę za Viscontiego z mediolańskiej rodziny o szlacheckim rodowodzie, mającej powiązania z książęcym rodem Sforzów. Sam Giovanni nie był kimś szczególnym, po prostu chłopaczkiem o nieśmiałym uśmiechu, który jeszcze nie przemienił się w mężczyznę. Miał piegi na nosie, a szerokie ramiona ojcowskiego płaszcza wisały na jego chudej postaci, ale Cecilia nie miała nic przeciwko bezpieczeństwu i pewności, jakie dawało wejście przez małżeństwo do szacownego rodu. Młodzi już wymienili pierścionki na znak zaręczyn, ceremonii równie powierzchownej i pozbawionej emocji, co prawnie wiążącej. Cecilia jednak czuła się spokojna, nawet zadowolona z takiego układu. Była przecież przyzwyczajona do towarzystwa chłopców i mężczyzn. Dorastała w domu z sześcioma braćmi, w chaosie ich bijatyk. Spędzenie reszty życia w zaciszu klasztoru wyglądało na los najnudniejszy z możliwych.

Zaledwie jednak ojciec spoczął w ziemi, jak w kilka miesięcy ogrom głupoty jej braci wyszedł na jaw. Już nie dało się tego ukrywać. Bracia wspólnie roztrwonili posag Cecylii, tracąc go na nietrafione inwestycje, grę w kości i pijaństwo. Kiedy sprawa się wydała, ojciec Giovanniego Viscontiego spalił kontrakt małżeński na oczach jej braci, przed bramą ich gospodarstwa.

Potem jej najstarszy brat Fazio otrzymał list. W ciągu kilku dni Cecilia i jej matka zostały zapakowane do małego powozu toczącego się drogą na północ, do Mediolanu, gdzie Fazio obiecał wszystko naprawić.

– Ale ja nie rozumiem, dlaczego muszę iść do Monastero Maggiore – powiedziała Cecilia. Zabrzmiało to tak płaczliwie i dziecinnie, że aż się wzdrygnęła. Matka szarpnęła trochę mocniej, niż było to konieczne.

– Au! – Cecilia przycisnęła dłoń do skóry głowy.

– Powinnaś być szczęśliwa, dostając taką szansę, Cecilio. Klasztor jest idealnym miejscem dla dziewczyny takiej jak ty – stwierdziła matka kategorycznie, nie zważając na jęk córki przy wrywaniu kolejnego włosa.

Cecilia słyszała te argumenty, jest inteligentna, biegła w łacinie, umie pisać wiersze i grać na lutni. Pochodzi z szanowanej rodziny. I jakby czytając w myślach córki, Signora Gallerani dodała: – Będziesz mogła robić to wszystko, co lubisz – czytać, pisać i grać na instrumencie. Będziesz też kobietą cnotliwą i wysoce poważaną.

– W takim razie zamiast tego mogłabym sobie znaleźć wysoko urodzonego męża tutaj, w tym zamku – oznajmiła Cecilia. Zanim wyjechała do Mediolanu, dopilnowała, by jej bracia podpisali nie tylko unieważnienie małżeństwa, ale też zaświadczenie o jej dziewictwie. Wiedziała, że jest w cenie jako przyszła żona – o urodzie jedynej córki Fazio Galleraniego i jej cnoście szeptano w Sienie. – Z pewnością mogłabym wykorzystać swoje talenty, żeby błyszczeć w towarzystwie na dworze, a nie za murami klasztoru, gdzie nikt mnie nie zobaczy i nie usłyszy.

Matka skrzyżowała ręce na swojej szerokiej piersi i pokręciła głową. Potem wybuchła śmiechem, aż trząśił się jej brzuch. – Co za pycha! Skąd u mojej córki tak wysokie mniemanie o sobie? Gdyby twój ojciec żył, wychłostałby cię po nogach.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi, poprzedzające pojawienie się brata Cecylii.

– Moje panie – Fazio uklonił się im na powitanie, a twarz ich matki rozjaśniła się. Rzuciła grzebień na intarsjowany stół, obok miseczki z octem i martwymi wszami, klasnęła w dłonie i przycisnęła je do policzków swojego najstarszego syna.

– Mój piękny – powiedziała, głaszcząc syna po twarzy, jakby był ulubionym koniem. Cecilia musiała przyznać, że jej najstarszy brat, w wieku dwudziestu sześciu lat i o dziesięć lat straszy od niej, rzeczywiście wyrósł na przystojnego, zdolnego mężczyznę, wartego więcej niż pozycja po ojcu na mediolańskim dworze.

– Są gotowi nas przyjąć przy południowym posiłku – zapowiedział Fazio.

– Santa Maria! – wykrzyknęła Signora Gallerani, czym prędzej wracając do Cecylii, aby spleść jej włosy w ciasny warkocz. – Przez to przekłętą robactwo zeszło nam tyle czasu.

Szybko związała koniec skórzanym paskiem. Cecilia poczuła uderzenie warkocza, który opadł jej na plecy.

– Fazio – zwróciła się do brata. – Jeśli muszę mieszkać w Mediolanie, chcę zostać tutaj, w tym pałacu, a nie w klasztorze.

Usłyszała gniewne sapnięcie matki. – Nie przestaje wygadywać bzdur – powiedziała, biorąc grzebień i machając nim w stronę Cecylii, jakby groziła, że ją nim zbije. – Musimy zabrać ją z tej pretensjonalnej kupy kamieni najszybciej jak się da. – Obróciła oczami na złoconą i jaskrawo pomalowaną dekorację kasetonowego sufitu, jaki mieli nad głowami.

Fazio roześmiał się. – Cóż to ci przyszło do głowy, dziewczyno?

Cecilia wzięła brata pod rękę. – Na pewno ty, z twoją wysoką pozycją tutaj, masz możliwość znaleźć mi męża.

– Męża!

– Tak – potwierdziła, klepiąc go po dłoni. – Takiego z wielkim domem, z całym dworem pełnym ludzi, pełnym muzyki i poezji.

Nie ośmieliła się powiedzieć tego głośno, ale tak naprawdę siebie też widziała bogatszą, czystsza, elegantszą, taką jak kobiety, które przelotnie ujrzała przez okno i których życie mogła sobie tylko wyobrażać.

Cecilia dostrzegła niepewność na twarzy brata i niespokojne spojrzenie wymienione z matką.

– Ale to już jest uzgodnione z zakonnicami – powiedział, marszcząc brwi.

– Fazio, dobrze wiesz, że mogłabym być jedną z najbardziej pożądanых panien na wydaniu w naszym regionie. Do tego jesteś mi winien nowego męża po tym, co się stało z poprzednim!

Na długi moment w powietrzu zawisła ciężka cisza, którą przerwała matka.

– *Vergogna!* Zadufana dziewucho! – jej usta wykrzywił grymas gniewu. – Twój brat nic ci nie jest winien! Już zrobił dla ciebie więcej, niż na to zasługujesz. Poza tym, przekonasz się. Wystarczy kilka dni u sióstr, a zrozumiesz, że klasztor jest dla ciebie właściwym miejscem, Cecilio. Już ci mówiłam, już mówiłam tej pełnej pychy dziewczynie, Fazio, że będziesz mogła robić to wszystko, co lubisz. A przede wszystkim będziesz kobietą cnotliwą i poważaną. Przyniesiesz zaszczyt swojej rodzinie i będziesz się modlić za nieśmiertelną duszę twojego ojca w imieniu nas wszystkich.

Brat, utalentowany dyplomata, skierował się ku matce. Podał jej drugie ramię i poprowadził obie kobiety ku drzwiom. – Idziemy jeść? Znowu ryż, obawiam się, ale widziałem, że kucharz dodaje pestki granatu i cytrynę. Zgłodniałem.

Promieniejąc zachwytem nad synem, matka w końcu przyjęła jego ramię. Ale kiedy tylko Fazio otworzył drzwi na korytarz, zatrzymał się gwałtownie, wpychając kobiety za siebie. Z drugiego końca długiego korytarza nadchodziła grupa osób. Gdy dworzanie znaleźli się bliżej, Cecilia zobaczyła, że jej brat kłania się z szacunkiem. Ona i matka próbowały pójść za jego przykładem, wbijając wzrok w skomplikowane wzory posadzki. Słyszała szum jedwabiu sunącego po marmurze i dostrzegła tylko fragmentarycznie aksamitne rękawiczki i pantofle, jedwabne pończochy, lśniące klamry, przezroczystą czarną koronkę, wstęgi zielone i złote.

Mężczyzna na przedzie grupy przystanął, dworzanie stanęli za nim.

– Fazio Gallerani – odezwał się mężczyzna. Zza pleców brata Cecilia mogła tylko zauważyć, że mężczyzna ten jest korpulentny i czarnowłosy, a głos ma tak głęboki, że brzmi jakby usta miał pełne kamyków.

– Panie – odparł jej brat, chyląc głowę i ramiona jeszcze niżej, z szacunku dla tego mężczyzny.

– Sprowadziłeś gości – powiedział, a jego głęboki głos i toskańskie słowa wypowiedane z mediolańskim akcentem brzmiały dla jej uszu zarazem dziwnie i pięknie.

– Gości? Och nie, panie. To tylko moja matka i młodsza siostra. Przybyły zeszłej nocy z Sieny.

– Powitajmy je zatem.

Kolejne chwile mijały w milczeniu. Cecilia widziała, jak matka patrzy na brzeg swojej sukni wciąż ubrudzony czerwona ziemią, którą ma też za paznokciami. Nie ruszyła się ze swojego miejsca za plecami syna.

Cecilia natomiast przepchnęła się przed brata, gdzie stanęła twarzą w twarz z mężczyzną, który nie mógł być nikim innym niż władcą Mediolanu. Chociaż co najmniej dwa razy od niej starszy, Ludovico il Moro stał oko w oko z Cecilią. Jego twarz była kanciasta, ale w większości niewidoczna pod obficie natartą olejkami czarną brodą. Pierś miał osłoniętą aksamitem i metalem, każdy palec

ozdobiony barwnym klejnotem. Przód jego kaftana obwieszony był podzwaniającymi emblematami, których dźwięk obwieszczał jego przybycie, jakby był pokazowym zwierzęciem. Zmierzył Cecilie wzrokiem ciemnych oczu, po czym utkwiał w niej przenikliwe spojrzenie na dłużej. Czy czekał, aby się ukloniła?

Ale Cecilia nie wykonała ukłonu. Ona tylko spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się.



## LEONARDO

Florencja, Włochy  
Grudzień 1476

Sodomita.

Czy to wszystko, czym się stałem? Podsumowanie mojej pracy? Nagroda za lata terminowania u mistrza Verrocchia? Suma moich talentów do projektowania machin oblężniczych i innych wynalazków przydatnych wojsku?

Mój ojciec nie wstawi się za mną, on nigdy nie zszedł ze swojej drogi, by ochronić swojego syna z nieprawego łoża, więc dlaczego miałby to zrobić teraz? A moi stryjowie mówią mi tylko, że muszę bardziej uważać, z kim się zaprzyjaźniam. Mówią, że jestem naiwny, że muszę się dużo nauczyć o tym, jak szlachetne rody Florencji są oskarżane bez wystarczającego powodu. Ale ja jestem dość dorosły, aby wiedzieć, że wystarczy, jeśli okrutna, zazdrosna osoba wsunie anonimowe oskarżenie do skrzynki na listy Signorii, aby posłać człowieka na szubienicę.

Nigdy niczego nie udowodnię temu krawcowi, temu złotnikowi czy mnie. Nie potrafią wyprodukować dowodu na nic, co było nabazgrane na tym kawałku pergaminu wsuniętym w Usta Prawdy w środku nocy. A co do Saltarellego, tego młodego cwaniaka, który rozpętał całą sprawę, mam nadzieję, że Funkcjonariusze Nocy znajdą go. Pogłoski, jakoby był kimś więcej niż modelem dla artysty, mogą być prawdziwe, ale w końcu zazdrość i nic więcej była zarzewiem tego fiaska. Gdyby Saltarelli wiedział, co dla niego dobre, opuściłby Florencję, zanim kolejna denuncjacja trafi do *tamburo* Signorii.

Coś mi się zdaje, że czas na opuszczenie Florencji przyszedł i dla mnie. Dwa oskarżenia w dwa lata. Nie jestem tak naiwny, jak sądzą moi stryjowie.

Z pewnością poza miastem jest godna praca. Są ludzie, którzy zapłacą za moje talenty, za moje wynalazki, za moją wizję. Zapewnią mi dach nad głową i jadło na stole.

Daleko stąd na północ już toczą wojnę. Pawia, Ferrara, Mediolan. Zwłaszcza Mediolan, gdzie nawet kościoły nie są bezpieczne. Mediolan, gdzie, jak słyszymy, książe Galeazzo Sforza został właśnie zadźgany na śmierć w bazylice Santo Stefano podczas sumy. A teraz jego mały synek Gian Galeazzo, ledwo dorósł do tego, by podnieść kuszę, dźwiga ciężar księstwa. Jeśli ktokolwiek potrzebuje mojej pomocy w postaci machin wojennych, to jest nim biedny mały książe Mediolanu.

Nikt nie musi wiedzieć, jak się toczą tutejsze wydarzenia. Moje rysunki mówią same za siebie. Muszę tylko znaleźć ludzi z koneksjami daleko poza Florencją. Ludzi u władzy, którzy opowiedzą się za mną. Odpowiednich listów wprowadzających od odpowiednich ludzi.

Gruby kot wskakuje na stół, na którym piszę i mało brakuje, żeby przewrócić szklany kałamarz z atramentem koloru indygo. Głaszczę sierść w szare pasy i słyszę mruczenie zadowolonego zwierzaka, który przynagla mnie, ocierając swój twardy łeb o moją dłoń. Potem kot mruży swoje złote ślepia, a ja zadaję mu nieuniknione pytanie.

Kto zagwarantuje mi bezpieczny wyjazd z Florencji?

## 6

# DOMINIC

Normandia, Francja  
Czerwiec 1944

Drżące palce Dominica gmerały przy pasku hełmu pod brodą, a on sam sięgał głębiej, by wydobyć z siebie odrobinę odwagi. Nadchodzi pora, powtarzał sobie jak refren miesiącami, zanim tu przyjechał. W końcu jestem tu, aby zrobić, co do mnie należy, aby o coś walczyć. Powinniśmy byli przeciwstawić się temu szaleństwu dawno temu. Ile istnień można było uratować, gdyby Amerykanie i Anglicy wysłali wojska kilka miesięcy wcześniej? Kilka lat wcześniej?

Złapał się na tym, że przesuwa palcami po kilkudniowym zaroście na brodzie. Nie znosił poczucia, że jego ręce są bezczynne. Musiał coś zrobić ze swoją nerwową energią, musiał mieć o czym myśleć, żeby nie myśleć o tym, że siedzi ściśnięty ramię przy ramieniu z trzydziestoma pięcioma innymi mężczyznami w łodzi Higginsa. Każda wznosząca się i opadająca fala popychała ich bliżej plaży – i wroga. Każdy mężczyzna siedzący w kucki w łodzi toczył wewnętrzną bitwę sam ze sobą, żeby nie zważać na zimny pot, żeby wepchnąć strach gdzieś głęboko w siebie.

Zróbmy to, myślał Dominic. Zróbmy co trzeba, co jest sprawiedliwe, żebyśmy mogli wszyscy wrócić do domu.

Niebo i morze były jednakowo szare, mgła otulała świat wokół, i chociaż Dominic wiedział, że obok są tysiące żołnierzy na takich samych łodziach desantowych, miał wrażenie, jakby jego mały pluton samotnie stał między istnieniami ludzkimi, które miał chronić, a hitlerowcami. Jakby tylko jego mały pluton lądował na plaży Omaha i samotnie mierzył się z losem.

Nie całkiem samotnie. Na łódź padł chłodny cień lecącego nad nimi samolotu. Dominic instynktownie sięgnął między guziki swojej znoszonej

koszuli i poczuł przyływ tęsknoty, kiedy jego palce natrafiły na łańcuszek kulkowy z dwiema blaszkami nieśmiertelnika. Na szkoleniu zasadniczym w Ford Leonard w Missouri kazali mu zdjąć medalik ze świętym Krzysztofem. Schował go w zamykanej na zamek błyskawiczny kieszonce skórzanego portfela, uważając, że tam będzie bezpieczny do dnia, kiedy będzie mógł wreszcie zamienić nieśmiertelnik na ukochanego świętego Krzysztofa.

Kiedy to się skończy? Dominic zamknął oczy, czując na policzku rozpylone w powietrzu drobiny wody, i w marzeniach wrócił do jasnego dnia, który teraz wydawał się mieć miejsce w innym życiu i w innym świecie.

Swede Hill. Greensburg. Pensylwania.

To był cały świat Dominica przez dwadzieścia dwa lata. Tam dorastał, na łonie jedynej „makaroniarskiej” rodziny pośród Szwedów i Irlandczyków. Tak przynajmniej ludzie mówili o Bonellich, niektórzy żartobliwie, niektórzy drwiąco.

Dominic pomyślał o matce, która zawiesiła mu na szyi świętego Krzysztofa, stanęła na palcach, żeby go pocałować w policzek i robiła dobrą minę do złej gry.

Tylko wróć do nas, *amore*.

Tam spotkał Sally, tam też zobaczył swoje pierwsze dziecko. Swoją małą Cecilię. Jeszcze nic nie było dla Dominica tak trudne, jak żegnać się z nimi.

Ale Dominic wiedział, jak to jest być obiektem uprzedzeń, a poza tym miał ważną misję. Nie zamierzał uchylać się od jej wypełnienia. Już od jakichś trzech lat przy porannej kawie śledził nagłówki w „Pittsburgh Post-Gazette”. Naziści grabili majątek prywatny i zawłaszczali terytoria europejskich krajów. Mordowali setki tysięcy niewinnych ludzi, w większości za samo bycie Żydami. Od dwóch lat gazety donosiły o wielu tysiącach zagnanych do obozów zagłady w Niemczech, Austrii i Polsce. Ponad milion w samej Polsce, jak czytał Dominic. Nie mógł zrozumieć, jak można stać z boku i nic nie robić. Amerykanie powinni byli podjąć działanie już dawno temu, myślał i wiedział, że wielu jego kolegów żołnierzy czuje to samo.

Mimo że pożegnanie z żoną i córeczką było najtrudniejszą rzeczą, jaką mógł sobie wyobrazić, to jednocześnie on i ludzie wokół niego byli przekonani, że

należy stawić czoła wrogowi i zatrzymać maszynę Hitlera. I teraz wreszcie, po miesiącach szkoleń, byli gotowi wylądować na plaży. Gotowi naprawić świat.

Zróbmy to, myślał Dominic, starając się zapanować nad drżącymi palcami. Nagle fala rzuciła łodzią desantową. Wstrząs i rozbryzg lodowatej wody na twarzy sprowadziły Dominica z powrotem do teraźniejszości. Nie miał swojego medalika, zabrano mu nawet fotografie Sally i małej Cecylii, ale pozostawało mu wierzyć, że bez względu na wszystko Bóg jest z nim. Czyż nie?

Błaszki nieśmiertelnika podzwaniały na piersi, kiedy przesuwiał środek ciężkości ciała, chcąc ulżyć zdrętwiałym stopom. Bliźniacze blaszki zawierały tylko podstawowe informacje: Bonelli, Dominic A. Numer ubezpieczenia społecznego. Grupa krwi o. Katolik. Sama jego treść pozbawiona była szczegółów czyniących go istotą ludzką.

Tak widziała go armia. Numer. Mięso armatnie. Jeden z tysięcy mężczyzn bez twarzy w bezbarwnych mundurach, zapakowanych jak bydło do klaustrofobicznej łodzi desantowej. Dominic zorientował się, że bezwiednie skręca i rozkręca łańcuszek nieśmiertelnika, a blaszki ocierają się o siebie. Ręce znów miał puste. Bezczyorność przed szaleńczym pędem.

W domu jego ręce ciągle były zajęte. Kiedy nie przerzucał węgla w kopalni pod Pittsburghiem, kołysał swoją córeczkę i śpiewał jej chropawym głosem, czasami bezsensowne rymowanki, które wymyślał na poczekaniu, czasami stare sycylijskie piosenki, których nauczyła go *nonna*, ale których nikt już nie rozumiał.

Cecylii było wszystko jedno. Uwielbiała jedne i drugie i gruchała, wyciągając do niego pulchne rączki. A kiedy Cecilia spała i dom wypełniały dźwięki opery płynące ze ściszonego radia, brał do ręki węgiel i siadał do rysowania, podczas gdy Sally zmywała naczynia. Często myślał, żeby narysować pejzaż albo martwą naturę, ale co wieczór kończyło się na szkicowaniu doskonałych linii jej włosów i kształtów jej ciała. Ostatnio zmienionych, wypełnionych obietnicą drugiego dziecka. Rysując, spoglądał na nią, ale wiedział, że nie jest to konieczne – Sally była ciągle w jego wyobraźni, trwale odcisnięta w jego duszy.

Zwłaszcza jej uśmiech. Chwycił go za serce pewnego popołudnia przed trzema laty, kiedy szedł pod górę do domu, wracając z pracy w kopalni. Zauważył ją, jak zrywała jabłka w sadzie swoich rodziców. Nie było łatwo zdobyć serce Sally. Początkowo nie robiły na niej wrażenia jego niemądre żarty,

nie nabierała się na jego zaczepki, nie chciała dać się złapać. Złościła się na niego i mówiła mu, żeby spadał, ale pod tą opryskliwością Dominic wyczuwał uśmiech. Dziadek doradzał mu wytrwałość, która zawsze przynosi efekt, i miał rację. Odtąd zawsze zatrzymywał się na rogu w drodze do domu, aż któregoś dnia w końcu podała mu jabłko, świeżo zerwane z drzewa.

Ostry krzyk dowódcy sprowadził Dominica z powrotem na ziemię. Kiedy ludzie wokół niego podnosili się, szykując się do lądowania, jemu serce uciekło w pięty. Podniósł wzrok i zobaczył leżącą przed nimi szarą połąć plaży Omaha – mgła i mżawka okrywały ją zwiewnym całunem kryjącym groźnego wroga, o którym wiedział, że musi się czaić za wydmami. Zostawił w spokoju nieśmiertelnik i splótł palce, żeby ukryć ich drżenie. Odległe pojedyncze wystrzały karabinowe sprawiały, że jego serce biło prędzej, bo wiedział, że każdy z tych stłumionych trzasków jest odgłosem śmierci przychodzącej po jednego z ludzi na plaży.

– Boże, dopomóż nam – westchnął żołnierz obok. Dominic zobaczył, że palce chłopca drżą, karabin trzęsie się w jego dłoniach.

Donośny głos dowódcy rozległ się znowu. – Ruszamy, chłopcy!

Operacja Neptun.

Dominic przyglądał się twarzy dowódcy, którego wargi poruszały się, ale wiszący nad nimi cień i ogłuszający ryk silników samolotu uniemożliwiały zrozumienie słów.

Dominic rozplótł palce i chwycił za lufę karabinu. Za burtą łodzi plaża była pełna wysiadających ludzi i ognia. Nie wyglądało to na zorganizowany desant, dla Dominica był to chaos. Ogień wydobywający się z luf karabinów rozświetlił mgłę.

Widział, jak zaczyna się opuszczać rampa łodzi desantowej. Wtem zimna woda z sykiem wdarła się do środka. Desperacki okrzyk wojenny wydobył się z gardeł całego plutonu. Ramię w ramię żołnierze ruszyli do przodu.

## LEONARDO

Florencja, Włochy  
Kwiecień 1482

Najlepszym projektem bojowej jednostki pływającej jest, moim zdaniem, ten z opuszczaną rampą na dziobie. Rodzaj barki desantowej. Łódź z rampą na zawiasach, którą można otworzyć podczas lądowania i wypuścić żołnierzy na ziemię, by zaskoczyć wroga.

Jak większość natchnionych pomysłów, tak i ten nawiedza mnie w środku nocy. Ledwo mam czas rzucić go na papier, a już biegnę przez most do otoczonego murem ogrodu z rzeźbami wewnątrz pałacu Medyceuszy.

Teraz patrzę, jak Lorenzo il Magnifico masuje się dłonią po szczeciniastym policzku, cienka linia jego ust zacieśnia się, jego świadome, inteligentne oczy kontemplują moją wydartą kartkę. Mój pan musi pojmować, jak taka łódź może z pożytkiem służyć przeciwko pizańczykom. Z pewnością mimo całej swojej domniemanej sprawności na morzu, nie wymyślili takiego modelu.

Nie chcę się wydać niewdzięczny, mam bowiem szczęście, że Jego Wysokość w ogóle zaszczycą mnie uwagą, ale nie mogę już łudzić się nadzieją, że Il Magnifico zamówi u mnie machinę wojenną. Nie będzie dla mnie trzymał miejsca przy swoim stole. Nie będzie mi wypłacał stypendium ani nawet nie złoży u mnie zamówienia. Pozwolenie na rysowanie starożytnych posągów w zaciszu jego ogrodu to wszystko, czego się dorobiłem po latach zabiegów. W tym momencie wszystko, na co mogę mieć nadzieję, to słowo od Jego Wysokości, które mogłoby mi pomóc znaleźć mecenasa daleko stąd.

– Tak – mówi do mnie Il Magnifico, oddając mi pergamin. – Rozumiem, jaką korzyść mógłby przynieść projekt okrętu wojennego z taką rampą. Ale nie w Mediolanie. Jak przekonasz o wartości tego pomysłu kogoś urodzonego

w Lombardii, kto rządzi rozległą, jak okiem sięgnąć, płaską połącią pól pszenicy i ryżu, bez dostępu do morza?

Ma rację. W końcu Ludovico Sforza, zwany Maurem, przejął rządy na dworze w Mediolanie bez najmniejszej potrzeby posiadania okrętu. On tylko pozbywał się wrogów – swoich własnych krewnych – jednego po drugim. Odsunął nawet matkę małego księcia i jej najbliższych, najbardziej zaufanych doradców politycznych i wojskowych. Tak więc teraz Ludovico Sforza jest regentem Mediolanu – faktycznie księciem, jeśli nie oficjalnie.

– Musimy dopilnować, aby Florencja pozostawała w sojuszu z Mediolanem – mówi do mnie Il Magnifico. Podrywam się z miejsca, żeby podążyć za nim długim korytarzem przyległym do jego bujnego ogrodu pełnego starożytnych posągów wyciągniętych z ziemi wokół Rzymu. – Ludovico Sforza okazał się potężną siłą – mówi Jego Wysokość. – Żadnego czwartego syna, któremu udaje się wyprzedzić starszych krewnych, nie można lekceważyć. Musimy mieć go na oku.

– Mógłbym się udać do Mediolanu w twoim imieniu, panie – proponuję. – Zobaczysz ten dwór od środka. Mógłbym cię informować na bieżąco.

Il Magnifico zwalnia krok, następnie zatrzymuje się na dłuższą chwilę, aby przyjrzeć się delikatnemu kwiatu białej lilii. Przez moment obawiam się, że mógłby zerwać pachnący, pokryty rosą kwiat *giglio*, symbol naszego miasta, ale ostatecznie wypuszcza go z ręki i pozwala mu pozostać na łądydze.

– Tak – mówi. – Ty wraz z innymi. Zorganizujemy orszak dyplomatów i dworskich artystów. Ty wykonasz dar dla Ludovica il Moro od rodu Medici.

Muszę pomyśleć.

– Bojowy wóz opancerzony. Albo może katapultę z napędem kołowym. Panie?

– Nie – słyszę w odpowiedzi. – Instrument muzyczny. Ma to być lira.

– Lira.

Przytakuje, jego zaciśnięte wargi potwierdzają decyzję.

– Przynies mi projekt.

– Ale z całym szacunkiem, panie, regent Mediolanu może potrzebować projektów obronnych bardziej niż instrumentów muzycznych. Sam mówiłeś, że Wenecjanie zagrażają Ludovicowi il Moro ze wschodu, z północy Francuzi.



Spiskują przeciwko niemu nawet w jego własnym pałacu. Słyszałem, że jego nadworni lekarze mieszają truciznę dla jego najbliższych krewnych...

Nieznaczne machnięcie dłonią i milknę.

– Pojedziesz z orszakiem dyplomatów i muzyków do Mediolanu. Moi ludzie zajmą się organizacją. Zadbam, byś miał list wprowadzający. Musisz tylko zrobić lirę.

– A co do projektów obronnych...

– Jeśli chcesz rozwinąć przed Ludovikiem il Moro temat swoich kwalifikacji, możesz dodać własną listę.

**Część II**

**COŚ PIĘKNEGO**

## CECILIA

Mediolan, Włochy  
Styczeń 1490

Jej pieśń zaczęła się melancholijną nutą.

Cecilia czuła, jak pierwszy dźwięk wydobywa się z głębi jej piersi. Starła się pokonać drżenie głosu. Dźwięk narastał, wznosząc się, i zaczynał nabierać życia. Potem wydobył się w przestrzeń wielkiej sali audiencyjnej Castello Sforzesco.

Nie mogłaby znieść spojrzenia skierowanego na nią przez około kilkunastu gości z zewnątrz, w strojnych ubiorach. Zamiast tego jej wzrok podążał za pnączem bluszczu wijącym się po szarych kamieniach i czerwonych ceglach obramienia okna. Za oknem dostrzegła mętną wodę fosy i jedną z zamkowych bram, patrolowanych konno przez mężczyzn w hełmach z piórami. Wyobrażała sobie, że poniżej wysokiego piętra zamku istnieje labirynt chodników służących do obrony, gdyby zamek został zaatakowany.

Wyciągnęła następny wers pieśni. Towarzyszyło temu znajome odczucie wydobywania z piersi powietrza przy jednoczesnym wypełnianiu sali swoim głosem. Skoncentrowała się na dykcji. Czy dudnienie w jej piersi jest dla nich równie słyszalne jak czysty dźwięk wychodzący z jej ust?

Gdyby miała więcej czasu na przygotowanie, mogłaby akompaniować sobie na lutni albo lirze, pomyślała. Spędziła wiele godzin na grze i dobieraniu nut na słuch. Tylko że nie tak się to robi na mediolańskim dworze. Marco, nadworny muzyk, wiedział, co i jak. Grał bez wysiłku, patrząc na Cecilie ciepło, podczas gdy jego palce trącały struny lutni jakby mimochodem.

Dopiero teraz, podniesiona na duchu spokojną pewnością Marca, Cecilia ośmieliła się spojrzeć na tłum. Zatrzymała wzrok na bracie z jego

wniebowziętym wyrazem twarzy i szczerym uśmiechem. Starła się nie patrzeć na matkę, która siedziała ze wzrokiem spuszczone na złożone na podółku dłonie kręcące młynka palcami. Każdy kolejny wers wyśpiewywała z coraz większą precyzją i mocą.

Nigdy nie miałyby takiej publiczności w klasztorze, pomyślała, ani nigdzie indziej. To była jej szansa, żeby utorować sobie drogę do życia w tym pałacu. Jej jedyna szansa, żeby uciec przed nieuchronnym uwięzieniem, przed nudą za murami klasztoru. Jedyna szansa na uniknięcie spędzenia reszty życia z igłą i nitką przy matce, która przez resztę swojego życia będzie krytykować ściegi Cecylii. Jedyna szansa, żeby zdobyć serce mężczyzny, który może odmienić jej życie jednym skinieniem dłoni. Dopóki będzie pod jej urokiem, ściśle mówiąc. Ale Cecilia wiedziała, jak rozmawiać z mężczyznami, jak walczyć o swoje pragnienia. Muszę sprawić, żeby się udało, pomyślała, wyciągając ostatni wers pieśni. To może być moja ostatnia szansa na zrobienie czegoś ze swoim życiem.

W absolutnej ciszy, jaka zapadła po ostatniej nucie, jej brat pokiwał głową z aprobatą. Marco przycisnął dłonią struny lutni, aby je uciszyć, po czym uśmiechnął się do Cecylii. Wtem komnatę wypełnił ogłuszający aplauz. *Brava!* – krzyknął jeden z mężczyzn. Kilkoro gości wstało z miejsc, wykrzykując słowa pochwały.

Dopiero wtedy Cecilia znalazła w sobie odwagę, żeby spojrzeć na Ludovica il Moro siedzącego wśród gości. Brodę miał uniesioną wysoko, niemniej jednak wyraz jego twarzy trudno było zinterpretować. Kwadratowa szczęka rysowała się twardą linią, ale ciemne oczy wpatrzone były w twarz Cecylii. Nagle odkryła, że kącik jego ust się unosi.

Poczuła coś jakby upojenie, wypełniła ją błogość. Aplauz zaczął przygasać, ale to odczucie pozostało. Dygnęła niewprawnie.

To jest to, myślała przy tym. Zrobiłam to. Tego właśnie chciałam. Moja rodzina. Już oni zobaczą. Ten pałac. Ten dwór. Ten mężczyzna. To wszystko jest w moim zasięgu.

## DOMINIC

Północna Francja  
Sierpień 1944

We śnie Dominica Sally pochylała się nad koszem, wyciągając mokre prześcieradło z siłą, jaka wciąż go zdumiewała w jej drobnej postaci. Włosy miała porządnie założone za uszy, kiedy strzepnąwszy prześcieradło, zarzuciła je na długi sznurek rozpięty między dwoma drzewami.

– Dzień dobry pani – powiedział Dominic, zdejmując czapkę. Przyciągnął Sally do siebie, brudząc jej przód sukienki pyłem węglowym i swoim potem.

– Musisz się wykąpać – powiedziała z szorstkim irlandzkim akcentem, a jej piegowata twarz przybrała na niby zagniewaną minę. Potem przywarła do niego całym ciałem, żeby go namiętnie pocałować, co go rozpałiło.

Przebudzenie było jak przepychanie kawałków lodu przez serce. Dominic budził się do brutalnej rzeczywistości na dolnej pryczy, gdzie jego chude ciało oddzielał od metalowej ramy brudny materac grubości mniej więcej centymetra. Przez chwilę leżał bez ruchu, jakby sparaliżowany bólem, po czym rozejrzał się apatycznie po otoczeniu. Wokół niego koledzy palili, skubali racje żywnościowe, leżeli na pryczach, gapiąc się na lekko poruszające się płótno namiotu nad głową. Podłoga była już mokra od deszczu. Czy minęło zaledwie kilka godzin, odkąd rozbili obóz? Może tym razem czeka ich luksus pozostania w jednym miejscu przez kilka dni? Dominic stracił rachubę, gdzie są teraz. We Francji, w Belgii – w jakimś zapomnianym zakątku mokrej, rozdartej przez wojnę Europy. Był już tym znużony, a jednocześnie zdumiewał się, że wciąż żyje, że przeżył brutalne lądowanie na plaży i zmasowany ostrzał, jaki ich powitał.

Żaden z kolegów nie zwracał na niego uwagi. Sądząc po chrapaniu dobiegającym z górnej pryczy, Paul Blakeley, szeregowiec z San Antonio, który razem z Dominikiem został w Camp Glenn przydzielony do jednostki żandarmerii wojskowej i wysłany do Normandii, spał. Dominic przeturlał się na bok i sięgnął do swojego małego plecaka, z którego wyjął skrawek papieru znaleziony pod namiotem oficerskim. Był zmięty i rzucony na ziemię, z fragmentami telegramu wydrukowanego na jednej stronie, ale mimo to dla Dominica był czystym złotem. Zachował też kawałek czegoś, co mogło uchodzić za węgiel drzewny pochodzący ze spalonego lasu, przez który przechodzili kilka dni temu. Teraz wreszcie mógł połączyć jedno z drugim.

Nie było wątpliwości, co będzie rysował. Węgiel drzewny formował jej znajome kształty na papierze, zanim zdążył sobie zadać to pytanie. Rysował ją tak, jak ją kochał najbardziej, zwiniętą w kłębek na swojej stronie łóżka, z rozpuszczonymi włosami splątanymi na karku. Nawet w czarno-białym rysunku widział oczami wyobraźni płomienne włosy Sally na poduszce.

Nagle brudna ręka spadła z góry i niezdarnie chwyciła papier. Instynktownie cofnął dłoń, ale w rogu pojawiło się małe rozdarcie, więc odruchowo puścił.

– Patrzcie na to! – zadudnił ochryply głos. – Kim jest ta ślicznotka?

Dominic zerwał się na równe nogi, twarz mu płonęła. Szeregowy Kellermann był górą mięsa, z grubymi ramionami i manierami nosorożca. Podniósł rysunek do światła i zaśmiewał się pełen wulgarnych skojarzeń. – Piękna jest, Bonelli. Nie chcesz się podzielić?

Dłonie Dominica zacisnęły się w pięści. Na myśl o oczach Kellermanna patrzących choćby na pobieżnie naszkicowaną podobiznę jego żony, krew w nim zawrzała.

– Oddawaj – warknął.

Ale wokół już zgromadzili się inni żołnierze. Spocona, śmierząca horda wygłodniałych mężczyzn, którzy nie widzieli żywej kobiety od miesiący, więc rysunek, na którym żona Dominica przedstawiona była jak żywa, wystarczył im aż nadto. Przy wtórze gwizdów i okrzyków podawali go sobie z rąk do rąk, a z każdym odciskiem brudnego palucha na papierze rosła wściekłość Dominica. Wilcze wycie przesywało powietrze, gdy Dominic miotał się między mężczyznami, usiłując wyrwać im cenny rysunek, ale ponieważ był

drobnej postury, pozostawał on poza jego zasięgiem, podawany nad jego głową.

– Skacz, makaroniarzu! – wrzasnął któryś. – Skacz po swoją panią!

Dominic zignorował aż za dobrze znane, pogardliwe przezwisko. W końcu rysunek trafił z powrotem do Kellermanna, który zamachał nim szyderczo nad samą głową Dominica, opierając się plecami o piętrową pryczę. – Słyszałeś, makaroniarzu! – zarechotał. – Skacz!

Zanim Dominic zdołał odpowiedzieć, nieruchoma bryła leżąca na górnej pryczy nagle ożyła. Ręka Paula wystrzeliła spod koca i szybkim ruchem sprawnie wyjęła rysunek z dłoni Kellermanna. Ten odwrócił się oburzony i już otworzył usta, żeby zaprotestować, ale poszedł po rozum do głowy, bo Paul usiadł. Chociaż kolega Dominica z pryczy mówił z teksańskim, nosowym akcentem, jego ogromny wzrost i przejrzyste, niebieskie oczy świadczyły o skandynawskich przodkach sprzed tysiąca lat, berserkach walczących w szale na długich łodziach wikingów. Wyraz jego twarzy ostrzegł Kellermanna, żeby nawet nie myślał o czymś takim.

– Dość tego – Paul nie mówił dużo, ale kiedy już coś powiedział, ludzie słuchali. Grupa mężczyzn rozproszyła się, zostawiając Dominica, który stał z założonymi rękami, patrząc Kellermannowi w oczy, chociaż musiał w tym celu zadzierać głowę do góry. – To jego żona, człowieku. Przestań.

Na moment zapadło milczenie, po czym z trzewi Kellermanna wydobył się złośliwy śmiech. – Miej sobie to swoje dzieło, makaroniarzu – warknął. – Będziemy się bić na wojnie.

Opuścił szerokie ramiona i odwrócił się tylko po to, żeby splunąć na ziemię tuż koło butów Dominica.

Gotując się ze złości, Dominic zbliżył się do pryczy. Paul podał mu rysunek.

– Dzięki – powiedział Dominic, dziwiąc się, jak bardzo drży mu głos. Wyglądził papier szorstkimi palcami.

Trwająca cisza była ciężka i bolesna. Paul złagodził to napięcie. – To naprawdę dobry rysunek – powiedział cicho, rozluźniając ciężką atmosferę swoim teksańskim akcentem. Paul był lojalnym kolegą, odkąd przyszło im dzielić piętrową pryczę na obozie dla rekrutów. Był jednym z niewielu, którzy przeżyli z ich plutonu zdziesiątkowanego na ponurych plażach Normandii.

Niezmienne dobry humor Paula sprawiał, że ich powolne posuwanie się przez zdewastowany kraj było mniej uciążliwe. Mimo swojej postury i spokoju, Paul miał szybkie ręce i bystry umysł – szybkość, z jaką wyjął Kellermannowi rysunek z ręki, była wyrazem tej samej sprawności, jaką prezentował w grze i sztuczkach karcianych przy świetle świec. Takie momenty należały do rzadkości nie dlatego, że nie mieli wolnego czasu, ale jak domyślał się Dominic, dlatego, że ich sportowy duch przygniotła rzeczywistość na tych plażach przed wieloma tygodniami.

– Nie wiedziałem, że umiesz rysować, Bonelli – powiedział Paul.

Dominic wzruszył ramionami, właściwie jednym ramieniem, i zajął się wygładzaniem cienkiego koca leżącego na pryczy. – Rysowałem od małego. Marzyłem, żeby pójść do szkoły artystycznej, znaleźć nauczyciela, ale co mogłem zrobić? Musiałem iść do roboty w kopalni zaraz po dziewiątej klasie. Potem była Sally, ślub i Cecilia... no i wojna – dotknął szyi, na której wyraźnie brakowało medalika ze świętym Krzysztofem. – Po prostu rysuję to tu, to tam, kiedy mam odrobinę wolnego czasu. To mi pomaga się zrelaksować, wiesz?

Dominic uświadomił sobie, że mimo całego czasu, jaki spędzili razem, poczynając od obozu dla rekrutów, wiedzieli bardzo mało o swoim przedwojennym życiu. A jednak, zdumiewał się, czas spędzony razem w obliczu wiecznie obecnego zagrożenia związał ich tak silnie, jakby znali się całe życie. Wojna potrafi to sprawić, jak przypuszczał.

Paul nie mówił dużo o swojej rodzinie. Dominic wiedział, że mało miał czasu dla ojca. Stary ranczer walczył w wielkiej wojnie i wrócił załamany. Częściej oglądał dno butelki niż swojego syna i rodzina na tym cierpiała. Matka Paula walczyła o pięciu chłopców przez lata kryzysu, hodując bydło na rozpadającym się ranczu, żeby wyżywić chłopców. Paul ledwo o nich wspomniał. Często natomiast wspominał Francine. Ani razu nie powiedział o dziewczynie, którą kochał, że jest piękna, ale świadczył o tym wyraz twarzy, jaki u niego przywoływała. Wymawiając jej imię, rozświeślał się od środka. Dominic znał to uczucie.

– Zawsze rysujesz swoją żonę? – spytał Paul, zwieszając swoje blade nogi z górnej pryczy.

– Zazwyczaj – przyznał Dominic, nie mogąc powstrzymać uśmiechu, który ogarnął jego twarz. – To zawsze jest taki czy inny portret. Narysowałem



większość z was, chłopaków, i włożyłem te obrazki w moje listy do Sally, żeby mogła zobaczyć, jak wyglądacie – zakończył z szerokim uśmiechem.

– Sprytne. Wiedziałem, że muszę na ciebie uważać! – zażartował Paul. – Kto jest twoim ulubionym malarzem?

Dominic znów wzruszył ramionami. – Kiedy byłem dzieckiem, chodziłem do biblioteki oglądać obrazy w książkach. Starych mistrzów – no wiesz, Rembrandta, Rubensa. Ale moim ulubionym był zawsze Leonardo da Vinci. Przypuszczam, że musiał być, bo był Włochem i w ogóle.

– Byłeś kiedyś we Włoszech?

Dominic pokręcił głową. – Moi rodzice nie mogli się doczekać, żeby stamtąd wyjechać i zacząć nowe życie w Ameryce. Teraz są chyba bardziej amerykańscy niż włoscy, naprawdę – mają moje zdjęcie w mundurze i z ogromną flagą amerykańską – zaśmiał się nerwowo, następnie wygładził dłonią przód poplamionego i obszarpanego munduru, resztek splendoru, jaki został uwieczniony na fotografii tamtego dnia. – Ja jednak chciałbym tam kiedyś pojechać. Zobaczyć te arcydzieła w oryginale to by było coś.

Prycza zatrzeszczała pod Paulem, który przewrócił się z powrotem na plecy. Jego głos dobiegał z góry przytłumiony. – Kiedyś zobaczysz. Tak myślę.

Dominic chciałby móc podzielać optymizm Paula. Nie potrafił go naśladować, ale był mu wdzięczny. Chwile spokojnej rozmowy o czymkolwiek innym niż wojna zdarzały się rzadko. Dominic stracił rachubę, w ilu starciach brał udział, a za każdym razem to, że przeżył, wydawało się coraz bardziej cudem. Czy mały oddział Dominica dokonał czegoś w wojnie z nazistami? Czy ma jakieś znaczenie? Nawet po wszystkich tych tygodniach mijania się ze śmiercią o włos, nie był pewien. Wiedział tylko, że musi iść dalej, musi myśleć o misji, jaką jest zwycięstwo w tej wojnie. Oficerowie chwalili go za umiejętności strzeleckie i poświęcenie, z jakim chronił innych żołnierzy, ale on wiedział, że żyje nadal wyłącznie dzięki szczęściu. I może dzięki modlitwom matki wznoszonym daleko w domu, za oceanem.

– Bacność!

Ostra komenda rzucona u wejścia do namiotu poderwała żołnierzy na nogi równie automatycznie jak ogień z broni maszynowej. Stanęli rzędem w postawie zasadniczej, stopy razem, ręce opuszczone po bokach, ciała

wyprężone na tyle, na ile pozwalały ich wyczerpane mięśnie. Do namiotu wszedł oficer, połyskujące dystynkcje na jego ramionach oznaczały majora. W całkowitej ciszy słychać było tylko jego buty grzęznące w chlupoczącym błocie, w jakie zamieniła się podłoga namiotu.

Major przechodził wzdłuż dwóch szeregów mężczyzn, wczytując się w nazwiska naszyte na mundurach.

– Blakely! – zawołał.

Potem jego wzrok zatrzymał się na Dominicu. – Bonelli! – huknął.

– Tak jest! – Dominic zasalutował.

– Podobno jesteś dobry jako osłona – wyraz ciemnych oczu majora był nie do odczytania. Jego brew uniosła się. – Chodź. Mamy dla ciebie zadanie. Nie pozwólmy, żeby dowódca czekał.

## CECILIA

Mediolan, Włochy  
Styczeń 1490

– Chodź. Nie wolno pozwolić, żeby Jego Wysokość czekał.

Cecilię piekło pod pachami, jakby żądlił ją jednocześnie rój pszczół. Niechętnie znów uniosła ramiona w górę. Mając na sobie tylko lnianą koszulę bez rękawów, pozwalała, by Lucrezia Crivelli, pokojówka, wachlowała jej pachy. Po całej komnacie sypialnej Cecylii rozłożone były suknie z jedwabiu, atłasu i aksamitu, zajmując każdą możliwą powierzchnię.

– Aj! Co w tym jest? – Cecilia zrobiła trzy mocne wydechy pod rząd, jakby to miało uśmierzyć ból.

– Odrobina wapna palonego, trochę arszeniku, świński smalec. Kilka innych sekretów. Ulubiona recepta matki Jego Wysokości. Już niedługo – obiecała Lucrezia. – Masz zmówić dwa Ojczy nasz.

– Ojczy nasz, któryś jest w niebie... – zaczęła Cecilia, ale głos jej drżał. Trzęsła się w zimnym powietrzu i zaciskała oczy, żeby nie piekły.

– Przyzwyczaisz się do tego. Jego Wysokość nie lubi, żeby jego kobiety miały włosy na ciele.

Teraz Cecilia otworzyła szeroko oczy i wbiła wzrok w Lucrezię, dziewczynę mniej więcej w jej wieku, której zadaniem było obsługiwać Cecilię i pomagać jej w czesaniu i ubieraniu. Popatrzyła uważnie w duże, brązowe oczy dziewczyny, żeby się przekonać, czy sobie z niej nie żartuje.

– Naprawdę? Nigdzie na ciele?

Lucrezia pokręciła głową. – Następnie zrobimy twoją *pòm*. Dalej.

Cecilia nie знаła żadnych mediolańskich słów, ale mogła się domyśleć, która część ciała zostanie poddana depilacji jako następna. Znów zacisnęła powieki, czując zimno i pieczenie niemal nie do zniesienia. Odklepała modlitwy tak szybko jak zwykle. W tym czasie Lucrezia opuszkami palców oklepywała jej pachy.

Kiedy Cecilia skończyła swoje Ojczyznasze, Lucrezia podeszła do paleniska, gdzie w saganie nad ogniem wrzała woda. Za pomocą szczypiec zanurzyła w niej ścierkę, następnie wyżeła i umieściła parującą tkaninę pod pachą Cecylii.

– Auć! – zimno zastąpiło parzące gorąco. Lucrezia, nie cackając się, wytarła zjadliwą miksturę spod obu pach razem z włosami. Wreszcie Cecilia mogła opuścić zdętwiałe ręce. Chwyciła brązową aksamitną narzutkę ze stojącego obok krzesła i osłoniła nią ramiona. Czubkami palców dotknęła pach, gdzie goła, żywa skóra pulsowała, ale była niezaprzeczalnie gładka i pozbawiona włosów. Pieczenie stało się bardziej znośne, ale utrzymywało się, kiedy Cecilia podeszła do łóżka. Lekko przesunęła dłońmi po stercie sukien. Zielony atlas. Fioletowy aksamit. Czerwony jedwab z czarną koronką i złoconym drutem wplecionym w obszycie dekoltu.

– Są takie piękne – powiedziała. Ścisłe mówiąc, te suknie były najpiękniejsze ze wszystkiego, co Cecilia widziała w życiu.

– Nikomu niepotrzebne. Trzeba je będzie na ciebie dopasować. Chudzielec z ciebie – stwierdziła Lucrezia, ściskając dłońmi talię Cecylii tak mocno, że aż zabołało. Lucrezia wzruszyła ramionami. – Po prostu wyciągnęliśmy je z garderoby ostatniej kochanki.

Długa pauza.

– Ostatniej kochanki?

Lucrezia kiwnęła głową.

– Co się z nią stało?

– Och! – nerwowy śmiech. – Nie przetrwała długo.

– Czemu nie? – Cecilia znów wpatrywała się w twarz Lucrezii, żeby poznać, czy się z niej nie naigrawa.

– Jego Wysokość szybko się nią zmęczył – wyjaśniła Lucrezia, a w jej głosie nagle zabrzmiał smutek, który dla Cecylii mógł świadczyć jedynie o szczerości. – Jeśli chcesz wiedzieć, co myślę, to dlatego, że za dużo mówiła. Jak by nie było,

te... rozrywki Jego Wysokości i tak są zazwyczaj krótkotrwałe. Tylko mała Bianca po tym została.

– Bianca?

– Biedny mały bękart – Lucrezia pokręciła głową. – Tak czy siak, jest prześliczna. Włosy ma czarne jak noc. Zupełnie jak jej ojciec.

Cecilia opadła na krzesło przy łóżku i ciasniej otuliła ramiona narzutką. Czy weszła do wody, która szybko może ją pochłonać? Zastanawiała się, ilu jeszcze ważnych rzeczy nie wie.

Pukanie do drzwi. Lucrezia wprowadziła siwowłosą kobietę w sukni pokojówki. Powiedziała coś do Cecylii w mediolańskim dialekcie, po czym skłoniła przed nią głowę i wyciągnęła rękę ze złożonym pergaminem, opatrzonym woskową pieczęcią. Cecilia rozpoznała eleganckie pismo brata, ale zwlekała. Po raz pierwszy w życiu ktoś się jej uklonił, a poza tym nie miała pojęcia, co powiedziała ta służąca. Stara kobieta spojrzała Cecylii w oczy i uśmiechnęła się. Lucrezia wkroczyła, biorąc list z ręki pokojówki i podając go Cecylii.

– List do kwiatu Jego Wysokości.

## EDITH

Monachium, Niemcy  
Wrzesień 1939

Edith oparła się o metalową ościeżnicę drzwi, kiedy zabrzmiał gwizd pociągu i zazgrzytały koła. Przyciśnięta do okna patrzyła, jak bliźniacze cebulaste kopuły monachijskiej Frauenkirche nikną w mroku.

Od tygodni przygotowywała się, że będzie patrzeć na Heinricha wsiadającego do pociągu do Polski. Wyobrażała sobie ich pożegnanie: widziała Heinricha w mundurze, przystojnego, wysokiego i szczupłego; widziała siebie biegnącą wzdłuż peronu, przeciskającą się przez tłum kobiet, kiedy pociąg rusza z dworca.

Nigdy nie przewidywała, że to ona jako pierwsza będzie zapinać guziki wykrochmalonej kurtki polowego munduru, dziwacznie zmodyfikowanej, aby dopasować ją do kobiecych kształtów. Że to ona wsiądzie do sapiącego pociągu do Krakowa i będzie patrzeć przez okno, jak Heinrich biegnie wzdłuż peronu i macha do niej, stając się coraz mniejszy, kiedy pociąg odjeżdża na wschód z dworca Hauptbahnof. Teraz to ona otrzymała kartę powołania. Nie było odwrotu. Jej rozkaz był zaledwie podpisanym i podstemplowanym skrawkiem papieru, pojedynczą kartką, która miała moc zmienić całe jej życie. Może nawet je odebrać, gdyby była jedną z tych, którzy nie mają szczęścia.

Za plecami Edith rozległy się gwizdy, od których włosy zjeżyły się jej na karku.

– He! Klaus, mają tu spódniczki! – jakiś żołnierz krzyknął przez ramię do kogoś znajdującego się za nim.

– Pani wybaczy, madam – powiedział z prześmiewczą uprzejmością jakiś mężczyzna, przyciskając się do jej pleców bardziej niż było to konieczne, aby

się minąć w wąskim korytarzu pociągu.

Edith nie zareagowała, ale nerwy miała napięte. Odsunęła się od okna, przez które wpadało świeże powietrze, otworzyła drzwi do części wagonu z miejscami siedzącymi i ruszyła środkowym przejściem. Wagon był pełen mężczyzn, z których większość miała na sobie takie same mundury polowe jak jej, inni ubrani byli po cywilnemu. Spoglądała poza nich, starając się panować nad emocjami. Wiedziała, że oczy ma zaczerwienione, policzki opuchnięte. Czowała na sobie wzrok tych mężczyzn, pospiesznie przepychając się między siedzeniami ze swoją dużą torbą.

Odetchnęła dopiero w dusznym przedziale wagonu sypialnego. Był ciasno zagospodarowany, z dwoma piętrowymi łózkami, które stały puste. We wszystkich innych przedziałach tego typu mieściło się po pięciu lub sześciu żołnierzy. Jej jako kobiecie przydzielono cały, w którym mogła być sama. Wcisnęła się na jedno z dolnych posłań i wróciła myślami do Heinricha.

Proszę, powiedz mi, że nie jesteś już zajęta.

Edith uśmiechała się, nawet teraz, przez łzy, przypominając sobie pierwsze słowa Heinricha, jakimi zwrócił się do niej dwa lata temu, podczas bawarskiego festynu w popularnym monachijskim ogródku piwnym.

– Słucham? – odpowiedziała wysokiemu nieznanemu, który przepchnął się przez rozbawiony tłum, przystojnemu mężczyźnie z lokiem blond włosów nad czołem, który pozwolił sobie na taką impertynencję.

– Jesteś piękną kobietą – powiedział. – Mam tylko nadzieję, że nikt jeszcze nie zdążył cię ukraść, więc wszyscy wciąż mamy szansę.

Roześmiała się, zachwycona jego zuchwałością. Sama zawsze uważała się za zwyczajną szarą myszkę i pogodziła się z tym, że być może czeka ją los starej panny u boku ojca. Myśl o Heinrichu wciąż jej wystarczała, aby poczuć trzepotanie w brzuchu, tym bardziej gdy przywoływała obrazy ich pierwszych kilku szalonych dni razem.

To był śmiały początek, ale kiedy z biegiem miesięcy poznali się bliżej, Heinrich naprawdę zdobył jej serce. I kiedy przyszedł do ojca prosić go o rękę córki, serce Edith było jego na zawsze. Heinrich zdawał sobie sprawę, że jej ojciec może nawet nie pamiętać jego imienia, niemniej jednak traktował go z szacunkiem i czułością.

– Tak – odpowiedział ojciec i Edith wiedziała, że w tym momencie miał nie tylko umysł jasny, ale i radość w sercu.

Już tylko odprysk przyciemnionego światła pozostał za wąskim oknem, ale Edith miała w sobie za dużo nerwowej energii, żeby się położyć. Znów wstała, odwróciła swoją płócienną torbę na bok i wyjęła mały notes. Zagapiła się na pustą kartkę. Czy powinna napisać list do ojca? Czy rozumiał, dokąd wyjechała? Czy w ogóle ją pamiętał?

Sąsiadka, Frau Gerzheimer, zdawała się rwać się do pomocy. Edith pozostawała nadzieja, że Frau Gerzheimer potrafi przekonać jej ojca do współpracy. Ufała, że Heinrich będzie wpadał po pracy w sklepie swojego ojca, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku, zanim on również będzie musiał wsiąść do pociągu. Modliła się, żeby agencja jak najprędzej przysłała do pomocy pielęgniarkę. Za nic nie chciałyby, żeby ojciec trafił do domu opieki, gdzie mógłby zgasnąć.

Nie znajdując słów, które chciałyby powiedzieć ojcu, przyłożyła pióro do papieru i zaczęła list do Heinricha, ale była w stanie pisać tylko o tym, jak bardzo już za nim tęskni. Edith i Heinrich jechali osobno do Polski, oboje będąc pionkami w grze, która ich przerastała. Nazwiska szeptane porządkowym w kamienicy przy najmniejszym podejrzeniu. Żydowscy sąsiedzi – mężczyźni, kobiety, nawet niewinne dzieci jak mały synek Nusbaumów – wyprowadzani z domów w mroku i milczeniu, gromadzeni, zaganiani i przesuwani jak ludzkie pionki na wielkiej szachownicy. I chłopcy najwyżej czternastoletni, maszerujący w mundurach ulicami, na których rozbrzmiewały ich głosy.

*Dziś należą do nas Niemcy,*

*a jutro cały świat.*

Edith, Heinrich i tysiące innych w całej Rzeszy, jak sobie wyobrażała, czuli się bezradni albo zbyt bali się konsekwencji, żeby stawić opór.

Czy znajdą się po przyjeździe do Polski? Co zastaną, kiedy wrócą do domu, jeśli w ogóle wrócą?

Edith miała nadzieję, że zajęcie się pisaniem przyniesie ulgę w obawie, co ich czeka. Zamiast tego jedynie uwolniło zalew pytań bez odpowiedzi. Jak to się stało, że wydarzenia eskalowały do tego stopnia tak szybko? Dlaczego nie potrafiła, tak jak Manfred, przewidzieć, co planuje dyrekcja muzeum? I jakim



cudem ona – konserwatorka niskiej rangi – została rzucona w sam środek tego konfliktu?

Edith poczuła, że serce w niej zamiera, kiedy odpowiedź na to ostatnie pytanie wykrystalizowała się w jej umyśle.

*Ponieważ to ja zwróciłam ich uwagę na te obrazy.* Czowała się jak idiotka, że nie zorientowała się zawczasu, o co została poproszona. Że nie zrozumiała, co to może znaczyć i jakie mogą być konsekwencje jej z pozoru nieszkodliwego projektu badawczego w muzealnej bibliotece.

Edith wyciągnęła teczkę ze sporządzoną przez siebie dokumentacją dzieł sztuki, które dyrekcja muzeum chciała zabezpieczyć. Rozwiązała tasiemki i po raz kolejny zaczęła przekładać kartki. Te obrazy z pewnością były zaledwie małą częścią tego, co znajdowało się w posiadaniu rodziny Czartoryskich.

Kiedy doszła do reprodukcji *Damy z gronostajem* Leonarda, zatrzymała się. To ja jestem winna narażenia tych obrazów na ryzyko, pomyślała. To moja wina, że jesteśmy na drodze do odebrania tych obrazów rodzinie Czartoryskich. Całe swoje dorosłe życie poświęciłam ratowaniu dzieł sztuki. A teraz, w jednej chwili, pod hasłem wykonywania swojej pracy, narażam na niebezpieczeństwo jedno z najcenniejszych dzieł sztuki na świecie.

Czy istnieje sposób na odczynienie szkody, jaką wyrządziła?

Stukot kół pociągu i posapywanie parowozu nadały rytm rozpędzonym myślom Edith. Za oknem czubki mijanych drzew zlewały się z mrokiem.

Umysł Edith szukał odpowiedzi, w jaki sposób ratować *Damę* Leonarda da Vinci i inne obrazy, które niechcący wystawiła na linii ognia. Ale kiedy poszarpane kontury drzew zniknęły i niebo zrobiło się czarne, mogła już tylko czuć rozpacz ciężącą jej na piersi jak kamień. Obrazy też zostały rzucone jak kostka w grze, która wymknęła się jej spod kontroli, w ciągu zdarzeń, wobec którego czuła się bezsilna, bo nie miała jak go zatrzymać.

## CECILIA

Mediolan, Włochy  
Styczeń 1490

Cecilia spowodowała ciąg zdarzeń, których nie miała jak zatrzymać. To właśnie miał na myśli jej brat, nawet jeśli napisał to bardziej wyszukany językiem.

Przesuwała w palcach złamaną pieczęć na pergaminie, który przysłał jej brat, Fazio, piśmie powiadamiającym ją, że ich matka bezpiecznie dotarła z powrotem do domu w Sienie. Cecilia ciekawa była, ile czasu będzie potrzebować matka, żeby się znowu do niej odezwać, jeśli w ogóle kiedykolwiek jeszcze coś od niej usłyszy.

Matka Cecylii zrozumiała, że od momentu, w którym jej zuchwała córka zamiast się skłonić, miała czelność wystąpić do przodu i wyszczerzyć zęby do Ludovica il Moro w bezwstydnym uśmiechu, nie ma odwrotu. Regent Mediolanu weźmie ją sobie na własność. Nikt nie ma pozycji pozwalającej go powstrzymać, a już na pewno nie sieneńska wdowa w powalanej sukni. W końcu Cecylii było żal matki, ponieważ nic nie mogła zrobić, mogła tylko pokrzyknąć, rzucić talerzem i odjechać rozklekotanym powozem, zostawiając za sobą Castello Sforzesco we mgle i błocie.

Teraz mogłaby się z tego śmiać, uznała Cecilia, kiedy matka była już daleko od pałacu. I Cecilia śmiała się po cichu, sama do siebie. Niewiele więcej miała do roboty, kiedy tak siedziała, czekając na Ludovica il Moro i przesuwając dłońmi po śliskim jedwabiu sukni. Powinien tu być już od dawna, ale wyobrażała sobie, że miał inne rzeczy do zrobienia, zamiast odwiedzać ją w jej nowej komnacie sypialnej.

Ludovico z pewnością był zajęty, konsultując się ze swoimi wojskowymi i politycznymi doradcami. Z okna sypialni Cecilia widziała na dziedzińcu

dyplomatów w barwach Mantui i Ferrary. Jako regent Mediolanu Ludovico narażony był na nieustanne zagrożenie ze strony Wenecji, pouczał Cecilie jej brat, i ze strony wojsk króla Francji. Nawet ze strony własnego bratanka. Ludovico już posłał najbliższych doradców bratanka na szubienicę, poinformowała Cecilie pokojówka Lucrezia, szcietkując jej włosy w świetle świec. Kiedy ktoś jest tak potężny, mówiła jej dziewczyna, każdy może być jego przyjacielem w jednej chwili, a wrogiem w następnej.

Zatem Cecilia czekała. Obeszła już każdy zakątek komnaty kilka razy. Było tu mnóstwo książek. W szafie bibliotecznej znajdowały się arkusze zszyte lnianymi nićmi, w skórzanych oprawach, a także zwoje welinu. Niektóre tomy były oprawione w sztywną tekturę, z przegubem między grzbietem a okładziną. Spędziła godziny, ślęcząc nad brązowym atramentem na pergaminie. Znalazła nawet książkę kobiecych sekretów, zbiór przepisów na specyfiki kosmetyczne, takie jak ten, który musiała znosić, skoro Lucrezia uparła się usunąć z jej ciała wszystkie włosy. Patrzyła i patrzyła na malowidła na ścianie, obrazy, na których ożywały historie z wielu książek – starożytne opowieści o miłości, zdradzie, walce, śmierci, odkupieniu. Wzięła do rąk każdą szklaną buteleczkę i złoconą szkatułkę ze stołu, obserwowała poranną mgłę snującą się po ogrodzie za oknem i przymierzyła każdą suknię z jedwabiu i aksamitu wiszącą w garderobie. Pozwoliła sobie zanurzyć się w wełnianej i jedwabnej pościeli za zasłonami udrapowanymi wokół wysokiego łoża. Przez otwarte okno napłynął do wnętrza aromat ryżu gotowanego z siekaną cebulą i masłem.

– Moja córka idzie do klasztoru. To już postanowione! – słowa matki znów odezwały się w jej głowie nieproszone. – W przeciwnym razie wraca ze mną na wieś. Taki jest wybór.

– I co ją tam spotka? – odpowiedział pytaniem Fazio. – Gdybym był z wami w domu, może sprawy potoczyłyby się inaczej, ale w takim stanie rzeczy jaki jest, dzięki moim braciom, ona nie ma już posagu, żeby wejść do przyzwoitej rodziny. Będzie nikim więcej jak wieśniaczką. Starą panną. Tu będzie obdarzona bogactwem i statusem. To nie jest na wieczność, matko.

– I co, klasztor będzie ją chciał, po tym jak straci cnotę? – rzuciła matka wyzywająco, biorąc się pod boki. – Żaden mężczyzna jej nie tknął! Wiesz to równie dobrze jak ja.

– Wiem, że to dziwnie brzmi – mówił Fazio, chodząc w tę i z powrotem przed oknem – ale bycie *inamorata* Jego Wysokości zapewni Cecylii status wyższy niż ma teraz. Nawet zakonnice będą się z tym liczyć.

Cecilia widziała, że okrągła twarz jej matki poczerwieniała. – Ja się nie zgadzam na pozostawienie mojej córki tutaj, z tym... z tym małym, nadętym osłem – zrobiła ruch ręką, jakby mierzyła posturę Ludovica il Moro. – On jest zbyt pewny siebie, czy nie? Wykorzysta ją i wyrzuci. A wtedy co będzie mieć do pokazania w zamian?

Cecilia czuła, jak w jej piersi narasta rozpalony do czerwoności gniew. Jak oni śmiały zachowywać się tak, jakby jej nie było w pokoju? Jak oni śmiały postępować tak, jakby wciąż była niemądrym dzieckiem, które nie potrafi myśleć samodzielnie? Otóż potrafi i będzie podejmować własne decyzje.

– Ja tu stoję – powiedziała cicho.

– Będziesz dziwką! – to wtedy matka rzuciła talerzem, który roztrzaskał się o posadzkę.

– Nie, matko – odparła Cecilia najspokojniej jak to możliwe. – Będę damą. Będę panią tego zamku. Zobaczycie.

Przez moment widziała na twarzy brata wyraz jakby współczucia, ale zupełnie nie rozumiała, dlaczego.

Brat powiedział jej, że po jej występie Ludovico Sforza podjął stanowcze postanowienie sprowadzenia jej do siebie. Że Cecilia miała w sobie coś, co trudno mu było wyrazić słowami. Nic nie mogło go odwieść od tego zamiaru.

Fazio jasno i wyraźnie przedstawił wybór, jaki miała Cecilia. Były tylko dwa sposoby, aby powstrzymać rozkazy Jego Wysokości, powiedział jej. Mogła zdecydować zachować dziewictwo i wrócić do domu z matką – wybór, który trudno byłoby jej znieść. Mogła też wstąpić do Monastero Maggiore – w oczach Cecylii jeszcze mniej pożądane wyjście, choć matka i brat błagali, aby zastanowiła się nad tym jeszcze raz. Ale jeśli zdecyduje się zostać pod opieką Jego Wysokości, będzie to decyzja nieodwracalna, tłumaczył jej Fazio. Dodał jeszcze, że wtedy będzie musiała liczyć się z konsekwencjami. W tym momencie rodzina i tak niewiele mogła zrobić, aby jej pomóc, wszystko było w jej rękach.

Ale dla Cecylia liczyło się tylko jedno. Ludovico Sforza, pan Mediolanu, chciał ją i mógł dać jej wszystko, czego chciała. W jednej chwili mógł przemienić ją z wiejskiej dziewczyny bez grosza w księżną. Przynajmniej tak to sobie Cecilia wyobrażała.

– Zostaję – wyszeptała.

To było to. Punkt zwrotny. I teraz była tu, w tej pięknej komnacie sypialnej, odziana w jedwabie. Nie miała wątpliwości, że jest dokładnie tam, gdzie ma być. Zobaczą.

W końcu zaskrzypiały otwierające się drzwi i Cecilia wstała. Była gotowa, ale w chwili gdy Jego Wysokość wszedł do pokoju, poczuła, że jej stanowczość słabnie. Tak jak była niezachwiana w swojej decyzji, tak teraz nagle poczuła zdenerwowanie, znalazłszy się z nim sam na sam. W końcu był nieznajomym. Nie mogła pokazać wzburzenia przetaczającego się w jej żyłach.

Powoli podszedł do niej. Widziała, jak jego oczy połyskują w świetle latarni.

– Podjęłaś dobrą decyzję, zostając – powiedział. – Mogę cię zapewnić, że zostaniesz stosownie wynagrodzona.

– Byłam zaszczycona waszą propozycją – odparła Cecilia, spuszczać oczy i wbijając wzrok w podłogę.

Jego Wysokość zbliżył się tak bardzo, że mogła wyczuć wilgotny zapach jego włosów i brody. Zrobił jeszcze jeden wyliczony krok w jej stronę, podchodząc do niej bliżej niż kiedykolwiek jakiś mężczyzna, który nie był jej ojcem ani bratem. Wtedy spojrział na nią. Jego oczy były czarne jak węgle, tak ciemne, że nie mogła dostrzec źrenic. Poczuła trzepotanie w żołądku, jakby był pełen motyli. Ich twarze znajdowały się na tej samej wysokości.

– Jesteś śliczną kobietą – wyszeptał swoim głębokim głosem, gęstym od toskańskiej mowy z dziwnym, mediolańskim akcentem. Poczuła na szyi jego gorący oddech i ciarki przeszły ją od krzyża w górę, choć udawała, że nic się nie dzieje.

Cecilia odchrząknęła. – Jestem też uczona – powiedziała, cofając się o krok. Dreszcze wciąż chodziły jej po plecach, odbierając pewność i spokój, ale nie chciała, żeby on zauważył, jaką ma nad nią władzę. – Może słyszeliście.

Zdawało jej się, że zauważyła kpiący uśmiech przemykający po jego twarzy, ale trudno było to stwierdzić pod gęstą brodą i w półmroku. Myśl, że mógłby

z niej drwić, rozeźliła ją, więc zrobiła następny krok w tył.

– Powiedz mi więcej – usłyszała i poczuła jak jego palce ujmują jej dłoń, a następnie suną lekko w górę po jedwabnym rękawie jej sukni. Jego płonące oczy patrzyły uważnie.

– Tyle jest do powiedzenia – odparła z nadzieją, że on nie usłyszy drżenia jej głosu. Chciałaby choć trochę być szkolona w dyplomacji, tak jak jej brat, bo dopiero teraz zdała sobie sprawę, że nie wie, co ujawnić, a co zatrzymać dla siebie. Była tylko pewna, że ważne jest, aby umieć to rozróżnić. – Potrafię czytać i pisać po łacinie. Mój ojciec zadbał, żebym miała dobrego nauczyciela. Najlepszego w Sienie. Potrafię rachować. Piszę wiersze. Umieję śpiewać, to już wiecie. Gram na lutni i lirze. Zresztą na innych instrumentach strunowych też, tylko trochę...

Czy już mówiła za dużo? Lucrezia ją ostrzegała.

Ludovico słuchał jednym uchem. Jego dłoń zbierała fałdy jej spódnicy, posuwając się w kierunku uda.

– Czy to prawda, co słyszałem? Wciąż jesteś dziewicą? Żaden mężczyzna jeszcze cię nie tknął? – jego głos ledwo wzniósł się ponad szept.

Cecilia przełknęła tę prawdę jak kamień i skinęła głową. Oczywiście, dlatego tu była. To robi kochanka i po to pozwolono jej zostać w tym zamku, wśród tych wszystkich pięknych rzeczy. To była jej decyzja.

Przełknęła ślinę i zebrała się na odwagę.

– Ile... o ile się założycie, że jestem bystrzejsza niż każda kobieta w tym zamku? Bystrzejsza niż każda kochanka, jaką mieliście przede mną?

Ryknął śmiechem. – Mam nadzieję, że jesteś – powiedział, ale zaraz poczuła jego gorący oddech na szyi, jego brodę na swoim policzku. Mimowolnie zamknęła oczy. Jego usta paliły jej skórę, podczas gdy jego dłonie posuwały się dalej w górę pod jej spódnicą.

– Ja... chcę być panią tego zamku – wydyszała Cecilia, kiedy jego palce znalazły pod suknią drogę do tasiemek jej bielizny. Wiedziała, co zaraz ma się z nią stać i w momencie jasności uświadomiła sobie, że nie chce być po prostu kochanką. Zanim ją posiadzie, zanim ją wykorzysta i wyrzuci, chciała jego słowa.

– Chcę być waszą żoną – wypaliła.

Głęboki, dźwięczny śmiech wydobył się z jego trzewi. Odsunął się i spojrzał jej w oczy. W tym spojrzeniu było coś więcej niż ogień, więcej niż żar, ale Cecilia z braku doświadczenia nie zrozumiała tego w pełni.

– Moja droga dziewczyno – powiedział. Potem pchnął ją w kierunku łóżka i bez ceregieli odwrócił na brzuch.

## DOMINIC

Wschodnia Belgia  
Wrzesień 1944

Dominic rozglądał się z otwartej kabiny jeepa jadącego przez tereny wiejskie. Pomyślał, że tereny wiejskie to nie jest odpowiednie określenie. Kiedyś ta część Belgii musiała być wspaniała. Jeszcze teraz w koronach drzew jesień prześwitująca przez ciepłe okrycie późnego lata niosła obietnicę nadchodzącego piękna. Ale pejzaż brukały wciąż dymiące zgliszcza miasteczek. Serce Dominica ścisnęło się na ten widok. Ziemia była zryta i miejscami poczerniała, pola rozjechane gąsienicami czołgów, wszędzie rozsiane łuski pocisków i porzucone elementy wyposażenia. Sad stał odarty i zniszczony, na tle błękitnego nieba rysowały się powykręcane i połamane zwęglone gałęzie drzew owocowych.

Paul Blakely zacisnął mocniej dłonie na kierownicy, kiedy wjechali w rumowisko. Samochód pełził wzdłuż czegoś, co do niedawna było główną ulicą miasteczka. Została tylko kościelna wieża, przechylona niebezpiecznie nad na wpół zburzoną budowlą. Krzyż na jej szczycie tkwił dzielnie i tragicznie, aż Dominica świerzbiły ręce do rysowania. Reszta miejscowości też nie przedstawiała się malowniczo. Z domów i sklepów niegdyś stojących wzdłuż ulicy zostały tylko wypalone skorupy i zawalone ściany. Jeep musiał ominąć przewróconą latarnię uliczną i z wysiłkiem posuwał się dalej po dziurawej jezdni.

– Człowieku, tylko spójrz na to... – Paul wpatrywał się w pejzaż zniszczenia, pasek jego hełmu kołysał się wraz z ruchem ciężarówki. Dominic przełożył z ręki do ręki karabin, który najchętniej odłożyłby, ale wciąż znajdowali się na nieprzyjacielskim terytorium. Musiał być gotów do działania w każdej chwili.



Teraz, trzy miesiące po lądowaniu na plaży Omaha, czujność była automatyczna. Miał wrażenie, że nerwy mu puściły będące stale pod napięciem, w stanie najwyższej gotowości. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek pozbędzie się odczucia, że zawszą czyha na niego wróg.

Zanim oficer transportowy Żandarmerii Wojskowej wysłał Paula i Dominica w teren, wyjaśnił im cel misji.

– Ten nowy przydział jest czymś innym – powiedział. – Obaj nadal będziecie w służbie ochrony, ale wejdziecie w skład oddziału wykonującego wyjątkowe zadanie. Tak, walczymy z nazistami, ale jednocześnie staramy się zachować, ile się da z tej kultury, którą cholernie chce się unicestwić – wskazał zrujnowany krajobraz. – Wszędzie, gdzie spojrzeć, są ważne budowle, zabytki, dzieła sztuki. Ta wojna może być końcem tego wszystkiego – rzeczy bezcennych, arcydzieł, które musimy spróbować uratować tak samo, jak próbujemy ratować nasze własne dupy.

Dominic pochylił się do przodu, słuchając z coraz większym zainteresowaniem. W swojej determinacji, żeby bić nazistów, żeby po prostu przeżyć i wrócić do domu, do swojej rodziny, nie brał pod uwagę skutków wojny dla sztuki i architektury.

– Mamy więc unikać niszczenia starych kościołów i innych zabytków – mówił dalej oficer. – To powinno być oczywiste. Ale my także szukamy obrazów i rzeźb. Ten reżim kradł dzieła sztuki od początku wojny. Wywozili je, żeby eksponować w swoich domach jak trofea.

– Chce pan powiedzieć, że trzymają je dla siebie? – upewnił się Paul.

– Owszem. Nasz wywiad informuje, że niektórzy naziści najwyższej rangi wieszają w swoich domach nawet Leonardy – tu przerwał, a do Dominica dotarł sens tego, co usłyszał. Od lat czytał doniesienia o potwornościach nazistowskich obozów śmierci, o niesłabnącym dążeniu Hitlera do zapanowania nad światem. Poczul się głupio, bo nie pomyślał, że oni przecież brali co chcieli, odzierając inne kraje ze skarbów, do których nie mieli prawa, z bezcennych dzieł sztuki.

Oficer podjął wątek. – Niektóre rzeczy już zostały zniszczone albo przez nazistów, albo nawet przez nas. Przypadkowo, oczywiście. Powiedzmy sobie szczerze, pewne szkody są po prostu nieuniknione, prawda? Tymczasem

prezydent utworzył Sekcję Zabytków, Dzieł Sztuki i Archiwów, czyli MFAA. Obrońcy Zabytków.

– Obrońcy Zabytków... – powtórzył Dominic.

– W większości muzealnicy, historycy sztuki, ludzie, którzy znają się na tych rzeczach. Naszą misją jest chronić te dzieła i odebrać je nazistowskim sukinsynom, aby mogły zostać zwrócone prawowitym właścicielom, kiedy już doprowadzimy do klęski tamtych.

Dominic nie mógł uwierzyć własnym uszom. Jak to? Amerykański prezydent martwi się o obrazy i rzeźby, kiedy tysiące ludzi tracą życie? Zarazem jednak nie mógł zaprzeczyć, że jest pełen podziwu. – Chce pan powiedzieć, że ci... Obrońcy Zabytków... zajmują się ratowaniem dzieł sztuki? Jak oni to robią?

Oficer wzruszył ramionami. – Do tego nie ma instrukcji. Oglądamy zdjęcia lotnicze, zaznaczamy kościoły, mosty, zabytki, które mają ocaleć. I wchodzimy do środka, żeby zobaczyć, co zostało, co możemy uratować. Już znaleźliśmy sporo ważnych obrazów i portretów, zwłaszcza niektóre wielkich mistrzów – Rembrandta, Tycjana, sławnych gości.

Dominic wyprostował się gwałtownie w nabożnym zachwycie. Wobec perspektywy możliwego ujrzenia niektórych z tych arcydzieł czuł mimowolny dreszcz podniecenia. Pomyślał o dziełach Leonarda da Vinci zbombardowanych i zniszczonych w trakcie działań wojennych albo wiszących w pałacu Hitlera i poczuł jak gula rośnie mu w gardle.

– Tak więc waszym zadaniem, chłopcy, jest chronić tych Obrońców Zabytków – oficer przeszedł do sedna. – Oni narażają się codziennie. Wchodzą w różne niebezpieczne miejsca, żeby odzyskać dzieła sztuki, a wy dwaj jesteście po to, żeby zabezpieczać ich tyły, kiedy wykonują swoją robotę. Czekają na żandarmerię wojskową, zwłaszcza na transport, już od wielu tygodni. Wreszcie dostaliśmy zezwolenie.

Przed nimi, na linii horyzontu, szary obóz wydawał się taką samą skazą jak zbombardowane budynki. Rzędy bezbarwnych, jednakowych namiotów stały pomiędzy trzymającymi straż czołgami. Paul zgasił silnik jeepa i obaj z Dominikiem wysiedli, trzymając wciąż karabiny w pogotowiu. Żołnierze porozsiadali się niedbale między obwisłymi namiotami, ich brudne mundury śmierdziały niemytymi mężczyznami i prochem. Na widok jeepa kilku

mężczyzn poruszyło się, spoglądając na Paula i Dominica z nadzieją. Ziemia była wydeptana, zaśmiecona łuskami naboju i niedopałkami papierosów. Jak wszystkie obozy wojskowe, była to mieszanina surowej dyscypliny w równych rzędach namiotów i rozprężenia w postawie wyczerpanych ludzi. Dominic zaczynał się w tym czuć coraz bardziej jak u siebie.

Podszedł do nich oficer, który powitał ich, pomijając uprzejmości: – Najwyższa pora, żebyście się zjawili. Wasz dowódca to kapitan Walker Hancock – co powiedziawszy, odwrócił się i wszedł między namioty. Dominic i Paul wymienili szybkie spojrzenia, po czym poszli za nim.

Nawet z daleka, z drugiego końca smętnego obozu, Dominic mógł zauważyć, że kapitan Hancock jest tu równie nie na miejscu co rasowa klacz wśród mułów. Wysoki i smukły, w mundurze leżącym elegancko na jego szczupłym ciele, wyglądał jakby powinien mieć na sobie smoking i kręcić trzymaną w dłoni szklaneczką sherry. Jego przenikliwe niebieskie oczy patrzyły uważnie, kiedy Dominic i Paul zbliżali się do niego w ślad za oficerem.

– Hancock nie jest zwykłym żołnierzem – poinformował ich oficer. – Jest też swego rodzaju sławnym rzeźbiarzem.

Wykształcony, wyrafinowany mężczyzna wydawał się z zupełnie innej bajki niż ten smutny, zwęglony pejzaż, ale Dominic ze zdumieniem uświadomił sobie, że przecież on też musiał zostać powołany do wojska.

Oficer stanął przed nim i zasalutował. Dominic i Paul zrobili to samo.

– Nowi do służby ochrony, sir – zameldował oficer.

Hancock zwrócił się w ich stronę i przyjrzał się im. Widząc duże, białe litery MP na ich hełmach, skinął głową.

– Dobrze – powiedział. – Będziemy potrzebować ich więcej, kiedy podejmiemy pod Akwizgran. – Zabębnił palcami o lufę swojej broni. Dominic wyobraził sobie te palce trzymające dłuto. – Niech się zakwaterują.

– Tak jest – oficer odwrócił się, żeby ich odprowadzić, ale ciekawość Dominica wzięła górę.

– Jak się weźmiecie do poszukiwania tych dzieł sztuki, sir? – wypalił. Patrzył przy tym na oficera zbyt zdenerwowany, żeby spojrzeć w oczy Hancocka, ale wszyscy wiedzieli, do kogo było skierowane pytanie. Hancock jedynie uniósł brew i odwrócił się na pięcie.

Oficer wybawił Dominica z tej żenującej sytuacji. – Mnóstwo specjalistów w Europie i Stanach pracuje nad tym od samego początku wojny – wyjaśnił. – Kustosze z muzeów i inni tego rodzaju pracownicy Wykorzystują własną wiedzę, aby sporządzać listy tych dzieł i mapy pokazujące, gdzie możemy...

Dalsze słowa oficera zagłuszył huk, który zelektryzował całe ciało Dominica. Kule rozdarły najbliższy namiot, strzępy płótna rozniosło na wszystkie strony. Obóz wypełniły krzyki i wystrzały, Dominic widział jak w zwolnionym tempie, że Hancock odwraca się, a ogień z karabinu maszynowego rozdziera ziemię coraz bliżej niego.

Kierowany tylko instynktem Dominic rzucił się do przód, zasłaniając swoim niewielkim ciałem kapitana Hancocka. Czuł, jak rozbryzgi ziemi rytej przez kule uderzają o jego buty. Z determinacją chwycił dowódcę i przetoczył się z nim za dającą osłonę ogromną oponę ciężarówki. Kule z jazgotem odbijały się rykoszetem od osi. Dominic podniósł karabin, odczekał, aż nastąpi przerwa w ostrzale i odpowiedział ogniem. Kolba karabinu kopała go w ramię, podczas gdy on opróżniał magazynek do czasu, aż usłyszał krzyk i nagłe przerwanie ognia. Po dłuższej chwili rozległo się szuranie butów i nastąpiła cisza.

Dyszając, opuścił karabin. Kiedy dym się rozwiął, ujrzał dwa ciała w niemieckich mundurach, leżące nieruchomo na skraju obozu. Jacyś Amerykanie jęczeli pomiędzy namiotami, inni biegli im na pomoc przez rzednący dym. Dominic z ulgą dostrzegł wysoką postać Paula biegnącego w kierunku rannych żołnierzy.

Kapitan Hancock siedział, strzepując ziemię ze swojego munduru. Na policzku miał rozmazane błoto. Oczami szeroko otwartymi ze zdumienia przyglądał się Dominicowi.

– Jest pan ranny, sir? – spytał Dominic, przeładowując broń i wysuwając się ostrożnie z ukrycia za oponą. W obozie czuć było zapach spalenizny i dymu z dopiero co odpalanej broni, zmieszany ze słoną wonią krwi, którą Dominic zdążył poznać i znienawidzić. Ale była też dobra wiadomość: obaj Amerykanie, którzy zostali postrzeleni, ruszali się i klęli.

– Nie – odparł Hancock, wyglądając zza opony. Dominic wyciągnął do niego rękę i pomógł mu wstać. Hancock przyjął pomocną dłoń, spojrzał mu w oczy i nagle jego twarz rozjaśnił olśniewający uśmiech. Mrużąc oczy, odczytał nazwisko na naszywce munduru Dominica.

– Bonelli, tak? – mocno uściskał mu rękę. – Witaj.

## EDITH

Pełkinie, Polska  
Wrzesień 1939

Hełm Edith był na męską miarę. Prawie zakrywał jej oczy i obijał się o głowę, kiedy opony Kübelwagena wjeżdżały na nierówności kamienistego terenu.

Gromadząc faksymile dla dyrekcji i zarządu muzeum, Edith odnalazła Pełkinie w atlasie kurzącym się na półce w muzealnej bibliotece. Nigdy wcześniej nie słyszała tej nazwy, ale przesunęła palcem po mapie do wsi na południu Polski, w województwie lwowskim. Rodzina Czartoryskich od lat miała tu wiejską posiadłość, jak przeczytała. A teraz, wciśnięta na tylne siedzenie beżowego samochodu wraz z dwoma uzbrojonymi żołnierzami, jechała prosto do majątku Czartoryskich.

Ścieśniła się, żeby zajmować jak najmniej miejsca, zadowolona, że siedzi z brzegu i może obserwować rozciągający się wokół polski krajobraz. Słońce wstało mniej więcej wtedy, kiedy pociąg wjechał na dworzec w Krakowie, ale Edith nie widziała jeszcze jego promieni. Krajobraz spowity był szarą mgłą, jaką tworzyły chmury i kurz unoszący się z szutrowych dróg oraz ziemia wydobywająca się spod grubych opon Kübelwagena. Na zakręcie zobaczyła, że za nimi ciągnie się długi konwój niemieckich pojazdów, którego końca nie było widać. Słyszała, że *Feldgendarmerie* zabezpieczyła dom Czartoryskich. Czy potrzebowali jeszcze aż tylu żołnierzy?

Jechali teraz przez płaskie ugory przecięte torem kolejowym biegnącym równoległe do drogi. Edith usłyszała cichy gwizd pociągu, więc zwróciła w tamtą stronę głowę, żeby przyjrzeć się wagonom. Pociąg powinien z łatwością wyprzedzić konwój, ale z jakiegoś powodu sznur starych, zdezelowanych bydlęcych wagonów toczył się powoli. Kiedy w końcu zrównał

się z Kübelwagenem, Edith dostrzegła małą dłoń machającą bez nadziei z jednego z wąskich okienek wagonu towarowego. Po chwili dłoń zastąpiła twarz młodej kobiety o ciemnych, zapadniętych oczach.

Edith poczuła, jak serce jej się kraje. Przypomniała sobie żydowskie rodziny w drodze na monachijskie dworce, ze swoim najcenniejszym dobytkiem pozbieranym do powłoczek na poduszki, małych pudełek i toreb na zakupy. Czy ten pociąg jechał do obozu koncentracyjnego? W końcu pociąg nabrał szybkości i dłoń zniknęła z okna. Edith spuściła wzrok na swoje złożone na kolanach ręce, wiedząc, że nigdy nie zapomni twarzy tej kobiety, jej udręczonych, zapadniętych oczu.

Samochód wreszcie skręcił w długą aleję, prowadzącą przez park między wysokimi, wypielęgnowanymi świerkami. Na końcu alei Edith wypatrzyła wspaniałą pałac w piaskowym kolorze. Pełkinie. Rozpoznała symetryczną fasadę i mansardowy dach, znane z książek znajdujących się w bibliotece muzeum.

Z ulgą wysiadła z samochodu, w którym czuła się jak więzień, chociaż miała na sobie taki sam mundur jak mężczyźni z konwoju. Podchodzili do pałacu w szyku, wciskając Edith między siebie. Przynajmniej zdołała zdjąć z głowy ten irytujący hełm.

– Fräulein Becker – jakiś oficer wszedł między żołnierzy i bez trudu wyciągnął ją z szeregu. – Porucznik Fisher – przedstawił się, trzymając ręce splecione za plecami. – Cieszę się, że dojechała pani bezpiecznie. Proszę za mną. Czekają na panią w środku.

Edith ruszyła czym prędzej za porucznikiem Fisherem, który przemykając między dziesiątkami żołnierzy, dotarł do głównego wejścia. W środku było jeszcze więcej żołnierzy przenoszących meble i elementy wyposażenia. Ponieważ spieszyła się, żeby nadążyć, przed oczami migąły jej tylko złocenia, kryształ, polerowane drewno, srebra i barwne obicia.

– Znaleźliśmy obrazy w ukrytym pomieszczeniu w najstarszej części domu, tej pod starą wieżą strażniczą – oznajmił porucznik Fisher, idąc przed Edith po szerokich schodach, w sączącym się z góry, rozproszonym świetle. – Drzwi były zastawione meblami.

Z każdym krokiem Edith myślała o członkach rodziny, którzy dla własnego bezpieczeństwa musieli porzucić swój dom. Wyobrażała sobie mieszkającą tu rodzinę, dzieci biegające po rozległych pokojach, goniące się ze śmiechem w długich korytarzach.

Umiała wyobrazić sobie dorosłych jeżdżących konno wśród bujnej roślinności, urządzających pikniki na trawniku, nocą patrzących w gwiazdy, żyjących swoim życiem w czasie pokoju.

– Ta rodzina... – zaczęła, czując przyływ lęku. Nie wiedziała, jak sformułować pytanie.

Oficer pokręcił głową. – Uciekli przed naszym przyjściem. Gestapo jest na ich tropie.

Dziwna mieszanina wstydu i ulgi ogarnęła Edith. Sama osobiście sporządziła katalog znanych obrazów w posiadaniu tej rodziny. Była odpowiedzialna za kradzież obrazów zaliczanych do najcenniejszych na świecie, za splądrowanie tej posiadłości i konfiskatę wszystkiego, co się tu znajdowało. Jednocześnie naraziła na niebezpieczeństwo życie tych ludzi. Co by było, gdyby odmówiła dalszej współpracy? Czy jej życie też znalazłoby się w niebezpieczeństwie?

Przestraszyła się, że może zwymiotować. Nigdy nie miała zamiaru zsyłać nikogo na wygnanie. Z pewnością nie chciała, żeby ktokolwiek zginął. To była jej wina, że już ich tu nie ma, uświadomiła sobie. Ale kiedy zrozumiała ogromną skalę tej operacji – cały konwój pojazdów opancerzonych, dziesiątki żołnierzy, oficerów i funkcjonariuszy żandarmerii wojskowej – zdała sobie sprawę, że jest za późno. Czy tego chciała, czy nie, była w pełni zaangażowana w konflikt, który ją przerastał.

Czy ta rodzina jest już wystarczająco daleko? Czy znaleźli schronienie, w którym gestapo ich nie znajdzie? Dopóki nie będą mogli wrócić do domu? Obraz zapadniętych oczu kobiety z pociągu wrył się w jej pamięć i palił do żywego.

– Muszą nas uważać za idiotów – powiedział porucznik Fisher z błyskiem samozadowolenia w oczach. – To było oczywiste, że te wąskie drzwi zostały dopiero co zamurowane. Zaprawa była jeszcze mokra.

– Zamurowane? – pytająco powtórzyła Edith.



Porucznik przytaknął. – Dużo rzeczy schowali w pomieszczeniu, do którego można się dostać tylko przez wąskie drzwi zastawione kabinetem. Chcieli, żeby wyglądało, że tam jest tylko ściana. Ale to było kiepsko zrobione. Naszym ludziom wystarczyło kilka minut.

Edith poczuła ciarki przechodzące po plecach.

Porucznik Fisher skręcił za róg, gdzie otworzył się przed nimi widok eleganckiego salonu. Zastawiony był zakurzonymi meblami, przykrytymi prześcieradłami i brezentowymi płachtami, zapomnianymi dobrami składowanymi tu przez lata. Pół tuzina funkcjonariuszy żandarmerii wojskowej kręciło się bez celu w tym bałaganie. Oficer przyprowadził Edith do dziury w ścianie, z której pospiesznie wyjęto cegły.

– Informację o tej lokalizacji otrzymaliśmy od polskiego murarza, tego, który zamurował drzwi. Usiłował zachować tajemnicę, ale nie udało mu się ukryć przed nami prawdy – porucznik Fisher uśmiechnął się nieprzyjemnie.

W całym pokoju stały długie stoły, na których piętrzyły się przedmioty dekoracyjne i drewniane skrzynie. Na jednym ze stołów ułożono obrazy w dwie sterty. Edith zastanawiała się, czy ci ludzie wiedzą, jak cenne są te obrazy i artefakty. Można było odnieść wrażenie, że obchodzą się z nimi dość bez troski.

– Nie znam się specjalnie na sztuce – powiedział Fisher do Edith – ale to mi wygląda na jakieś muzeum. – Następnie zwrócił się do wartowników: – Pani jest specjalistką z Alte Pinakothek w Monachium. Ma mieć swobodny dostęp do tych dzieł sztuki, żeby je ocenić i zdecydować, co ma być zapakowane do transportu.

Mężczyźni rozstąpili się i Edith mogła podejść bliżej. Ręce jej się trzęsły. Dotknęła ramy pierwszego obrazu z wierzchu sterty, małego pejzażu, pociemniałego od patyny wieków.

– Zakładam, że zna pani zakres swoich obowiązków. Zostawię panią z pani pracą – zapowiedział Fisher. – Jeszcze tylko jedna rzecz, Fräulein Becker – położył jej rękę na ramieniu i ściszył głos. – Proszę uważać, komu udziela pani informacji. Nasze oddziały z łatwością zajmują miasta, ale w całym kraju działają grupy polskiego ruchu oporu.

Ruch oporu. Co to właściwie znaczyło? Serce Edith zaczęło bić szybciej.

Porucznik Fisher zdawał się czytać w jej myślach. – Są lepiej zorganizowani, niż wskazywałoby na to rozpoznanie naszego dowództwa w Niemczech. Niektórzy mogą próbować nawiązać z panią kontakt albo zdobyć informacje. To może być ktoś, o kim będzie pani myślała, że powinna mu ufać. Proszę się nie dać zwieść przystojną twarzą, Fräulein. Proszę uważać, co pani mówi i do kogo.

Nagle z jednej z dużych skrzyń w głębi pokoju dobiegł stłumiony głos.

– *Heiliger Strohsack!*

Wszyscy zwrócili się w tamtą stronę. Niski żołnierz w hełmie i mundurze pokrytych kurzem wyszedł zza stosu skrzyń i złoconych ram. Przed sobą trzymał w obu rękach prostokątny pakunek owinięty w papier, miejscami rozdarty na brzegach i ukazujący złoconą ramę obrazu.

– Patrzcie, co znalazłem!

## LEONARDO

Florencja, Włochy

Maj 1482

Za bramami Florencji czuję, jak koła powozu wskakują w koleiny drogi. Unieruchamiam drewnianą skrzynię objającą się o moje udo.

Wreszcie po latach starań o względy na dworze Medyceuszy, prób znalezienia mecenasa, po latach wstrzymywania oddechu ze strachu przed kolejnym oskarżeniem, zostawiam Florencję za sobą, aby udać się tam, gdzie mam lepsze perspektywy.

Na dnie jednego z kołyszących się za nami wozów zaprzęzonych w muły leżą kufry pełne notatników, pędzli, węgla, piórek, pigmentów. Jedwabne pończochy, płaszcze i peleryny z atlasu, lniana bielizna i moja ulubiona peleryna z fioletowego aksamitu. W Mediolanie jest zimno, mówią mi.

Patrzę na siwowłosego mężczyznę, siedzącego naprzeciwko mnie na pluszowych, haftowanych poduszkach, jednego z notariuszy Lorenza il Magnifico. Jego smutne oczy przyglądają się, jak wyniosła, ceglana kopuła naszej katedry robi się coraz mniejsza za oknem powozu. Obok mnie mój młody, piękny przyjaciel, Atalante Migliorotti, nuci pod nosem melodię. Uważam, że Il Magnifico dokonał dobrego wyboru. Z pewnością zrobimy wrażenie na mediolańskim dworze. Mówi się, że mediolańczycy usiłują naśladować naszą florencką mowę i ubiór.

Uparłem się zabrać do powozu mały notatnik i świeży kawałek węgla, żeby móc szkicować widoki, jakie podczas podróży przemówią do mojej wyobraźni. I skrzynię. Oczywiście skrzynię. Zaprojektowałem drewniane pudło wypełnione słomą do transportu liry, dyplomatycznego podarunku od Il

Magnifico dla Ludovica il Moro, regenta Mediolanu. Nie wolno mi spuścić jej z oka.

Co do liry, to jest ona cudem, że się ośmielę w ten sposób skomplementować sam siebie. Odałem ją z czystego srebra w formie końskiej czaszki. Będzie idealnie towarzyszyć głosowi Atalante – już spędziliśmy razem godziny na próbach i nawet ćwiczyliśmy przed kobietami Medicich. A jeśli pan Mediolanu poprosi mnie, żebym na niej zagrał, jakże mógłbym odmówić?

Oprócz liry w skrzyni znajduje się mój list polecający od Il Magnifico. Nadzwyczaj ważny. Rozczarowująco krótki.

Nie mogę się powstrzymać przed głośnym westchnieniem. Jeśli mam zdobyć jakieś liczące się zamówienia na mediolańskim dworze, muszę szczegółowo zaprezentować swoje umiejętności. Sięgam po notatnik, w którym zapisałem list. Wykreślam ustępy i przepisuję je. Mam nadzieję, że zanim staniemy u bram Mediolanu, lista moich ofert będzie kompletna:

*Do Najznamienitszego Pana Mediolanu, Ludovica Sforzy*

*Od Jego najpokorniejszego sługi Leonarda da Vinci, we Florencji*

*Czcigodny Panie,*

*Ujrawszy dość i rozważywszy dokonania tych wszystkich, którzy zaliczają się do mistrzów i wynalazców instrumentów wojny, i zauważywszy, że konstrukcja i działanie owych instrumentów nie różni się w żaden sposób od tego, co jest w powszechnym użyciu, ośmielam się, nie zamierzając umniejszać nikogo innego, przedstawić się Waszej Ekscelencji, wyjawiając Waszej Wysokości moje sekrety, a następnie zaoferować je do Waszej wyłącznej dyspozycji i w stosownym czasie doprowadzić do działania wszystkich tych rzeczy, których możecie zapragnąć.*

*Po części będą one spisane poniżej...*

1. Mam plany lekkich, mocnych i łatwo dających się przenosić mostów, z którymi można ścigać wroga, a niekiedy przed nim uchodzić; i innych, masywnych i niezniszczalnych ani przez ogień, ani w bitwie, łatwych i wygodnych do podniesienia i umieszczenia na pozycji. Również środki do palenia i niszczenia tych należących do wroga.

2. Wiem, jak w trakcie oblężenia usunąć wodę z fosy i jak wykonać nieskończoną różnorodność mostów, krytych chodników i drabin oblężniczych oraz innych machin niezbędnych w takim przedsięwzięciu.

3. Jeśli z powodu wysokości wałów lub umocnienia miejsca i jego pozycji niemożliwe jest w trakcie oblężenia posiłkować się bombardowaniem, znam metody rozbicia każdej skały czy innej twierdzy, nawet jeśli znajdowałyby się na wzniesieniu i tak dalej...

4. Mam również typy dział, najwygodniejszych i łatwo przenośnych, z których można miotać małe kamienie niemal jak gradem, a dym z takiego działa wzbudzi wielką trwogę u wroga, powodując w jego szeregach wielki uszczerbek i zamieszanie.

5. A jeśli walka ma się toczyć na morzu, mam wiele machin najsukuteczniejszych w ataku i obronie i statki, które oprą się atakowi największych dział z prochem i dymem.

6. Posiadam również sposoby dotarcia na wyznaczone miejsce podziemnymi chodnikami i tajnymi, krętymi przejściami, budowanymi całkowicie bez hałasu, nawet jeśli konieczne jest przeprowadzić się pod fosą czy rzeką.

7. Także zbuduję osłonięte rydwany, bezpieczne i niepokonane, które będą penetrować szeregi wroga i jego artylerię, i nie ma liczby zbrojnych ludzi tak wielkiej, aby się przez nią nie przebiły. A za nimi będzie mogła iść piechota, bez strat i niepowstrzymana.

8. Także, gdy zajdzie potrzeba, mój Panie, wykonam działo, moździerz, lekką broń artyleryjską, piękną i funkcjonalną, zupełnie niezwykłą.

9. Gdzie użycie działa będzie niepraktyczne, ustawię katapulty, mangonele, trebusze i inne instrumenty o doskonałej skuteczności, niebędące w powszechnym użyciu. Krótko mówiąc, w zależności od zaistniałej sytuacji, potrafię skonstruować nieskończoną liczbę urządzeń do ataku i obrony.

10. W czasie pokoju zaś jestem pewien, iż potrafię zadowolić w pełni jak ktokolwiek inny w dziedzinie architektury i budowy zarówno publicznych, jak i prywatnych budowli, jak i przeprowadzania wody z jednego miejsca do drugiego.

11. Ponadto mogą zostać przedsięwzięte prace nad koniem z brązu, na wieczną chwałę i dla uczczenia pamięci czcigodnego Ojca Waszej Wysokości i prześwieanego rodu Sforza.

12. Mogę także wykonać rzeźbę w marmurze, brązie i glinie. Podobnie w malarstwie, potrafię wykonać wszystko, co możliwe, równie dobrze jak kto inny, kimkolwiek mógłby on być.

A jeśli którakolwiek z powyżej wymienionych rzeczy wydaje się komukolwiek niemożliwa lub niewykonalna, jestem gotów jak najchętniej zademonstrować ją

*w Waszym parku lub jakimkolwiek miejscu, ku przyjemności Waszej Ekscelencji,  
któremu się polecam najuniżej.*

## CECILIA

Mediolan, Włochy  
Czerwiec 1490

Cecilia pewnie rozpoczęła początek sonetu mocnym wydobyciem powietrza z płuc. Tak jak pokazał jej nowy nauczyciel śpiewu, wypchnęła całe powietrze z dołu, z głębi brzucha.

*Così del tuo favore ho qui bisogno...*

Przytrzymała ostatnią nutę, zatrzymując wzrok na szerokim oknie i panoramie za nim. Zapach lata był tak gęsty, że niemal przyprawiał o mdłości, jak woń kwiatowych łądyg, które zbyt długo stały w wazonie. Nad parapetem pszczoła zataczała pętle i przysiadła, by spijać nektar z czerwonych kwiatów.

Chociaż podczas jej ćwiczeń obecna była zaledwie garstka ludzi, Cecilia starała się śpiewać tak, jakby sala audiencyjna była pełna dworzan. Wzięła głęboki wdech, posłuchała tonu harfy i znalazła przejście do następnego wersu.

*Però mostra a Mercurio, o Anfione,*

*Che mi 'nsegni narrare un novo sogno...*

Robię postępy, pomyślała sobie. Chciałaby, żeby jej brat był tutaj, żeby nie został wysłany z jedną z misji Jego Wysokości daleko poza Mediolan. Wiedziała, że Fazio byłby z niej dumny, wychwalałby pod niebiosa jej nowe talenty rozwijające się pod kierunkiem nadwornego poety i muzyków Ludovica il Moro. A jeśli miałyby być szczerą wobec samej siebie, musiałyby przyznać, że obecność Fazia dodałaby jej odwagi, jakiej potrzebowała właśnie teraz, przygotowując się do zaśpiewania przed Ludovikiem, jego dworem i salą pełną obcych.

Zamiast tego spojrziała na nadwornego poetę Bernarda Bellincioniego, siwowłosego mężczyznę siedzącego za Marco i jego harfą. Oczy Bernarda były jasne i szczerze, Cecilia widziała, że jego wargi poruszają się niemal niewidocznie, wymawiając bezgłośnie słowa pieśni. Nie mógł się powstrzymać. To on napisał ten sonet i wiele innych. Zawahała się, ale Bernardo przynaglił ją nieznacznym gestem. – Dalej, *cara*.

Z Bernardem spędzała godziny na zagłębianiu się w poezję, muzykę, literaturę. Mimo że Bernardo mógłby być jej dziadkiem, w nim znalazła na książęcym dworze kogoś bliskiego, kogo by mogła nazwać przyjacielem. Razem Cecilia i Bernardo skomponowali kilka wersów i melodię do nich – mistrz był mile zaskoczony jej zdolnościami, a ona zafascynowana pięknem jego słów i biegłością, z jaką je składał, bez wysiłku, szybko zapisując piórem.

– Teraz przerwij – poinstruował ją Bernardo, a ona patrzyła, jak zapisuje kilka wersów na pergaminie i szepcze przy tym do siebie, dopasowując słowa i rymy. – Daj mi jeszcze chwilę.

Cecilia zostawiła swoje nuty i podeszła do okna, żeby odetchnąć ciężkim od zapachu kwiatów powietrzem. Przy oknie siedziała Lucrezia Crivelli. Cecilia wyobrażała sobie, że Ludovico, jeśli w ogóle myślał o takich rzeczach, uznał, że Lucrezia mogłaby być jej przyjaciółką, ale dziewczyny nie interesowało nic z tego, co ona kochała. Nie w głowie jej była muzyka, poezja czy mity. Wydawała się przejmować tylko strojami i dworskimi manierami. Kiedy nie była zajęta torturowaniem Cecylii kuracjami dla urody, czerpanymi z księgi kobiecych sekretów, godzinami wachlowała się, siedząc przy oknie, albo udawała, że haftuje, bezmyślnie przeciągając kolorową nić przez płótno.

Ale Cecylii nie interesowało próżniactwo, jakiemu oddawali się dworzanie. Chciała więcej. Chciała nie tylko otaczać się utalentowanymi muzykami, poetami i pisarzami jak Bernardo, chciała być jedną z nich. Gdyby mogła dowieść swojej prawdziwej wartości przed Ludovikiem il Moro i jego dworem, nie byłaby kolejną nową zabawką, która błyszczy przez jeden sezon, a potem równie szybko traci swój blask. Gdyby mogła zademonstrować swoje literackie i muzyczne zdolności na tyle, by zabawić i zachwycić gości, wtedy on z pewnością dostrzegłby korzyści z trzymania jej u swego boku przez wiele przyszłych lat.



– Jego Wysokości nie obchodzi harfa – powiedziała Lucrezia ledwo słyszalnym szeptem, zwracając się do Cecylii, czego nie mógł usłyszeć Marco, nadworny muzyk.

Cecilia przełknęła ocenę Lucrezii, po czym zaczęła się zastanawiać, czego jeszcze nie wie o szczególnych upodobaniach Ludovica. Jeśli ma być kimś więcej niż zabawką Jego Wysokości, pomyślała, lepiej żeby się tego dowiedziała czym prędzej.

## DOMINIC

Pod Akwizgranem, Niemcy  
Październik 1944

Na horyzoncie za obozem Dominic wypatrzył smugę pyłu, potem usłyszał warkot silników. Paul obudził się z chwilowej drzemki na siedząco, oparty plecami o plecak na skrawku pożółkłej trawy. Żołnierze z karabinami w rękach byli gotowi na potyczkę, ale kiedy można już było rozpoznać pojazdy w niewielkim konwoju, okazało się, że są to amerykańskie jeepy.

Dominic i Paul obserwowali smukłą sylwetkę kapitana Hancocka, który podszedł do samochodów, kiedy tylko się zatrzymały. W tym, który przyjechał na czele, otworzyły się drzwiczki od strony pasażera i wysiadł postawny mężczyzna z przyszywanym wąsem

– Sir! – kapitan Hancock zsalutował. Dominic i Paul wymienili spojrzenia. Nie pozostawało im nic innego jak również stanąć na baczność.

– Spocznij, Hancock – powiedział nowo przybyły. Jego dystynkcje oznaczały majora.

Hancock wskazał wyższego rangą oficera. – Komandor podporucznik George Stout – powiedział do swoich ludzi. – On jest naszym szefem.

Dominic przyjrzał się wysokiemu oficerowi z ciemnym wąsem.

Od dwóch tygodni Dominic i jego koledzy krążyli nerwowo po obozie, przyglądając płonącemu w oddali miastu. Był to Akwizgran. Widok przedstawiał niewiele więcej jak tłącą się stertę kamieni. Nocą jarzyło się niebo. Za dnia żołnierze obserwowali słupy dymu wznoszące się w powietrze. Oślawiony ośrodek kultury i sztuki – stolica Karola Wielkiego – stał się zaledwie jeszcze jednym zbombardowanym miastem widocznym na

horyzoncie, jak żar z obozowego ogniska rozrzucony przez jakiegoś nierozważnego olbrzyma.

Podczas oczekiwania Dominic szkicował szybkie portrety kolegów na kawałkach wyrzuconych telegramów, papieru do pakowania żywności i czymkolwiek, co zdołał znaleźć. Kiedy Paul przyłapał Dominica na wykonywaniu szybkiego rysunku przedstawiającego go przy myciu menażki pod zardzewiałym kranem, ostatecznie zgodził się pozować.

– Na litość boską, tylko nie mów nikomu – powiedział Paul, na co Dominic ryknął śmiechem. – Nigdy nie chciałem być jakimś modelem dla artysty.

Żart oznaczał swego rodzaju akceptację, dając Dominicowi odrobinę lekkości, jakiej potrzebował, żeby dalej funkcjonować. Dalej czekać. Dalej rysować.

W ciągu tych dni zleciało się stado amerykańskich i brytyjskich reporterów, którzy obsiedli stosunkowo bezpieczny obóz jak padlinożercy śmiertelnie ranne zwierzę. Nie byli w stanie załatwić sobie transportu na front i wszyscy wyglądali na rozczarowanych, kiedy Dominic z Paulem przyjechali jednym ćwierćtonowym jeepem. Nie było w nim miejsca dla wszystkich. Tak więc żołnierze i reporterzy dalej czekali i obserwowali następstwa walk. Teraz jednak, kiedy na skraju obozu stał cały rząd pojazdów, być może mogliby wreszcie ruszyć.

Stojąc na straży, Dominic przestępował z nogi na nogę, niewygodny ciężar karabinu wpijał mu się w ramię. Jego stopy były tak samo obolałe jak dusza. Wtem dowódca skinął głową w jego kierunku.

– Wy, chłopcy, już się naczekaliście – szybkim ruchem głowy wskazał samochody. – Jedźmy.

Paul dostał zadanie wożenia komandora podporucznika Stouta ich jeepem Żandarmerii Wojskowej, oznaczonym dużymi białymi literami MP, stojącym teraz jako pierwszy. Dominic wdrapał się na tył następnego pojazdu, żeby dołączyć do grupy żołnierzy, którzy już tam siedzieli. Przesunęli się, robiąc mu miejsce, kilku przycisnęło się do burty. Teraz z kolei Dominic przesunął się i wpadł na niedużego żołnierza wciśniętego w kąt.

– Przepraszam – powiedział odruchowo, podnosząc wzrok.

Ku swemu zaskoczeniu pod wojskowym hełmem ujrzał mizerną kobiecą twarz. Niewygodnie przykucnięta patrzyła szeroko otwartymi oczami na uzbrojonych mężczyzn stłoczonych w jeepie, ale płonący wzrok tych oczu kazał mu uważać, żeby jej nie obrazić.

– Na co się gapisz? – spytała z ostrym, brooklińskim akcentem.

– Przepraszam panią – Dominic poczuł, że się czerwieni. – Nie zauważyłem...

Uciszyła go machnięciem ręki. – Josie Garrett, „The New York Times”.

Dominic uniósł brwi. – Jesteś reporterką?

– No. Jeżdżę za Stoutem i jego ludźmi już od tygodni. Musicie mu podziękować za przetransportowanie was na front.

Silnik jeepa zaskoczył z warkotem, Dominic zakotyssał się, poddając się znajomemu ruchowi cofania i zawracania. Josie złapała się burty, żeby zachować równowagę, a Dominicowi zrobiło się jej żal. Ścisnął mocniej broń.

– No więc, jakie są wieści? – spytał.

Z wewnętrznej kieszeni swojego płaszcza wojskowego, o kilka rozmiarów za dużego, Josie wydobyla mały notatnik do stenografii.

– No więc rzeźba Michała Anioła została skradziona w Brugii, tyle ci mogę powiedzieć.

Samo imię Michała Anioła wydawało się równie nie pasować do rozmowy o misji wojskowej jak jej drobna postać z tyłu wojskowego pojazdu.

– Ukradli Michała Anioła? – Dominic poczuł, że szczęka mu opada. Jeśli naziści za nic mieli mordowanie milionów niewinnych ludzi, to jak przypuszczał, za nic mieli również kradzież sławnego dzieła sztuki.

Josie przytaknęła, przeglądając swoje notatki. – I całe mnóstwo innych rzeczy z prawie każdego kraju w Europie. W Polsce ukradli nawet Leonarda da Vinci i Rafała. Wmawiają Niemcom, że alianci zatrudniają żydowskich ekspertów od sztuki, żeby kraść wszystko, co ma wartość artystyczną. Podobno wywozimy to wszystko do Stanów, do prywatnych kolekcji. Wierutne łgarstwo, oczywiście. W misji Obrońców Zabytków chodzi właśnie o zwrócenie dzieł sztuki ich prawowitym właścicielom tu, w Europie. Niczego nie wywozimy do siebie.

Dominic pokręcił głową. – Nie miałem pojęcia. A czego szukają w Akwizgranie?

Zrobiła gest w kierunku poprzedzającego ich samochodu, gdzie komandor podporucznik Stout siedział na miejscu pasażera obok Paula. – Cóż, teraz kiedy krwawa łaźnia jest za nami, on ma nadzieję, że jednak coś zachowało się w kościele. To przecież była stolica Świętego Cesarstwa Rzymskiego. Ale nie wiemy, czy do tej pory jeszcze cokolwiek tam zostało – wzruszyła ramionami. –

Wiemy tylko, że zamierzają ratować wszystko, co się da. Inne zespoły Obrońców Zabytków też usiłują zabezpieczać dzieła sztuki – znów zajrzała do notatek. – Są rozrzućeni po Francji i Włoszech. Nawet obkładali workami z piaskiem Ponte Vecchio we Florencji. Mój kolega donosił o tym na początku tego tygodnia.

– To strata czasu, jeśli chcecie znać moje zdanie – zaopiniował mężczyzna siedzący naprzeciwko nich. – Ochrona zabytków to nie jest nasza robota. Jesteśmy tu po to, żeby uratować co zostało i przenieść, co możemy w bezpieczniejsze miejsca. Próbować chronić te budynki nie ma sensu.

– Nie ma sensu czy ma, taki jest plan – ucięła Josie. – Alianci sporządzili szczegółowe mapy lotnicze, żeby chronić też inne zabytki.

Dominic patrzył przygnębiony na spustoszony krajobraz, podczas gdy zbliżali się do płonącego miasta. Wiedział, że liczba Amerykanów poległych w bitwie o Akwizgran idzie w tysiące, ale że Niemców zginęło dużo więcej. Walka była zażarta, tysiące Niemców wzięto do niewoli, jak podawały meldunki wywiadu, które docierały do nich, kiedy bezradnie patrzyli ze swojego obozu na płonące miasto. A na ziemiach leżących na wschód stąd miliony ludzi straciły życie z rąk nazistów. Z tej perspektywy jakie znaczenie mają jakieś obrazy i stare budowle?

Dominic cenił sztukę, ale ludzi bardziej i zastanawiał się, jak czułaby się Sally, gdyby usłyszała, że zginął, broniąc jakiegoś obrazu czy rzeźby. Tysiące istnień. Jak daleko rozchodzą się kręgi cierpienia? Wobec tego, jakie znaczenie ma ta misja? W swoim dawnym plutonie Dominic miał przynajmniej poczucie, że robi coś, żeby odeprzeć wroga. Teraz czuł, że jego optymizm zaczyna słabnąć wobec bezużytecznego czekania, wobec sprząwania po grabieży.

– Dostajemy też meldunki wywiadu o repozytoriach skradzionych dzieł sztuki znajdujących się w Niemczech – mówiła dalej Josie, rzucając tamtemu

wyzywające, nowojorskie spojrzenie. – Stout pali się, żebyśmy mogli się do tego dostać po wyzwoleniu. Cały czas wydzwania, próbując dostać więcej ludzi i wziąć się za to. Wszystko, co naziści ukradli, musiało gdzieś zostać ukryte. Gdybyśmy dotarli do ich kryjówek, moglibyśmy to wydostać i wysłać do domu.

– Niewiele zostało z tego domu, jeśli chcecie znać moje zdanie – mruknął żołnierz. Patrząc na to, co zostało z Akwizgranu, Dominic nie mógł się z nim nie zgodzić. Nie po raz pierwszy dziękował Bogu, że Sally i Cecilia są bezpieczne w Pittsburghu i modlił się, żeby wojna nigdy nie dotarła tak daleko. Zastanawiał się, ilu prawowitych właścicieli tych dzieł sztuki w ogóle jeszcze żyje.

Drażniący zapach zbombardowanego miasta stawał się coraz silniejszy w ich nozdrzach. Porażeni skalą zniszczenia wszyscy w pojeździe zamilkli i zapadła głęboka cisza. Wąski tor tramwajowy, po którym jechali przez kilka pierwszych mil, był jedyną w miarę przejezdną drogą. Jeep zmagął się z przeszkodami, koła obijały się w koleinach, wpadały w dziury. Z trakcji tramwajowej zwisały druty. Bliżej centrum miasta tor biegł między kamienicami. Dominic mógł dostrzec pozostałości dawnej chwały: tu fragment ściany z piaskowca, tam marmurowy posąg w ogrodzie, część fasady popękana i wałcząca się, z numerem adresowym przekrzywionym obok zwęglonych szczątków drzwi wejściowych. W przemysłowych dzielnicach miasta nie zostały się żadne ściany, tylko sterty gruzu, fragmenty życia i marzenia podarte i rzucone bezlitośnie na ziemię. Nie licząc ich konwoju, miasto było opuszczone. Jego uroda została zredukowana do płaskiego, przerażającego, jałowego pustkowia. Im bliżej centrum, tym mniej okien zachowało się nietkniętych. Z domów zostały puste skorupy. W jednym z nich biblioteczka stała na boku, na wpół rozwalona, na resztkach parkietu leżały rozrzucone książki, ich kartki szeleściły na wietrze.

Josie, która do tej pory gorączkowo bazgrała w swoim notatniku, cicho westchnęła, wskazując na coś. – Och.

Dominic spojrzął za jej palcem wskazującym mijaną kupę gruzu. To był bucik – maleńki, włóczkowy, zrobiony szydełkiem z miłością przez jakąś troskliwą babcię. Teraz poplamiony krwią, pokryty sadzą i gipsowym pyłem, leżał pośrodku ulicy. Opona jednego z pojazdów wgniotła go w ziemię.

– Patrzcie na to – powiedział jeden z żołnierzy, wskazując w górę. Dominic spojrzął, a widok nadal stojącej budowli wstrząsnął nim. Był to jakiś wspianiały

stary kościół z fasadą porysowaną śladami od kul, ale jego wyniosła wieża stała dumnie. W miarę jak zbliżali się do najstarszej części miasta, coraz więcej kościołów wylaniało się z dymu, wszystkie stare i częściowo zachowane. Dominic uświadomił sobie, że to za sprawą map Obrońców Zabytków. Gdyby nie oni, z pewnością te kościoły zostałyby zrównane z ziemią jak reszta miasta – jak kamienice należące do niewinnych cywilów, którzy nie prosili się o wojnę, a wojna zniszczyła ich życie.

– Ktoś ocalał? – spytał ściszym głosem.

Oficer siedzący w pobliżu wzruszył ramionami. – Większość ludności cywilnej ewakuowano. Co do reszty, to przypuszczam, że chowają się w piwnicach. Jeśli jeszcze żyją.

Dominic pomyślał o rodzinach chowających się na dole, w kurzu i ciemności, zbijających się ciasniej na dźwięk przejeżdżających górą samochodów. Dlaczego ten konwój jechał do jakiegoś starego budynku, skoro tu na dole byli ludzie, którzy ich potrzebowali? Patrzył na szczątki Akwizgranu. Nagle poczuł, że karabin w jego rękach jest jak tona kamieni.

Wszyscy uwierzyli, że mogą być bohaterami. Wszyscy myśleli, że walczą o coś: o wolność i sprawiedliwość, o uwolnienie niewinnych ludzi, o pokój, który zapanuje pewnego dnia, aby ich dzieci nigdy nie musiały mierzyć się z tymi samymi potwornościami.

Ale w miarę jak przemierzał morze i kontynent europejski, z każdym upływającym dniem Dominic zaczynał zastanawiać się, czy ma na cokolwiek wpływ. Jakie znaczenie ma sztuka i jakie znaczenie ma jego opinia? Pomyślał, że obie wydają się zbyteczne. Zamknął usta i umysł, zapatrzył się szklanym wzrokiem w płótno budy jeepa i trwał w gorzkim milczeniu.

Obok niego Josie robiła notatki, stenografując wściekle w obłądnym tempie. Chociaż zawsze szukał kawałków papieru i ich pożądał, pomyślał, że nawet gdyby Josie wyrwała ze swojego notatnika świeżą kartkę i dała mu, nie potrafiłby nic z siebie wykrzesać, co chciałby napisać albo narysować. Nie teraz.

## CECILIA

Mediolan, Włochy  
Wrzesień 1490

Z łoża Ludovica II Moro Cecilia obserwowała stado jaskółek szybkim lotem kreślące pętle za oknem. Prześcieradła były wciąż wilgotne po leniwych godzinach, jakie tu spędzili po południowym posiłku.

Ludovico wstał i owinał się w pasie prześcieradłem. Z misy na stoliku wyjął owoc granatu. Ktoś w kuchni ponacinał z góry na dół skórkę czerwonego owocu, żeby szybciej i łatwiej można było go obrać. Cecilia zastanawiała się, jak udało im się znaleźć taki luksus o tak wczesnej porze roku.

– Nasi goście powinni niebawem wrócić z polowania – powiedział, spoglądając przez okno. – Mam nadzieję, że przygotowałaś coś, by ich zabawić dziś wieczorem.

Cecilia skinęła głową. Nabierała wprawy w nieodzywaniu się, dopóki Ludovico nie zwróci się do niej z pytaniem i mogła się tylko domyślać, że przynosiło to pożądany skutek. W ostatnich tygodniach Ludovico obsypywał ją podarunkami. Piękna, nowa, aksamitna suknia ze złożonym obszyciem dekoltu. Sznur koralu z czarnego onyksu tak długi, że wystarczał na dwukrotne owinięcie wokół szyi.

– Nowy sonet mistrza Bernarda – odgadł.

– Tak – Cecilia oparła się na łokciu. – Ale myślałam, że nie lubisz harfy.

Odwrócił się do niej i jedna połowa jego ust uniosła się w uśmiešku. – Kto ci to powiedział?

Spojrzała mu w oczy. – Nie pamiętam.



– To prawda, że wolę brzmienie liry jako akompaniamentu do kompozycji wokalnych. Nie ma piękniejszego instrumentu dla mojego ucha.

– W takim razie zapamiętam to na przyszłość – zapowiedziała.

Teraz Ludovico uśmiechnął się i wrócił do łoża. – Mój kwiatuszku... – przycisnął twarz do szyi Cecylii, a ją przeszły ciarki od szorstkości jego brody. –

Tak naprawdę każdy chce słuchać twojego pięknego głosu, mniejsza o instrument, jaki mu towarzyszy.

– Czyli jesteś zadowolony z mojej pracy.

Ludovico zaśmiał się cicho pod nosem. Potem chwycił jej długi, potargany warkocz. Widziała, że owinał go sobie wokół dłoni, po czym przyciągnął ją do siebie jakby to była lina. – Bardzo zadowolony – powiedział.

– Mam nadzieję, że goście też będą zadowoleni. Z muzyki.

Ludovico podniósł się znowu i pchnięciem otworzył okiennice. – Moja droga – zaczął głośno i uroczyście – twoja sława już się rozeszła po Lombardii i dalej. Za chwilę nazwisko Cecilia Gallerani będzie na ustach wszystkich w całym kraju.

Co powiedziawszy, opadł na krzesło i zaczął obierać granat. Cecilia leżąc, przyglądała się, jak wydobywa dorodne pestki z wnętrza owocu, a krwistoczerwony sok ścieka mu po ręce. Pożądliwy, lubieżny uśmiech. Potem widziała, jak przyciska słodki, dojrzały owoc do języka, a gorzka, pusta skórka spada na podłogę.

## EDITH

Pełkinie, Polska  
Wrzesień 1939

Oczy dziewczyny były inteligentne i miały kształt migdałów, spoglądały w stronę światła, jakby jej uwagę odwróciło stado ptaków za oknem. W ramionach trzymała stworzenie pokryte białym futrem, wielkości nowo narodzonego dziecka, którego oczy jak szklane paciorki patrzyły na to samo, co oczy dziewczyny.

Edith czytała wcześniej w naukowych opracowaniach, że Cecilia Gallerani ubrana była *alla spagnola*, w aksamitną suknię z kwadratowym dekoltem obszytym pasem złoconego haftu i niebieską narzutką z rozcięciami na rękę. Mały kapturek i czarna opaska przytrzymały niemal przezroczysty welon z muszelkowym wykończeniem brzegu przechodzącym przez czoło. Gładkie uczesanie Cecylii było zgodne z modą epoki – włosy rozdzielone pośrodku ujęte zostały w długi warkocz w jedwabnym oplocie. Sznur onyksowych koralików sięgający piersi był owinięty z artystycznym smakiem drugi raz wokół smukłej szyi.

Edith ostrożnie przesunęła palcem po powierzchni obrazu. Zauważała już małe niedoskonałości, ślady uszkodzeń, które tylko ona mogła dostrzec dzięki latom nauki i doświadczenia. Delikatna krakelura wyschniętej farby powodująca nierówność powierzchni była bez wątpienia skutkiem dramatycznych zmian temperatury i wilgotności, obraz, namalowany na orzechowej desce, w ostatnich dziesięcioleciach przebył bowiem wraz z rodziną Czartoryskich niezliczone kilometry. Czy ktokolwiek inny zauważył brązową przemalówkę, która sprawia, że kapturek wygląda jak przedłużenie włosów? Był to z pewnością wynik braku wiedzy późniejszego konserwatora.

A czarne tło, chociaż dające dramatyczny efekt, z całą pewnością nie było oryginalne. Leonardo da Vinci musiał tu przedstawić odległy pejzaż, podobny do tego w tle słynnej *Mony Lisy*, pomyślała Edith. Z kolei jakiś konserwator sto lat temu musiał pokryć to tło czarnym werniksem, być może po to, żeby zamaskować jakieś wcześniejsze uszkodzenia obrazu.

Ale obraz był czymś dużo więcej niż sumą tych części. Ilu ludzi miało możliwość stanąć przed tym pięknym portretem młodej kobiety, która mogła być kochanką potężnego władcy XV-wiecznego Mediolanu? Patrząc na dzieło pędzla samego Leonarda da Vinci? Edith miała przed oczami i w rękach wiele obrazów epoki renesansu, ale ten portret napawał ją nabożnym podziwem. Była zła, że oderwano ją od rodziny i pracy w Monachium, ale zarazem musiała przyznać, że stanięcie przed tym obrazem było spełnieniem marzeń.

Serce w niej zamarło, kiedy żołnierz wyciągnął ten obraz ze skrzyni w głębi zamurowanego pokoju. Nawet patrząc od tyłu, rozpoznała, że to stara deska, prawdopodobnie renesansowa. Złożona rama, dorobiona chyba w XVIII wieku, była solidną drewnianą konstrukcją. Znała wymiary i rozpoznała orzechową deskę typową dla malarstwa włoskiego końca XV wieku. Wciąż jednak wstrzymywała oddech, dopóki żołnierz nie odwrócił obrazu, żeby wszyscy mogli zobaczyć.

Teraz *Dama z gronostajem* Leonarda leżała płasko na stole w niegdyś sekretnym pokoju pałacu Czartoryskich. Wiele ważnych dzieł sztuki zreprodukowanych na kartach katalogu Edith leżało w stosach wokół niej: *Krajobraz z dobrym Samarytaninem* Rembrandta, *Portret młodzieńca* Rafaela, wszystkie te obrazy, które zaprezentowała dyrekcji muzeum i wiele więcej.

Przez kilka dni Edith prawie cały czas spędzała w sklepionym pomieszczeniu bez okien, dokumentując i oceniając wartościowe przedmioty, które rodzina starała się ukryć przed ucieczką. Dwóch żołnierzy przydzielono jej do pomocy przy dużych obrazach, meblach i innych ciężkich obiektach oraz do pilnowania dużej kolekcji starej biżuterii przed zakusami innych żołnierzy. Sama była zachwycona starannym doбором bezcennych przedmiotów w rodowej kolekcji, ale przyszło jej do głowy, że dla pozostałych praca ta musiała być nużąca i zwyczajnie nudna. Godzinami czekali, aż Edith skończy spisywać swoje drobiazgowo uwagi. Oprócz obrazów, które skatalogowała jeszcze w Monachium, kolekcja obejmowała mnóstwo mebli, rysunków, brązów,

monet i medali, bezcenne klejnoty i drogie kamienie. Edith potrzebowała wielu godzin, żeby zbadać i zinwentaryzować wszystko.

Jałowe sprzeczki mężczyzn stanowiły tło dla jej skupienia na dziełach sztuki i zastanawiania się, czy może Heinrich ze swoim oddziałem do tej pory zdążył już dotrzeć do Polski. Tamci narzekali na polskie jedzenie, na język, na nudę. Mieli zostać przesunięci na wschód, jak mówili, kiedy w ten rejon dotrze więcej wojska. Próbowali nawiązać rozmowę, wypytać Edith o jej pracę w muzeum, o jej życie prywatne, o to, skąd się tu wzięła, ale ona nie chciała otwierać się przed nimi i zaspokajać ich ciekawości.

Od nich dowiedziała się o polskich więźniach trzymany na górze. W uszach wciąż miała słowa porucznika Fishera: grupy ruchu oporu w całym kraju.

Podczas pracy żołądek miała ściśnięty, zastanawiając się cały czas, dokąd poszła rodzina Czartoryskich i czy udało im się uniknąć schwywania.

Wreszcie pewnego popołudnia dostała odpowiedź.

– Fräulein Becker.

Odwróciła się i ujrzała schodzącego po schodach porucznika Fishera. Podszedł do stołu, przy którym badała spękania powierzchni małej, XVII-wiecznej, niemieckiej martwej natury, pociemniałej ze starości i zapomnianej. Na dłuższą chwilę jego wzrok zatrzymał się na obrazie, potem przeniósł się na Edith.

– Powiedziano mi, abym polecił pani dokonać wyboru powiedzmy dwunastu najcenniejszych dzieł, jakie się tu znajdują – odezwał się. – Ludzie mogą pomóc pani zapakować je do bezpiecznego transportu.

– Obrazy mają być przewiezione? A co z tą rodziną?

– Gestapo nie potrzebowało dużo czasu, żeby znaleźć księcia i jego ciężarną Hiszpankę. Zostali zabrani do naszego aresztu.

Edith poczuła, jak pierś jej się unosi w przyspieszonym oddechu. – Są aresztowani? Ale co z nimi będzie?

Ciężar rozpacz przytłoczył ją znowu, pokój stał się czarnym tunelem, zamykającym się wokół niej. Czy jest odpowiedzialna nie tylko za los najcenniejszych przedmiotów należących do tej rodziny, ale też za

bezpieczeństwo jej członków, może nawet za ich życie? Czy ponosi winę za los młodego księcia i jego żony? Nawet ich nienarodzonego dziecka?

– To już nie jest nasze zmartwienie – mówił dalej Fisher. – Mam instrukcje od SS-Oberführera Mühlmana. Jest nowo powołanym Specjalnym Pełnomocnikiem do spraw Zabezpieczania Dzieł Sztuki na Terytoriach Okupowanych na Wschodzie. Dr Mühlmann właśnie przyjechał do Polski i przysłał rozkazy dla pani.

– Rozkazy – powtórzyła zduszonym szeptem.

Porucznik Fisher skinął głową. – Oberführer Mühlmann życzy sobie zbadać najcenniejsze obiekty z tej kolekcji osobiście. Jest w drodze do innej z rezydencji Czartoryskich w pobliżu Jarosławia.

Edith zastanawiała się, jak mogłaby wybrać zaledwie dziesięć czy dwanaście obrazów z tak starannie dobranej kolekcji Czartoryskich. Pełna życia twarz Cecilii Gallerani przykuła jej wzrok, więc skupiła się na niej, starając się uspokoić nerwy.

– Przyjdziemy po nie rano, więc może pani przystąpić do dokonywania wyboru i pakowania natychmiast. I pojedzie pani z nami do Jarosławia – poinformował porucznik Fisher. – I radziłbym pani wybierać mądrze. Oberführer Mühlmann upominał się o panią.

## LEONARDO

Mediolan, Włochy  
Wrzesień 1490

– Jego Wysokość upomina się o was – tak mówi młody paź, nie mogąc złapać tchu po biegu z pałacu książęcego na skraju miasta. Pędził do mojej kwatery w Corte Vecchia i w górę po zwężających się schodach na dach.

Jestem zdecydowany, aby właśnie z tego dachu pofrunął człowiek. Od miesięcy pracuję nad tym wynalazkiem, po raz pierwszy zamieniając marzenia całego życia i rysunki w rzeczywistość<sup>[1]</sup>. Zapełniłem sterty arkuszy lekkimi drewnianymi ramami, które mogą utrzymać pasażera. Po studiach rysunkowych nad skrzydłami gołębi, nietoperzy i ważek, zdecydowałem się na skrzydła sokoła, które powinny pozwolić urządzeniu wznieść się i zawisnąć w powietrzu lepiej niż inne konstrukcje. Przy pomocy dwóch cieśli zbudowałem wręgę dla pasażera z lekkiego drewna pomalowanego substancją oleistą. Budujemy szkielety skrzydeł, które będą pokryte przednim mediolańskim jedwabiem.

Ale teraz ten spocony chłopiec ma mnie wywabić z mojej pracowni, z mojej małej manufaktury, abym udał się do pałacu książęcego, do sali audiencyjnej Ludovica il Moro.

– Jego Wysokość przysłała rozkazy – mówi chłopiec. Rozkazy.

Siedem długich lat zajęło Ludovicowi il Moro przyznanie mi pensji, żywienie mnie i zakwaterowanie w tej kruszącej się, starej kupie kamieni, wznoszącej się nad głównym placem miasta. Mam wszystko, czego pragnę. Miejsce do życia i pracy. Miejsce przy jego stole. To dobra wiadomość. Zła: podobnie jak każdy na utrzymaniu Jego Wysokości, jestem teraz zobowiązany wobec niego.

Kiedy Ludovico il Moro wzywa, muszę rzucać wszystko inne. Każdy swój projekt.

– Jaka jest natura prośby Jego Wysokości – pytam chłopca.

– Portret – odpowiada.

Ach. W końcu portret. To było tylko kwestią czasu. Przewidywałem, że Jego Wysokość może poprosić mnie o powielenie jego wizerunku. Już wyobrażałem sobie, jak mógłbym przedstawić jego kwadratową szczękę. Gładkie, czarne włosy opadające na szerokie czoło. Jego Wysokość już pokazał mi swoje portrety pędzla innych malarzy. Ja nie pokażę Jego Wysokości z profilu. To nie tylko przestarzały i nienaturalny sposób portretowania, dlatego też obmyśliłem inną kompozycję, która mogłaby służyć złagodzeniu jastrzębiego wyglądu nosa Ludovica il Moro.

Albo też ciekaw byłem, czy może Jego Wysokość postanowił kazać mi namalować jego bratanka, młodego Gian Galeazza? W końcu to chłopiec jest prawowitym księciem Mediolanu nominalnie, jeśli nie w praktyce. Widziałem młodzieńca kilka razy, kiedy był wzywany do Mediolanu z twierdzy w Pawii albo Certosie. Tam, jak słyszałem, jest trzymany w charakterze niewiele więcej jak dobrze traktowanego więźnia. A kiedy przebywa w gościnie tutaj, w Corte Vecchio, Gian Galeazzo Sforza przemyka zabiedzony korytarzami i jada posiłki w swoich prywatnych pokojach. Z pewnością chłopiec czuje ciężar spuścizny ojca, jeśli nie złej jego sławy, który wyrywał ręce i nogi tym, którzy weszli mu w drogę, albo swoich wrogów kazał grzebać żywcem w trumnach. Pomijając sadystyczne przyjemności ojca, chłopiec musi czuć ciężar odpowiedzialności wobec swego ludu. Ale ze swoimi długimi, pięknymi lokami i bladością mały książę wygląda bardziej na upadłego anioła niż na bezwzględnego władcę całego księstwa. Sportretowany na zamówienie swojego stryja i regenta Ludovica Sforzy? Prawdopodobnie nie. Prawdę mówiąc, nie widzę żadnej przyszłości dla tego biednego chłopca.

– *Subitissimo* – odzywa się młody paż. – Jego Wysokość chce, żebyście przyszli natychmiast.

Patrzę na moje urządzenie latające, prawie ukończone. Jestem pewien, że brakuje jeszcze zaledwie kilku dni pracy. Jak mogę znieść przerwę w tym momencie?

Nie słyszałem jeszcze, aby Ludovico il Moro, podobnie jak jego starszy brat, lubował się w wymyślnych torturach własnego pomysłu. Niemniej jednak trzeba by być głupcem, żeby z nim zadzierać. W ciągu tych krótkich lat, w których uczyniłem Mediolan swoim domem, nie robiłem nic poza zabieganiem o łaskawość Jego Wysokości i innych ludzi dworu. Wyzłociłem i pomalowałem duży rzeźbiony poliptyk w kościele San Francesco Grande, będąc zaledwie pionkiem w zespole rzeźbiarzy, snycerzy i malarzy. Irytujące, z pewnością, ale prowadziło do kolejnych zamówień. Ukończyłem ni mniej, ni więcej, tylko dwie wersje *Madonny wśród skał* i dostałem do zaprojektowania kilka budynków, kilka machin hydraulicznych i nawet nowy typ krosna do jedwabiu.

Jego Wysokość ostatecznie przystał na moją propozycję ogromnego posągu konnego, pomnika zmarłego ojca Ludovica. Rozrysowałem już koński łeb i zaprojektowałem metalowy szkielet, na którym uformuje się model wstępny. Zaczniemy od modelu glinianego, podczas gdy ja myślę, jak odlać ten ogromny kształt z brązu.

Szczerze mówiąc, mam też dużo czasu i miejsca, aby budować niektóre urządzenia z moich notatników. Zamkowy dziedziniec i od dawna nieużywana sala audiencyjna są doskonałą kuźnią pomysłów. Nawet skusiłem kilku ludzi do pracy w charakterze asystentów.

W tej chwili jednak paż mówi do mnie: – Jego Wysokość naprawdę chce portretu swojej kochanki. Nowej. *Subitissimo*.

Waham się. Nowa dama?

Niedługo przed moim przyjazdem do Mediolanu była inna kochanka, ale Jego Wysokość musiał stracić zainteresowanie, ponieważ nigdzie jej nie widać. Tylko mała dziewczynka, czarnowłosa ślicznotka o imieniu Bianca została w książęcym zamku jako świadectwo jego amorów.

A teraz nowa dama. Kochanka warta portretu.

Przede mną wystrzępiony kawałek jedwabiu powiewa na próżno z na wpół zmontowanej ramy jednego ze skrzydeł mojej maszyny latającej. Nareszcie jestem bliski zrobienia tego jak trzeba. Możemy zobaczyć człowieka frunącego nad centralnym placem Mediolanu. Tłumię westchnienie, posłaniec patrzy na mnie.



Czy muszę przerwać pracę nad tym wynalazkiem dla spełnienia zachcianki, namalowania młodej dziewczyny schwytanej przez Il Moro?

Tylko że nikt mnie nie pyta o zdanie w tej sprawie.

– Daj mi kilka minut, żebym przygotował przybory do rysowania – mówię do pazia. – Powiedz Jego Wysokości, że już idę.

## CECILIA

Mediolan, Włochy  
Październik 1490

– Malarz przyjechał, signorina. Widziałem, jak zostawiał konia stajennym przy bramie.

Cecilia podniosła wzrok znad tomiku kompilacji łacińskich wierszy i ujrzała Bernarda Bellincioniego, poetę mediolańskiego dworu, zaglądnącego do biblioteki. Bernardo podszedł do okna, przy którym siedziała. Jej nowy biały pupil, cenny prezent od Ludovica, leżał zwinięty w kłębek na jej kolanach.

– Arystoteles – poeta wskazał na pergaminowe stronicie. – Dobry wybór.

Przytaknęła. – Zostań z nami – poprosiła, ściskając jego rękę.

– Z przyjemnością, signorina, jeśli tylko on wyrazi zgodę. Mistrz da Vinci i ja... jesteśmy starymi znajomymi.

Od tygodni Cecilia i nadworny poeta spędzali razem godziny w zaciszu zamkowej biblioteki. Znajoma, toskańska mowa dodawała jej otuchy, zwłaszcza że jej brat Fazio często wyjeżdżał w sprawach dyplomatycznych i brakowało jej towarzystwa. Kobiety w zamku, czy to pokojówka, czy dama dworu, wszystkie były zajęte rozjaśnianiem sobie włosów końskim moczem, porównywaniem najnowszych ozdób przy swoich pantofelkach i plotkowaniem o kłótniach i więziach – błahostkami, które mało interesowały Cecilie. Z Bernardem mogła cieszyć się długimi, ciekawymi rozmowami na tematy interesujące ich oboje.

Uważała, że Bernardo jedyny poznał się na rzeczywistej wartości, jaką mogła stanowić dla dworu, i z pewnością zdawał sobie z tego sprawę bardziej niż Jego Wysokość we własnej osobie. Od pierwszej nocy, kiedy Ludovico il Moro

pozbawił ją cnoty, Cecilia nie przestawała zabiegać o utrzymanie wysokiej pozycji na jego dworze. Czytywała mu poezje, wyimki ze starożytnej filozofii, słowa Bernarda gotowe do połączenia z muzyką. Czasami Ludovico sprowadzał ją z jej prywatnych komnat, aby zaśpiewała pieśń, wyrecytowała wiersz albo oczarowała jego gości opowieścią czy grą na lutni. Częściej jednak tylko poklepywał ją po policzku, jakby była salonowym pieskiem i zostawiał samą w łożu. Wtedy Cecilia naciągała wełniane przykrycie na swoje nagie ciało i starała się nie dopuścić do siebie uczucia pustki, które narastało w jej piersi.

Kiedy pościel stygła, a żar jej kochanka rozpływał się w mroku nocy, leżała bezsennie, zastanawiając się, jak inaczej mogłyby potoczyć się sprawy. Co by było, gdyby poszła do Monastero Maggiore, gdyby tam dowiodła swojej wartości, gdyby zachowała cnotę? Co by było, gdyby głupi bracia nie roztrwonili jej posagu i zostałyby żoną w kraju ojczystym, z ziemią i gromadką dzieci?

Próżno było rozmyślać nad tymi możliwościami.

Z pewnością Ludovico cenił Cecilie, tylko nie tak, jak to sobie wymarzyła. Dostawała od niego każdy podarunek i zbytek, jaki była w stanie sobie wyobrazić, od sukni po złocone cacka. Piękny koń, najlepszy z hodowli w Dolomitach, czekał na nią w stajni. Violina, łagodne białe stworzenie, które doprowadziło ją do łez radości, kiedy dostała je od Ludovica, teraz leżało zwinięte w ciepły kłębek na jej kolanach. Cecilia zachwycała się pięknem tego wszystkiego. Dom jej dzieciństwa w Sienie, z wyszczerbioną zastawą stołową i naprawianą bielizną, wydawał się zaledwie historią słyszaną dawno temu.

A teraz portret. Ludovico zatrudnił artystę, mistrza da Vinci z Florencji, aby za pomocą farby uwiecznił jego kochankę.

Jednak pozowanie malarzowi, chociaż zaszczytne, wydawało się najnudniejszym z możliwych sposobem spędzenia popołudnia. Obecność Bernarda w bibliotece pozwalała jej przynajmniej kontynuować naukę i prowadzić zajmujące rozmowy.

Jak się okazało, mistrz da Vinci wcale nie był nudny. Wkroczył do pokoju odziany w zieloną, aksamitną pelerynę, zebraną przy szyi spinką ozdobioną klejnotami. Na nogach w jasnozielonych pończochach miał skórzane buty o wymyślnym kroju. Jego ciemne włosy i bujna broda spływały spod miękkiego,

aksamitnego kapelusza. Idący za malarzem służący i pokojówka chwiali się pod ciężarem jego skórzanych sakw.

Leonardo i Bernardo na powitanie wymienili pocałunki w oba policzki i mocne klepięcie po ramieniu. Potem artysta przyklęknął na jedno kolano, ujmując dłoń Cecilii w obie swoje.

– Pochwała twoich talentów rozbrzmiewa jak kraj długi i szeroki, signorina. Ja zaś widzę teraz, że nikt, kto tak pochlebnie wyrażał się o tobie, nie oddał sprawiedliwości twojej urodzie.

– Wielceście uprzejmi – Cecilia oblała się rumieńcem.

– Będzie dla mnie wyzwaniem i przywilejem uwiecznić twoją urodę dla przyszłych pokoleń. Poza tym my, Toskańczycy, musimy trzymać się razem w tym szarym mieście.

Cecilia już wiedziała, że lubi mistrza Leonarda. Zajęła miejsce na jednym z dwóch krzeseł z poręczami, tym stojącym bliżej jasnego okna, podczas gdy Bernardo oparł się o parapet, aby widzieć równe rzędy starannie przystrzyżonych jałowców na dziedzińcu. Piesek ułożył się na jej kolanach, pochrapując prawie niedosłyszalnie. Cecilia pogłaskała go po twardym łebku. Malarz wydobyl z jednej ze swoich sakw kilka arkuszy pergaminu i długi rysik.

– Myślałam, że macie mnie malować, czyż nie?

– W rzeczy samej. Ale zaczniemy od rysunków przygotowawczych. Zajmie to trochę czasu.

Cecilia skinęła głową i przyjęła swobodniejszą pozycję na krześle, z którego mogła obserwować mistrza da Vinci przy pracy. Nigdy jeszcze nie była malowana i nigdy nie spotkała żadnego malarza, ale jak na jej rozeznanie, mistrz Leonardo wcale na malarza nie wyglądał. Jego ubiór był nienaganny. Gdyby spotkała go na ulicy, mogłaby wziąć za szlachcica. Nawet jego paznokcie były całkowicie czyste, bez śladu farby.

– Malujecie codziennie? – spytała.

– Nie – odparł szybko. – Nie namalowałem nic od miesiący. Nie po to tu jestem.

– Jego Wysokość zaangażował mistrza da Vinci jako inżyniera wojskowego – wtrącił się Bernardo.

– Jako inżyniera? – pytająco powtórzyła Cecilia.

– Mosty – powiedział mistrz. – Katapulty. Trebusze. Pojazdy oblężnicze. Machiny, które mogą przypuścić atak nawet z powietrza. Tym się ostatnio zajmuję. Przede wszystkim to mnie tu sprowadziło.

– Tyle niebezpieczeństw grozi księstwu? – spytała, wiercąc się na krześle.

– Ludzie o statusie Il Moro zawsze są zagrożeni, *cara* – powiedział, spoglądając na nią łagodnie. – Ale odpowiadając na twoje pierwsze pytanie, owszem, oferuję usługi malarza w czasach pokoju. Tylko że ludzie pokroju Ludovica il Moro częściej toczą wojny.

– Dlatego też mistrz da Vinci znalazł tu zatrudnienie – uśmiechnął się Bernardo.

– Otóż to, *signore* – Leonardo odpowiedział uśmiechem, wskazując srebrnym rysikiem Bernarda. Potem zaczął uważnie prowadzić go po arkuszu, spoglądając od czasu do czasu brązowymi oczami na Cecilie pieszczącą delikatne psie ucho. – I jestem do dyspozycji Jego Wysokości we wszystkim, co wymaga zaprojektowania i oprawy wizualnej, jak nadchodzące zaślubiny.

– *Matrimonio?* – upewniła się Cecilia. – Kto wstępuje w związek małżeński?

Przez długi moment słychać było tylko ciche gruchanie i chrobotanie pazurków gołębia we wnęce okiennej. Kątem oka Cecilia dostrzegła, że Bernardo wierci się niespokojnie na parapecie, przekłada nogi założone jedna na drugą i masuje się dłonią po ustach.

Mistrz da Vinci zbladł. – Córka księcia Ferrary – powiedział z wahaniem. – Beatrice d'Este – to imię wybrzmiało już szeptem.

W pokoju zapadła ciężka cisza. Cecilia poczuła, że jej serce przyspiesza, a gorąco ogarnia policzki, kiedy fragmenty zaczęły składać się w całość.

– Cecilio – Bernardo przerwał milczenie. – Przecież wiedziałaś, prawda? Jego Wysokość jest zaręczony już od wielu lat, tak samo jak ty byłaś.

– Idiota ze mnie – stwierdził mistrz da Vinci, spiesząc, by uklęknąć przy Cecilii. – Moje biedne, niewinne dziecko. Powinienem być ostrożniejszy. Wybacz mi moje prostactwo. Nie ma żadnej wątpliwości co do tego, że to ty jesteś światłem w oczach Jego Wysokości. Wyraźnie to widać. Z jakiego innego powodu miałbyś chcieć unieśmiertelnić cię obrazem mojego pędzla?

Cecilia nie umiała znaleźć słów. Jak mogła być tak naiwna? To oczywiste, że decyzja o małżeństwie kogoś takiego jak Ludovico Sforza została podjęta

dawno temu. Co takiego pozwoliło jej myśleć, że ma choć cień szansy, by zostać panią tego zamku? Obok Leonardo da Vinci wpatrywał się w nią dużymi, smutnymi, brązowymi oczami.

– Wy nie jesteście idiotą – powiedziała uspokajająco, kładąc dłoń na jego dłoni. – To ja jestem. Jestem tylko głupią wiejską dziewczyną. Nie jestem pewna, dlaczego zdawało mi się, że mogłabym być księżną Mediolanu.

– *Cara mia...* – Bernardo podszedł, żeby ją pocieszyć. – Na pewno nie pozwoliłaś naszemu panu, by wziął sobie twoje serce tak samo jak twoją cnotę?

Cecilia musiała się nad tym zastanowić i pomyśleć. Bernardo potrafił stawiać sprawy w ostrym świetle. Czy kocha Ludovica? To pytanie zawisło ciężko w powietrzu, pozostając bez odpowiedzi.

Wiedziała tylko, że sprawy szybko się skomplikowały. Jej kochanek, jej chlebodawca, jej pan – ożeni się z inną kobietą. Zdecydowano o tym na długo przed pojawieniem się Cecylii w Castello Sforzesco. Ta Beatrice d'Este jest doskonałą partią. To oczywiste, że będzie panią tego zamku. Ona będzie zabawiać gości, gromadzić wokół siebie malarzy, poetów, muzyków. Ona może, przy sprzyjającym układzie gwiazd, zdobyć serce Ludovica.

Po raz pierwszy od przyjazdu do Mediolanu Cecilia nie była pewna niczego. Jej własne uczucia wobec Ludovica komplikował sekret, którym nie podzieliła się z nikim. Nosila jego dziecko.

## LEONARDO

Mediolan, Włochy  
Listopad 1490

Dni Cecylia Gallerani w pałacu książęcym w Mediolanie są policzone. Chyba wie o tym?

Dziewczyna jest naiwna. Inteligentna, owszem. Piękna, tak. Ale naiwna. Wydawała się nawet zaskoczona, słysząc, że Ludovico jest zaręczony z Beatrice d'Este. Nikt nie pomyślał, żeby poinformować biedną dziewczynę? Czy ona w ogóle widzi, że jej własna pokojówka Lucrezia Crivelli czyha na okazję, żeby zająć jej miejsce?

W swoich szkicach wypróbowałem wiele różnych skrętów i pochyłeń głowy. Spróbowałem nawet uchwycić mieszaninę inteligencji i naiwności, jaką zauważam na twarzy Cecylia. Musi być sposób na przedstawienie żywiowości, naturalnej bezpośredniości, jaką każdy czuje w jej obecności. Z pewnością to po części przyciąga Ludovica il Moro do jej łóża.

Ale nie. Coś jest nie tak. Szkicuję wizerunek i mnę kartkę. Pracuję nad kompozycją od wielu dni, ale jeszcze jej nie mam.

Odkładam rysunki i podchodzę do okna mojej sypialni. Corte Vecchia jest starą rezydencją, ale jak starzejąca się piękność ma swoje czary. Cieszę się roztaczającym się z warownego dachu i z okien mojego apartamentu wspaniałym, nieograniczonym widokiem mediolańskiej katedry w budowie, książęcego zamku na obrzeżu miasta, a w pogodny dzień mój wzrok sięga aż podnóża Alp.

Ale dzisiaj nie ma widoku. Grube, mokre płatki śniegu lecą z szarego nieba. Gdybym mógł zatrzymać jeden na czarnym rękawie mojego płaszcza, mógłbym zobaczyć – przez krótką chwilę – doskonałą symetrię, wyjątkowy wzór, jaki

nasz Stwórca zamknął w lodzie. A potem, gdy tylko zacząłbym odtwarzać najbardziej skomplikowane i najdoskonalsze z boskich wzorów w swoim umyśle, znikłby na moich oczach, zostawiając tylko ciemną, mokrą plamę na moim rękawie.

Dni Cecylia są policzone, myślę, bębniąc palcami po zimnym, kamiennym parapecie okiennym i usiłując wymyśleć nowy sposób, innowacyjny sposób ożywienia jej za pomocą farby na desce. I muszę wymyśleć go szybko, zanim Il Moro zmieni zdanie. Kobieta taka jak Cecilia Gallerani, wchodząc do książęcego pałacu, musi wiedzieć, że z niego wyjdzie. Pytanie tylko, kiedy? I co ważniejsze, jak? Co się stanie z tą dziewczyną?

Patrzę jak ciężkie płatki śniegu padają na ogrodzony plac budowy katedry pod moim oknem. Plac budowy wypełniony płytami różowo żyłkowanego białego marmuru, zwiezionymi na barkach znad alpejskich jezior kanałami przekopanymi specjalnie w tym jednym celu. Myślę, że budowlę zaczęto wznosić co najmniej sto lat przed moim przybyciem. Przez lata mojego pobytu w Mediolanie te marmurowe płyty nie zmieniły miejsca. Sądząc po tempie, w jakim to postępuje, wyobrażam sobie, że budowla może pozostać nieukończona jeszcze przez kolejnych sto lat.

Przyglądam się pierwszym pinaklom wieńczącym przypory budowli w dziwnym stylu, o którym słyszałem, że jest powszechny we Francji. Jeśli będą budować konsekwentnie według tego wzoru, myślę, że budowla może kiedyś przypominać wielki lodowy pałac. Wśród wielu innych, ja sam złożyłem przed Ludovikiem il Moro projekt ośmiobocznej budowli centralnej z kopułą. Ale Il Moro wydaje się niezbyt zainteresowany, bowiem jego myśli zaprzęta bez reszty śliczna Cecilia.

Cecilia.

Odwracam się od okna, od doskonałych proporcji architektury i płatków śniegu, wracam do swoich szkiców.

Mistrz Verrocchio uczył nas, że malarstwo jest naśladownictwem wszystkich dzieł natury. Mój obraz musi przypominać dziewczynę taką, jaka jest w naturze. Ludovico il Moro może się niezbyt orientować w kwestiach malarstwa, ale będzie oczekiwał przynajmniej podobieństwa. Pewne jest również, że Cecilia Gallerani sama w sobie jest już ideałem.



Tylko że doskonałość i piękno nie zależą od samej natury, ale od proporcji, od doskonale harmonijnej kompozycji, od idealnego rozmieszczenia ciała i głowy na płaszczyźnie. Od doskonale oddanych rysów twarzy. Czas zniszczy harmonię kobiecej urody, to też jest pewne. Ale malując Cecilie Gallerani, dzięki uchwyceniu jej dzisiejszej urody, zachowam ją na zawsze. Widz – teraz lub w przyszłości – może czerpać przyjemność z przedstawienia urody tak samo jak z urody w naturze.

Jego Wysokość jest oczarowany tak jak nigdy dotąd, powiedział mi poeta Bernardo. Łatwo dostrzec obsesję Il Moro. Cecilia ma w sobie coś, co trudno wyrazić słowami. Żywość ducha, inteligencję, jakiej nie dorówna żaden mężczyzna na dworze. Jeszcze kilka kresek na moim arkuszu i kontur ust Cecylii nabiera kształtu. Przez moment mam wrażenie, że mogłaby przemówić albo zaśpiewać.

## EDITH

Pełkinie, Polska  
Wrzesień 1939

Przedstawienie ulotnego piękna, zatrzymanie doskonałości, które przetrwało wieki. Edith oparła namalowany na desce obraz *Dama z gronostajem* o swoją zgniętą spódnicę mundurową i patrzyła, jak pałac Czartoryskich robi się coraz mniejszy w oddali. Nie mogłaby pozwolić, żeby cokolwiek stało się portretowi. Robiła, co mogła.

Kierowca furgonetki, chłopiec, który wydawał się zbyt młody, żeby go wysłać na wojnę, zaprosił Edith na przednie siedzenie, ale odmówiła. Wołała trzymać obraz przy sobie, kiedy zwykły pojazd wytoczył się z zadbanego terenu wokół pałacu na główną drogę.

W normalnych okolicznościach zażądałaby, aby dzieła tej klasy, co portret Leonarda da Vinci i tuzin innych obrazów, które wybrała z kolekcji Czartoryskich jako najlepsze, zostały zapakowane do zrobionych na zamówienie drewnianych skrzyń, przystosowanych do przewozu obiektów o tak wielkiej wartości. Tutaj niczego takiego nie było.

Poza tym nie chciała spuszczać obrazu z oka. Pomyślała, że przynajmniej tyle może zrobić dla jego prawowitych właścicieli – polskiego księcia i jego ciężarnej żony – znajdujących się obecnie w rękach gestapo. Czuła przemożny wstyd, przyciskając obraz do siebie.

W sekretnym pokoju poinstruowała kilku żołnierzy, jak starannie opakować każdy obraz w warstwy brezentu. Osobiście sprawdziła każdy pakunek ładowany do furgonetki. Każdy opatrzony był pełną informacją służącą identyfikacji. Jednak w wypadku dzieła Leonarda nie chciała ryzykować.

Siedząc na tylnym siedzeniu, położyła opakowany portret płasko obok siebie, a furgonetka tymczasem podskakiwała na wybojach.

Krajobraz stanowiły rozległe obszary zalesionych wzgórz i pól uprawnych. Stada ptaków przelatywały nad uschniętym, niezebrany zbożem, opadały, kotłowały się i znów podrywały się, wzlatując ku niebu.

*Grupy ruchu oporu w terenie.* Czy są obserwowani? Edith przeczesywała wzrokiem okolicę. W oddali dostrzegła kilka krytych strzechą chałup, ale z kominów nie unosił się dym i nie widziała nikogo.

– Wszystkie te pakunki w furgonetce to obrazy? – kierowca na moment odwrócił głowę w jej stronę.

– Tak.

– Dokąd one idą?

– Na razie do Jarosławia. Potem myślę, że mogą zostać... zabezpieczone... w innych miejscach.

Pod fotelem kierowcy wypatrzyła wystający róg gazety. Pochyliła się, wyciągnęła ją i rozłożyła na kolanach. „Deutsche Lodzer Zeitung” głosił tytuł gotycką czcionką. Niemieckojęzyczna gazeta z polskiego miasta Łodzi.

Edith przeczytała nagłówek: 120 000 Polaków idzie dziś do niemieckiej niewoli.

Przez głowę przemknął jej obraz Heinricha. Czy dotarł do Polski? Czy bierze udział w tej ogromnej operacji wyłapywania ludzi w całym kraju?

Odruchowo spojrzała znów za okno, jakby mogła go tam zobaczyć. Ale na zewnątrz nie było widać ludzi, tylko ciągnące się w nieskończoność łagodne wzgórza, zaczynające przybierać kolory jesieni. Na wielkim polu marniały setki dojrzałych słoneczników, które już nie odwracały się do słońca, zwiesiwszy głowy. Łodygi uginały się pod ich ciężarem, pestki sypały się na ziemię.

– Spotkaliście się tutaj z... ruchem oporu? – spytała ostrożnie.

– Z Polakami? – chłopiec wzruszył ramionami. – Jasne, działają tu jakieś oddziały, czasami po prostu gorliwi chłopcy z bronią. Dlatego nosimy to – postukał w swój hełm. Znów na moment oderwał wzrok od drogi i obejrzał się do tyłu. – A pani jest kimś w rodzaju kustosza?

– Przypuszczam, że jestem kimś w tym rodzaju – odparła Edith, nie umiejąc powstrzymać się od uśmiechu. Nikt nigdy jej tak nie nazwał. – Bardziej jestem

konserwatorem niż kustoszem. Restauruję stare obrazy, przywracam im życie.

Edith chciała wiedzieć coś więcej o Kajetanie Mühlmannie, który wezwał ją, aby sprowadziła mu najlepsze dzieła sztuki odkryte w Pełkiniach. Musiał się cieszyć wielkim poważaniem w partii, bo inaczej nie obsadzono by go na tak wysokim stanowisku. Jednak przez lata pracy w muzeum nauczyła się, że stanowiska dające władzę często przydzielane są niezastuzenie – stopień Oberführera wcale nie musiał odpowiadać jego kwalifikacjom, a on sam wcale nie musiał mieć serca do jej zawodowych zainteresowań. Gotowa była mu nie ufać.

Zrobiło się już niemal południe, kiedy samochód zatrzymał się przed wejście do innego świetnego domu, nie pałacu, jak ten w Pełkiniach, niemniej jednak dużej, pięknej rezydencji prywatnej. Żwirowy podjazd przed domem pełen był niemieckich żołnierzy i oficerów, poza tym stało na nim kilkanaście pojazdów opancerzonych i czołgów. Edith weszła za żołnierzami po szerokich schodach prowadzących do drzwi frontowych, niosąc pod pachą obraz, z którym nie chciała się rozstawać.

Żołnierze poprowadzili ją długim korytarzem z otwartymi na oścież wysokimi oknami. Na końcu korytarza znajdowała się sala balowa bogato zdobiona złoconymi stiukami i marmurowymi rzeźbami.

Z drugiego końca sali ruszyła w jej kierunku liczna grupa mężczyzn.

– Herr Doktor Mühlmann – jeden z żołnierzy strzelił obcasami i zasalutował postawnemu mężczyźnie o szerokich barach i kwadratowej szczęce, które upodobały go bardziej do sportowca niż urzędnika muzealnego.

– Fräulein Becker. Dziękuję za przybycie – odezwał się z wyraźnym austriackim akcentem. – Generaldirektor Buchner z Alte Pinakothek wyrażał się o pani z najwyższym uznaniem – wyciągnął do niej rękę.

– Oberführer Mühlmann – odpowiedziała na powitanie, zaskoczona miękkim i lepkiem uściskiem jego dłoni.

– Proszę mi mówić Kai – jego usta rozciągnęły się w cienką linię. Mimo groźnej postury, Kai Mühlmann miał łagodnie brzmiący głos. – Być może jeszcze nie zdaje sobie pani z tego sprawy, ale już zrobiła pani wiele dla wsparcia naszych wysiłków. Ułatwiła mi pani pracę nad kolekcją Czartoryskich – uśmiechnął się szerzej.

Edith poczuła, że mięśnie jej barków tężeją na powracającą myśl o losie księcia i jego żony, ale trudno było zachować rezerwę wobec Kaia Mühlmanna. Sprawiał wrażenie miłego, inteligentnego i skromnego, a austriacki akcent dodawał mu pewnego uroku. Już trochę mniej miała się na baczności.

Tymczasem kilku żołnierzy wносиło obrazy starannie opakowane przez nią w brezent. Patrzyła, jak stawiają je pod ścianą.

– Nie wiem, co jeszcze mogłabym zrobić – powiedziała. – Moja praca zawodowa... moje życie... są poświęcone konserwacji obrazów.

Skinął głową z zadowoleniem. – Tak też słyszałem. Trochę się dowiadywałem o panią. Pierwsza na roku na uniwersytecie! Jedyna kobieta, która osiągnęła taki poziom. Jestem dumny z pani, a jeszcze nawet pani nie znam.

Edith musiała się roześmiać. – Dziękuję.

– Zatem do rzeczy. Jestem ciekaw, co to za dzieło przyniosła pani osobiście? Zauważyłem, że wszystkie inne przywieziono furgonetką, podczas gdy pani przydzielono do ochrony to jedno.

– Nie przydzielono mi go do ochrony – poprawiła go Edith. – Nie byłabym w stanie sama go ochronić, skoro nie dali mi żadnej broni. Wybrałam ten obraz, ponieważ chcę mieć pewność, że nic mu się nie stanie.

– W takim razie nie mogę się już doczekać. Popatrzmy.

Przyglądała się jemu, kiedy ostrożnie rozwiązywał sznurek przytrzymujący brezent, w który był owinięty portret Cecylii Gallerani Leonarda da Vinci. Położył obraz na marmurowym blacie dużego stołu, po czym go odsłonił. Przez długą chwilę w ciszy Edith obserwowała Kajetana Mühlmanna, który z dłońmi opartymi na stole chłonał każdy szczegół olejnej powierzchni, żywego wyrazu twarzy dziewczyny, pozy modelki i dziwnego stworzenia na jej kolanach.

W końcu podniósł wzrok i spojrzał na Edith z uśmiechem ukazującym rząd równych zębów. Skinieniem głowy wyraził aprobatę.

– Jestem zachwycony, że przyniosła pani to arcydzieło bezpośrednio do mnie. To, że zdecydowała pani chronić to szczególne dzieło jak własne życie, dowodzi pani dobrego osądu.

Edith dostrzegła szczerą na jego twarzy i w jego słowach. Poczuli się trochę lepiej, wiedząc, że nie jest w Polsce jedyną osobą specjalizującą się w sztuce, która ma świadomość wagi tego dzieła.

– Mam wrażenie, że ten obraz jest pierwszym nowoczesnym portretem – odważyła się powiedzieć. – Leonardo wyszedł poza tradycyjne zasady przedstawiania portretowanych z profilu albo jako postaci wyidealizowanych. Tutaj przedstawił kochankę księcia tak, jak prawdopodobnie wyglądała w rzeczywistości.

Widziała, że brwi Kaia uniosły się i znów uważnie przyglądał się obrazowi w nowym świetle jej oceny. Po chwili zwrócił wzrok na nią.

– Widzę, że będzie pani cennym nabytkiem mojego zespołu naukowego.

– Zespołu naukowego ?

Kai przytaknął. – Mam już grupę ekspertów z siedzibą w Warszawie, a teraz kompletuję zespół z siedzibą w Krakowie, który zajmie się południem. Będziemy... składać wizyty... w prywatnych kolekcjach, jak ta, którą pani już widziała. I w kościołach. W klasztorach. Na uniwersytetach.

Edith poczuła ciarki przechodzące jej po plecach. Tym razem nie będzie taka głupia.

– Zabieracie dzieła sztuki.

Brwi Kaia wygięły się w łuk. – Chronimy dzieła o istotnym znaczeniu dla Rzeszy. Sporządzamy katalog najpiękniejszych dzieł sztuki w Polsce. Katalog zostanie przedstawiony samemu Führerowi, który jak może pani wie, prywatnie interesuje się historią sztuki.

Edith zamilkła, przyswajając informacje. Już była odpowiedzialna za grabież kolekcji należącej do jednej rodziny, a może nawet za schwytanie jej członków przez gestapo. Czy będzie zmuszona robić to znowu? Czy ma wybór? Jeśli odmówi, co się z nią stanie? A z jej ojcem?

Jakby czytając jej w myślach, Kai mówił dalej: – Pani zadaniem, Fräulein Becker, będzie podział nowo zabezpieczonych dzieł sztuki na trzy kategorie: wybór pierwszy, wybór drugi i wybór trzeci. *Wahl III* to obiekty o przeznaczeniu reprezentacyjnym – srebrne serwisy, porcelana, dywany i tym podobne. Kategoria *Wahl II* obejmuje obiekty, które choć niekoniecznie mają wartość dla Rzeszy, są dobrej jakości, więc zostaną zinwentaryzowane i zmagazynowane. *Wahl I*, nasz pierwszy wybór, będzie sfotografowany, udokumentowany i poddany starannej konserwacji. Na *Wahl I* będą się składać najwspanialsze arcydzieła z polskich kolekcji. Bez wątplenia to – przesunął

palcem bo kunsztownej krawędzi złoconej ramy, a wzrokiem po twarzy Cecylii Gallerani – znajdzie się na szczycie tej listy.

Edith zaprotestowała: – Ale te dzieła nie są własnością państwa niemieckiego. One należą do muzeów, kościołów. Do rodzin... Książę Czartoryski i jego żona...

– Już nie – przerwał jej. Widziała, jak napinają się mięśnie jego kwadratowej szczęki. – Pod naszą opieką te dzieła będą badane, podziwiane, zachowane dla przyszłych pokoleń. Gdybyśmy zostawili je tutaj, w rękach Polaczków, cóż... czekałoby je niechybne zniszczenie. Jestem pewien, że potrafi pani docenić bezpieczeństwo, jakie im zapewnimy.

– Ale one należą do muzeów, do prywatnych właścicieli – upierała się. – Można by powiedzieć, że wielu z tych dzieł nie da się przypisać wartości pieniężnej. Tym samym żadne pieniądze nie przeszły z rąk do rąk. Żaden legalny transfer dóbr nie miał miejsca.

Zdawało jej się, że dostrzegła drgnienie lekkiego uśmiechu Kaia, ale tylko jej się zdawało, bo powiedział: – Obawiam się, że nie tak jest realizowana ta inicjatywa, a mówiąc między nami, radzę pani nie dzielić się swoją opinią z nikim innym.

Wrócił do przyglądania się *Damie* Leonarda.

Edith zamilkła, czując, że znów przygniata ją ciężar roli, jaką odegrała w aresztowaniu rodziny Czartoryskich.

– Obrazy nie będą trzymane tutaj, prawda? – spytała, widząc mężczyzn uginających się pod niewygodnym ciężarem dużego pejzażu holenderskiego.

Kai pokręcił głową i znów się odwrócił.

– Nie. Ta akurat posiadłość nie zapewnia bezpieczeństwa, będąc narażona na zagrożenia zewnętrzne. Poza tym nasz dowódca nie chce stawiać wartownika przy każdym oknie, mają ważniejsze zadania. Jak pani wie, ryzyko stanowi również wystawienie na działanie słońca w upalne dni. Tak więc jest to tylko tymczasowe miejsce zbiorcze. Wraz z panią przepakujemy najlepsze obiekty, żeby je zabrać do Krakowa.

– Do Krakowa...

– Hans Frank jest naszym nowo powołanym gubernatorem generalnym na terytorium Polski. Spodziewa się nas jutro. Osobiście przejrzy nasz wybór

najlepszych obrazów z polskich kolekcji. Rozumiem, że gubernator Frank jest bez mała tak samo wykształcony w kwestiach sztuki i pasjonuje się nią jak nasz Führer.

– I co chce z nimi zrobić? – spytała, wyciągając rękę w obronnym geście w stronę ramy portretu Leonarda.

Kai wzruszył ramionami. – Podejrzewam, że będziemy wracać ze wszystkim do Berlina.

Edith poczuła przypływ otuchy. Czyżby jechała do domu? Już?

– Pojedziemy z tym? – upewniała się.

– Nie chcemy przecież spuścić tych skarbów z oka, prawda? Pani odgrywa ważną rolę w misji zabezpieczania takich dzieł sztuki, Fräulein Becker. Jest pani odważną i inteligentną kobietą.

Edith zdawało się, że jego twarz się zaróżowiła, ale puściła komplement mimo uszu, nie zważając na jego uniżony ton. Zamiast tego skupiła uwagę na wzorach lśniącej, marmurowej posadzki, czując przyjemny dreszcz podniecenia. Jechała do domu. Jednak jej radość gwałtownie zgasła, kiedy uświadomiła sobie, że będzie z powrotem w Niemczech w tym samym czasie, kiedy oddział Heinricha dotrze na linię frontu w Polsce. Nie zobaczy go nawet przelotnie. Bardzo się starała, żeby nie dać po sobie poznać rozczarowania.

Kai starannie owinął z powrotem portret papierem dla lepszej ochrony. – Jeden z naszych ludzi zaprowadzi panią do kwatery na górze. Około godziny siódmej wieczorem podadzą pani posiłek. Obawiam się, że nawet pies nie połakomiłby się na polską kuchnię. Niewiele więcej niż świńskie racice i zgniła kapusta. Dobrze wiedzieć, że już niedługo zakosztujemy znów niemieckiego jedzenia. Powinna być pani gotowa do wyjazdu ze mną do Krakowa jutro o świcie.

Podniósł ze stołu ponownie zapakowane arcydzieło. Patrząc, jak wtyka je pod pachę, Edith chciała coś powiedzieć, ale nie mogła wykrztusić słowa. Otworzyła usta, jednak nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

Grupa około dziesięciu żołnierzy, którzy nagle wyłonili się z mroku, stanęła w szeregu za Mühlmannem. On zwrócił się w stronę Edith, strzelił obcasami i podniósł wyprostowaną rękę.

– *Heil Hitler* – zasalutował.



Zrobiwszy zwrot, wymaszerował z sali balowej z obrazem przyciśniętym do boku, zostawiając Edith samą pod gigantycznym, kryształowym żyrandolem, który zadrżał lekko, kiedy ostatni żołnierz w szeregu zamknął drzwi.

## DOMINIC

Akwizgran, Niemcy  
Październik 1944

W katedrze w Akwizgranie panowała absolutna cisza, jeśli nie liczyć chrzęstu żwiru pod butami, gdy Hancock jako pierwszy zmierzał do środka. Dominic i Paul szli tuż za nim z Josie wciśniętą między nich.

Dominic mógł zauważyć, że mimo wysiłków i starań Obrońców Zabytków z katedry w Akwizgranie zostało niewiele więcej niż sam szkielet. Szczeliny i dziury w sklepieniu wpuszczały do niegdyś majestatycznego wnętrza wiązki słonecznego światła przefiltrowanego przez dym. Część jednej ściany była zburzona, kamienny gruz przygniatał rząd kościelnych ławek. Tkanina ścienna, która ostała się w jakiś dziwny sposób, poruszała się na wietrze wiejącym przez dziurę w ścianie o poszarpanych brzegach.

Wtem Dominic coś usłyszał. Dźwięk szurania gdzieś w pobliżu ambony. Bez zastanowienia przerzucił broń do przodu i wycelował. Cała grupa zastygła w gotowości z podniesionymi karabinami. Nastąpił moment bezruchu, po czym Dominic znów usłyszał ten dźwięk, któremu tym razem towarzyszyło głośnie westchnienie.

– Wychodzić z rękami podniesionymi do góry! – krzyknął Paul.

Dominic utkwiał wzrok w ambonie i z palcem na spuście był gotów na wybuch hałasu sygnalizujący początek kolejnej wymiany ognia. Ale kiedy ukryty wewnątrz ambony zdecydował się ujawnić, najpierw ukazały się podniesione do góry ręce. Następna była łysiejąca głowa i wreszcie cały drżący w strzępach poplamionej sutanny wikariusz katedry w Akwizgranie.

Dominic opuścił broń. Starzec wygramolił się z kryjówki, by stanąć przed nimi tak samo jak ledwo stojący kościół. Jego sutanna pokryta była szarym

popiołem, który osypywał się na posadzkę przy każdym ruchu, jego ciemne oczy były zapadnięte i szklily się cierpieniem. Nic nie powiedział, wpatrywał się tylko w nich z niemą rezygnacją.

Pierwszy przemówił Paul. – Już dobrze – powiedział, odkładając karabin. – Nie zrobimy ci krzywdy.

Duchowny nie wyglądał na uspokojonego tym zapewnieniem. – Proszę – powiedział urywanym głosem drżącym ze strachu z wyczuwalnym niemieckim akcentem. – Nic tu dla was nie zostało. Idźcie sobie.

– Nie weźmiemy cię do niewoli – powiedział Paul, zbliżając się o krok, z wyciągniętą ręką. – Jesteś ranny?

Wzrok księdza przeskakiwał z jednego mężczyzny na drugiego, kiedy wszyscy opuścili broń.

– Nie – wykrztusił.

– Był ksiądz tutaj cały czas? – spytał Dominic.

– Oczywiście. Nie mógłbym opuścić kościoła. To mój święty obowiązek. Stałem tam, niżej – wskazał ambonę. – Było tak bardzo głośno. Ściany się waliły – rozejrzał się po wnętrzu katedry, oczy wypełniły mu się łzami. – Ja tylko stałem, o tak – opuścił drżące dłonie i zakrył nimi uszy, zacisnął powieki, twarz skurczyła mu się w grymasie skrajnego przerażenia.

Paul i Josie odprowadzili starca do jednej z naw bocznych i posadzili go tam. Hancock wydobył z chlebaka manierkę i część swoich racji żywnościowych. Podał je wychudzonemu staremu duchownemu, który przedstawił się jako wikariusz Stephany. Łapczywie pochłonał jedzenie wielkimi kęsami. Jak powiedział, ukrywał się od wielu dni, odkąd zaczął się ostrzał i bał się wyjść. Bał się nawet teraz, bo wciąż słyhać było odległy świst i łoskot pocisków.

A ponieważ najwyraźniej nic im w tej chwili nie groziło, Dominic postanowił przyrzeć się lepiej kościołowi. Zespół średniowiecznych budowli musiał kiedyś być wspaniały w całym swoim majestacie, ale teraz został z niego dziwny szkielec konstrukcji z kamienia i szkła. Wielkie odłamki barwnych szyb witrażowych rozrzucone były po posadzce. Zastanawiał się, ile stuleci te potężne mury i wspaniałe okna przetrwały nienaruszone, poczuł przyływ frustracji i żalu, że dotarł tu dopiero wtedy, kiedy mógł zobaczyć tylko obraz zniszczenia.

Na ołtarzu leżał niewybuch bomby. Oparty górą do dołu, gładki kształt z wystającymi lotkami stanowił nieruchomą groźbę. Nawy pełne były porzrzucanych przedmiotów pozostawionych przez mieszkańców i żołnierzy, którzy tu szukali schronienia przed bombardowaniem: książki, zabawki, stłuczony ceramiczny kubek, worek z nadrukowaną nazwą piekarni. Musieli porzucić to wszystko i uciekać. Dziecięca lalka leżała zaczepiona na oparciu jednej z ławek, gapiąc się oczkami z guzików na sklepienie. Dominic miał nadzieję, że jej właścicielka żyje, więc może za nią tęsknić.

– Wy jesteście dobrzy – mówił tymczasem wikariusz Stephany – więc po co tu jesteście? Żołnierze powiedzieli mi, że Amerykanie są tu, żeby niszczyć. Czego wy chcecie?

– Potrzebujemy księdza pomocy – odparł Hancock.

Stephany przechylił głowę, nie rozumiejąc. – Mojej pomocy?

– Tak. Szukamy dzieł sztuki, które były w tym kościele. Powiedział ksiądz, że nic tu nie zostało... czy to znaczy, że wszystko przepadło?

Stephany zwiesił głowę. – Tak. Wszystko zostało zabrane.

– Zabrane? – powtórzył Hancock. – Przez kogo?

– Przez żołnierzy. Niemieckich żołnierzy – kącki ust Stephany'ego wygięły się w dół. – Zabrali relikwie Karola Wielkiego, wszystkie cenne rzeczy, które były w skarbcu od ponad tysiąca lat. I inne dzieła... bezcenne. Bezcenne – uniósł drżącą dłoń do ust. – Zabrali to wszystko, a kościół i mnie zostawili pod bombami.

– Powiedzieli, dokąd to zabierają? – dopytywał Hancock.

– Nie. Powiedzieli tylko, że trzeba to ratować przed Amerykanami – w jego oczach było cierpienie. – Ale wy jesteście dla mnie lepsi niż moi rodacy.

– Nie jesteśmy tu po to, żeby przywłaszczać dzieła sztuki, proszę księdza – zapewnił Hancock. – Chcemy je odzyskać i zwrócić prawowitym właścicielom. Tobie. Oni nie mają prawa tego kraść.

Stephany otworzył szerzej oczy, które zaśniły w przytłumionym przez kurz świetle.

– To należy do katedry. Zawsze należało. Przez setki lat. A ja miałem się tym opiekować.

– Nie mógł ksiądz nic zrobić, żeby powstrzymać tych wszystkich ludzi – Hancock położył swoje dłonie rzeźbiarza na kolanie Stephany’ego. – Zrobimy co w naszej mocy, żeby to odzyskać.

Łzy wezbrały w oczach starego duchownego i wylały się, zostawiając czyste różowe ślady na jego twarzy pokrytej pyłem. Chwycił obiema rękami dłoni Hancocka, jego wynędzniałe ciało trzęsło się od szlochu.

– Nie sprostałem zadaniu, nie dopilnowałem skarbów. Proszę – błagał żarliwie. – Proszę. Odzyskajcie je.

Dominic patrzył na tę scenę, usiłując pojąć, przez co przechodzi Stephany. Przeżył bombardowanie, w którym zginęły setki, tysiące ludzi, nieomal łącznie z nim samym, a martwił się o skarby, które kiedyś były chlubą jego katedry.

Przyszło mu do głowy, że koniec końców może ta misja jednak ma znaczenie, przynajmniej dla tego biednego człowieka uwięzionego pod swoją amboną.

Odgłos kroków przy wejściu kazał kategorycznie Dominicowi wrócić do rzeczywistości. Odwrócił się z karabinem w pogotowiu, ale opuścił go natychmiast, kiedy tylko rozpoznał Stouta przybyłego ze swoją eskortą. Wzrok komandora podporucznika omiótł grupę i zatrzymał się na Stephanym i Hancocku.

– Cokolwiek?

Hancock pokręcił głową. – Nic tu nie zostało, sir. Nic poza nim – poklepał duchownego po ramieniu. – On mówi, że niemieccy żołnierze już wywieźli stąd wszystkie dzieła sztuki, które tu zawsze były.

– Przynajmniej nie uległy zniszczeniu – zauważył Stout.

– Tak, ale wkrótce mogą ulec – Hancock bezradnie wzruszył ramionami. – Jeśli nie wiemy, gdzie są, nie możemy nic zrobić, żeby je uchronić przed bombardowaniem.

– Wręcz przeciwnie – Stout wyciągnął kartkę z wewnętrznej kieszeni kurtki. – Właśnie dostałem listę od wywiadu.

Hancock wziął listę i przejrzał ją szybko, unosząc brwi. – Niemiecka służba muzealna?

– Właśnie. Nazwiska, stanowiska i miejsca pobytu, jeśli są znane. – Stout kiwnął głową, widząc, że Hancock puszcza listę dalej. – Ktoś z tej listy mógłby

nam powiedzieć, gdzie znajdują się repozytoria skradzionych dzieł sztuki. Miejmy nadzieję, że zdążymy dotrzeć przynajmniej do części na czas.

Dominic wspiął się na palce, żeby spojrzeć na listę ponad ramieniem Paula. *Edith Becker, konserwator, Alte Pinakothek w Monachium, obecne miejsce pobytu nieznane*, przeczytał.

– Tu może być kilka solidnych tropów, sir – zauważył Hancock z uśmiechem.

Zanim Stout zdążył odpowiedzieć, rozległ się przeszywający gwizd, od którego każde włókno ciała Dominica napięło się czujnie. Na dźwięk lecącego pocisku wszyscy rozpięchli się, szukając osłony. Wikariusz Stephany, skamłając, rzucił się pod ławkę. Paul i Dominic wskoczyli pod pozostałości łuku i w następnym momencie pocisk uderzył w ulicę przed kościołem. Ziemia zatrzęsa się od wybuchu, po którym Dominicowi dzwoniło w uszach. Stout wykrzykiwał rozkazy, ale w panującym chaosie Dominic ich nie słyszał. Następny pocisk trafił tak blisko, że rzuciło go na kolana. Skulił się obronnie, nie wypuszczając karabinu. Kiedy dźwignął się na nogi i pobiegł do nawy, szybkim spojrzeniem poszukał swoich. Paul był przy nim, inni wygrzebywali się spod ławek i łuków z ponurymi minami. Reporterzy i oficerowie znaleźli schronienie pod ławkami, łukami i we wnękach wewnątrz kościoła.

Dominic pomyślał o Stephanym skulonym całymi dniami pod amboną, zatykającym dłońmi uszy, czekającym, żeby to wszystko się skończyło. Ale Dominic nie mógłby tak. On wiedział, co ma robić, jeszcze zanim Stout wbiegł do nawy, wzywając ich do przodu. On musiał rzucić się w ten chaos. Tak więc, z podniesioną bronią, słysząc za sobą ciężkie kroki Paula, wybiegł na plac.

Czas się zatrzymał, zażarta walka trwała. Dominic był skoncentrowany, zmysły miał wyostrome i posuwał się jakby w zwolnionym tempie w kierunku następnego hitlerowskiego munduru, który ukazał się w chmurze pyłu, uchylając się przed następną kulą. Ogluszające odgłosy walki oddaliły się, wystrzały z jego własnego karabinu brzmiały w jego uszach jak tępy stukot. Wróg ukrył się za stertą gruzu naprzeciw kościoła i siekł kulami zza tej osłony, a Dominic odpowiadał ogniem. Dym snuł się w powietrzu i dusił go w płucach. Widział fontanny pyłu tryskające w górę, gdy jego kule trafiały w gruz i czuł ukłucie żalu, a zarazem ulgę za każdym razem, kiedy wraz z szarym pyłem tryskała krew i jeszcze jeden wróg padał z krzykiem. Przestał liczyć, ilu ludzi

zabił. Po prostu walczył z nadzieją, że przeżyje i z każdym oddechem jest bliżej unicestwienia tego zła raz na zawsze, bliżej powrotu do domu, do Sally.

To mogło trwać trzydzieści sekund. Albo trzydzieści minut. Pod koniec Dominic przywarł do wielkiego kamienia, który w całości odpadł od ściany katedry, oparł na nim karabin i strzelał, strzelał, strzelał do Niemców na stercie gruzu naprzeciwko.

A potem się skończyło.

Cisza.

Dominic ostrożnie wychynął zza kamienia. Obejrzał się za siebie, w kierunku katedry, żeby zobaczyć, czy z innymi wszystko w porządku. Stout wyczołgał się spod osłony łuku, jego broń wciąż dymiła.

Dopiero wtedy dostrzegł Paula.

Jego przyjaciel leżał na wznak w portalu kościoła, ciemnoczerwona plama rozlewała się na jego piersi. Karabin leżał w jego bezwładnej ręce, sącząca się krew wsiąkała w pył. Oczy miał zamknięte.

– Nie! – Dominic rzucił broń i podbiegł do przyjaciela, dławiąc się łzami. Padł na kolana, nie zważając na ciepłą krew, którą nasiąkał jego mundur, chwycił Paula za ramiona. – Blakely. Blakely!

Jasne rzęsy drgnęły i Paul otworzył oczy. Twarz miał szarą i ściągniętą bólem, oddychał szybko i płytko, powietrze grzęzło mu w krtani. Wypuścił karabin i swoją wielką dłoń ścisnął ramię Dominica.

– Bonelli – wyrzęził.

– Zostań ze mną, Blakely – Dominic rozdarł mundur Paula, usiłując znaleźć tę upiorną ranę, źródło krwawienia. – Nic ci nie będzie. Zrobimy z tobą porządek – potoczył wokół dzikim wzrokiem. – Medyk! Potrzebujemy medyka!

– Bonelli. Nie – Paul jęknął i uniósł głowę. – Dominic, chłopie. Spójrz na mnie.

Dominic spojrzał przyjacielowi w oczy. Mimo cierpienia widocznego na twarzy, jego oczy były niebieskie i pogodne jak letnie niebo. Patrzyły z intensywną przenikliwością. Paul zaczerpnął powietrza, zakrztusił się lekko, zacisnął zęby, żeby przetrwać falę bólu, zanim mógł znów się odezwać. Uśmiech przemknął po jego twarzy.

– Nie przestawaj rysować, przyjacielu – wyszeptał. Potem jego powieki poruszyły się i zamknęły, siły zdawały się go opuszczać. Głowa opadła do tyłu, hełm potoczył się po rumowisku.

– Blakely! – Dominic potrząsnął nim. – Blakely! – przyłożył dłoń do szyi przyjaciela, szukając pulsu, choć wiedział, że go nie wyczuje. – Nie! NIE!

– Bonelli – to Hancock dotknął ramienia Dominica. – Już za późno. Nic nie możemy dla niego zrobić.

– Nie! – Dominic wyszarpnął ramię z uścisku Hancocka. – Nie zostawiamy go tu. Musimy... on musi... – zakrzuszył się własnymi słowami, łzy przesłaniały mu wzrok.

– On odszedł, Bonelli – Hancock wziął go za ramię.

Niecałą godzinę wcześniej dwaj sanitariusze siedzieli obok Dominica na tylnym siedzeniu toczącego się z łoskotem pojazdu. Teraz ci sami ludzie przyszli z płachtą brezentu. Oniemiały Dominic patrzył, jak zawijają w nią ciało Paula i wnoszą je do katedry.



## CECILIA

Mediolan, Włochy  
Listopad 1490

Z korytarza prowadzącego do pałacowych kuchni Cecilia dostrzegła nieślubną córkę Jego Wysokości. To nie mógł być nikt inny. Mała Bianca. Dziewczynka miała około siedmiu czy ośmiu lat, jej okrągłe, jasne policzki okalały pierścienie czarnych włosów. Siedziała przy dużym, prostym kuchennym stole, kręcąc w dłoniach wałeczki z ciasta. Cecilia nigdy wcześniej nie widziała tej dziewczynki, tylko słyszała o niej. Zakładała, że spędza dni w pałacowym pokoju szkolnym ze swoimi nauczycielami. Oparta plecami o ścianę korytarza, przyglądała się dziewczynce przez dłuższą chwilę.

Zapach duszonej giczy cielejącej unosił się w korytarzu, a Cecylii ślina napłynęła do ust. Do następnego posiłku musiało minąć jeszcze wiele godzin, ale ona była teraz bez przerwy głodna. Rosnące w niej życie domagało się pożywienia. Pomyślała, że mogłaby poprosić kucharkę o coś do przegryzienia albo sama ściągnąć z pałacowej spizarni.

Musi jakoś powiedzieć Ludovicowi, że nosi jego dziecko, zanim on sam zauważy, pomyślała. Teraz jednak, dowiedziawszy się, że Jego Wysokość jest od dawna zaręczony z Beatrice d'Este z Ferrary, zupełnie nie miała pojęcia, co mu powiedzieć. Przez kilka ostatnich dni mdliło ją, nie opuszczała więc swojej sypialni i miała nadzieję, że Ludovico zostawi ją w spokoju na wystarczająco długo, aby zdążyła znaleźć odpowiednie słowa, sformułować odpowiednie pytania, które mu zada. Co takiego mogłaby zrobić lub powiedzieć, co skłoniłoby go do wycofania się z umowy z księciem Ferrary i wzięcia jej, Cecylii, za żonę? I co się z nią stanie, kiedy jej ciąża przestanie być tajemnicą? Bała się, że Ludovico mógłby natychmiast wyrzucić ją razem z kuchennymi odpadkami

albo nawet, że ktoś mógłby poderżnąć jej gardło w środku nocy. Nikomu nie powiedziała o swoim stanie. Czy Ludovico zatrzymałby jej dziecko pod swoim dachem, a ją samą wygnał, skazując na niepewny los? A w ogóle, to gdzie jest matka tamtej dziewczynki?

Ale jedno przerażało Cecilie jeszcze bardziej niż wygnanie z pałacu, jeszcze bardziej niż oderwanie od swojego dziecka: bała się, że może nie przeżyć porodu. Widziała, jak dwie jej ciotki odeszły do lepszego świata, kiedy tylko ich nowo narodzone dzieci pojawiły się na tym. Widziała krew, słyszała ostatni krzyk matki równocześnie z pierwszym krzykiem dziecka. Każdego dnia kobiety poświęcały własne życie, dając życie. Żałowała, że nie może podzielić się z nikim swoim ciężarem i jednocześnie prawie nie była w stanie udźwignąć prawdy sama. A prawda była taka, że była przerażona.

W końcu głód zwyciężył i Cecilia weszła do kuchni. Dziewczynka wyczuła jej obecność i spojrzała znad swojej pracy. Cecilia powiodła wzrokiem po kuchni, zauważając ciemne, przepastne wnęki wypełnione metalowymi garnkami, naczynia, ścierki, stare drewniane meble. Nie było nikogo. Dziewczynka tylko patrzyła na Cecilie zdziwionymi, jasnoniebieskimi oczami obwiedzionymi czarnymi rzęsami.

– Jesteś córką Jego Wysokości.

Dziewczynka przytaknęła i wróciła do swojego zajęcia.

Cecilia podeszła do stołu i odsunęła krzesło. – Ja jestem Cecilia.

– Wiem – odparła dziewczynka.

– Co robisz?

– To jest ciasto z rodzynkami i pomarańczą.

Dziewczynka miała na sobie fartuch trzy razy za duży, którym prawdopodobnie owinęła ją troskliwie któraś z kucharek.

– Chciałabym spróbować. Wygląda dobrze – uśmiechnęła się Cecilia.

– Jest dobre. Będzie. Jak kucharka je dla mnie upiecze.

– Mogę spróbować?

Bianca nic nie powiedziała, popchnęła tylko kulkę ciasta, która potoczyła się po stole w stronę Cecylii.

Cisza zaległa między nimi. Cecilia rozplaszczyla między palcami ciepłe ciasto, szykując się do zadania pytania, aby usłyszeć, co chciała wiedzieć najbardziej na świecie. W kuchni nie było nikogo innego, więc uznała, że musi wykorzystać okazję, bo druga taka może się nie powtórzyć.

– Twoja matka... – Cecilia zawahała się. Dziewczynka podniosła wzrok i teraz patrzyła prosto na nią swoimi jasnoniebieskimi oczami. – Gdzie ona jest?

## DOMINIC

Akwizgran, Niemcy  
Grudzień 1944

Dominic siedział na kamieniu przed namiotem i usiłował narysować matkę swoich dzieci. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w pusty kawałek papieru w gasnącym świetle wieczoru. To był kawałek dobrego papieru. Prawdziwego. Poliniowana kartka, którą Josie wydarła ze swojego małego notesu do stenografii i dała mu, zanim opuściła Akwizgran, aby przyłączyć się do jakichś reporterów jadących za innym oddziałem na front.

Kilka pociągnięć ołówka, ale obraz nie wychodził. Dominic nie chciał nawet myśleć, że stało się najgorsze, że już zapomniał, jak wygląda Sally. Jakże to tak? Jej twarz w jego pamięci wydawała się rozmazana, nieostra. Zabolalo go serce.

Postukał ołówkiem o kolano i spróbował pomyśleć, co innego mógłby narysować na rozgrzewkę, zanim weźmie się za rysowanie Sally, ale obrazy w jego głowie kłębiły się i mieszały. Czubek zadartego noska małej Cecilii. Wybuchy wzbijające tumany piasku na plaży Omaha. Zimna, przytłaczająca ciemność kopalni węgla w Pensylwanii. Paul Blakely leżący na wznak przed wejściem do katedry w Akwizgranie ze świeżą plamą czerwieni na piersi. Odłożył papier i ołówek na kamień, wstał, splótł dłonie za głową i zaczął chodzić w tę i z powrotem.

Słyszał dobiegające z tyłu urywki krzyżujących się w powietrzu niemieckich rozmów. Ten namiot był po prostu jednym z setek podobnych, dających schronienie niemieckim uchodźcom, którzy robili, co mogli, aby przeżyć pośród niewyobrażalnego zniszczenia. Przez trzy miesiące oddział Dominica przemieszczał się po regionie, po obozach dla uchodźców i zdewastowanych muzeach, poszukując ostatnich pozostałych specjalistów, którzy mogliby

pomóc im zlokalizować i objąć ochroną bezcenne dzieła sztuki. Ale wielu z tych artystów i pracowników muzealnych wybrało milczenie – być może bali się, co mogłoby ich spotkać, gdyby cokolwiek powiedzieli. Innych już od dawna nie było – uciekli na terytorium wciąż należące do wroga, na wschód od Renu.

Ksiądz Stephany jeździł wraz z oddziałem, robiąc co w jego mocy, aby namówić swoich rodaków, niemieckich uchodźców, do współpracy w poszukiwaniu dzieł sztuki, które były mu tak bardzo drogie. Te wysiłki przynosiły jednak znikomy rezultat. Nie znajdowali niczego, a twarze bez wyrazu mówiły Dominicowi, że ci uchodźcy zaczynali tracić sens życia. Dalecy od obrazu wiwatujących tłumów rozradowanych obywateli witających amerykańskich wybawców, jakich obiecywała propaganda, ci Niemcy pozostawali czujni. Kto mógłby ich winić? Na wpeł zagłodzeni i przerażeni, nie mieli powodu, by ufać Amerykanom. Dominic zrozumiał, że wyzwolenie to sprawa bardziej skomplikowana niż się spodziewał.

– Bonelli! Do wozu! – Dominic zobaczył kilku ludzi ze swojego oddziału wsiadających do ciężarówki przy wjeździe do obozu. Hancock pomagał wsiąść starszemu człowiekowi, pracownikowi niemieckiego muzeum. Znaleźli go na wpeł żywego w namiocie tak cienkim, że słońce przeświecało na wylot przez płócienne ściany. Miał jednak jeszcze w sobie tyle życia, żeby powiedzieć im, że jest emerytowanym specjalistą od sztuki i chce pomóc. Dla Hancocka była to wspaniała wiadomość. Przynajmniej ich wypad do tego obozu okazał się bardziej owocny niż poprzedni.

Dominic przewiesił chlebak przez ramię i spokojnym krokiem podszedł do ciężarówki. Swoją świeżą kartkę i ołówek zostawił na kamieniu.

## EDITH

Zachodnia Polska  
Październik 1939

Edith przyglądała się badawczo Kajetanowi Muhlmannowi, który zapadł w niespokojną drzemkę na miękkim, pluszowym siedzeniu w wagonie pędzącego pociągu.

Nawet bezbronny we śnie był trudny do rozszyfrowania. Edith obserwowała plamy przefiltrowanego światła przesuwające się po jego twarzy, oświetlające szorstki zarost pilnie potrzebujący brzytwy. Z jego szerokim czołem i barami oraz kwadratową szczęką wyobrażała go sobie na ringu boksterskim. Mijając go na ulicy, nigdy by nie pomyślała że to historyk sztuki. Tymczasem Mühlmann zaszedł w zawodzie na tyle wysoko, że powierzono mu bezcenne dzieła sztuki do osobistego transportu. Oczywiście był też sympatykiem partii. Nikt, kto nie był, nie awansowałby do stopnia SS-Oberführera.

Co ona tu robi?

Przez moment Edith czuła się tak, jakby została wepchnięta na scenę surrealistycznej sztuki, jakby żyła w jakimś śnie. Posapujący parowóz ciągnął pociąg do przodu, w jednostajnym, usypiającym rytmie, coraz bliżej Krakowa. W innych okolicznościach łatwo byłoby się zdrzemnąć, ale ona miała nerwy zbyt napięte, żeby zasnąć.

Ta podróż była zupełnie inna od jazdy z Monachium do Krakowa, kiedy to tłukła się w pustym wagonie sypialnym pociągu przypominającego bardziej koszary. Teraz Edith i Kai zajmowali przedział pierwszej klasy eleganckiego pulmana, który mieli tylko dla siebie. Kilkadziesiąt obrazów, które wybrali, było starannie opakowanych i zabezpieczonych, ułożonych ostrożnie między obitymi aksamitem siedzeniami, zasłonami z frędzlami i stołami z wiśniowego

drewna w tym luksusowym wagonie. Za przeszklonymi frontami kabinetów ciężkie srebrne serwisy pobrzękiwały przyjemnie w rytm stukotu kół.

Na każdym końcu wagonu miał stanowisko *Feldgendarm* z pistoletem maszynowym w kaburze u pasa. Edith przyglądała się smukłym sylwetkom tych mężczyzn, które przesłaniały szyby w drzwiach, kiedy przechadzali się po wąskim pomoście między wagonami. Przypuszczała, że postawiono ich tam, aby zapewnili bezpieczeństwo pulmana i jego zawartości, ale bynajmniej nie czuła się bezpiecznie w tej dziwnej, odmienionej rzeczywistości.

Powieki Kaia drgnęły. Otworzył oczy i zaniósł się głębokim kaszlem. Edith szybko odwróciła wzrok ku grupie klonów, których liście zaczynały się złocić. Czy widział, że mu się przyglądała?

– Kiedy już wypakujemy obrazy w Berlinie, może pani wracać do Monachium – powiedział, odchrząknąwszy. Głos miał niski i aksamitny, przeciągał samogłoski na swój charakterystyczny, austriacki sposób. Bicie serca Edith przyspieszyło, bo nie wiedziała czy naprawdę spał, czy wyczuwał, że cały czas mu się przyglądała.

Skinęła głową, ale nic nie powiedziała, obserwując migający za oknem polski pejzaż bez śladu ludzi. W oddali mogła dostrzec dym unoszący się w powietrzu nad zgliszczami. Czy to było gospodarstwo? Miasteczko?

Jej zmarszczenie brwi musiało być widoczne, bowiem Kai naciskał. – Nie cieszy się pani, że wraca do domu?

Edith skinęła głową, po czym spojrzała mu w oczy. – Och, tak. Tylko że... Możliwe, że mój narzeczony Heinrich będzie tędy przejeżdżał w drodze do wschodniej Polski. Spodziewam się, że będzie tu lada dzień, a może już jest. Myślałam, że mogłabym mieć okazję zobaczyć się z nim, choćby na moment – wzruszyła ramionami. – To głupie z mojej strony...

Dr Mühlmann przytaknął, rozcierając dłonie jedną o drugą, jakby chciał je rozgrzać.

– To trudne – cień przemknął po jego twarzy, a usta zacisnęły się ponuro.

– Miałam tylko nadzieję, to wszystko.

– Nie ma nic złego w nadziei – powiedział. – Ale kiedy on wróci, nic już nie będzie takie samo. Pani narzeczony będzie innym człowiekiem. Musi się pani

przygotować, że wszystko się zmieni. Że on się zmieni. Widziałem, jak to się stało z moimi przyjaciółmi, którzy służyli podczas Wielkiej Wojny.

Edith nie chciała o tym myśleć. Chciała z powrotem swojego Heinricha. Czy Kai mógł rozumieć pragnienie odzyskania własnego życia, takiego jakie było przedtem?

Dr Mühlmann zacisnął wargi, po czym zapytał: – Ma pani rodzinę w Monachium?

– Tylko ojca i jakichś dalekich kuzynów. Mój tata jest teraz starym człowiekiem, kruchym i słabym. Kiedyś był znanym profesorem Akademii Sztuk Pięknych, ale ani nic nie pamięta. Martwię się o niego bez przerwy, kiedy mnie przy nim nie ma. Trudno było znaleźć opiekunkę, na której można polegać... – zmusiła się, żeby przestać mówić. Czy wyjawiała za dużo?

– Cóż – odezwał się. – Mam nadzieję, że już niedługo dojedzie pani do domu i zobaczy ojca.

– Też mam taką nadzieję – odpowiedziała, napotykając wzrokiem jego spojrzenie. – To nie jest miejsce dla historyków sztuki.

Kai zaśmiał się, co wywołało następny napad kaszlu. Kiedy minął, powiedział: – Tak. Tematem mojej dysertacji były barokowe fontanny w Salzburgu. Nigdy nie zamierzałem zostać Specjalnym Przedstawicielem do spraw Ochrony i Zabezpieczania Dzieł Sztuki na Okupowanych Terytoriach Wschodnich – błady uśmiech pojawił się na moment na jego twarzy.

– Ale musi być coś, co moglibyśmy zrobić, żeby to powstrzymać – Edith czuła, że jej głos drży. – Na pewno jest lepszy sposób zapewnienia bezpieczeństwa tym dziełom sztuki – wskazała skrzynie umieszczone między obitymi pluszem siedzeniami.

Kai w zamyśleniu przejechał szeroką dłońią po swojej szczeciniastej brodzie. – Zapewniam panią, że te dzieła są dużo bezpieczniejsze w naszym posiadaniu – i w granicach Niemiec – niż byłyby kiedykolwiek gdzie indziej – wskazał posępny krajobraz za oknem pociągu. – Polska niebawem będzie kupą gruzów, to powinno być dla pani oczywiste. Również, Fräulein, choć nie kwestionuję wagi pani wkładu, musi pani zdać sobie sprawę, że ta inicjatywa nie ogranicza się do pani i mnie. My odgrywamy tylko małą rolę.



– Ale... – przerwała mu. – Mogliśmy interweniować wcześniej... zanim księżę i jego żona... zanim te obrazy zostały wydarte ich właścicielom w tak brutalny sposób! Czy oni muszą być wywożeni z Polski przez gestapo?

Zdawało się, że cień przesłonił twarz Kaia jak chmura gradowa nagle zakrywająca słońce. Edith przerwała, żałując, że podzieliła się swoją opinią. Czy Kai może kazać ją aresztować? Nawet zabić?

On jakby czytał w jej myślach. – Gubernator Frank nie będzie słuchał takich wywodów i poważnie radzę, Fräulein, aby zachowywała pani takie opinie dla siebie. Bardzo niewiele z tego, co dzieje się w Polsce, nie dociera do uszu i oczu gubernatora Franka. Mogą być... niepożądane konsekwencje. Proszę się uważać za ostrzeżoną.

W milczeniu, jakie zaległo między nimi, Edith zastanawiała się, czy zmiana czegokolwiek jest w ogóle w jej mocy.

– Mogę o coś spytać? – pochyliła się do przodu na swoim miejscu. – Czy wierzy pan w to, co pan... co my robimy?

Kai zwlekał z odpowiedzią. Widziała jak jego spojrzenie przesunęło się na jednego z wartowników. Potem on też nachylił się do przodu, spojrzał jej w oczy i ściszył głos.

– Jesteśmy na wojnie, Fräulein. Obarczono nas konfiskowaniem i sekwestrowaniem własności wroga – to nasza praca. I jak już wspomniałem, my zapewniamy tym dziełom przetrwanie dla przyszłych pokoleń. Poza tym nasze osobiste poglądy liczą się tyle co nic.

Edith widziała, jak kolejny cień przesunął się po twarzy Kaia, w zaledwie kilka sekund postarzając go o kilka lata. Pociąg przeraźliwie zagwizdał. Wjechali do tunelu i wagon pogrążył się w ciemności.

## DOMINIC

Akwizgran, Niemcy  
Styczeń 1945

Nie tak dawno temu Muzeum Suermondta musiało być wspaniałe. Dominic przyglądał się reprezentacyjnej klatce schodowej w środku budynku, kolumnadom atrium, sklepionym sufitom z malowidłami przypominającymi niebo z mitologicznymi stworzeniami przelatującymi mu nad głową. Teraz, tak samo jak wiele innych starych budowli, które widział w ostatnich miesiącach, muzeum popadło w ruinę. Nawet w środku lodowate podmuchy zimowego wiatru przenikały przez mundur polowy Dominica przemarzniętego do kości.

Sądząc po niezadowolonym wyrazie twarzy kapitana Hancocka, ten rekoniesans po kolejnej kolekcji dzieł sztuki przyniósł rozczarowanie. Dominic jednym okiem obserwował otoczenie, aby dostrzec ewentualne zagrożenie, a jednocześnie patrzył na swojego dowódcę, który wysuwał szuflady masywnego, pokrytego kurzem biurka w jednym z pomieszczeń muzealnych, szukając jakichkolwiek wskazówek co do miejsca przewiezienia arcydzieł Suermondta. Przystępując nad pokruszonymi cegłami i gipsowym pyłem pochodzącymi z dziury ziejącej w ścianie, dotarł na drugi koniec pokoju, gdzie dwóch ludzi przeszukiwało zawartość kartoteki.

Gruba warstwa kurzu osiadała na wszystkim i nie był to tylko kurz bitewny. Jesień przeszła w zimę, Dominic wiedział, że poza muzeum krajobraz sprowadzał się do zwałów gruzu iskrzącego się od lodu. Wiatr przewracał kilka kartek, które mieszały się z płatkami śniegu nawiewanymi przez dziurę.

Po drugiej stronie pokoju kapitan Hancock opadł na najbliższe, zakurzone krzesło biurowe. Wyciągnął szufladę i wyrzuciwszy z niej stos notesów, zaczął

kartkować ten leżący najbliżej. Dominic czuł, że ma nogi jak z ołowiu i ciekaw był, skąd Hancock czerpie energię.

– Musieli to dokądś wywieźć, może nawet gdzieś niedaleko – mruknął Hancock.

Zamiast odpowiedzieć, komandor podporucznik Stout zatrzaskał szufladę kabinetu. Mebel zatrząsł się, wysypały się z niego łuski od pocisków, zsunęła się warstwa śniegu. Trzej mężczyźni spojrzeli równocześnie na dziurę w suficie biura. Pocisk, którego tor znaczyło potrzaskane drewno i pokruszony kamień, przebił się przez wszystkie kondygnacje budynku, więc w górze widać było kawałek szarego nieba.

Pukanie we framugę drzwi obwieściło przybycie żołnierza MP, który miał złuzować Dominica, by mógł się ulotnić i pochłonąć z wilczym apetytem zawartość puszki ze swojej racji żywnościowej typu C. Przechodząc do sąsiedniej galerii, Dominic mógł się naocznie przekonać, jak zaciekle bitwa została tu stoczona między siłami alianckimi a Niemcami. Galerie i korytarze zasypane były jakimiś szczątkami. Wiele pociemniałych obrazów, ceramika i małe rzeźby wciąż widać było tu i tam, ale mimo gruntownego przeszukania rumowiska nie natknęli się na żadne ślady największych arcydzieł, jakie miały się znajdować w tym muzeum. Porzucone elementy wyposażenia były porozrzucane w eleganckich pasażach, gdzie przedstawiciele klasy wyższej Akwizgranu spędzili wiele spokojnych wieczorów, ciesząc oczy cennymi dziełami sztuki, które teraz zniknęły. Puste powierzchnie i haki na ścianach wskazywały, gdzie brakuje obrazów.

Posadzka galerii, kiedyś polerowana i lśniąca jak lustro, teraz była spękana i porysowana ciężkimi buciorami żołnierzy, którzy rozwalali się na podłodze, rzucając swoje rzeczy gdzie popadnie. Zimno przeniknęło Dominica na wskroś, a kiedy otworzył drzwi galerii i wszedł do środka, powitał go zapach gotującej się zupy. Wbrew sobie wziął głęboki wdech i uśmiechnął się. Jakimś cudem ksiądz Stephany potrafił sprawić, że nawet ich nędzne i pozbawione smaku racje żywnościowe pachniały jak prawdziwe jedzenie.

– Dominic! – duchowny schylał się nad garnkiem postawionym na małym ognisku skleconym z byle czego. – Chodź! Siadaj. Jedz. Widać, że zmarłeś.

Podczas gdy Stephany pichcił nieprawdopodobny posiłek w nieprawdopodobnym miejscu, dwaj żołnierze i niemiecki specjalista

znaleziony w jednym z obozów dla uchodźców, badali tych kilka obrazów nadal wiszących na ścianach galerii. Jeden z mężczyzn notował zawzięcie, zaś Niemiec wykrzykiwał informacje katalogowe do sporządzanego naprędce spisu.

Dominic przysiadł całym ciężarem swojego zmęczonego ciała na plecaku i z wdzięcznością wziął miskę podaną przez księdza. Przeliykał gorącą zupę, rozkoszując się ciepłem spływającym do wnętrza.

Przemiana Stephany'ego z wychudzonego, roztrzęsionego starca, którego wydobyli z gruzów katedry, była zdumiewająca. Z początku oficerowie byli niechętni jego próbom przyłączenia się do wojska, ale później, zdając sobie sprawę, że warto jest mieć po swojej stronie rdzennego Niemca – zwłaszcza osobiście zainteresowanego odzyskaniem zrabowanych dzieł sztuki – zmiękli. Teraz Stephany wydawał się innym człowiekiem. Jego wynędzniała twarz zaokrągliła się, nabrała rumieńców i zagościł na niej uśmiech. Tryskał entuzjazmem. Jeździł wszędzie z oddziałem, modlił się za nich i od czasu do czasu próbował pokropić brudnych żołnierzy wodą święconą. Ci, którzy w odróżnieniu od Dominica nie byli praktykujący, zrzędzili, nazywając go starym wariatem, ale wszyscy doceniali jego pogodę ducha i jego talent do urozmaicania wojskowych racji składnikami, które udawało mu się zorganizować po drodze.

Dominic spojrzał na niemieckiego pracownika muzeum sprowadzonego z obozu dla uchodźców. Stephany poszedł za jego wzrokiem.

– Ach – powiedział, nalewając następną miskę zupy. – Z nim już lepiej.

Pokuśtykał do starego człowieka z miską w wyciągniętych rękach, mówiąc coś szybko po niemiecku. Tamten wytrzeszczył oczy, wziął miskę i spróbował nieśmiało. Uśmiech rozjaśnił jego twarz, z większym entuzjazmem wrócił do ogromnego rejestru leżącego na podłodze. Jedząc zupę, przewracał kartki, szukał wskazówek, gdzie mogły się podziać te wszystkie arcydzieła.

Gest dobroci Stephany'ego przypomniał Dominicowi Paula. Przeszył go ból tak potężny, że aż go zemdlilo. Straciwszy apetyt, odstawił miskę i wbił niewidzący wzrok w podłogę. Co noc widział cierpienie w oczach Paula, słyszał jego chrapliwy głos, jakim wykrztusił ostatnie słowa: *Nie przestawaj rysować*. I codziennie, kiedy siadał z boku do posiłku, kiedy był świadkiem wymiany

ognia, kiedy słuchał nieznanego oddechu człowieka na górnej pryczy, brakowało mu Paula coraz bardziej.

Kiedy ta tęsknota ustanie? Dominic zamknął oczy, aby uśmierzyć ból i objął się ramionami, chory z tęsknoty za tymi, których kochał. Robił co mógł, żeby podtrzymać nadzieję, że znów zobaczy Sally i małą Cecilię. Czy kiedykolwiek weźmie na ręce swoje drugie dziecko?

Co do jego rysowania, to nie wziął ołówka do ręki od śmierci Paula. Po prostu nie mógł się do tego zmusić. To dla sztuki poświęcono życie jego przyjaciela. Hancock zaczął dostawać raporty wywiadu o możliwych miejscach ukrycia skarbów w całych Niemczech, a nawet dalej na wschód. I Hancock, i Stout byli na tyle szaleni, żeby zaryzykować wszystko dla swojej misji. Tylko czy to naprawdę było tego warte?

Stephany obserwował Dominica. Przemawiał do niego łagodnie, wrywając z zadumy. – Jesteś Włochem, tak?

Dominic podniósł wzrok z ulgą, że ciąg jego myśli został przerwany.

– Z Pittsburga, ściśle mówiąc. Ale moi rodzice przyjechali z Włoch.

– Znasz Leonarda da Vinci?

Dominic uśmiechnął się wbrew sobie. Nazwisko starego mistrza wciąż nie było mu obojętne.

– Oczywiście. To jeden z moich ulubionych.

Stephany rozpromienił się. – Szukamy dalej. Niedługo znajdziemy.

Dominic zaśmiał się na takie stwierdzenie. Przynajmniej jeden z nich wciąż jest optymistą, pomyślał.

– Martwisz się – powiedział Stephany, patrząc na niego swoimi jasnymi oczami.

– Co?

Stephany wskazał na niego swoją łyżką. – Widzę, że coś cię niepokoi.

Dominic zawahał się. – Wiele rzeczy na tej wojnie mnie niepokoi, proszę księdza.

– Tak. Ale ty widziałeś śmierć swojego przyjaciela – powiedział Stephany łagodnie. – To niełatwe.

Emocje buzowały w piersi Dominica. Nagle chciało mu się krzyczeć, w coś uderzyć, ale przełknął ślinę i zapanował nad głosem.

– Po prostu zastanawiam się, czy to jest tego warte. Wiem, że księdzu naprawdę zależy, żeby skarby wróciły do księdza kościoła. Ale czy to jest warte życia Blakely’ego... i życia wszystkich innych, którzy zginęli?

Stephany milczał, zastanawiając się. – Rozumiem. Pan Blakely. On nie chciał brać udziału w tej misji?

– To znaczy... – Dominic przełknął ślinę. – Myślę, że Blakely był zdecydowany iść tam, gdzie go pošlą. Czy nie na to się zgodził? I wierzył, że misja Obrońców Zabytków jest ważna. Niech ksiądz posłucha. Myślę, że to wspaniale, że ci faceci usiłują ocalić coś dla ludzkości i w ogóle – mówił, wskazując na Hancocka – ale nie rozumiem, jak to ma być warte narażenia choćby jednego życia, a tym bardziej... milionów. Słyszał ksiądz, co hitlerowcy zrobili w Polsce? Miliony ludzi mordowanych w gettach, wysyłanych do obozów koncentracyjnych bez powodu. Jak to jest możliwe? I do tego... – gwałtownie wypuścił powietrze. – Proszę bardzo, my, siedzący na dupach w jakimś cholernym muzeum. No nie – złapał się za włosy, jakby chciał je wyrwać.

Stephany pozostał nieporuszony.

– Tak. Zło, jakiego świat nie widział. Wiem – zwrócił się twarzą do Dominica, wpatrywał się w niego z powagą. – Ale pozwól, że spytam cię o coś, przyjacielu. Gdybyśmy szukali magazynu żywności albo czegoś innego, co utrzymałoby nas przy życiu, byłoby to tego warte?

Dominic zmarszczył brwi. – Chyba tak.

– A jeśli przeżyjesz wojnę, co zrobisz, kiedy wrócisz do domu?

– Ucałuję moją żonę i dzieci – emocje podeszły mu do gardła. – Wrócę do pracy w kopalni. I... – przerwał, przypominając sobie najszcześniejsze chwile swojego życia: rysowanie Sally zmywającej naczynia. – I chyba zacznę znowu rysować któregoś dnia.

– Widzisz więc – Stephany z uśmiechem dotknął jego ramienia. – Już tak dużo straciliśmy. Nie możemy w dodatku stracić tego, co kochamy – wskazał na mężczyzn inwentaryzujących ustawione pod ścianą obrazy, które zostały. –

Wyobraź sobie świat bez sztuki, bez muzyki, tańca, bez rzeczy, których tak naprawdę nie potrzebujemy. To byłby świat, na którym nie warto żyć.

Dominic poczuł, że zrobiło mu się trochę lżej na sercu. Wziął z powrotem swoją miskę z zupą, słuchając jednym uchem mężczyzn sporządzających opis jednego z niewielu obrazów pozostawionych na ścianach.

– Scena targowa – dyktował stary Niemiec żołnierzowi zapisującemu w notesie – XVII wiek. Niemcy. Ewentualny naśladowca Altdorfera...

Nagle z jednej z klatek schodowych łączących galerię z holem na dole wszedł żołnierz z wielką księgą.

– Jest tu Hancock?

– Jestem – odezwał się za plecami Dominica, który aż podskoczył. – O co chodzi, szeregowy?

– Katalog muzeum, sir. Proszę spojrzeć.

Dominic i inni otoczyli żołnierza, który przykląkł i otworzył położoną na podłodze księgę. Równe linie tekstu były podkreślone niebieskim i czerwonym ołówkiem. Hancock, pełen entuzjazmu, kartkował księgę, wydając stłumione okrzyki radości.

– To jest to, czego szukaliśmy!

Stephany i niemiecki profesor zagłądali Dominicowi przez ramię. Profesor wymachiwał rękami i mówił bardzo szybko po niemiecku. Stephany musiał go dwa razy prosić, żeby zwolnił, zanim mógł przetłumaczyć.

– On mówi, że znajdziemy dużo obrazów takich jak ten. To jest oficjalny rejestr. Wiejskie szkoły. Gmachy sądów. Kawiarnie. Inne miejsca, gdzie mogą być przechowywane obrazy i rzeźby.

– Ale spójrzcie na to – Hancock postukał palcem w adnotację u dołu strony, – Mój niemiecki nie jest doskonały, ale widzę tu słowo „Siegen”.

– Tak – potwierdził Stephany. – To znaczy, że część najważniejszych obiektów przewieziono do tamtejszej kopalni.

– Ale to jest na drugim końcu Niemiec, za Renem – zauważył zawiedziony Hancock. – Nie mogę sobie wyobrazić, że te obrazy przetrwały taką podróż nienaruszone.

Dominic popatrzył na zmarszczone czoło dowódcy. Może to znaczyło, że uporządkują co się da w Akwizgranie i na tym zakończą tę szaloną misję.

Ale Hancock podniósł głowę, na jego twarz wrócił uśmiech. – W każdym razie to potrwa, zanim dojdziemy tak daleko.

Dominicowi opadły ręce. Chociaż chciałby zobaczyć obraz Leonarda da Vinci na własne oczy, jeszcze bardziej chciał wrócić do domu. Nie pragnął przebijać się przez zdewastowaną Europę.

Poczuł, jak ksiądz Stephany ściska go za ramię, więc odwrócił się, a wtedy zobaczył zwycięski uśmiech na twarzy tego starego człowieka. – Mówię ci, znajdziemy te skarby. Widzisz, przyjacielu? Jest nadzieja.



## EDITH

Kraków, Polska  
Październik 1939

Najpierw usłyszeli ryk silników pojazdów opancerzonych.

Edith patrzyła, jak Kai Mühlmann nerwowo chodzi w czytelni Biblioteki Jagiellońskiej od jednej do drugiej ściany. Przystanął przed holenderską martwą naturą o soczystym kolorycie i przygryzł nierówny paznokieć. Twarz miał chmurną, szczęki zaciśnięte, usta zastygłe w cienką linię. Zatrzymał się, żeby poprawić kąt ustawienia sztalugi, po czym podjął na nowo swoją przechadzkę, splótłszy ciasno palce za plecami. W tle słyszeli trzaskanie drzwi samochodu i stukot butów w westybulu biblioteki.

Przez całe popołudnie Edith i Kajetan Mühlmann nadzorowali rozładowywanie i szykowanie ekspozycji dwóch tuzinów obrazów, z którymi przyjechali pociągiem z Jarosławia. Wielka czytelnia Biblioteki Jagiellońskiej przypominała teraz bardziej muzeum sztuki niż repozytorium rzadkich książek. Dzieła ocenione przez Mühlmanna jako najlepsze ze wszystkich skonfiskowanych z polskich kolekcji były teraz wystawione w tej sali.

Wielka Trójka. Tak Mühlmann zaczął określać trzy najcenniejsze dzieła wyciągnięte z polskich zbiorów. Były to: *Krajobraz z miłosiernym Samarytaninem* Rembrandta, *Portret młodzieńca* Rafaela i *Dama z gronostajem* Leonarda da Vinci. Oprócz tych obrazów, wyeksponowanych na pierwszym planie, znajdowało się tu kilka mistrzowskich pejzaży i portretów, wszystkie zakwalifikowane do *Wahl I*. Najwyższa klasa.

Bezcenne obrazy starannie rozmieszczono, aby jak najlepiej były widoczne w rozproszonym, naturalnym świetle padającym z góry, przez świetlik

w suficie. Ściany wokół obstawione były na wysokość trzech pięter tysiącami książek, dostępnych za pomocą systemu schodów i chwiejnych drabin.

W czytelni czuć było zapach, jakby postępował w niej proces jakiegoś powolnego rozkładu, wszystko pokryte było warstwą kurzu. Jednak poza pracownią konserwacji malarstwa Edith najbardziej chciałaby być właśnie w bibliotece pełnej rozpadających się książek. W innych okolicznościach z rozkoszą spędziłaby tutaj dzień, wdrapując się po schodach, żeby zdejmować z półek dawno zapomniane tomy. To byłoby coś na spokojny czas, na czas marzeń. Tymczasem musiała być cicho i wykonywać rozkazy. Jaki miała wybór? Niedługo już będzie w domu. Kai jej to obiecał w pociągu.

Kiedy drzwi czytelni otwarły się, Edith zajęła miejsce obok Mühlmanna, który wreszcie przestał krążyć. Czekali.

Niebawem oficerowie w długich płaszczach rzędem wmaszerowali do czytelni, każdy z pistoletem dobrze widocznym u pasa. Edith widziała, jak Kai strzepnął paproch z munduru. Mężczyźni zasalutowali Kaiowi. Jeśli w ogóle zauważyli obecność Edith, nie dali po sobie poznać.

W tłumie kolejnych mężczyzn w mundurach do sali wkroczył wielki jastrząb – oficer w płaszczu polowym, obwieszonym odznaczeniami. Włosy miał ciemne i lśniące, nos jak dziób, ciemnymi oczami rozglądał się jak drapieżny ptak za zdobyczą. Edith cofnęła się w cień i wcisnęła się między sztalugi.

Nowy gubernator Polski, pomyślała. Hans Frank. To mógł być tylko on.

– *Sig Heil!* – mężczyzna wyciągnął ramię, salutując.

Kai odpowiedział tym samym gestem. – Gubernatorze Frank.

Przez chwilę mężczyźni stali naprzeciwko siebie, twarzą w twarz, jak ptaki stroszące pióra, obaj z zaciśniętymi szczękami, wytrzymujący wzajemne spojrzenie. Kiedy podnieśli prawe ręce w geście nazistowskiej jedności, Edith z trudem rozpoznawała Kaia, skrytego choć miłego historyka sztuki, do którego zaczynała się przyzwyczajać.

Po oficjalnym powitaniu sposób bycia Hansa Franka złagodniał. Podał Kaiowi prawą rękę i uścisnął mu dłoń, potrząsając energicznie.

– Przyjacielu – zwrócił się do niego. – Z zadowoleniem zastaję cię tutaj.

Frank stał tak blisko Edith, że mogła wyczuć silny zapach mydła i sosny. Jego czarne włosy były zaczesane do tyłu, jakby użył do ich ułożenia pasty do butów.

Kai zaprosił gestem gubernatora Franka, by podszedł za nim do pierwszego obrazu, jaki umieścili na sztaludze – małego, XVIII-wiecznego francuskiego pejzażu, wyidealizowanego widoku klasycznej świątyni wśród bujnej przyrody. Grupa żołnierzy poszła ich śladem i Edith została sama.

Czyżby była niewidzialna? Zawahała się, niepewna, czy ma zwrócić na siebie uwagę, czy nie.

Obserwowała gubernatora, którego ciemne oczy przesuwają się po *Portrecie młodzieńca Rafaela*. Mogła dostrzec, że jest urzeczony. Kai absorbował całą jego uwagę, objaśniając szczegółowo, gdzie i jak obrazy zostały zlokalizowane i dlaczego są warte zabezpieczenia przez Rzeszę.

Kilku żołnierzy beczynnie tkwiło w wejściu do czytelni i wyglądało na znudzonych. Kilku innych pętało się za Kaiem i Hansem Frankiem, słuchając informacji o obrazach. Jeden z żołnierzy wyciągnął rękę do małego portretu, jakby miał zamiar przejechać palcami po jego powierzchni. Edith wysunęła się do przodu, gotowa go powstrzymać, ale on zmienił zdanie, schował ręce za plecami i przeszedł dalej.

– Nie znamy tożsamości modelu – wyjaśniał Kai gubernatorowi Frankowi – ale niektórzy uważają, że może to być autoportret Rafaela.

Edith poczuła ukłucie zazdrości – odczucie, którego doznawała zawsze, kiedy słyszała, jak ktoś z pewnością siebie i talentem dzieli się swoją wiedzą. Tą umiejętnością obdarzony był jej ojciec. Potrafił sprawić, że widz naprawdę „widział” dzieło tak jak nigdy wcześniej. Serce ją bolało, że jego błyskotliwy umysł uległ tak okrutnej degradacji. Odrobinę podnosiła ją na duchu nadzieja, że wkrótce zobaczy ojca, więc się jej uchwyciła.

Gubernator Frank wpatrywał się intensywnie w każdy obraz, z podziwem kiwając głową. W końcu stanął przed *Damą z gronostajem*. Kai zamilkł, dając mu chwilę na chłonięcie dzieła. Sposób, w jaki gubernator na niego patrzył, sprawiał, że Edith burzyła się w środku. To było wygłodniałe, chciwe spojrzenie maniackiego kolekcjonera. Widziała je wiele razy u kolekcjonerów i niedoszłych kolekcjonerów buszujących po galeriach Alte Pinakothek.

– Ten obraz uważa się za pierwszy nowoczesny portret – zaczął Mühlmann. – Leonardo da Vinci nie namalował jej z profilu, jak malowano portrety

wcześniej, ani nie przedstawił jako wyidealizowanej kobiety o mitycznym rodowodzie.

Serce w piersi Edith zaczęło tłuc się w zawrotnym tempie, kiedy z ust Mühlmanna usłyszała swoje własne słowa. Czy przypisywał sobie jej wiedzę o tym obrazie? Poczula uderzenie gorąca na twarzy i szyi. Jak on śmie zawłaszczać wynik jej własnych badań, wiedzę, której mógłby nie mieć, gdyby nie przekazała mu jej tymi samymi słowami?

Mühlmann mówił dalej: – Leonardo wyszedł poza konwencję. Przedstawił kochankę księcia tak, jak prawdopodobnie wyglądała w rzeczywistości...

– Gdzie to znaleźliście? – przerwał mu Frank rozkazującym tonem.

Kai urwał wyraźnie zirytowany, że zgaszono go akurat kiedy miał okazję podzielić się swoją nowo zdobytą wiedzą.

– Nasza Fräulein Becker znalazła to wśród obiektów pozyskanych przez Partię w pałacu Czartoryskich.

– Fräulein Becker – powtórzył gubernator.

Kai uniósł rękę, aby przywołać Edith. Wyszła z cienia i dołączyła do nich.

Teraz gubernator zwrócił swoje ciemne oczy na nią. Chciwość. Tak, to był ten wyraz na jego twarzy. Skręcała się w środku, żałując, że nie może z powrotem zniknąć w cieniu. Wzięła się jednak w garść.

– Znaleźliśmy je ukryte w sekretnym pokoju pałacu rodziny w Pełkiniach, do którego wejście zostało zamurowane – oznajmiła.

– Proszę wybaczyć – powiedział Kai, delikatnie biorąc ją za łokieć. – Czy mogę przedstawić Edith Becker? Przyszła do nas z Alte Pinakothek w Monachium. Polecił ją Generaldirektor Buchner, wysoko ceniąc jej wiedzę o malarstwie włoskiego renesansu, a zwłaszcza kompetencje w zakresie konserwacji. Ukończyła Akademię Sztuk Pięknych jako najlepsza na roku.

Hans Frank przyglądał się jej ciemnymi oczami, a ona wolałaby, żeby Kai przestał obsypywać ją pochwałami. Teraz przyglądało się jej również kilku żołnierzy. Tak samo jak wtedy w sali konferencyjnej muzeum w Monachium, nie wiadomo, jak stała się w centrum zainteresowania.

Gubernator Frank pokiwał głową.

– Jestem pod wrażeniem, Fräulein – wziął jej rękę na powitanie, ściskając trochę mocniej niż by sobie życzyła. – Może wie pani, że największym

marzeniem naszego Führera było uczęszczać do Akademii Sztuk Pięknych w Wiedniu, a i ja sam rozważałem karierę w dziedzinie sztuki, zanim mój ojciec nie zmusił mnie do wstąpienia na wydział prawa. Z niecierpliwością czekam na częste rozmowy z panią.

– Dziękuję – powiedziała, napotykając jego wzrok. Miała nadzieję, że nie poczuje lepkości jego dłoni. Instynkt mówił jej, żeby cofnęła rękę, ale nie chciała dawać temu prostackiemu typowi satysfakcji, że wytrącił ją z równowagi. Wytrzymała, dopóki nie puścił jej i odwróciwszy się na pięcie odezwał się znów do Kaia.

– *Sehr gut!* Jestem zadowolony – oznajmił, a ona zauważyła, że usta Kaia rozciągnęły się w cienką linię, która wyglądała bardziej na grymas niż uśmiech.

Przez dłuższą chwilę gubernator Frank przechadzał się w milczeniu po sali, ogarniając uważnym spojrzeniem małą wystawę. Potem zatrzymał się i długim palcem wskazał trzy obrazy, zwracając się do towarzyszących mu żołnierzy: – Ten, ten i ten.

Edith poczuła, że włosy jeżą się jej na głowie. *Portret młodzieńca* Rafaela. *Krajobraz* Rembrandta. *I Dama z gronostajem* Leonarda.

Wielka Trójka.

– Te zostaną u mnie w Krakowie – powiedział do Kaia. – Resztę możecie zabrać do Berlina.

Na pozostałe obrazy machnął ręką. Żołnierze przystąpili do działania. Edith widziała, jak jeden z nich, młody, chwycił ramę Rafaela i zdjął obraz ze sztalugi.

– Czekaj! – krzyknęła. Bez zastanowienia podbiegła i złapała za ramię żołnierza trzymającego w rękach obraz. Żołnierz zamarł. Dla Edith czas się zatrzymał. Czy posłuchają jej teraz, kiedy ich uwaga skupiła się na niej? Czy ona w ogóle ma w tej kwestii coś do powiedzenia? Ale żołnierz odwrócił się od niej i wszyscy mężczyźni w sali skoncentrowali się na Hansie Franku.

– Nie możecie ich tak po prostu zabrać! – krzyczała, czując ucisk w klatce piersiowej, która podnosiła się i opadała w rytm przyspieszonego oddechu. –

One nie należą do... nas. Były częścią kolekcji rodziny Czartoryskich. Ich przodkowie kupili te obrazy we Włoszech dwieście lat temu...

Widziała, że twarz Kaia zbieleła. – Wszystkie te obrazy mają być zapakowane do skrzyń w celu przetransportowania do Berlina. Mamy rozkazy – Kai

wysunął się przed Edith, zasłaniając ją swoimi szerokimi ramionami przed wzrokiem gubernatora Franka. Zdała sobie sprawę, że on ją chroni.

Frank podszedł bliżej, zastanawiając się. – Cóż – powiedział – reszta może iść do Berlina. Ten... wybór... należy do tego miejsca. Były już w polskich kolekcjach, więc mogą zostać tutaj.

Żołnierze znów się ruszyli.

– To nie jest możliwe, gubernatorze Frank – odparował Kai. – Te obrazy... Wszystkie zostały zaplanowane do nowego muzeum, które buduje Führer i tam będą zabezpieczone. Będą tam zgromadzone najcenniejsze i bezcenne artefakty, obrazy, posagi i inne obiekty z całego świata...

– Dobrze znam plany muzeum – przerwał mu Frank, znów lekceważąco machając ręką. – Zostałem w nie zaangażowany osobiście. Ale co nie pojawi się w Berlinie, nie zginie – gestem nakazał kolejnemu żołnierzowi zdjąć ze sztalugi *Krajobraz z miłosiernym Samarytaninem*. Żołnierz ochoczo wziął się do roboty.

– Hans... – Kai dotknął przedramienia Franka. Edith domyśliła się, że Kaia musiała łączyć z gubernatorem Frankiem długotrwałą zażyłość, skoro ośmielił się zwrócić się do niego po imieniu, ośmielił się dotknąć jego ręki. Kai ściszył głos, by to co powie, nie dotarło do uszu żołnierzy. – To Göring.

Po raz pierwszy Edith dostrzegła wahanie gubernatora Franka.

Göring. Hermann Göring? Przywódca Partii? To nazwisko zdawało się powstrzymywać Hansa Franka. Przez chwilę gubernator drapał się po swoim przypominającym dziób nosie.

Tymczasem Kai mówił dalej: – Göring już o nich wie, Hans. Osobiście podpisał rozkaz, że obrazy mają być dostarczone do Berlina. Widział faksymile. Widział spisy inwentarzowe, które przygotowaliśmy. Spodziewa się Leonarda, Rembrandta, Rafaela i innych. Gdybyśmy zatrzymali cokolwiek tutaj, w Polsce, ktoś musiałby za to odpowiedzieć przed nim. Nie chciałbym być tą osobą. Jestem pewien, że potrafisz to uszanować.

Edith martwiła się o Kaia. Nie chciałyby kłótni z gubernatorem. I nie chciałyby, żeby jej własna wiarygodność została poddana wnikliwej ocenie takich jak marszałek Rzeszy Göring.

Ostatecznie Frank skinął głową, na jego ustach pojawił się grymas. – Rozumiem.

Kai jeszcze nie skończył. – Zapewniam cię, że obrazy będą bezpieczne. Fräulein Becker i ja odwieziemy je osobiście do Berlina pociągiem pancernym. Mamy jednostki przydzielone specjalnie do eskorty tego pociągu. Widzisz? Zwrócenie ich Rzeszy jest jedynym sposobem zapewnienia tym arcydziełom ochrony. Wszystko jest bardziej... niestabilne tutaj, na froncie. Nie muszę ci tego mówić – ściszył głos.

Gubernator odwrócił się w kierunku Edith, teraz z kolei jego usta rozciągnęły się, przybierając kształt cienkiej linii. – Panno Becker, mam nadzieję, że będziemy mogli kontynuować naszą rozmowę, kiedy się spotkamy następnym razem.

Wbrew sobie, Edith odpowiedziała na jego grzeczność milczeniem i spiorunowała go wzrokiem.

Gubernator Frank odwrócił się i ruszył do wyjścia. Żołnierze w szyku wycofali się za nim

Kiedy mężczyźni opuścili bibliotekę, można było odnieść wrażenie, że po raz pierwszy powietrze z powrotem napłynęło do sali. Edith poczuła wielką ulgę. Nie mogła strawić myśli o Franku wychodzącym z *Damą* Leonarda pod pachą. Już wystarczająco ciężko było patrzeć, jak Kai przejmuje obraz z jej rąk.

Na dźwięk warkotu silników Edith wypuściła z płuc powietrze, które wstrzymywała, i opuściła ramiona.

– Dzięki Bogu. Nie ma co mówić, jak to mogłoby się skończyć, gdyby nie miał pan dość odwagi, żeby się odezwać.

Twarz Kaia zdawała się całkowicie pozbawiona koloru. – Nie miałem wyboru, Edith. Jak miałbym wrócić do Berlina bez obiecanych obiektów? Dostałbym kulę w łeb – przerwał, a Edith uświadomiła sobie, że nie przesadzał. – Göring nie jest miłym człowiekiem. Kiedy wydaje rozkaz, ten rozkaz musi być wykonany bez zastrzeżeń. Tak samo jest z Führerem. Nie ma takiego usprawiedliwienia, jakie mógłbym wymyśleć, gdybyśmy nie przywieźli obrazów – przejechał dłońmi po czubku głowy.

– Nie zazdroszczę panu. Nie chciałabym się dostać pomiędzy tych dwóch panów.

– Pewnie, że nie – odparł, zawzięcie kręcąc głową. – Właśnie tego starałem się uniknąć. Nie mogę sobie pozwolić na pozostawienie czegokolwiek z listy

tutaj, w Polsce. A zwłaszcza nie w rękach Franka.

– W takim razie cieszę się, że gubernator nie naciskał bardziej.

Kai zaczął okrywać z powrotem każdy obraz płatem aksamitu chroniącym jego delikatną powierzchnię. Następny dzień mieli spędzić na nadzorowaniu pakowania do skrzyń i ładowaniu ich do pociągu, tym razem jadącego do Berlina.

– Jesteśmy zmuszeni do służby, ale jaki interes mamy w tych wojennych machinacjach? – zmarszczył czoło. Edith zorientowała się, że wewnątrz jest bardzo roztrzęsiony. – Jak sama pani powiedziała, Edith, to nie jest miejsce dla historyków sztuki.

Podczas gdy Kai zajmował się większym Rembrandtem, Edith podeszła do sztalugi z *Damą Leonarda*. Ostrożnie podniosła obraz, trzymając go za ramę i położyła płasko na brezencie rozłożonym na stole obok.

– *Och, pani* – powiedziała cicho do dziewczyny na obrazie. Przez chwilę patrzyła w żywe oczy Cecylii Gallerani, jakby spodziewała się jej odpowiedzi. – *Wydaje się, że zwróciłaś na siebie uwagę chciwego, ogarniętego manią mężczyzny. Mężczyzny, który może zmienić twój los jednym machnięciem dłoni.* – Edith zawahała się. – *Cóż – podjęła cicho – może wiesz, jak to jest? Ale prawdą jest, że to z mojej winy znalazłaś się w tym zamęcie. Przepraszam. I obiecuję ci, zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby cię z niego wydostać.*



## **Część III**

# **UKRYTE PRZED WZROKIEM**

## LEONARDO

Mediolan, Włochy  
Listopad 1490

Dlaczego niektóre kobiety wikłają się w związki z mężczyznami ogarniętymi manią? Z niebezpiecznymi mężczyznami. Z mężczyznami, którzy nie zasługują na ich uwagę. Tak we Florencji, jak w Mediolanie.

Rozważając tę kwestię, odsuwam delikatnie nakrapiane jajka przepiórcze na brzeg talerza. Już zawiadomiłem kuchnię Jego Wysokości, że nie jadam mięsa zwierząt, ani nawet jajek. Ale oni nie słuchają. Może któraś z pomywaczek albo pokojówek zgarnie je z mojego talerza wracającego do kuchni. Tym lepiej. Chciałbym tylko mieć pewność, że nie obrażam Jego Wysokości odmową.

Ale Ludovico il Moro nie patrzy na mnie.

Jego Wysokość u szczytu stołu odrywa mięso kuropatwy od kości ze wzrokiem utkwionym w przeciwną stronę sali. Moje spojrzenie wędruje śladem jego, ku Lucrezii Crivelli, dziewczynie usługującej Signorinie Cecilii. Lucrezia stoi w niewielkim gronie dam dworu pod ścianą, gotowych na każde najmniejsze skiniecie dam przy stole. Ale Lucrezia i inne damy dworu bynajmniej nie starają się być niewidoczne. W swoich jaskrawych strojach są jak klejnoty, które ożyły – szafir, rubin, szmaragd. Sama Lucrezia wygląda jak kwiat w sukni koloru dojrzałego pomidora. Wplotła wstążkę w takim samym jaskrawym kolorze w swój ciemny warkocz i zabarwiła policzki.

Nie pojmuję upodobania mediolańskiego dworu do tych wulgarnych kolorów. Kieruję wzrok ku górze na malowidła na sklepieniu sali jadalnej. Sufity wszystkich komnat w pałacu Jego Wysokości są pokryte freskami w krzykliwych barwach, wykonanymi pospiesznie przez zespół malarzy wybranych raczej ze względu na tanią ofertę niż na wartość artystyczną.

Mógłbym zaproponować Jego Wysokości coś zupełnie innego, gdyby mi dano szansę.

Myślę, że pod wieloma względami Lucrezia Crivelli jest przeciwieństwem drogiej Cecilii, przynajmniej takiej, jaką zdecydowałem się przedstawić. Będzie modnie, choć skromnie ubrana, z jedwabną narzutką na jednym ramieniu. Będzie mieć na sobie najnowszą aksamitną suknię, tę z kwadratowym dekoltem stanika, obszytym wzorem plecionki. Cecilia powiedziała mi, że suknię podarował Jego Wysokość wraz z długim sznurem koralu z onyksu kontrastujących z jej jasną cerą. Naszkicowałem jej gęste włosy rozdzielone na dwie części i ściśle przylegające do policzków. Całość będzie wyrazem elegancji i powściągliwości, w przeciwieństwie do tandetnie malowanych sufitów i ścian.

Obserwuję czarną brodę Ludovica il Moro, która ożywa, gdy on przeżuwa. Jednocześnie wzrok ma niezmiennie utkwiony w Lucrezii. Z oczami jak paciorki i nosem jak dziób przypomina wielkiego ptaka drapieżnego, tak że nie mogę nie myśleć o setkach rysunków sokołów, jakie wykonałem w ramach prac przygotowawczych do mojej maszyny latającej. Wtem widzę, że Lucrezia chwyta jego spojrzenie. Uśmiecha się nieśmiało, acz czarująco.

Muszę skończyć ten portret Cecilii Gallerani najszybciej jak to możliwe, myślę, ponieważ w tym miejscu wszystko może się zmienić w każdej chwili.

## CECILIA

Mediolan, Włochy  
Listopad 1490

– Musisz uważać, żeby nie ufać ludziom całym sercem. Nie zawsze muszą mieć na myśli twój interes, nawet jeśli na pierwszy rzut oka wydają się mili.

Cecilia słyszała słowa mistrza Leonarda, ale słuchała go uważnie. Myślała o tym, co nieślubna córka Jego Wysokości mówiła w pałacowej kuchni. Jej matka poszła do klasztoru, powiedziała dziewczynka. Mało wie o swojej matce, poinformowała Cecilie rzeczowo, tylko tyle co z listów, które Bianca dostawała na urodziny, w dzień jej świętej patronki albo na Boże Narodzenie.

Cecilie bolało serce. Co będzie z nią samą i z jej dzieckiem? Czy zostanie z nim rozdzielona siłą? Czy jej dziecko będzie uwięzione za murami tego zamku, a ona za murami klasztoru? Nie wiedziała, jak wyjawić swój sekret, którego konsekwencje jawiły się jako ogromne, przerażające i nieznane.

Myślenie Cecylii przerwał widok trzech zbrojnych *condottieri* wjeżdżających przez zamkowe bramy na muskularnych czarnych koniach. Słońce odbijało się w ich zbrojach, barwne pióropusze na hełmach musiały być widoczne z daleka, pomyślała Cecilia. Trudno podejść niepostrzeżenie w takim rynsztunku. Po najemnikach spodziewałaby się większej dyskrecji.

Przez cały poranek Cecilia i Leonardo zażywali świeżego powietrza na zamkowym podwórku, gdzie mistrz da Vinci mówił jej, że mogliby wykorzystać naturalne, rozproszone światło, aby portret wyszedł jeszcze piękniejszy. W skórzanej teczce przyniósł stertę szkiców. Wyciągnął świeży arkusz i zaczął rysować, ale z niepokojem na twarzy przerwał, zatrzymując pióro w powietrzu.

– Widzisz, *cara*? Nawet za murami tego zamku niektórzy czują się... zagrożeni. Sam Jego Wysokość musi ciągle bronić nie tylko swojego

terytorium, ale i swojego życia.

Cecilia bardzo się starała brać słowa mistrza Leonarda do serca. Wiedziała, że mistrz Leonardo jest inteligentny, że zna się na wszelkiego rodzaju sprawach, ma wiedzę sięgającą daleko poza mury zamku. Kiedy go poprosiła, pokazał jej swoje notatniki wypełnione po obu stronach kartek dziwnym pismem lustrzanym, którego nie zdołała odczytać. Powiedział jej, że są to traktaty o machinach wojennych i hydraulicznych. O optyce, o anatomii, nawet o ptasim locie. Rysunki Madonn i świętych. Pięknych, anielskich chłopców.

– A bratanek Jego Wysokości. On również jest zagrożony? – spytała.

Leonardo fuknął. – Zwłaszcza młody Gian Galeazzo. Jest tylko chłopcem, ale wciąż jest księciem Mediolanu – powiedział, zniżając głos do szeptu. – Między nami mówiąc, boję się, co może się stać, kiedy dorośnie na tyle, żeby wziąć sprawy... – Leonardo przerwał i odruchowo obejrzał się za siebie, żeby sprawdzić, czy ktoś mógłby podsłuchać ich rozmowę. – Ale co do ciebie, moja droga, to teraz akurat masz stosunkowo silną pozycję jako przyjaciółka Jego Wysokości, czy sobie zdajesz z tego sprawę, czy nie. Ktoś może spróbować coś ci zabrać albo może czegoś odmówić. Tak jak już mówiłem, radzę ci uważać na tych, którzy są najbliżej ciebie.

Ale Cecilia wcale nie czuła, że ma mocną pozycję. Zamiast tego bała się o swoje życie.

## DOMINIC

Bad Godesberg, Niemcy  
Marzec 1945

Herr Weyres był cieniem człowieka. Oczy miał podkrążone i udręczone. Siedząc na kuchennym krześle, trząsał się pod lichym, dziurawym kocem i wodził wzrokiem dookoła, zatrzymując spojrzenie po kolei na każdym z otaczających go Amerykanów. Dominic wyobrażał sobie, że to wojna musiała zamienić Weyresa, dawniej architekta i asystenta miejscowego konserwatora zabytków, w jeden trzęsący się kłębek nerwów.

– Mówi pan, że wszystkie spisy przepadły? – spytał Hancock.

– Wszystkie – potwierdził Weyres. Za jego plecami zażywna kobieta – daleka kuzynka, która udzielała mu schronienia – zaklęła po niemiecku, kiedy lodowaty wiatr zgasił wąty ogień pod blachą. Rośli żołnierze ledwo się mieścili w małej kuchni. Dom kobiety był częściowo zburzony wskutek bombardowania. W okiennych ramach tkwiły ostre odłamki potłuczonych szyb, strzępy zasłon powiewały smętnie na wietrze. Kobieta spróbowała ponownie rozpaść ogień pod miedzianym rondlem stojącym na kuchni, żeby zagotować wodę na kawę z proszku. Żołnierze nie zwracali na nią uwagi, podczas gdy kapitan Hancock rozmawiał z Herr Weyresem.

– Wszystkie co do jednego – powtórzył Weyres, szczerzej okrywając ramiona kocem. – Spaliły się podczas bombardowania albo podarli je nasi.

Marznący deszcz zacinał przez dziurę w dachu, która przypominała dziurę po zębie. Dominic wtulił się trochę głębiej w kołnierz swojego szynela, widząc puste oczy Herr Weyresa.

– Po co mieliby niszczyć własną kulturę?

W ciągu kilku ostatnich tygodni Dominic i inni poznali aż za dobrze wyraz twarzy taki jak u starego architekta, kiedy posuwali się śladem alianckich zwycięstw na wschód. Najpierw po zacieklej bitwie padła Kolonia, potem Bonn. Dominic nadal wolałby być na pierwszej linii, gdzie jak uważał, byli prawdziwi wojownicy. Gdzie mógłby dokonać czegoś naprawdę znaczącego. Zamiast tego szedł ze swoim oddziałem na końcu. Nigdy nie oddalali się od frontu, wynajdywali, ilu tylko mogli pracowników muzeów i uniwersytetów, odhaczali nazwiska z listy na jeszcze tłących się zgliszczach po każdej bitwie. Żmudna, żalosna harówka.

Najczęściej wracali z niczym. Ci, których szukali, uciekli, ukrywali się, a jeśli zostali, to z pewnością byli martwi. Ale kapitan Hancock z entuzjastycznym poparciem księdza Stephany'ego nie ustawał w działaniach. Kilku specjalistów, których udało im się znaleźć, dostarczyło trochę informacji. Wieści o Obrońcach Zabytków – i o tych nielicznych dziełach sztuki, które zdołali odkryć – zaczęły rozchodzić się pocztą pantoflową po rozdartych wojną Niemczech. Stopniowo kilku ludzi posiadających informacje coraz chętniej z nimi rozmawiało. Kilku nawet zgłosiło się z własnej woli.

Podczas gdy zbiór odzyskiwanych dzieł sztuki rósł powoli, lista repozytoriów sporządzana przez Hancocka sięgała setek. Przy każdej okazji znajdował bezpieczną linię telefoniczną, aby dzwonić do alianckich dowódców na froncie.

Bonn dostarczyło najmocniejszego tropu. Miasto będące siedzibą hrabiego von Wolff-Metternicha, głównego konserwatora Komisji Zabytków, obiecywało informacyjną kopalnię złota. Dominic spędził wiele godzin, przemierzając za Hancockiem i innymi okolicę, gdzie obraz spustoszenia był aż nazbyt znajomy, przeczesując ją w poszukiwaniu jakiegokolwiek śladu Metternicha. Jednak jego gabinet na uniwersytecie został niemal zrównany z ziemią. Dominicowi szczególnie wrył się w pamięć widok biurka, a raczej tego, co z niego zostało – płyta okładzinowa, która na nie spadła rzucona wybuchem, nie tyle zmiażdżyła je, co sprawiła, że się rozprysło. Papiery i kawałki drewna rozleciały się we wszystkich kierunkach. Sam konserwator, jak się okazało, uciekł na wschód – za linię wroga, gdzie oddział Dominica nie ośmieliłby się przejść, w każdym razie jeszcze nie teraz.

Niemniej jednak, zaczynając od odcinka wypłaty znalezionej w rumowisku, przez mozolną i powolną pracę śledczą, trop doprowadził ich

tutaj, do Bad Godesberg, i tego na wpół zrujnowanego domu. No i do Herr Weyresa, asystenta konserwatora, ukrywającego się w kuchni swojej kuzynki.

Kuzynka, jedna z tych wspaniałych niemieckich kobiet, która pomimo wojennych niedostatków zdołała jakoś utrzymać okazałą figurę, uwijała się między żołnierzami z parującymi kubkami w rękach. Odsuwała ich łokciami na bok, jakby byli nieposłusznymi dziećmi, cmokając z irytacją.

– Proszę – mówiła łamaną angielszczyzną, podając kubek Weyresowi. – Gorąca. Dziękować temu dobremu młodemu – odwróciła się do Dominica i czule poklepała go po policzku. On poczuł, że się rumieni, podczas gdy dwóch żołnierzy dławilo się ze śmiechu, który starali się powstrzymać. Weyres wyglądał tak żałośnie, kuląc się na krześle, że zmusiło to Dominica do zaproponowania mu swojej racji kawy w proszku. Był to tani i niesmaczny wyrób, ale w przeszywającym do szpiku kości chłdzie miał swoją wartość.

Herr Weyres zbliżył kubek do ust i delektował się unoszącą się parą, jakby to był jakiś niebywały luksus. Wziął duży łyk, zakrztusił się, rozkaszał, aż kuzynka musiała walić go w plecy.

– Czyli nie ma pan żadnej dokumentacji wskazującej, dokąd co poszło? – przynaglał go Hancock, bębniąc swoimi długimi palcami po blacie kuchennego stołu. Stół stał na trzech rozchwianych nogach, czwarta była żalonym kikutem.

– Ach, nie nie, ja tego nie powiedziałem – Herr Weyres otarł nastroszone wąsy i ujął kubek w obie dłonie. Trząśł się już trochę mniej. – Na początek spisywałem repozytoria w małym rejestrze. Trzymałem go w metalowym schowku w bocznej ścianie naszego kominka. Myślałem, że nikt, kto znalazłby go tam, nie skojarzyłby go ze mną. Mieliśmy w mieście kilka małych grup oporu. Nie starczyło mi odwagi, żeby do nich przystąpić, ale pomyślałem, że może kiedyś miałbym okazję przekazać mój rejestr ich przywódcom. Może oni byliby w stanie odzyskać dzieła albo przynajmniej pomóc uratować je przed zniszczeniem. Ale potem ktoś podszeptał moje nazwisko władzom. Słyszałem, że idą po mnie.

Dominic nie mógł uwierzyć własnym uszom. Ten człowiek ryzykował życie dla ręcznie spisanej listy dzieł sztuki?



Herr Weyres mówił dalej: – Czym prędzej rozpałem ogień w kominku. I rzuciłem rejestr w płomienie. Zanim przyszło gestapo, nie było już śladu. Miałem szczęście.

– Czyli spisy zostały zniszczone – stwierdził Hancock, opuszczając ręce.

– Nie, ja wciąż je mam.

– Co chce pan przez to powiedzieć? – nie rozumiał Hancock.

– Wciąż mam spisy repozytoriów. Wszystkie tutaj – uniósł drżącą rękę i popukał się w głowę jednym palcem. – Może nie wszystkie, ale dużo. Miałem przeczucie co do tych ludzi, którzy zabierali moją kolekcję, więc spróbowałem zapamiętać.

– Może nam pan powiedzieć?

– Oczywiście – Herr Weyres upił kolejny łyk. – Sprowadzicie te dzieła z powrotem do mojego muzeum, dla moich ludzi – wykonał gest, jakby pisał w powietrzu. – Potrzebuje pan papieru, tak?

Z kieszeni płaszcza Hancock wyciągnął notes i ołówek. – Proszę zaczynać.

Ze zdumiewającą szybkością Weyres zaczął recytować listę repozytoriów w całych Niemczech. Tempo było tak szybkie, że usiłując nadążyć, Hancock bazgrał coraz bardziej. Zapisał trzy kartki po obu stronach, zanim wreszcie, równie nagle jak zaczął, Herr Weyres skończył. Napił się gorzkiej kawy, a potem siedział przez kilka sekund ze wzrokiem wbitym w Hancocka.

– To wszystko, co pamiętam. Może być jeszcze jedno lub dwa, o których zapomniałem.

– Genialne – Hancock rozparł się na krześle i odetchnął z ulgą. – Możemy z tym dużo działać. Dziękuję panu.

Wstał, dając reszcie oddziału sygnał do wyjścia, zaczęli się więc przepychać do drzwi. Hancock wyciągnął rękę do starego człowieka. Herr Weyres chwycił ją obiema dłońmi, patrząc z napięciem w oczy Hancocka.

– Będziecie znajdować dzieła sztuki we wszelkiego rodzaju dziwnych miejscach, panie Amerykaninie. Zaglątajcie w miejsca, których nie potraficie sobie wyobrazić. Zamkowe lochy, klasztory, skarbcce banków, zaplecza restauracji, pokoje hotelowe, szkolne sale gimnastyczne, nawet piwnice zwykłych domów. Ale to, czego naprawdę chcecie, jest w Siegen – jego uścisk stawał się coraz mocniejszy i Dominic zobaczył, że krew przestała dopływać do

palców Hancocka. – Tam, pod cytadelą, jest kopalnia miedzi. Tam znajdziecie największe skarby.

Siegen. Hancock skinął głową, słysząc nazwę, na którą natknęli się w Akwizgranie.

Wyszli w lodowaty deszcz, który głucho dudnił o hełm Dominica. W swojej głowie czuł całkowitą pustkę. Wiedział, że „największe skarby” muszą się odnosić do relikwii Karola Wielkiego, może nawet do innych zaginionych arcydzieł. I chociaż poczuł ulgę, że drogi ksiądz Stephany jest o krok bliżej do ponownego ujrzania swoich ukochanych skarbów, po całym zniszczeniu i śmierci, jakich był świadkiem, nie potrafiłby już wykrzesać z siebie żadnych emocji na myśl o sztuce.

*Nie przestawaj rysować*, powiedział Paul. W tej chwili odległość między nim a domem stawała się coraz większa. Dominic wiedział, że mając tę pośpiesznie nabazgraną listę magazynów dzieł sztuki, Hancock będzie parł coraz dalej na wschód z ponownym poczuciem celu. Będą zajęci przez długi czas.

Jeśli ma w tym być na dłuższą metę, pomyślał Dominic, równie dobrze może się w to zaangażować. Ludzie tacy jak Weyres kładli na szali własne życie, żeby ratować dzieła sztuki. I może Stephany ma rację. Nie wystarczy po prostu żyć. Trzeba mieć dla czego żyć.

Dominic doszedł do wniosku, że skoro idą na wschód, to jeśli ma wyjść z tej wojny względnie zdrowy na umyśle, musi trzymać się idei, że dzięki sztuce życie jest warte życia. Od tego zależało jego życie.

## EDITH

Monachium, Niemcy  
Listopad 1939

Dzięki sztuce życie jest warte życia, zawsze powtarzał jej ojciec. Edith próbowała trzymać się tej myśli, że zrobiła wszystko co mogła, aby zadbać o najcenniejsze na świecie dzieła sztuki, mimo że kiedyś naraziła je na niebezpieczeństwo.

– Przejście.

Odsunęła się na bok, ustępując z drogi dwóm ludziom, którzy zdołali wnieść na środek jej pracowni konserwatorskiej obraz – ogromny pejzaż, pociemniały pod wpływem czasu. Kiedy przechodzili obok, zauważyła warstwę kurzu osiadłego w zagłębieniach kunsztownej, złoconej, drewnianej ramy.

Jedno, co się liczy, mówiła do siebie, to że ojciec jest bezpieczny i ma się na tyle dobrze, na ile może być pod opieką nowej domowej pielęgniarce. Za to była nieustannie wdzięczna.

Z drugiej strony, ku przerażeniu Edith, jej zazwyczaj cicha i spokojna pracownia konserwatorska została zarekwirowana na punkt klasyfikowania i szeregowania pod względem ważności obrazów zwożonych z daleka. Wyczekiwała powrotu do pracy i swojego spokojnego laboratorium, tymczasem pomieszczenie przekształcono w węzeł komunikacyjny, gdzie kilka osób z nielicznych pracowników Alte Pinakothek, jacy pozostali, zajmowało się porządkowaniem, katalogowaniem i magazynowaniem nowych obiektów napływających z całej Europy.

Liczne obrazy były ustawiane pod wszystkimi dostępnymi ścianami. Ktoś przeniósł jej rękawiczki, zmywacze do werniksu, kawałki płótna i środki zobojętniające. Na biurku, na którym piętrzyły się stosy nieotwartej

korrespondencji, znajdowały się książki ze stronami pozaznaczanymi zakładkami i grożące rozsypaniem się sterty papieru. Półki, na których kiedyś panował wzorowy porządek, teraz zastawione były byle jak zegarami z brązu, małymi rzeźbami i ceramiką, z wetkniętymi między to wszystko tkaninami.

Przerażenie Edith łagodziła tylko obecność jej przyjaciela Manfreda, który jako jeden z niewielu został na miejscu. Teraz Manfred i jego dwie asystentki spędzali całe dni na rampie magazynu muzeum, wyposażeni w duży aparat fotograficzny i małe etykiety służące do oznaczenia każdego dostarczonego obiektu. Muzeum zaangażowało dwudziestu robotników fizycznych, silnych mężczyzn, którzy całymi dniami rozładowywali opancerzone pojazdy podjeżdżające do rampy.

– Są nowe dzieła Holbeina, Cranacha – mówił Manfred z nutką ekscytacji w głosie.

– Manfredzie – Edith zniżyła głos do szeptu i zamknęła drzwi swojej pracowni konserwatorskiej. – Rozumiesz skalę i znaczenie tego, co się dzieje? Zostaliśmy zwerbowani do odzierania całego kontynentu z najcenniejszych dzieł sztuki. Przywłaszczamy sobie dziedzictwo rodzin, to co ludzie mają najcenniejszego. I trafia to prosto w ręce partyjnych przywódców!

Manfred zamrugał zza swoich okrągłych okularów, oczami szeroko otwartymi ze zdumienia. – Jestem tego świadom, moja droga.

Edith też nie kryła zdumienia. – Jesteś?

Manfred przytaknął. – Skoro wiesz więcej niż większość ludzi, zdradzę ci tajemnicę. Jestem w kontakcie z naszymi kolegami w muzeach we Włoszech, Francji i Anglii. Komunikujemy się kanałami, które są... niejawne. Nie tylko muzea są ograbiane, moja przyjaciółko. Prywatne kolekcje – zwłaszcza te należące do Żydów, których widzisz gnanych do pociągów – też są konfiskowane, nie tylko tutaj w Monachium, ale w całej Europie.

Edith podniosła ręce do ust. – Mój Boże, Manfredzie... Co możemy zrobić? – jej stłumiony głos wyrażał przerażenie.

– Nie jesteśmy w stanie zatrzymać zdarzeń, które już się toczą. To nas... przerasta. I dzieje się bardzo szybko – tłumaczył Manfred. – Ale przynajmniej możemy dokumentować wszystko, co widzimy, czego dotykamy, co wiemy. Spisujemy dokładne informacje dotyczące każdego dzieła sztuki: skąd

przyjechało, do kogo należało. Kiedyś, kiedy to wszystko minie, mamy nadzieję zwrócić je ich prawowitym właścicielom.

Edith chłoneła to, co mówił. – A Generaldirektor? – spytała. – On o tym wie?

Manfred pokręcił głową. – Wierzę, że wcześniej intencje doktora Buchnera były szlachetne. Ale teraz... czuje się w obowiązku zadawać Partię. W Monachium obowiązują wyższe standardy, nawet w porównaniu z resztą Niemiec. To my byliśmy w centrum Dnia Sztuki Niemieckiej i wielu innych wystaw i wydarzeń kulturalnych. Poza tym on próbuje też uchronić nasz budynek przed nalotami. Co może zrobić? – wzruszył ramionami. – Nasze miasto jest główną siedzibą partii nazistowskiej. Ja nie ośmieliłbym się powiedzieć mu tego, co teraz wiem. To zbyt niebezpieczne.

Jak daleko posunęliby się jej inni koledzy, żeby chronić siebie? Teraz, kiedy Edith wiedziała już, co oznacza zabezpieczanie dzieł sztuki, zastanawiała się, ilu niemieckich specjalistów w tej dziedzinie będzie kłamać, kraść i plądrować, gdyby to znaczyło ocalenie własnego życia, jeśli nie zwrócenie na siebie uwagi kierownictwa Partii?

Przysiadła na krawędzi biurka, oszołomiona świeżo zdobytą wiedzą o misji i roli Manfreda. Nie bardzo umiała sobie wyobrazić swojego łagodnego przyjaciela jako małego trybika w wielkiej maszynie oporu, sprzymierzonego z muzealnymi ekspertami z całej Europy przeciwko interesom Niemiec.

Manfred wziął Edith za rękę. – Teraz, kiedy wróciłaś, może się do nas przyłączysz – przerwał. – W końcu jesteś córką swojego ojca.

– A co mój ojciec?

Manfred spojrzał na nią z ukosa. – Ile ci powiedział o swoich wysiłkach po zakończeniu Wielkiej Wojny?

– Prawie nic – Edith szukała w pamięci. – Zawsze mówił, że ludzi łatwo wprowadzić w błąd, zwłaszcza na początku. Poza tym nie wiem wiele więcej.

Manfred splótł palce za plecami i zaczął chodzić w tę i z powrotem, patrząc w płytki posadzki. – Możesz nie pamiętać powstania w naszym mieście w 1918 roku. Byłaś mała. Wielu z nas w Monachium chciało mieć pewność, że nigdy nie pozwolimy, aby historia się powtórzyła. Twój ojciec był pod wrażeniem, jak myślę – wszyscy byliśmy – marynarzy i robotników z fabryki

amunicji, którzy organizowali strajki, i tych żołnierzy, którzy mieli dość odwagi, żeby opuścić koszary i żądać pokoju zamiast dalszej przemocy.

Po chwili podjął opowieść: – Twój ojciec pomógł grupie studentów, którzy chcieli drukować ulotki demaskujące korupcję, jaką widzieli na różnych szczeblach władzy. Wiedział, że ja robię coś podobnego z moimi współpracownikami. Ale twój ojciec musiał być szczególnie ostrożny. Byli – i nadal są – zwolennicy Partii na uczelni. Udawało im się zostawiać ulotki w miejscach, gdzie łatwo je było zobaczyć: rozrzucone na korytarzach przed salami wykładowymi, przyczepiane po wewnętrznej stronie drzwi w toaletach, nawet wtykane potajemnie do studenckich teczek.

– Ojciec to robił?

Manfred skinął głową. – Pomagał organizować druk ulotek. Czuł, że to jest ważne. Tak jak powiedziałem, już ponieśliśmy konsekwencje tych działań. Już znaleźli się tacy, którzy chcą przysporzyć sobie chwały kosztem narażenia życia wielu ludzi.

– I to się dzieje znowu! – wykrzyknęła Edith. – Manfredzie, gdybyś to widział. Frank... On chciał zatrzymać Rembrandta, Rafaela, nawet Leonarda dla siebie!

– Gubernator Frank? Widziałas go na własne oczy?

– Próbował przejąć *Damę z gronostajem* prosto z naszych rąk!

Twarz Manfreda zrobiła się biała. – Edith, mój Boże. Współczuję każdemu, kto zetknął się z tym człowiekiem. Wiesz, co on zrobił? Tylu niewinnych ludzi straciło życie w Polsce. To Frank wydawał rozkazy. Edith, martwiłem się o twoje bezpieczeństwo każdego dnia. I nie wątpię, że wyrwali wszystko co ma wartość z domów w całym kraju. Nie przeczytasz o tym ani słowa w gazetach. Większość ludzi nie ma o tym pojęcia.

– Tylko że Manfredzie... to moja wina, że te obrazy są teraz w niebezpieczeństwie. Byłeś obecny podczas tej mojej śmiesznej prezentacji tu, w tym muzeum. Jak mogłam być tak naiwna? Jak mogłam nie przewidzieć, do czego te informacje zostaną użyte? Jak to się stało, że posłużyli się mną jak pionkiem?

– Nie możesz się winić. Ten konflikt toczy się poza tobą. Brytyjskie gazety piszą, że gubernator generalny Frank wydał dekret o konfiskacie całego

polskiego majątku. Całego... pomyśl o tym, Edith. Brytyjczycy podają liczby ludzi, których Frank już zamordował albo wysłał do obozów. Dlatego ważniejsze jest teraz niż kiedykolwiek przedtem, żebyśmy działali. A ty, Edith, dysponujesz szczególną wiedzą o sytuacji w Polsce...

Ktoś zapukał do drzwi. Manfred przerwał w pół zdania.

– Wybacz mi. Być może powiedziałem za dużo. Muszę wracać do rozładunku w magazynie. Pewno już mnie szukają – powiedział szeptem, ściskając dłoń Edith. – Pomyśl o tym, przyjaciółko. Wiesz więcej niż większość z nas. I byłabyś dla nas cennym nabytkiem.

Manfred wymknął się z pracowni konserwatorskiej, mijając się w drzwiach z posłańcem. Torba przewieszona przez pierś chłopca sięgała mu do kościstych kolan.

– Czy jest tu Edith Becker?

– Ja jestem Edith Becker.

– Telegram do pani, Fräulain – chłopiec wychylił się do przodu, żeby podać Edith kopertę, po czym odwrócił się na pięcie.

Wpatrywała się w kopertę.

EDITH BECKER, KONSERVATOR

ALTE PINAKOTHEK

MÜNCHEN

Telegram nadano w Berlinie. Edith zacisnęła wargi, serce tłukło się w jej piersi. Czy to wiadomość o Heinrichu? Drżącymi palcami rozerwała cienki papier. Przeczytała, zamrugła z niedowierzaniem i przeczytała jeszcze raz.

BIURA KAJETANA MÜHLMANNA ZNISZCZONE WSKUTEK POŻARU PO NALOCIE.

NINIEJSZYM POLECA SIĘ SPOTKAĆ Z DR. MÜHLMANNEM W BIURZE DYREKTORA ALTE NATIONALGALERIE W BERLINIE DN. 1 GRUDNIA CELEM PRZYGOTOWANIA TRANSPORTU OBRAZÓW DO KRAKOWA. ROZKAZ OFICJALNY.

## CECILIA

Mediolan, Włochy  
Grudzień 1490

– Powtórzmy jeszcze raz.

Bernardo przechadzał się po bibliotece ze zwojem welinu w ręce. Cecilia odchrząknęła i zaczęła od początku.

*Perchè le rose stanno infra le spine:*

*Alle grida non lassa al Moro e cani...*

Podczas gdy Bernardo się przechadzał, a Cecilia recytowała, czuła na sobie wzrok mistrza Leonarda. Skończywszy rysunki przygotowawcze, mistrz ustawił sztalugę i składany stolik, na którym znalazły się słoiczki pigmentów oraz zbiór pędzli z długimi trzonkami, z włosia końskiego, łasicy i lisa. Cecilia była zdziwiona, widząc, że malarz często używał pędzla, aby nałożyć pigment na kciuk lub czubek palca, następnie ostrożnie rozprowadzał palcem cienką warstwę farby na powierzchni deski. Nigdy nie dotykał tego samego fragmentu obrazu dwukrotnie w ciągu tego samego dnia, pozwalając każdej delikatnej warstwie farby wyschnąć przed nałożeniem następnej. Na razie tylko jej twarz zaczynała się ukazywać w szczegółach.

Praca posuwała się powoli. Dawno temu porzucili pomysł, żeby Cecilia siedziała przy oknie. Siedzenie nieruchomo wydawało się jej niemożliwe, zwłaszcza teraz. Wraz z rosnącym w jej ciele nowym życiem nappełniała ją nerwowa energia. No i dziś, bardziej niż któregokolwiek innego dnia od jej przybycia do Castello Sforzesco, czuła dumę i radość, ponieważ Ludovico wiedział, że nosi jego dziecko i był szczęśliwy.



Ku wielkiemu zaskoczeniu Cecilio Ludovico już się domyślił ciąży. Jeszcze większe zdumienie: zachwycił go ta nowina. W miarę jak rósł jej brzuch, rosło jego uwielbienie dla niej, mówił. Kiedy leżała przy nim naga i odkryta, kładł ręce na małej wypukłości, będącej jego dzieckiem, i mówił, że jest piękna jak kwiat. Cecilia patrzyła mu w oczy i widziała, że jego radość jest autentyczna i wydaje się czysta.

Kiedy ulga i nadzieja zaczęły brać górę nad trwającym od tygodni strachem, Cecilia z nową energią przystąpiła do pracy nad umacnianiem swojej pozycji na dworze Ludovica. Poprosił ją, aby wystąpiła z wybranymi wierszami, sonetami i pieśniami przed dygnitarzami, którzy mieli odwiedzić zamek za dwa dni. Bernardo do późnej nocy spacerował z nią po komnacie, poprawiając jej wymowę, korygując niuanse dykcji, zmiękczając tokański akcent i wprowadzając drobne zmiany w wierszach, które ćwiczyli na głos.

Cecilia odnosiła wrażenie, że Leonardo da Vinci woli, kiedy jego modele siedzą bez ruchu; tym razem nie sprzeciwiał się, że się porusza i spaceruje ramię w ramię z Bernardem po lśniącej posadzce. Przyszło jej do głowy, że być może malarz wciąż czuje się winny, bo zranił ją wiadomością o małżeństwie księcia, zanim sama to odkryła. W każdym razie nie narzekał, że widzi ją w ruchu. Praca nad przygotowaniem występu była miłą odmianą dla Cecilio, która zaczynała się czuć nieswojo. Zastanawiała się, czy ktoś jeszcze podejrzewa, że w jej wnętrzu rozkwita nowe życie.

Kiedy tym razem skończyła recytować, Leonardo uśmiechnął się szeroko. – *Brava!* Najlepsza wersja. Będą zachwyceni.

Cecilia dygnęła. To była najlepsza część jej dnia w wesołym towarzystwie tych dwóch twórczych mężczyzn.

– Na starym ambasadorze Francji trudno zrobić wrażenie – powiedział Bernardo. – Sam się o tym przekonałem. I znany jest z tego, że zasypia zaraz, jak tylko usiądzie, zanim zacznie się występ. Ale mam przecucie, że ten przynajmniej nie pozwoli mu zasnąć, jeśli go nie zabawi.

– Ambasador Francji? – zdziwiła się Cecilia. – Po co on przyjeżdża?

Bernardo odpowiedział: – Jego Wysokość stara się nawiązać sojusz z francuskim królem Karolem.

– W jakim celu? – chciała wiedzieć. – Po co ktoś miałby chcieć wiązać się z Francuzami?

– Możesz sobie być wykształconą młodą damą, ale musisz się jeszcze dużo nauczyć o polityce – zauważył Bernardo. – Sojusz z królem Karolem zapewni mu większy autorytet, a księstwu większe bezpieczeństwo.

– Tak – Leonardo zadumał się. – Francuzi mają imponującą... i dobrze zorganizowaną... armię. Mógłbym spróbować zaoferować swoje usługi jako inżynier wojskowy.

Każdy rozpycha się łokciami, zdobywając swoją pozycję na dworze, pomyślała Cecilia. Jeśli miała być szczerą sama ze sobą, musiała przyznać, że robi to samo. Ciężko pracowała na aplauz i komplementy gości dworu Sforzów. Nic nie sprawiało jej takiej radości i nie dodawało jej skrzydeł jak moment, w którym sala pełna gości wybuchała entuzjazmem po jej występie. Czy jest próżna, pragnąc zainteresowania i akceptacji obcych? Czy tak samo jest z Leonardem, kiedy zbiera pochwały za obraz albo jeden z tych jego dziwnych wynalazków?

Jakby nie było, Cecilia ciężko pracowała, żeby oczarować każdego gościa na książęcym dworze. Jej melodyjny głos, nie mówiąc o starannym akompaniamencie na lutni, i jej niezwykła umiejętność recytacji poezji zdawały się robić wrażenie. Była dumna, wiedząc, że jej praca sprawia innym przyjemność. Za każdym razem kiedy widziała to spojrzenie Ludovica, że oczarowała kogoś nowego, wiedziała, że to działa. Czując w głębi duszy niepewność co do swojego statusu, musiała przyznać, że w Ludovicu wzbudza namiętność. Ona pragnęła jego akceptacji, jego uznania.

– Twoje ręce... Nie wiem – Leonardo wskazał Cecilii, żeby usiadła i przyjęła pozę z portretu. – Może pies? Możesz ją wziąć na ręce?

Cecilia podniosła Violinę z podłogi i posadziła ciepłą, puszystą kulkę na kolanach. Violina popatrzyła wyczekująco na Cecilie oczami jak paciorki, a kiedy poczuła dłoń głaszczącą ją po małym, okrągłym łebku, położyła uszy po sobie.

– Tradycyjny symbol wierności – zauważył Bernardo.

– Nie! – zaprotestowała Cecilia. – Nie pies.

– Nie pies? – pędzel Leonarda zatrzymał się w powietrzu. – W takim razie co?

Cecilia pukała się palcem w czoło. Wydawało się to niemądre, ale to było ważne pytanie i wiedziała o tym. Wiedziała też, że idea psa na jej kolanach zupełnie do niej nie przemawia. Uwierało ją słowo *wierność*.

– Nie, uważam, że pies się nie nadaje.

Leonardo przyglądał się jej zza sztalugi. – No dobrze, w takim razie co. Masz jakiś inny pomysł?

– Co powiesz na... inne zwierzę?

Zobaczyła, że brwi mistrza Leonarda unoszą się.

– Inne zwierzę? Ale pies wydaje się najlepszym symbolem dla tego obrazu. Od takiego portretu tradycyjnie oczekuje się wyrazu lojalności.

Cecilia pokiwała głową. – Ale są też inne zwierzęta, które ludzie trzymają dla przyjemności. Koty. Ptaki. Myszy. Łasiczki.

– Albo gronostaj – Bernardo uniósł palec jak starożytny orator. – Po grecku *gale. Gale. Gallerani...*

– Tak! – wykrzyknęła Cecilia. – Gallerani! Moje nazwisko rodowe. Jego Wysokość nigdy nie zapomni, kim jestem.

– Nie wydaje mi się, żeby było takie ryzyko, signorina – powiedział malarz.

Przez dłuższą chwilę Leonardo przyglądał się obrazowi, nad którym pracował. Cecilia była pewna, że zamierza dyskutować i możliwe, że i tak namaluje psa. On jednak przesunął dłonią po brodzie, jakby to miało pomóc wydobyć niuanse skomplikowanej idei.

– Gronostaj – powtórzył. – Na zimę jego futro robi się białe, więc może lepiej ukrywać się przed wrogami. Podobno, kiedy spotka myśliwego, gronostaj woli raczej zginąć niż pobrudzić swoją piękną białą szatę. Dlatego jest symbolem czystości. Może też być znakiem płodności. Nawet ciąży.

Cecilia widziała, jak na policzkach artysty wystąpił rumieniec zażenowania, kiedy zdał sobie sprawę, co właśnie powiedział. Wszyscy troje pograżyli się w niezręcznej ciszy, a malarz zastanawiał się, jak rozwiązać problem. Była pewna, że nie chciał jej obrazić.

– Ale pomyślcie tylko! – Cecilia przerwała milczenie. – Sam król Neapolu uhonorował Jego Wysokość Orderem Gronostaja. To ucieszy Ludovica. Jestem tego pewna.

Twarz Leonarda rozjaśniła się i dostrzegła znajomy entuzjazm, który coraz bardziej jej się podobał. Na kawałku welinu szybko naszkicował żądanego gronostaja.

– Moja droga, jesteś wprost genialna.

Wrócili do ustalonego porządku: modelka i malarz, Leonardo i Cecilia odzyskali swobodę. Ona głaskała biały łepiek Violiny, podczas gdy on dopracowywał gronostaja na arkuszu pergaminu.

Drzwi otworzyły się, Cecilia odwróciła głowę i zobaczyła Marca, oficjalnego księżęcego nadwornego muzyka, który wpadł do komnaty z rozwichrzonymi lokami opadającymi mu na oczy.

– Słyszeliście nowinę? – wyrzucił z siebie, o mało co nie wpadając na składany stolik mistrza Leonarda zastawiony pigmentami i pędzlami. –

Szczęście! Niezapomniana uroczystość nas czeka! Ustalono datę zawarcia małżeństwa między Naszym Panem a śliczną Beatrice w Castello di Pavia.

Cecilii zaschło w gardle.

– Widowiskowa zimowa uroczystość! – krzyczał Marco. – Za niecałe trzydzieści dni. Tyle jest do zrobienia!

## EDITH

Monachium, Niemcy  
Listopad 1939

W szerokich alejach okalających park powieszono ogromne flagi ze swastykami przed mającą się odbyć paradą wojskową. Zimowa uroczystość.

– Szybko idziesz.

Edith pohamowała uśmiech. – Przepraszam, tato. Nie spieszymy się.

Wzięła ojca za rękę, podczas gdy on posuwał się do przodu, szurając nogami po chodniku. Drugą ręką trzymał Maxa, zmechaconego pluszowego psa, przyciskając go mocno do siebie. Zwolniła kroku, starając się nie myśleć o tym małym telegramie, kolejnym kawałku papieru, który jeszcze raz zmieni jej życie. Za dwa dni znów wyjedzie z domu, znajdzie się z powrotem na linii ognia. Jak ma to powiedzieć ojcu?

Zima przyszła z podmuchem zimnego wiatru, który uderzał w szyby w oknach i zginał wątle gałęzie parkowych drzew. Po drugiej stronie Izary ulice wypełniali mężczyźni w mundurach, maszerujący w szyku, a mieszkańcy Monachium przyglądali się im z okien.

W czasie kiedy Edith była daleko od domu – zaledwie tygodnie, a wydawało się jakby całe życie – miasto Monachium przekształciło się w stolicę nazistowskiego świata. Wszędzie powiewały gigantycznych rozmiarów flagi, mężczyźni w mundurach polowych i szynelach stali wzdłuż ulic. Czołgi blokowały niektóre z głównych arterii, co pozwalało na częste urządzenie parad. W całym mieście poczyniono przygotowania do przejazdu ulicami dzieł niemieckiego malarstwa i rzeźby, przy wtórze patriotycznych pieśni i okrzyków wznoszonych przez mieszkańców.

Mimo fanfar Edith wiedziała, że podczas tygodni, które spędziła w Polsce, dokonano zamachu na życie Adolfa Hitlera. Jak pisały gazety, Führer zszedł z mównicy w popularnej piwiarni, kiedy wybuchła bomba zegarowa, o włos mijając cel, ale zabijając ośmiu innych stojących obok. Dla niej czołgi blokujące główne ulice Monachium stanowiły nie tyle pokaz patriotyzmu, co bardziej obrony.

Bez względu na dziwną atmosferę rodzinnego miasta i panujące w nim zimno, przysięgła sobie, że będzie z ojcem wychodzić na spacerów możliwie jak najczęściej. Wiedziała, że mu to służy i nie mogła znieść myśli o tym, w jakim stanie go znalazła po powrocie.

Kiedy przyjechała do Monachium, z przerażeniem odkryła, że ojca nie ma w mieszkaniu. Podczas jej nieobecności został oddany do domu opieki na peryferiach miasta. Sąsiadka, Frau Gerzheimer, przeproszała z całego serca, ale musiała przede wszystkim zająć się swoją chorą matką, która przyjechała ze wsi.

W domu opieki Edith zastała Herr Beckera skulonego na krześle w ciemnym pokoju. Ubranie miał brudne, zęby nieumyte, był wychudzony i kruchy jeszcze bardziej niż wtedy, kiedy wyjeżdżała. Wyglądał jak zgarbione dziecko, rozpaczliwie przyciskające do siebie pluszowego psa.

Edith czym prędzej podpisała dokumenty jego zwolnienia i załatwiła pielęgniarkę z domu opieki: kobietę w średnim wieku, o kasztanowych włosach, wyglądającą na zrównoważoną, o imieniu Rita, która od jakichś trzydziestu lat pracowała ze staruszkami tracącymi pamięć.

– Lepiej, żebyś zabrała tatę do domu jak najszybciej – szeptała Rita do ucha Edith, kiedy tylko ją zobaczyła. – Pouczyli nas, żeby pacjentom takim jak on zmniejszać ilość jedzenia. To nie jest w porządku. Coraz więcej zgonów. Mamy tu teraz dużo pustych pokojów. Gdyby był moim ojcem, już dawno bym go stąd zabrała – z oczu Rity przebijał strach.

– Wolno pani zatrudnić się u nas bezpośrednio? – spytała Edith również szeptem, żeby nie słyszały inne pielęgniarki. – Proszę... pójść z nami do domu. Zapewniam, że się to pani opłaci.

Teraz Edith zostawiła Ritę na chwilę w spokoju. Szli z ojcem długą parkową aleją, przyglądając się ostatnim jesiennym liściom wirującym nad ścieżkami

prowadzącymi do stawu. U wylotu alei widać było kępę drzew na brzegu. Edith podprowadziła ojca do parkowej ławki i usiadła obok niego.

Rozłożyła przyniesioną pod pachą gazetę codzienną „Völskischer Beobachter”. Od Rity dowiedziała się, jak ważne jest czytanie pacjentom, którzy już nie pamiętają przeszłości. To stymuluje umysł, czasem nawet pomaga przywołać wspomnienia. Poza tym Edith bezustannie ślęczała nad gazetami, szukając wiadomości o księciu Czartoryskim i jego żonie, niepokojąc się o ich los.

Przebiegła wzrokiem nagłówek.

NIEMIECKA SOCJALDEMOKRACJA PRZEZWYCIĘŻY FINANSOWĄ  
DOMINACJĘ ANGLII. CZAS POSPRZĄTAĆ JAPOŃSKI BAŁAGAN. FÜHRER  
UJAWNIA SWÓJ NAJNOWSZY PLAN BEZPIECZEŃSTWA.

– „Dość moralnej hipokryzji” – odczytała na głos kolejny nagłówek.

– Moralnej hipokryzji... – powtórzył ojciec. – Ha! *Arschlecker!*

– Faktycznie *Arschlecker*, tatusiu – zgodziła się z nim. Ordynarne słowo w ustach ojca, który nie używał takiego języka, wydało jej się bardzo śmieszne. Oboje przez chwilę zaśmiewali się do rozpuku. Edith podejrzewała, że ojciec nie ma pojęcia, czego dotyczył nagłówek albo dlaczego oboje się śmieją, ale co z tego? Kiedy ostatnio śmiali się razem tak spontanicznie?

– Tato – powiedziała, wycierając oczy. – Muszę cię o coś zapytać. Pamiętasz, jak pracowałeś ze studentami uniwersytetu podczas Wielkiej Wojny? Jak pomagałeś im drukować? – Przerwała. Ojciec nie odpowiedział, ale wesołość go opuściła. – Próbowali wpłynąć na innych studentów, żeby robili to, co słuszne... – obejrzała się przez ramię. – Pamiętasz cokolwiek z tego?

Cisza.

Edith westchnęła. Jak bardzo by chciała, żeby ojciec mógł podzielić się z nią tym, czego mogłaby się trzymać, odrobiną ojcowskiej mądrości, która pomogłaby spojrzeć wyraźniej, co jest w jej mocy, a co nie.

– Mam ci coś do powiedzenia, tatusiu – szukała właściwych słów. – Muszę znów wyjechać na trochę. Pamiętasz, że pracuję w Alte Pinakothek, prawda? – Ojciec nadal patrzył na nią pustym wzrokiem. – W muzeum sztuki?

Czekała na iskrę zrozumienia, która jednak nie zabłysła. Mówiła dalej: – Muszę jechać do Berlina, a potem z powrotem do Krakowa, żeby zaopiekować się pewnymi ważnymi, bardzo cennymi obrazami.

Ojciec spojrział w dal na bezlistne drzewa. – Hm – potwierdził.

– To nie jest moja decyzja, tato. Mam oficjalne rozkazy. Chcą, żebym... zabezpieczyła te dzieła sztuki, zanim ulegną zniszczeniu. Zawsze uczyłeś mnie, że życie bez sztuki jest nic nie warte. Pamiętasz?

Ojciec sprawiał wrażenie, jakby usilnie starał się zrozumieć, co ona do niego mówi. – Edith – zaczął, a ona z poczuciem ulgi chwyciła jego rękę.

– Tak, tatusiu.

Skierował na nią wzrok. – *Wehret den Anfängen*.

Edith rozpoznała przeblysłk świadomości. „Niszcz zło w zarodku”. Serce zatrzepotało jej w piersi.

Kiedy zobaczyła, że ojciec zaczyna szczerkać zębami z zimna, pomogła mu wstać i ruszyli powoli z powrotem do domu znajdującego się w odległości kilku przecznic. Szron pokrył nagie gałęzie drzew przy ścieżkach w parku. Opadłe liście pod białą pokrywą ułożyły się w porozrywany wzór na zwirowych alejkach prowadzących do domu. Minęli drzwi do opuszczonego mieszkania Nusbaumów i Edith ścisnęło się serce. Przez głowę przemknęły jej obrazy tych wszystkich pociągów jadących na wschód, które widziała w ostatnich tygodniach. Żałowała, że wtedy nie wiedziała, bo mogłaby ich namówić do ucieczki. Gdyby tylko mogła przewidzieć to wszystko, myślała.

W przedpokoju Edith powiesiła płaszcz i otworzyła szufladę stolika, na którym stał lśniący, czarny telefon. W szufladzie były dwa listy od Heinricha: pierwszy datowany na dzień po jej wyjeździe do Polski, drugi – kilka dni później. Czytała je dziesiątki razy. Minął już prawie miesiąc, a ona nie miała pojęcia, gdzie on jest. Wtedy, kiedy pisał, był bezpieczny, ale teraz? Czy nie marznie? Czy nic mu nie jest? Czy żyje? Serce jej się kroilo z żalu. Opadła na krzesło przy biurku i jeszcze raz przeczytała oba listy ze łzami w oczach.

W stosie korespondencji znajdowały się też wszystkie listy, jakie napisała do ojca, będąc w Polsce. Żaden z nich nie był otwarty. Ręce jej opadły. Tygodnie mijały, a ojciec nie miał od niej wiadomości. Kiedy Frau Gertzheimer wywiozła



go do domu opieki, czy zastanawiał się, gdzie ona jest? Czy w ogóle pamiętał, że ma córkę?

Z kuchni dobiegał głos Rity, która mówiła do jej ojca, opowiadając mu, jak przyrządza wołowinę i kapuśniak. Serce Edith przepelniała radość, że Rita tu jest. Nie wyobrażała sobie, co mogłoby się stać, gdyby jej ojciec został w domu opieki, w głowie jej się nie mieściło to, co słyszała od Rity o gwałtownie malejącej liczbie tamtejszych pensjonariuszy.

W swoim skromnym pokoju Edith spakowała kilka najpotrzebniejszych rzeczy do skórzanej torby podróżnej na wyjazd pociągiem do Berlina. Telegram zawierał tylko podstawowe informacje – biuro Kaia Mühlmanna uległo zniszczeniu, ale z nim musiało być wszystko w porządku, skoro ją wzywał. Nie wiadomo było, czy ktoś ucierpiał albo czy coś ocalało. Co się stało z *Damą* Leonarda? Edith nie wyobrażała sobie, żeby obraz mógł zostać uszkodzony albo zniszczony. Gdyby do tego doszło, nie wybaczyłaby sobie do końca życia. Nie. Jej zadaniem była ochrona dzieł sztuki, a nie narażanie ich na niebezpieczeństwo. Ale czy zaryzykowałaby własnym życiem dla dzieła sztuki? Dokładając do torby swoje najcieplejsze rękawiczki, zastanawiała się nad propozycją Manfreda. Jak daleko posunęłaby się, żeby uratować obraz?

Co zrobiłby ojciec? Bardzo chciałyby, żeby mógł jej to powiedzieć.

## EDITH

Kraków, Polska  
Grudzień 1939

O świcie Edith ujrzała hełmy wież zamku na Wawelu, które rysowały się coraz wyraźniej w świetle dnia. Poczowała, że wagon przechylił się, wchodząc w zakręt w zakolu rzeki Wisły, gdzie cienka warstwa śniegu kończyła się na krawędzi wody. Krople marznącego deszczu bębniły o metalowy dach wagonu sypialnego jak kule karabinowe.

Wstała i przeciągnęła się. Po nocy w pociągu całe ciało miała obolałe, czuła się jak wyżęta. Nie mogła spać, przewracała się tylko z boku na bok na wąskim, twardym posłaniu, obserwując cienie drzew migające na tle nocnego nieba. W końcu zapadła w niespokojny sen, kołysana przez jednostajny rytm pociągu w ciemności, z ręką na drewnianej skrzyni zawierającej *Damę z gronostajem* Leonarda.

Dzięki staraniom kolegi konserwatora z Alte Nationalgalerie w Berlinie obraz był teraz zapakowany jak należy. Stał zamknięty w drewnianej skrzyni zbudowanej specjalnie dla niego, z solidnym skórzanym uchwytem ułatwiającym przenoszenie. Teraz obraz był lepiej chroniony podczas transportu, co stanowiło dla Edith pewną pociechę. Sobie ufała bardziej niż żołnierzom, którzy nie mieli pojęcia, jak się obchodzić z tym skarbem.

– Nie było to łatwe – powiedział jej Mühlmann, eskortując ją na berliński dworzec kolejowy czarnym mercedesem z kierowcą w mundurze. Z tylnego siedzenia, odgródzona skrzynią z obrazem, przyglądała się zmizerniałej twarzy Kaia. – Gubernator Frank użył argumentu, że obrazy, które sprowadziliśmy z Krakowa, są własnością państwa. Zażądał, by wszystkie wróciły na jego teren. Natychmiast.

Edith zagłębiona w skórzaną tapicerkę zadumała się nad bezczelnością i chciwością tego człowieka, który żądał Rembrandta. Rafaela. Leonarda. Wielu innych bezcennych dzieł sztuki. Wszystkich dla siebie. Jednocześnie wcale nie była pewna, czy przywiezione do Niemiec byłyby bezpieczniejsze niż w Polsce. Tylko szczęście uchroniło te obrazy przed unicestwieniem wskutek tego nalotu na Berlin, pomyślała. Mühlmann powiedział jej, że przeniósł obrazy do Kaiser Friedrich Museum zaledwie kilka dni wcześniej, nim bomby zaczęły lecieć z nieba.

Ale teraz tylko *Dama z gronostajem* znów była w podróży w swojej skrzyni. Edith mocno trzymała skórzany uchwyt, podczas gdy za oknem samochodu przesuwały się zaciemnione okna berlińskich mieszkań.

– A inne? – spytała.

– Proszę się nie martwić, są bezpieczne. Kustosz Galerii Drezdeńskiej osobiście objął je opieką i umieścił podziemiach galerii. Są zaklasyfikowane, przeznaczone do muzeum Führera w Linzu.

Mühlmann powiedział jej, że ze wszystkich obrazów, jakich żądał Frank, udało mu się uzyskać jedynie powrót Leonarda. Gubernator jednak wynegocjował więcej niż samą Damę z gronostajem. Chciał, żeby Edith dostarczyła mu ją osobiście.

– Tylko ten obraz – powiedział Mühlmann, poklepując skrzynię, kiedy zajechali przed berliński dworzec. – I tylko pani.

Chyba nigdy jeszcze Edith nie musiała zrobić czegoś równie trudnego, jak wysiąść z samochodu z torbą w jednej ręce i skrzynią z obrazem w drugiej. Kai stanął przed nią niezgrabnie, najwyraźniej niepewny, czy powinien uścisnąć jej rękę, czy ją przytulić. Z tego wszystkiego założył ręce do tyłu i skłonił się lekko w jej stronę.

– Powinna być pani dumna ze swojego wkładu, Edith. Bezpiecznej podróży.

Teraz jednak, po raz drugi w ciągu trzech miesięcy, patrząc jak za oknem świt wydobywa z mroku zarys zamku na Wawelu, Edith bynajmniej nie czuła się dumna. Czuła się brudna, zbrukana, bo dała się zwerbować do udziału w procederze odbierania osobistego majątku prawowitym właścicielom i oddawania go w ręce złego człowieka. Była załamana.

Co mogłaby zrobić? Nie mogła pozwolić sobie na kwestionowanie albo jawne ignorowanie rozkazów gubernatora Franka. Nie, jeśli jej życie miłe – to jasne. On był już odpowiedzialny za śmierć mnóstwa ludzi i wyobrażała sobie, że ją też mógłby w końcu uznać za zbędną.

Edith pomyślała o ojcu i o Manfredzie, którzy pracowali po cichu za kulisami, żeby zmienić bieg zdarzeń podczas poprzedniej wojny. Z pewnością musi być sposób na zatrzymanie tego szaleństwa grabieży dzieł sztuki odbywającej się w całej Europie. Kto mógłby jej pomóc? Z pewnością Kai Mühlmann ma odpowiednie kontakty i najwyraźniej los dzieł sztuki szczerze go obchodzi, ale jego nigdy nie mogłaby poprosić o pomoc. Wyraźnie dał jej do zrozumienia, że ma tylko wykonywać rozkazy, jeśli chce wrócić do domu żywa.

*Ruch oporu w całym kraju.* Jak mogłaby ich znaleźć? I gdzie?

Pociąg zwolnił przed wjazdem na dworzec w Krakowie, jego gwizd był jak długo wstrzymywane, bolesne westchnienie. Edith stała, patrząc na zgniecioną gazetę porzuconą na peronie, którą miotają lodowate podmuchy wiatru, aż w końcu wpadła pod hamujące ze zgrzytem koła pociągu.

## CECILIA

Mediolan, Włochy  
Grudzień 1490

Po ostatnim występie dla zgromadzonych gości Ludovico przytulił Cecilię mocno do siebie. Patrzyli razem na migoczące wzory na suficie nad łóżem, jakie rzucał odblask wody w małej sadzawce w ogrodzie pod jej prywatnymi komnatami.

– Stałaś się kimś więcej niż kobietą, jaką się kiedyś wydawałaś, kobietą, w której mocy jest dopomóc potwierdzić moją pozycję wobec tych, którzy są mi przeciwni.

Cecilia oparła się na łokciach, aby zająrzeć głęboko w czarne oczy Ludovica. – Cóż, mówiłam ci, że chcę rządzić tym zamkiem.

Wtulił twarz w jej szyję i przesunął dłonią po wypukłości brzucha. Zastanawiała się, czy on wie, że to dlatego pracowała tak ciężko nad swoją poezją i głosem, nauczyła się, jak się uśmiechać i jak być wytworną damą. Wiedziała, że musi dowieść swojej wartości. A jeśli miała wierzyć jego słowom, robiła to, na co miała nadzieję. Z pewnością Ludovico widział, ile była teraz warta.

Cecilia zaczęła liczyć noce, w które przychodził do niej, i uświadomiła sobie, że ich potajemne spotkania stawały się coraz radsze. Czasami wydawał się nią nienasycony, a ona nauczyła się czerpać z tego własną przyjemność. Ale przychodził już nie tak często i to ją przerażało. W noce, kiedy leżała samotnie w łóżu, te wypowiedziane przez niego słowa – o tym, jak ważna się stała dla niego i jego dworu – zdawały się być snem. Zaczęła się zastanawiać, co jeszcze mogłaby zrobić, żeby nie wypaść z łask tego mężczyzny, od którego kaprysów zależał jej los.

## EDITH

Kraków, Polska  
Grudzień 1939

Wchodząc na rozległy dziedziniec wawelskiego zamku, Edith szukała w głowie odpowiedzi na pytanie, co jeszcze mogłaby zrobić, żeby ochronić się przed tym mężczyzną, od którego kaprysów zdawał się zależeć jej los.

Chociaż w ciągu ostatnich miesięcy przebywała w dwóch pięknych polskich pałacach, zupełnie nie była przygotowana na tak ogromną oficjalną siedzibę Hansa Franka na Wawelu. Kilkunastu żołnierzy SS wprowadziło ją na arkadowy dziedziniec otoczony trójkondygnacyjnymi krużgankami, nad którym widać było fragment szarego nieba. Przypominał jej jeden z renesansowych pałaców włoskich, o jakich uczyła się podczas studiów na uniwersytecie. Na tle ogromnych, łopocących flag z nazistowskimi swastykami marznący deszcz zamieniał się w płatki śniegu, które niesione wiatrem opadały na bruk, na którym zamarzały kałuże. Ludzie z karabinami maszynowymi stali w arkadach, obserwując dziedziniec. Żołnierze przeprowadzili ją przez ten dziedziniec, do szerokich, kamiennych schodów.

Eskorta towarzyszyła jej przez oszalamiający labirynt korytarzy, dziedzińców i schodów. Edith pozwoliła jednemu z młodych żołnierzy nieść jej torbę z rzeczami osobistymi, ale portret *Damy z gronostajem* w drewnianej skrzyni uparła się nieść sama, trzymając mocno skórzany uchwyt dłonią w rękawicze.

U szczytu schodów minęła dziwnie tu wyglądającą trójkę dzieci, które bawiły się szklanymi kulkami, tocząc je w tę i z powrotem, zachwycone kolorami, jakie w zimnym świetle rzucały na posadzkę korytarza. Edith podziwiała ich jednakowe ubranka, zielonożółte *lederhosen* z żółtymi koszulkami. Z powodu

blond loków trudno było rozróżnić, które jest dziewczynką, a które chłopcem. Dwoje starszych, mniej więcej w tym samym wieku, toczyło przezroczyście kulki w stronę młodszego, ślicznej dziewczynki o jasnej twarzyczce, około czteroletniej.

Edith szła za żołnierzami korytarzem, dopóki ten z przodu nie zatrzymał się przed wysokimi, drewnianymi drzwiami, za którymi bez wątpienia znajdowały się prywatne biura gubernatora generalnego. Przed drzwiami po obu stronach stali uzbrojeni wartownicy nieruchomi jak ołowiane żołnierzyki. Żołnierz na czele grupy eskortującej Edith wyciągnął rękę salutując, na co jeden z ołowianych żołnierzyków ożył i otworzył drzwi, aby mogła wejść.

Za biurkiem, które wydawało się wielokrotnie za duże jak na cel, któremu służyło, rozpoznała w przyćmionym świetle jastrzębi profil Hansa Franka. Słyszając odgłos otwieranych drzwi, gubernator Frank podniósł głowę i spojrzenie jego czarnych oczu padło na Edith. Wstał.

– Fräulein Becker – ryknął i rozpostarł ramiona, jakby się spodziewał, że będzie chciała go uściskać. Ona wołała się trzymać z daleka. Miała tylko nadzieję, że zdoła powściągnąć swój język na tyle, żeby bezpiecznie wrócić do domu. Powściągliwie skinęła głową. Zauważyła, że już nie patrzy na nią. Wbił wzrok w trzymaną przez nią drewnianą skrzynię.

– Mów mi Hans – odezwał się po chwili. – W końcu oboje jesteśmy Bawarczykami w obcym kraju. Poza tym coś czuję, że będziemy się często widywać, więc lepiej od razu darować sobie formalności, zgadzasz się?

Edith znów sztywno kiwnęła głową, ale nie miała najmniejszej ochoty powtórzyć jego imienia.

– Właśnie miałem zrobić sobie coś do picia – oznajmił. – Co mogę ci zaproponować?

– Nic. Dziękuję.

Hans Frank pokręcił głową i spojrzał na nią. – Polska wódka jest zaskakująco smaczna. Przypuszczam jednak, że po takiej podróży wołałabyś kawę – skinął na jednego z żołnierzy przy drzwiach. – Niech Renate przyniesie kawę.

Żołnierz strzelił obcasami i wyszedł. Frank podszedł do stojącego pod oknem barku na kółkach i zaczął nalewać z karafki przezroczyście płyn, zerkając na skrzynię.

– Nie mogę się doczekać, żeby ją znów zobaczyć – powiedział i ku przerażeniu Edith wyrwał jej z ręki skórzany uchwyt. Położył skrzynię na biurku. – Otwórz – rozkazał drugiemu z żołnierzy, który natychmiast skoczył wykonać polecenie.

– Rozumiem, że jesteś specjalistką od sztuki włoskiego renesansu, Fräulein Becker?

– Restaurowałam dzieła artystów z różnych epok i miejsc – odparła. – Memlinga, Friedricha, wielu innych.

Jednym haustem wypił niemal cały kieliszek wódki, po czym zmierzył ją wzrokiem. – Rozumiem zatem, że mamy wiele wspólnych zainteresowań. I że masz dobre oko.

Edith poczuła, jak jeżą jej się włosy na głowie.

– Wykazałaś talent do identyfikowania i lokalizowania ważnych, wartościowych obrazów – mówił dalej. – Sama pierwsza klasa. Nic zdegenerowanego.

– Uważam, że cała sztuka jest warta, by ją chronić – spojrzała mu w oczy.

– Dlatego zażądałem, aby dyrektor Alte Pinakothek dał mi cię na jakiś czas.

Odebrało jej mowę. Dał mu ją?

Jak miałyby wytłumaczyć, że w domu ma obowiązki? I w ogóle, jaki miała wybór? Jeszcze nigdy nie czuła takiej presji, nigdy nie była na granicy strachu o własne życie. Mogłaby być torturowana albo... wzdrygnęła się, nie zgadzając się, by słowo nabrało kształtu w jej umyśle. Słyszała Mühlmanna: *Dostałbym kulę w łeb*. A co powiedział Manfred? Frank zadekretował konfiskatę wszelkiej polskiej własności. I już wysłał niezliczoną liczbę ludzi do obozów koncentracyjnych.

Tymczasem żołnierz uporał się z otwieraniem skrzyni zawierającej *Damę z gronostajem*. Gdy tylko Frank zobaczył w środku starannie zapakowany obraz, odstawił wódkę i podszedł przyjrzeć się z bliska. Pochyliwszy się z rękoma splecionymi za plecami, wodził wzrokiem po dziewczynie na obrazie. Potem odwrócił się do Edith i patrzył na nią przez dłuższą chwilę.

– Pomożesz mi powiesić – stwierdził. Wyjął obraz ze skrzyni i przeszedł z nim na drugi koniec pokoju.



Żołnierz przysunął składaną drabinkę do ściany na wprost biurka Franka. Frank ostrożnie odstawił obraz. Na stoliku obok leżały młotek i gwóźdź. Frank podał je Edith. Zawahała się pod jego palącym wzrokiem. Potem, jak w zwolnionym tempie, weszła na drabinkę i delikatnymi uderzeniami wbiła gwóźdź w ścianę nad kaloryferem. Żołnierz podał jej obraz. Starannie wyrównała krawędź ramy. Frank odsunął się kilka kroków do tyłu i z dumą patrzył na swój najnowszy nabytek.

Schodząc po stopniach drabinki, Edith czuła, że nogi jej się trzęsą, ale zmusiła się, żeby stanąć twarzą w twarz z Hansem Frankiem. – Nie może pan tak po prostu... po prostu jej zabrać – powiedziała cicho.

Frank wpatrywał się w nią przez chwilę, a ona wstrzymała oddech. Potem jednak roześmiał się tylko, kręcąc głową. – Nie, moja droga. Nie ja ją zabrałem. Ty to zrobiłaś. A teraz Führer podarował ją mi w dowód uznania.

Edith zabrakło tchu. Tak, to ona zabrała obraz. Bezsprzecznie. Jednocześnie on traktował ją protekcjonalnie. Czyż Hitler nie miał ważniejszych rzeczy na głowie niż obrazy?

– Musimy jej strzec jak oka w głowie, prawda? Ja tu jestem cały czas. Moi wartownicy są zawsze pod drzwiami. Nie ma lepszego miejsca niż to dla takiego pięknego dzieła sztuki. Nikt go nie zabierze. Będzie bezpieczne pod moją osobistą opieką.

– Taki obraz jest nie do zastąpienia – powiedziała. – I jeszcze ten kaloryfer... farba będzie pękać.

Wyglądało na to, że Frank się zdenerwował. Edith wiedziała, że właśnie w tej chwili przekroczyła swoje kompetencje.

– Obraz będzie tu bezpieczny. Spełniłaś swój obowiązek, nie musisz się już o niego martwić. Chodź. Usiądź ze mną.

Sztywnym krokiem podszedł do stołu przy dużym oknie. Odsunął krzesło, żeby usiadła i wyjął jej z ręki filiżankę kawy. Nie wypila ani łyka.

– Należmy coś bardziej odpowiedniego. Rozgość się...

Opadła na krzesło i zacisnęła wargi, podczas gdy on podszedł do barku, żeby nalać im obojgu alkoholu. I bez tego trochę kręciło się jej w głowie z nerwów i niewyspania. Odwróciła głowę, chcąc popatrzeć na portret. Dziewczyna

wydawała się wołać do niej o pomoc, w jej oczach bardziej niż przedtem widać było desperację i smutek. Co mogłaby zrobić tym razem, żeby ją uratować?

Frank wrócił i postawił przed nią szklankę. Potem usiadł i upił łyk, przyglądając się jej znad brzegu swojej.

– Proszę, Fräulein, powiedz mi, jak doszłaś do takiej pozycji w monachijskim świecie sztuki?

Wzięła łyk mocnego alkoholu z nadzieją, że ją to uspokoi. – Nie mam żadnego eksponowanego stanowiska – sprostowała. – Ja tylko pracuję w zwykłej pracowni konserwatorskiej...

– Ale ukończyłaś akademię jako najlepsza na roku. Mühlmann mi powiedział.

Edith zawahała się. – Mój ojciec opowiadał mi o sztuce, kiedy byłem mała. Uczył mnie, że dzięki sztuce życie jest warte życia. Dlatego później chciałam nauczyć się wszystkiego o konserwacji obrazów – znów spojrzała z niepokojem na bezcenne arcydzieło Leonarda da Vinci wiszące teraz nad kaloryferem.

Hans Frank pokiwał głową. – Będziesz nieoceniona dla przyszłości tego imperium. Zamierzam podzielić się z Führerem moją opinią na temat twojej pracy, a jest to opinia, jak możesz się domyślać, wielce pochlebna.

Uniósł szklankę w toaście, po czym nachylił się do Edith tak blisko, że poczuła jego cierpki oddech. – Z niecierpliwością czekam, żeby się przekonać, jakie jeszcze skarby możesz dla nas znaleźć.

## DOMINIC

Bonn, Niemcy  
Marzec 1945

Dominic ostrożnie podał obraz zabezpieczony watowaniem i owinięty w brezentowe płachty żołnierzowi stojącemu na platformie Jimmy'ego<sup>[2]</sup>. Następny przejął obraz z szacunkiem i dostawił do innych, podobnie opakowanych dzieł sztuki. Był to ostatni z kilkudziesięciu obrazów wydobytych z piwnicy biblioteki uniwersyteckiej w Bonn.

Kiedy obrazy były już unieruchomione dla bezpieczeństwa w transporcie, Dominic wskoczył na pakę i przykucnął wśród nich, z karabinem między kolanami, w pozycji, do której zdążył już przywyknąć. Inny żołnierz zatrzasnął klapę i klepnął ją dłonią, dając znak kierowcy. Dominic gapił się obojętnie przez otwarty tył ciężarówki toczącej się na wstecznym biegu, kołysząc się między dwoma innymi żołnierzami. Nawet nie znał ich imion. Jeden czy dwóch próbowało go zagadnąć, ponieważ tak samo jak on byli spragnieni towarzystwa, ale żaden z nich nie był łagodnym Paulem, a tym bardziej żaden z nich nie był Sally. Nie nawiązując z nimi kontaktu, pogрузzył się w milczeniu smutny i opuszczony jak krajobraz wokół.

Ciężarówka powoli posuwała się z trudem przez rumowisko, aż wyjechała na otwartą przestrzeń, kierując się na wschód, w stronę terytorium wroga, w stronę Siegen i wszelkich skarbów jakie mogły tam być ukryte. Droga była dziurawa i pod górę, ale jedyna, z jakiej mogli skorzystać, bo pozostałe wciąż znajdowały się pod ciężkim ostrzałem. Nawet ta była zryta, a widoczna gdzieś tam ciemna plama na ziemi stanowiła świadectwo ceny, jaką trzeba było zapłacić za jej przejeżdżalność.

Przynajmniej ciężarówka przed nimi wiozła kogoś bliskiego, prawie przyjaciela, jaki jeszcze Dominicowi pozostał – Stephany’ego. Stary duchowny dołączył do nich w Bonn, upierając się, że musi być obecny przy ich wkroczeniu do Siegen. Hancock próbował wyperswadować mu pomysł towarzyszenia wojsku w przemarszu przez terytorium pod ostrzałem ze względu na oczywiste niebezpieczeństwo, ale Stephany nic sobie z tego nie robił. Wybierał się do Siegen, czy się to podobało Hancockowi, czy nie, i cała armia amerykańska nie wystarczyłaby, żeby go od tego zamiaru powstrzymać. Chciał sam osobiście stwierdzić, że skarby jego ukochanej katedry są tam, tak jak to było obiecanie.

Po wyjeździe spod osłony zabudowy miejskiej Dominic poczuł się zbyt widoczny w pagórkowatym terenie. Obserwował pofalowany horyzont, szukając wzrokiem łuf wroga, o których wiedział, że wciąż muszą tam być, ukryte za grzbietem wzgórze. Pasma dymu unosiły się w niebo nad nieodległymi miejscami, gdzie wciąż jeszcze toczyły się dogasające walki. Ujął karabin nieco mocniejszym chwytem, czując narastający niepokój.

Ktoś ich obserwował.

W następnej chwili powietrze rozdarł ogień karabinowy. Dominic rzucił się na podłogę ciężarówki, kule przeszywały osłaniającą ich plandekę, trafiały w bezcenne obrazy, proch rozsypywał się w powietrzu. Dominic bez zastanowienia chwycił za krawędź drewnianej ramy i zepchnął obrazy na dno ciężarówki. Człowiek obok niego krzyknął i przetoczył się, ciepła krew z jego ramienia trysnęła na policzek Dominica. Kiedy ciężarówka gwałtownie zahamowała, Dominic poleciał do przodu.

Pozbierał się i wykorzystując ciężarówkę jako osłonę, przesuwając karabin z jednej strony na drugą, wypatrując wroga. Jest! Szczyt wzgórze najeżony był łufami plującymi ogniem. Znajomy strach ścisnął mu żołądek, kiedy poddał się starej rutynie. Przejęty zgrozą nacisnął spust, karabin szarpnął w jego rękach.

– Bonelli!

Krzyk Hancocka dotarł do niego w samą porę. Dominic uchylił się instynktownie i poczuł gorąco na prawym ramieniu. Spojrzał, nie rozumiejąc, bo zobaczył rozdarty materiał i żywe mięso pod nim. Niewiele brakowało. Być może następnym razem pójdzie za Paulem i nigdy już nie przytuli swojej pięknej żony i małej córeczki. Nigdy nie zobaczy swojego drugiego dziecka. Myśl o rodzinie zagrzała w nim ducha. Zerwał się na nogi i otworzył ogień

z precyzją zrodzoną z desperacji. Jeden po drugim niemieccy żołnierze padali, bowiem każda jego kula trafiała w cel. Kilku ostatnich, widząc jak śmierć zbliża się do nich coraz bardziej, przycisnęło karabiny do piersi i uciekło za wzniesienie.

Zapadła cisza. Dominic próbował coś dojrzeć przez zasłonę dymu. Kiedy w końcu opuścił karabin, zobaczył, że trzęsą mu się ręce. Odwrócił się twarzą do konwoju. Wszyscy wpatrywali się w niego, nawet Hancock. Dręcząca myśl przebiła się przez szum w jego głowie. Stephany. Przewiesił karabin przez ramię, z całym szacunkiem, na jaki było go stać, zrobił krok nad ciałem poległego kolegi, podszedł do ciężarówki poprzedzającej w konwoju tę, którą sam jechał, i odchylił plandekę.

Stephany przykucnięty na platformie mocno się kulił, zatykając dłońmi uszy. Serce pękło Dominicowi, kiedy uświadomił sobie, że tak właśnie ksiądz musiał przetrwać całą bitwę o Akwizgran, kryjąc się pod amboną. Jego wargi poruszały się, wymawiając bezgłośnie ciąg niemieckich słów, w których Dominic domyślił się modlitwy. Dotknął ramienia Stephany'ego. – Proszę księdza. Stephany. Już dobrze.

Stopniowo Stephany zaczął się rozprostowywać, w jego oczach wpatrujących się w Dominica było wyłącznie przerażenie. Krew odpłynęła mu z twarzy, jego stężale rysy mówiły, że znalazł się z powrotem w swojej ukochanej katedrze, ograbionej ze skarbów, pod bombami. Dominic ścisnął jego ramię. – Jesteś bezpieczny. Oni odeszli.

Stephany chwycił drżącymi dłońmi nadgarstki Dominica i zajrzał mu w oczy. – Dlaczego oni to robią? Po co to zabijanie? – krzyczał ochryple. – Mój własny naród.

Dominic chciałby zadać na głos te same pytania. Zamiast tego spróbował obdarzyć Stephany'ego czymś na kształt uśmiechu. – Wiesz, że wciąż jest czas, żeby wrócić do Bonn. Nie musisz jechać do kopalni. Dostaniesz z powrotem swoje dzieła sztuki, jeśli je tam znajdziemy.

Stephany zaprotestował, kręcąc głową, jeszcze zanim Dominic skończył.

– Nie, nie. Jadę. Koniec – jego oczy rozbłysły determinacją. – Nie odbiorą mi wszystkiego.

– Chodźcie! – zawołał Hancock. – Zabierajmy się stąd.

To był długi dzień powolnego pełznięcia przez wiejską okolicę, z przerwami na krycie się, kiedy na wierzchołkach wzgórz dawał się zauważyć ruch. Jakoś udało im się uniknąć następnej potyczki. Dopiero gdy zapadł zmierzch i znaleźli się pod osłoną gęstego lasu, mogli przyspieszyć. Dominic ostrożnie kładł każdy obraz płasko na platformie ciężarówki, szukając dziur po kulach albo innych uszkodzeń.

Wyczerpany oparł się o burtę, ze znajomym ciężarem karabinu ugniatającym mu kolana, kiedy tak tłukli się coraz głębiej w noc. Ostrzał podziurawił brązowy papier, w który opakowane były obrazy. Dominic odchylił głowę do tyłu i patrzył, jak światło reflektorów następnej ciężarówki prześwieca przez dziury i odbija się od złoconych ram. Widok był surrealistyczny – odrobina piękna, która nie należała do tego świata spustoszonego przez śmierć i zniszczenie.

O wschodzie słońca ciężarówka wjechała na most i kiedy Dominic wyjrzał, zobaczył szeroką, połyskliwą wstęgę Renu. Jechali na wschód, do Siegen.

## CECILIA

Mediolan, Włochy  
Styczeń 1491

– Ciaśniej.

Cecilia uchwyciła się kamiennego gzymsu nad kominkiem, kiedy Lucrezia Crivelli zaciągała sznurówki sukni, ściskając jeszcze mocniej w talii, która stawała się coraz szersza. Robiła co mogła, żeby nie płakać z bólu.

– Signorina, brzuch ci urósł – zauważyła Lucrezia. – Niewiele więcej mogę zrobić. Co za szkoda.

Nieszczerość w jej głosie była tak doskonale słyszalna, że Cecylii ścierpła skóra.

Styczeń. Połowa ciąży, której nie dało się już dłużej ukrywać. Cecilia pęczniała, mając w sobie dziecko, co stawało się coraz bardziej widoczne i przestało być sekretem. Wszyscy w zamku szeptali o rosnącym brzuchu Cecylii. Ona tymczasem wysłała do Ludovica słówko, że chciałaby odwiedzić go w jego komnatach – po raz pierwszy sama poprosiła Jego Wysokość o takie spotkanie. Teraz spełniała swój obowiązek, by wyglądać możliwie jak najbardziej na młodą, czarującą kochankę, która przede wszystkim zasłużyła na miejsce w pałacu.

Wymagało to od niej zmobilizowania wszystkich sił, aby stanąć wyprostowana w krępującym ją stroju. Chwiejnym krokiem przeszła marmurowym korytarzem, w głowie miała zamęt, lęk wzbierał w jej piersi. Czy on jej wysłucha, weźmie pod uwagę jej prośby? Albo czy zechce ją wziąć tuż przed tym, jak ma wymienić złote obrączki z Beatrice?

Od tygodni w zamku wrzało. Proporce z błękitnymi, czerwonymi i złotymi herbami powiewały na dziedzińcach, ogłaszając sojusz Ferrary i Mediolanu. Służba krzątała się w korytarzach i na schodach, omiatając pajęczyny i kurz z kątów. Zapach ciastek z jabłkami rozchodził się z kuchni na dole, gdzie kucharze starannie odmierzali czas obrotami klepsydry, zanim byli gotowi wyjąć swoje jadalne arcydzieła z ceglanych pieców. Siekali cebulę, pietruszkę i buraki, aż sok zabarwiał czubki ich palców i wnętrza dłoni krwistą czerwienią. Konie w stajniach były czesane, namaszczone oliwą dla nadania im sierści lśniącej gładkości i świeżo podkuwane przez kowali.

Cecilia starała się, jak mogła, nie zwracać uwagi na szczegóły, ale z szeptów służby i dam, które Ludovico uparł się przydzielić jej do towarzystwa, dowiedziała się, że ceremonia ślubna wykracza daleko poza ramy samego tylko zawarcia związku z Beatrice d'Este. Będzie to ceremonia podwójna, jako że jednocześnie węzłem małżeńskim zostanie połączony młodszy brat Beatrice, Alfonso z Anną Sforza, siostrą bratanka Ludovica il Moro.

Wśród trwających w najlepsze przygotowań przedślubnych Jego Wysokość wycofał się do swoich prywatnych komnat. Nawet Leonardo, którego zadaniem było zaplanowanie przebiegu uroczystości weselnych i nadanie im odpowiedniej oprawy, porzucił malowanie portretu Cecylii. Znów była pozostawiona sama sobie, ze swoimi książkami i psem. Uparcie poddawała się codziennym zajęciom w bibliotece, gdzie z Bernardem ćwiczyła recytacje i grę na lutni. Jednak tylko dzięki nieustannemu codziennie ogromnemu wysiłkowi była w stanie ignorować toczące się wokół niej przygotowania do ślubu.

Odprawiała każdego, kto próbował ją czymś zainteresować, każdego – z wyjątkiem poety Bernarda i swojego brata Fazia, który wreszcie wrócił do Mediolanu z Toskanii, w samą porę na ślub. Ze śmiechem porwał ją w ramiona, a kiedy przesunął dłońmi po jej zmienionej figurze, zrobił wielkie oczy ze zdumienia. I tylko Fazio potrafił uśmierzyć lęki Cecylii, która obawiała się, że zostanie wyrzucona albo straci życie, zanim małżeństwo zostanie zawarte.

– Nonsens, Cecilio – mówił brat, ściskając jej rękę. – Jesteś samym zdrowiem i radością życia Jego Wysokości. I tak zostanie. Jestem tego pewien.

Teraz, ośmielając się zapukać do drzwi prywatnych komnat Ludovica, Cecilia próbowała przywołać trochę tej pewności swojego brata. Zza drzwi dobiegł głęboki głos zezwalający na wejście.



Musiała gwałtownie zaczerpnąć powietrza, kiedy zobaczyła Ludovica odzianego w najprzedniejsze aksamity i jedwabie, z metalowymi insygniami. Wbrew sobie, widząc go gotowego do ślubu, poczuła dżgnięcie w serce. Zmusiła się do patrzenia w podłogę.

– Mój piękny kwiecie – przyłożył dłoń do jej policzka, a drugą ręką objął ją w pasie. Przez materiał stanika sukni poczuła metalowe pierścienie jego napierśnika.

– Ludovico.

– Wiem, że nie odwiedziłem cię od jakiegoś czasu. Ty za to przynosisz mi radość.

Cecilia zamknęła oczy na moment i przez chwilę upajała się zapachem jego potu, który maskowała *acqua vita*.

– Musisz dziś jeszcze zejść do stajni – powiedział cicho, gładząc dłonią jej szyję. – Jest tam nowa klacz ze stadniny Calloci w Umbrii. Jest u szczytu okresu godowego. Mój koniuszy pokaże ci ją. Tobie zostawiam wybór imienia.

– Znów jestem twoją dłużniczką, panie – powiedziała Cecilia, ale nie spojrzała mu w oczy.

To był najnowszy z pięknych prezentów, jakie Cecilia dostała w ostatnich tygodniach, kiedy Ludovico pozostawał za zamkniętymi drzwiami. Były egzotyczne owoce dostarczane do jej pokoiów tak słodkie, że przypominały najwspanialsze desery; złożone puzderka migocące w świetle lampy; kolorowe kamienie wiszące ciężko na jej piersi; siatki na włosy z pięknymi perłami. Były sznury szklanych paciorków i przezroczyste błękitne wstążki do wplatania w warkocze. Była czarna peleryna z organzy, modna wśród mediolańskich kobiet. A teraz kolejny koń. Im bliżej zaślubin, tym częściej była obdarowywana. Tylko sam Ludovico pozostawał nieobecny.

Zza okna dobiegł turkot kół powozu na kamiennym bruku. Nie zostało dużo czasu.

– Ludovico – Cecilia wyprostowała się w swojej sukni, jej ręka znów znalazła drogę do wypukłości brzucha. Wzięła głęboki wdech. – Ja nadawałabym się lepiej na twoją żonę.

Uśmiechnął się do niej pobłaźliwie. – Mój kwiecie – powtórzył, biorąc jej dłonie w swoje. Masz już moje serce. I igrasz z moim umysłem tak bardzo, że

przekładałem to... wydarzenie... nie raz, ale dwa razy – westchnął ciężko i pogroził jej palcem, jakby ją karmił. – Zatem, Cecilio, nie mogę już tego dłużej odwlekać. Ty wiesz, że siła i bezpieczeństwo księstwa zależą od mojego sojuszu z Ferrarą.

Cecilia gwałtownie pokręciła głową. – Nie. Nie wiem tego. Powiedz mi, co takiego potrafi Beatrice d'Este, czego ja nie potrafię. Spędziłam niezliczone godziny, racząc twoich gości jadłem, napitkiem i rozmową. Recytowałam sonety dla wszystkich ważnych osobistości, którzy postawili stopę na twoim dworze. Nawet zaśpiewałam tę śmieszna pieśń dla ambasadora Francji!

Ludovico stłumił śmiech.

– I – jej głos przeszedł w szept – noszę twojego syna.

Ludovico palcem uniósł jej brodę i musnął wargami jej usta. Pocałunek był słodki, czuły i pełen oznak budzącej się namiętności. Poczula jak jej ciało otwiera się na niego. Ale wtedy on przerwał pocałunek i tylko delikatnie dotknął czołem jej czoła.

– Przykro mi.

– Ale dlaczego? Wiem, że czujesz to, co jest między nami. Wiem, że w tym, co czujesz do mnie, jest więcej niż tylko to, co się dzieje za drzwiami naszej komnaty – serce Cecylia zaczęło bić w zawrotnym tempie, kiedy zdała sobie sprawę, że może przegrać tę bitwę.

Ludovico z westchnieniem podszedł do okna. Spojrzał w dół, gdzie zajeżdżały powozy w błękitno-złoty barwach Ferrary.

– Ponieważ to małżeństwo nie jest tylko małżeństwem. Mam obowiązki.

– Ale to nie jest w porządku. Ja jestem tą, która na to zasługuje.

Ludovico podszedł do niej i przesunął dłonią po jej rękę. – Moja piękna. Zasługujesz na dużo więcej. Nie opuszczę cię. Obiecuję. Będę nadal do ciebie przychodzić. Będziesz mieć ziemię. Honor. Mamkę. Służbę do pomocy. Wszystko, czego tylko będziesz potrzebować. Zatrzymam cię tutaj, w pałacu, na uboczu, gdzie nic nam nie zakłóci bycia we dwoje. Nie stracisz mnie.

Cecilia poczuła, że jej wargi zaczynają drżeć. Zawsze dbała o to, żeby nie ujawniać przed nim swoich emocji, ale to już zaczynało być za dużo.

– Proszę – powiedziała, cofając się i zwieszając głowę. – Musisz zrozumieć sytuację, w jakiej jestem – czuła, że nie zdoła już wypowiedzieć słów bez płaczu.

Ludovico wyjrzał przez okno na dziedziniec, z którego właśnie szeregi *condottieri* w paradnych zbrojach wkraczały po schodach do zamku. Teraz Cecilia zobaczyła, że lśniąco skórzane buty Ludovica kierują się do drzwi. Kiedy jego dłoń sięgnęła do klamki, wzięła głęboki wdech i odzyskała głos.

– Ludovico! – zabrzmiało tak głośno, jakby wołała go z daleka. Zatrzymał się w pół kroku i odwrócił się do niej. Nigdy dotychczas nie podniosła na niego głosu, ale teraz ogarnęła ją paląca rozpacz. – To mnie musisz pojąć za żonę! Idź i powiedz wszystkim. Przecież ty rządysz. To twoja decyzja. Nikogo innego.

Przez długi moment mierzyli się wzrokiem. Ona patrzyła w jego czarne oczy, w których migotało światło. Potem dostrzegła w ich kącikach zmarszczki i usta unoszące się w półuśmiechu.

– Moja droga dziewczyno.

## EDITH

Okolice Puław, Polska  
Marzec 1940

*Wahl I. Wahl II. Wahl III.*

Kategoria pierwsza, druga, trzecia.

W ostrym świetle lampy na biurku leżały stosy ksiąg rejestrowych i spisów inwentarzowych. Dalej w ciemnych zakamarkach piwnicznego magazynu nieznane skarby czekały, aż Edith im się przyjrzy. W ciągu ostatnich tygodni zidentyfikowała mały obraz malarza flamandzkiego Antoona van Dycka. Kolejne zgromadzone tam obrazy, rzeźby, tkaniny i meble czekały na jej ocenę. Było też mnóstwo mniejszych obiektów – srebrne serwisy, szkło i kryształy, mosiądze.

*Wahl I. Wahl II. Wahl III.*

Edith zaczęła myśleć o kategoryzowaniu kolorami: zielony, niebieski, czerwony.

I fotografie. Setki, może tysiące fotografii. Bezimienne twarze patrzyły na nią z cienia, kiedy tak siedziała sama z piórem w ręce nad pustą stroną rejestru. Fotografie w ramkach, w pudełkach, w albumach, luzem.

Jeszcze jedna polska posiadłość. Tym razem nie znała nazwy ani dokładnej lokalizacji tej niegdyś pięknej, wiejskiej rezydencji, nie wiedziała też, co się stało z jej właścicielami. Pomieszczenia w suterenie – obecne miejsce pracy Edith – zostały przeznaczone do gromadzenia i sortowania wartościowych przedmiotów odebranych prywatnym właścicielom w całej Polsce. Cieszyło ją jedno – to mianowicie, że Hans Frank wybrał na ten cel miejsce znajdujące się

daleko od zamku na Wawelu. Daleko od gabinetu Franka. Daleko od samego Franka.

Oddelegowana daleko od Franka, Edith czuła ogromną ulgę i nie przeszkadzało jej nawet, że jest jedyną kobietą zakwaterowaną wśród samych mężczyzn. Wyższe kondygnacje zamieniono na koszary dla niemieckich oficerów. Odkąd dowiedzieli się, że narzeczony Edith jest jednym z nich, że on też został wysłany na polski front, traktowali ją ze szczególnym szacunkiem. Opowiadali jej o swoich żonach, dziewczynach, siostrach i matkach, które zostawili w Niemczech.

Jako kwaterę przydzielono jej skromny pokój, dawną służbówkę przy kuchni, do której dochodziły zapachy mięsnej potrawy i ciasta. Wraz z oficerami stołowała się w ogromnej jadalni na parterze, obsługiwanej przez trzy polskie matrony zmuszone do sprzątania i gotowania. Kobiety szeptały między sobą, wałkując ciasto albo siekając cebulę i marchewkę. Edith próbowała nawiązać przyjazne stosunki z jedynymi poza nią kobietami w tym budynku, ale szybko zorientowała się, że kucharki są pilnowane na każdym kroku, a poza tym zupełnie nie znają niemieckiego. Ponieważ ona nie mówiła po polsku, wkrótce zrezygnowała z prób zaprzyjaźnienia się czy nawet porozmawiania, ograniczając się do komunikowania gestami, czego potrzebuje.

Przez cały dzień uważnie sortowała trafiające do niej obiekty na trzy grupy: obiekty cenne, te pod różnymi względami interesujące i przedmioty o niewielkiej wartości. Od miesięcy dobra napływały nieprzerwanie. W niegdyś pustych pomieszczeniach pałacu zaczynało brakować miejsca, magazyn się rozrastał, zajmując coraz większą powierzchnię.

Edith była tylko trochę zdziwiona różnorodnością obiektów przechodzących przez jej ręce. Orientalne dywany, srebrne kandelabry, zegary z brązu, małe rzeźby, porcelana z Miśni i Sèvres, całe srebrne zastawy stołowe. Z drugiej strony były też zegarki, sentymentalne drobiazgi, zabawki, dziecięce pamiątki ze srebra albo mosiądzu. Bezużyteczne dla Führera. Ale dla rodziny, która je straciła, były bezcenne. *Wahl III*. Zanotowała ich opisy w grubym rejestrze stojącym na chwiejnym, drewnianym postumencie pod pojedynczym, umieszczonym wysoko oknem.

Edith nie zmagala się z tym prawie niewykonalnym zadaniem sama. Frank przydzielil jej dwóch asystentów. Obaj byli niemieckim żołnierzami z poboru, przydzielonymi jej raczej z powodu krzepy niż jakiegokolwiek doświadczenia z dziełami sztuki. Karl i Dieter całymi dniami rozładowywali ciężarówki i znosili rzeczy do magazynu w suterenie. Jakub, drobny, siwowłosy Polak, dawniej nauczyciel, otrzymał polecenie włączenia się w niemiecki wysiłek wojenny w charakterze tłumacza dla oficerów na górze. Czasami pomagał Edith odcyfrowywać polskie dokumenty i materiały pisane, które przyjeżdżały ciężarówkami.

Tym razem będąc w Polsce, Edith otrzymała płócienną spódnicę, kurtkę mundurową i lśniące skórzane pantofle na płaskim obcasie. Co prawda siedziała w suterenie i nie było jej widać, ale Frank wymagał, żeby jego personel nosił niemieckie mundury. Poza tym ten ubiór pomagał jej nie wyróżniać się spośród mężczyzn.

Pewnego dnia, kiedy grupa żołnierzy zasiadła przy stołach do wieczornego posiłku, Edith dostrzegła znajomą twarz.

– Edith? – mężczyzna wpatrywał się w nią przez stół, jego łyżka zawisała w powietrzu.

– Franz!

Minęło przynajmniej dziesięć lat, odkąd Edith i Franz Klein chodzili do jednej klasy w Monachium. Z Franza zrobił się wysoki, barczysty mężczyzna o wyrazistych rysach, ale z tymi samymi zielonymi oczami i szparą między zębami, po których go poznała mimo upływu czasu. Widywała go czasem w tej samej piwiarni, w której po raz pierwszy spotkała Heinricha.

– Pamiętasz mnie! – wykrzyknął.

– Oczywiście. Przyjaźniliście się z Heinrichem – kiedy wymawiała imię narzeczonego, zabiło jej mocno serce. – Służy w Wehrmachcie. W ósmej armii.

– W ósmej? Przemieszczają się w tej okolicy.

Ogarnęła ją nadzieja. – W takim razie musicie wziąć mnie ze sobą w teren. Tak dawno go nie widziałam.

Franz obruszył się. – Wziąć cię ze sobą? Edith, nie wiesz, o czym mówisz. Nie chciałyś się tam znaleźć – wskazał na drzwi. – Nie, jeśli ci życie miłe.

Chociaż ciągle odmawiał jej naleganiom, żeby ją zabrać razem z żołnierzami, często zatrzymywał się w posiadłości, kursując po terenach przyfrontowych. Kiedy przyjeżdżał, schodził na dół odwiedzić Edith i podzielić się z nią wiadomościami. Tak, powiedział jej, w okolicy powstały obozy dla więźniów. Tak, pociągi pełne Żydów i innego zbędnego elementu są rozładowywane za ich świeżo postawionymi, wysokimi ogrodzeniami z drutu kolczastego. Jednocześnie pociągi pełne niemieckiej ludności cywilnej docierają do miast i miasteczek w całej Polsce, aby zaludnić nowe terytoria niemiecką krwią.

Bezpieczna w suterenie, w spokojnym otoczeniu posiadłości, Edith nie była w stanie wyobrazić sobie tego sortowania ludzi odbywającego się na ogromną skalę poza zasięgiem jej wzroku, ale pod jej boki. Nocami sypiała niespokojnie, mając umysł zaprzątnięty sortowaniem. *Wahl I. Wahl II. Wahl III.* Zielony. Niebieski. Czerwony. Wszystko i każdy był oceniany, wyceniany, przydzielany do kategorii, od której zależał dalszy jego los.

Kiedy Franza nie było, zasypywała żołnierzy pytaniami, chcąc się dowiedzieć, co się dzieje poza terenem posiadłości i czy mają jakieś wieści o Heinrichu. Pytała, czy ktoś wie, co się stało z księciem Czartoryskim i jego ciężarną młodą żoną. Tego nikt nie potrafił jej powiedzieć, ale żołnierze sami z siebie zaczęli dzielić się z nią wiadomościami. Zaczęli czuć się przy niej swobodnie, traktowali się nawzajem przyjaźnie. Edith wiedziała, że zostawili w domu kobiety, a ich cieszyły rozmowy z nią, kiedy wychodziła z głębi domu do niegdyś wypielęgnowanego ogrodu, aby odetchnąć zimnym powietrzem.

Wieczorami pisywała do ojca. Z każdym listem pozostającym bez odpowiedzi coraz bardziej niepokoila się, czy ojciec go otrzymał. Pokładała zaufanie w Ricie i miała nadzieję, że jest otoczony troską. Modliła się z całego serca, żeby tylko nie musiał wrócić do domu opieki.

Oprócz szczegółowych opisów katalogowych odnotowywanych w oprawnym w skórę rejestrze, co tydzień sporządzała raport dotyczący dzieł, które uznała za najcenniejsze. Te raporty były przekazywane jednemu z żołnierzy zakwaterowanych na górze. Lista *Wahl I* szła natychmiast do Krakowa. Edith wyobrażała sobie, jak gubernator Frank co tydzień przejeżdża palcem po tym spisie, śliniąc się na znaleziony przez nią kolejny skarb do jego kolekcji.

Z kolei co tydzień szło do Edith zamówienie. Razem z asystentami pakowali każdy obiekt, szykując go do transportu. Obserwowała Karla i Dietricha

wynoszących te obiekty na zwirową alejkę przed wejściem do pałacu, opatrzone etykietami wskazującymi jednostki składowania, biura muzeów, magazyny i inne lokalizacje w Berlinie, Monachium, Dreźnie, Norymberdze albo jakieś inne, tajne kryjówki w granicach Rzeszy. Zorientowała się, że gubernator Frank nie jest jedynym korzystającym osobiście z tych dóbr luksusowych. Inni wysokiej rangi funkcjonariusze nazistowscy otrzymywali przesyłki kierowane bezpośrednio do swoich domów. Edith sumiennie dokumentowała w swoim rejestrze każdy obiekt i jego miejsce docelowe.

Czasami przychodził rozkaz wyekspediowania określonego dzieła wysokiej wartości na Wawel. Nie słyszała więcej o *Damie z gronostajem* i z tego co wiedziała, obraz nadal wisiał nad kaloryferem w gabinecie Hansa Franka. Wzdragała się na myśl, że znajduje się w rękach kogoś tak nikczemnego. Modliła się, żeby to wszystko szybko się skończyło, ale też nie czuła się na siłach, aby zwrócić obraz tam, gdzie jego miejsce, rodzinie Czartoryskich, jeśli w ogóle jeszcze żyli.

Po obiedzie w koszarowej kuchni Edith znajdowała sobie cichy kąt, żeby poczytać niemieckie gazety, zazwyczaj sprzed tygodnia, które zdobywali żołnierze. Zorientowała się, że są one pełne historii o sukcesach kampanii Hitlera i nie ma w nich nic poza wspaniałymi relacjami z niemieckiej ekspansji na sąsiednie kraje. W tle Polki siekały warzywa, zmywały garnki i patelnie, paplały i żartowały szeptem.

Pewien artykuł opisywał, jak to dzieła sztuki są zabezpieczane w całej Europie, żeby nie wpadły w ręce żydowskich kolekcjonerów w Ameryce. Edith ogarnął pusty śmiech. Wobec ogromnej ilości prywatnego dobytku piętrzącego się w stertach wokół niej, nie mogła już dłużej trzymać się iluzji, że ona, Kajetan Mühlmann czy którykolwiek z jej kolegów zajmuje się zabezpieczaniem czegokolwiek.

*Wahl I. Wahl II. Wahl III.*

Wszystko to było w niebezpieczeństwie.

I wiedziała, że nic nie idzie do Żydów w Ameryce czy gdziekolwiek indziej. Przeciwnie, jest im odbierane razem z wolnością, a może i życiem. Nie mogła nie zauważać dowodów, jakie miała przed oczami. Wszystko, o czym informowały artykuły w gazetach, było kłamstwem. Co jeszcze działo się za murami tej rezydencji, o czym nie informowano? Edith nie była w stanie pojąć



beźmiaru potworności. Wiedziała natomiast, że ręce, w które wpadają dzieła sztuki, nie należą do nikogo innego jak tylko do wysokiej rangi funkcjonariuszy nazistowskich w rodzaju gubernatora Hansa Franka.

I musiała zmierzyć się z faktem, że sama była częścią ogromnej maszyny, która umożliwiała tym ludziom dodawanie sobie splendoru, zaspokajanie własnej próżności kosztem tak wielu niewinnych istnień. Ona nie podniosła ręki na nikogo, w swoim działaniu nie kierowała się złością czy uprzedzeniami. Ona tylko wykonywała rozkazy.

Teraz jednak uświadomiła sobie, że wykonywanie rozkazów nie rozgrzesza nikogo z udziału w przestępczym procederze. Z tchórzostwa. Z nikczemności. Nie było sądu, nie było sędziego, nikt nie wskazał na nią. Edith zdała sobie sprawę, że wymiar sprawiedliwości leży w gestii jej własnego sumienia.

## LEONARDO

Mediolan, Włochy  
Styczeń 1491

Przenosząc stertę książek z półek na stół, zauważam jak coś małego, prawie nic nieważącego, sfruwa na zakurzoną podłogę mojej komnaty.

Schylam się, żeby to podnieść. Jest to jeden z moich najwcześniejszych szkiców przedstawiających Signorinę Cecilie, ten z profilu, z łagodnym nachyleniem wysokiego czoła i zarysem nosa. Jak różny jest teraz obraz w porównaniu z tym wstępnym zamysłem.

Najpierw kazałem jednemu z moich chłopców przygotować orzechową deskę, zagruntować ją gessem i pastą arsenikową dla odstraszenia korników. Miesiącami deska stała na sztaludze, czekając na mnie. Pusta.

Potem zacząłem od kartonu dużej wielkości, który stanowił mój model roboczy. Na wielkim arkuszu pergaminu wypracowałem pozę jej ciała w obrocie, nakreśliłem same kontury odległego krajobrazu za nią. Do rąk wykorzystałem pomysł z wcześniejszego portretu, zrobiłem osobny szkic i przymocowałem go kroplą kleju króliczego. Po skończeniu ponakłuwałem kontury, następnie prósząc przez dziurki sproszkowany węgiel drzewny, przeniosłem kontury na deskę, dokładnie tak jak nauczył mnie mistrz Verrocchio, kiedy ledwo dorosłem do ucierania pigmentów.

Nowy rodzaj portretu. Już nie ma powodu pokazywać portretowanego z profilu. To ujęcie lepiej zachować dla monet i medali. Tymczasem malarze robili to latami, nawet, a może zwłaszcza, na dworze w Mediolanie. Wystarczy spojrzeć na ostatnie portrety dworskie Jego Wysokości i jego ojca, niech spoczywa w pokoju.

Ale ten portret Signoriny Cecilio jest inny, jak sędzę. Nowy rodzaj przedstawienia, jakiego mediolański dwór jeszcze nie widział.

Odwracam kartkę mojego notatnika i przyglądam się najnowszemu układowi jej lewej dłoni i gronostaja. Nadałem jej ciało taką pozę nie po to, żeby pokazać jej status – w końcu, jaki właściwie jest status tej dziewczyny? – ale raczej, żeby wyglądała jak żywa. Tak. Muszę dołożyć wszelkich starań, żeby pokazać Cecilię taką, jaką ją widzi Jego Wysokość – pełną życia, inteligentną, młodą dziewczynę, która ma moc zniewalania całej sali pełnej ludzi przywykłych do takich występów. Ja też tak ją widzę. Jej prawdziwą naturę.

Bo chociaż Cecilia Gallerani nie jest księżną, to jest kimś więcej niż tylko dziewczyną z psem.

## EDITH

Okolice Puław, Polska  
Marzec, 1940

Przenosząc ciężką stertę książek z pomieszczenia magazynowego w suterenie na swoje biurko, Edith zauważyła coś małego, prawie nic nieważącego, sfruwającego na podłogę.

Żeby odłożyć książki na biurko, musiała odsunąć na bok rozrzucone papiery i duży zegar z brązu. Na rogu biurka stała stara lampa. Edith przekreśliła mały włącznik i biurko zalało ostre światło. To, co spadło na podłogę, było kwadratową, czarno-białą fotografią o ząbkowanych brzegach.

Schyliła się i podniosła zdjęcie. Dziewczynka z psem większym od niej, oboje siedzący na czymś, co wyglądało jak schody przed frontowym wejściem do kamienicy, spoglądali na Edith. Ciemne włosy dziewczynki opadały na czoło w splątanych lokach, jej uśmiech był radosny i bezpośredni. Pies też się uśmiechał po swojemu, wywieszając długi jęzor.

Edith opadła na krzesło przy biurku i wzięła głęboki wdech. Długo patrzyła w ciemne oczy dziewczynki. Co się stało z tą uśmiechniętą dziewczynką i jej wielkim psem?

Zdjęcie wypadło z dużego albumu w skórzanych okładkach. Zaczęła przekładać książki, żeby go wyciągnąć. Kilka fotografii luzem wysunęło się ze środka i spadło jej pod nogi.

Żołądek skręcił się jej w supeł, ale ośmieliła się jednak spojrzeć. Poważnie wyglądająca kobieta w sukni ślubnej z koronkowym welonem do ziemi. Starsza para, czyli dziadkowie, siedzący sztywno przed obiektywem aparatu w swoich nakrochmalonych ubraniach. Kolejne zdjęcie, być może uśmiechniętej

dziewczynki, teraz dorosłej kobiety z włosami przyciętymi na wysokości brody i poważnym wyrazem twarzy.

Nagle zimną suterenę zalała fala gorąca. Wszystko zdawało się przechylać w stronę Edith – sterty książek, zdjęć, splątane ramionami kandelabry, zwoje tkanin, futra na wieszakach, nieprzebrane masy czyjś dobytek. Wszystko to naraz zdawało się walić na nią, jakby siedziała w samym środku wiru, który wciągał wszystko do swojego czarnego jądra.

Odwróciła zdjęcie dziewczynki z psem. Nie mogła już wytrzymać jej uśmiechu, jej ostentacyjnej niewinności. Do tej pory Edith starała się odnotowywać tylko informacje o każdym dziele sztuki i nie myśleć o ich właścicielach. Nie pozwalała sobie na to. Miała własną rodzinę i o nią musiała się martwić. Chciała po prostu odciąć się od tragedii, mimo że jej własne ręce grzebały w ich rzeczach – w ich ulubionej porcelanie, ich zdjęciach ślubnych, ich historii, ich życiu. Wzięła kilka głębokich wdechów, żeby przełknąć gulę rosnącą jej w gardle.

Wyłączyła światło i pomieszczenie pogrążyło się w mroku. Nie chciała, żeby żołnierze albo Jakub widzieli ją w takim stanie, na skraju załamania. Zamknęła oczy, starając się pozbierać myśli. Policzyła do dziesięciu. Na szczęście była sama. Gdyby ktoś ją teraz zobaczył, mógłby nie ufać jej osądowi w przyszłości.

Przeszukała wzrokiem każdą stertę, jaką miała przed sobą. W słabym świetle sutereny każda rzucała długi cień. Oddychała w przyspieszonym tempie, rozmyślając nad potwornością tej sytuacji. Była tu od miesięcy, przebierała dziesiątki stert każdego dnia, każda odpowiadała jednej rodzinie. Czasami dwie albo trzy sterty pochodziły z tego samego miejsca. Dobytek, który rodziny gromadziły latami.

Serce jej pękało, kiedy myślała o niezliczonych rodzinach wysiedlonych z powodu wojny i machinacji Wehrmachtu. Ludzie uciekali, byli chwytni, zabijani. Żydzi – mężczyźni, kobiety i dzieci – byli zapędzani bezpośrednio do obozów zaraz poza terenem tej posiadłości.

*Niszcz zło w zarodku,* powiedział jej ojciec.

Edith pomyślała o Franzu i innych żołnierzach na górze, o Heinrichu. Wyglądali na przyzwoitych, inteligentnych, moralnych ludzi. Sama uważała się za podobną do nich pod wieloma względami – za zwykłą niemiecką

obywatelkę, która stara się nie wychylać, dopóki to wszystko się nie skończy. Jak więc to się stało, że zgodzili się służyć czemuś, co jest tak ogromnie, tak dogłębnie złe?

Czy jest już za późno, żeby coś zrobić? Czy jest za późno, żeby podjąć działanie, choćby drobne, które mogłoby pomóc przywrócić dawne życie? Które mogłoby ocalić jedno dzieło sztuki? Jedno istnienie ludzkie?

Edith wstała. Błady blask księżyca oświetlał postument z wielką księgą rejestrową. Z końca księgi wydarła kilka czystych kartek, starając się nie robić hałasu.

Nie wiedziała, jak miałyby zdobywać te informacje ani kto mógłby jej pomóc, ale była zdecydowana zacząć. Ktoś musi dojść do tego, jak zwrócić te rzeczy ich prawowitym właścicielom, uratować i oddać to, co jest ważne i znaczące w ich życiu. Dlaczego nie ja? Pomyślała o swoim ojcu drukującym ulotki. Taka drobna rzecz, ale gdyby każdy miał dość odwagi, żeby zrobić coś małego, czy nie przyniosłoby to w końcu wielkiej zmiany?

Edith wróciła do pierwszej strony księgi i zaczęła kopiować swój spis inwentarzowy wiersz po wierszu, pozycja po pozycji. Obiekt. Opis. Miejsce docelowe. Pierwotny właściciel.

## CECILIA

Mediolan, Włochy  
Kwiecień 1491

Czy ona w końcu coś znaczy?

Cecilia siedziała na łożu i rozważała tę kwestię, słuchając poety Bernarda czytającego swój najnowszy utwór:

*...im żywsza i piękniejsza jest Cecilia,  
tym większa będzie twoja sława w przyszłości.  
Bądź wdzięczna zatem Ludovicovi czy raczej  
Geniuszowi i ręce malarza Leonarda,  
Dzięki którym twój wizerunek przetrwa dla potomności.*

Jednak im większe znaczenie przypisywał jej wiersz, tym mniej ważna czuła się Cecilia. Przesunęła dłonią po pękatym brzuszku Violiny. Biały piesek leżał rozciągnięty wzdłuż jej nóg, śpiąc, z uszami rozłożonymi na kolanach i poduszczkami łap opartymi na jej wydatnym brzuchu. Od czasu do czasu pies leniwie otwierał i zamykał oczy, na przemian śpiąc i budząc się, żeby łypnąć na Bernarda. Ze swojego łoża na podwyższeniu Cecilia obserwowała poetę, który spacerując w tę i z powrotem, kontynuował:

*Każdy, kto ujrzy Cecilię Gallerani – nawet jeśli zbyt późno  
na zobaczenie jej żywej – powie: to nam wystarcza,  
Aby pojąć, co jest naturą, a co pięknem.*

– ... co jest naturą, a co sztuką – powiedział mistrz Leonardo, zatrzymując w powietrzu uniesiony pędzel.

– Masz całkowitą rację w tym względzie, przyjacielu – Bernardo skreślił słowo na pergaminie. – ... co jest naturą, a co sztuką. Znacznie lepiej.

Uroczystości ślubne skończyły się, goście już dawno odjechali. Castelli Sforzesco wrócił do swojego spokojnego rytmu. Zmieniło się tylko to, że Cecilia przebywała teraz zaszyta w swoich prywatnych komnatach zamiast w bibliotece. Tak, była odsunięta na bok. Ale jeśli miałyby być szczerą sama ze sobą, nie była całkiem niezadowolona z tych nowych ustaleń i wcale nie pragnęła natykać się w korytarzach na nową żonę Ludovica. Z tego, co mówiła służba, wynikało, że Beatrice d'Este z Ferrary jest dziewczyną w wieku Cecylii i niezwykle do niej podobną, z tą różnicą, że przejawia niebywałe upodobanie do strojów. Z pewnością niebawem będzie dyktować modę wszystkim damom na dworze, jeśli nie w całym księstwie Mediolanu.

Mając kochankę w zasadzie uwięzioną we własnych komnatach, Ludovico przystał na prośbę Cecylii o przeniesienie niektórych ulubionych woluminów z biblioteki do biblioteczki w pokoju sąsiadującym bezpośrednio z jej sypialnią. To tutaj Leonardo i Bernardo spotykali się codziennie, by kontynuować swoje twórcze prace, a Cecilia starała się nie dopuszczać tu dam dworu i służących. Poprosiła o szczególnie miłkliwą pokojówkę, która dwa razy dziennie doglądała ognia, a Lucrezię Crivelli z jej dwuznacznymi żartami tolerowała na tyle tylko, ile było konieczne do zapięcia guzików na plecach sukni i nasmarowania oliwą podeszew stóp.

Kiedy zdjęto kunsztowne dekoracje i wyrzucono więdnące kwiaty, Leonardo wrócił do portretu. Bernardo tworzył teraz wiersz okolicznościowy wychwalający obraz – i samą Cecylię. Z kolei Cecilia zdała sobie sprawę, że mimo obaw na myśl o pozowaniu artyście przez długie godziny, uwielbiała ich żarty, rozmowy o literaturze, o historii starożytnej, o znaczeniu symboli i obrazów. Nie wyobrażała sobie, jak puste mogłyby być jej dni bez towarzystwa tych dwóch Toskańczyków, jej rodaków.

– Zacznę od nowa – zapowiedział Bernardo i odchrząknął. W wyciągniętej na całą długość ręce trzymał arkusz zapisany dużym, pełnym zawijasów pismem, na które patrzył, mrużąc oczy.

*... Naturo, kto wznieca twój gniew i budzi twą zazdrość?*

*Natura: To mistrz da Vinci, który namalował jedną z waszych gwiazd!*

*Cecilia Gallerani, dziś tak bardzo piękna, jest tą,*



*Przy której pięknych oczach słońce zdaje się ledwie ciemnym cieniem.*

*Poeta: Cała chwała tobie, Naturo, nawet jeśli na jego portrecie*

*Ona zdaje się słuchać raczej niż mówić...*

Pukanie do drzwi przerwało Bernardowi recytację.

W tym, kto zajrzał do pokoju, Cecilia rozpoznała brata. Pomachał do niej, trzepocząc koronkowym rękawem.

– Wybaczcie, że przeszkadzam, signori – oczy Fazia zwróciły się ku portretowi. Cecilia zauważyła, że mistrz Leonardo wysunął się przed obraz, jakby chciał go zasłonić swoim ciałem przed cudzym wzrokiem, jednocześnie uśmiechając się do jej brata. – Nasz Najczcigodniejszy Pan życzy sobie wiedzieć, na jakim etapie jest portret i poemat mistrza Bernarda.

– Właśnie nad nimi pracujemy – odparła Cecilia, krzywiąc się, bo poczuła kopnięcie dziecka. Przycisnęła dłoń do brzucha i wygięła grzbiet. Ostatnio dziecko zrobiło się aktywne i przyprawiało ją o ostry ból pleców i łędźwi. Kiedy Cecilia zmieniła pozycję, Violina, merdając ogonem, podbiegła do Fazia. Przywarła do ziemi, poddając się pieszczocie jego ręki głaszczącej ją po łebku. Cecilia chciałaby też tak móc znaleźć się w kojących objęcia brata, który pocieszyłby ją, że w końcu wszystko będzie dobrze. Ale jednocześnie wcale nie chciałaby okazać słabości przed mistrzem da Vinci i Bernardem. Oni liczyli na nią.

– Mój poemat będzie błahą rozrywką w porównaniu z portretem mistrza da Vinci, ale będziemy gotowi – zapewnił Bernardo.

– Miałem nadzieję ujrzeć podobiznę mojej siostry, zanim tłumy sforsują bramy pałacu – droczył się Fazio. – Wygląda na to, że imię mistrza da Vinci jest na ustach wszystkich w Mediolanie. Ludzie domagają się pokazu jego dzieła po tym, jak byli świadkami jego talentu w sztuce dekoracji. Po tej fecie jestem pewien, że każdy w mieście będzie chciał mieć obraz namalowany przez Leonarda da Vinci!

Mistrz Leonardo skłonił się powściągliwie. – To mi pochlebia.

– To prawda – stwierdził Fazio. – Niespotykana liczba gości przyjęła zaproszenie wystosowane przez Jego Wysokość.

Cecilia wstała z trudem i podtrzymując brzuch, wsunęła stopy w domowe pantofelki czekające na kamiennej podłodze. Podeszła do brata.

– Fazio, jesteś pewien, że Ludovico chce mnie tam? To dziwne, jak sądzę.

– Nie bądź śmieszna – odparował Fazio. – To jest twój portret, moja śliczna. Dziwne byłoby, gdybyś tkwiła w tej komnacie, podczas gdy wszyscy będą się gapić na twoją podobiznę.

– Twój brat ma rację – przyznał Bernardo.

– Poza tym – kontynuował Fazio – jedna ze szwaczek wykańcza dla ciebie nową suknię, którą założysz na odsłonięcie portretu. Jego Wysokość sam zażądał, żeby była bardziej... pasująca do twojego obecnego stanu – niepewnym gestem zarysował kontur zmienionej sylwetki Cecylii, a ona skinęła głową.

– Dobrze. Mogę bez problemu zagrać na lutni, ale nie mogę śpiewać z tak ciasno ściągniętymi sznurówkami – spojrzała w dół po sobie i przesunęła rękoma po brzuchu. – A... Beatrice? – spytała przezornie.

Fazio pokręcił głową. – Sekretarz Jego Wysokości zapewnił mnie, że kiedy ty będziesz zabawiać gości podczas odsłonięcia portretu, Beatrice będzie w powozie, w drodze do Ferrary razem ze swoimi szwagierkami. Dopilnowaliśmy, żeby miała tam sprawę do załatwienia.

Cecilia poczuła ulgę, jakby zdjęto z jej ramion ciężar.

– *Madonna mia*. Dziękuję – wykrzyknęła, chwytając rękę brata.

– Cała przyjemność po mojej stronie. W końcu jestem dyplomatą – podkreślił Fazio. – Chociaż muszę przyznać, że tego typu zadanie wykracza poza mój zwykły zakres obowiązków.

Leonardo wrócił do obrazu, na którym ostrożnie dokonał drobnych poprawek za pomocą pędzla i kciuka. Fazio skorzystał z okazji, żeby rzucić okiem na portret. Cecilia widziała, jak mimowolnie zakrył dłonią usta w zachwycie.

– *Complimenti*, mistrzu – powiedział. – Uchwyciłeś urodę mojej siostry... i jej krnąbrność.

Cecilia uderzyła brata po rękę. – To niezbyt dyplomatyczne z twojej strony, Fazio!

Brat zaśmiał się. – No co, ta część o uchwyceniu podobieństwa jest prawdą. Widzę tylko jeden błąd.

– Błąd? – zdumiał się mistrz da Vinci.

- Tylko jeden. To nie jest bardzo dobra podobizna Violiny – wyjaśnił Fazio.
- Bo to nie ma być Violina! – Cecilia znów dała bratu klapsa.
- W takim razie chowasz w swojej sypialni łasiczkę, o której nic nie wiem? – spytał udając, że poluje na zwierzątko pod łóżkiem.
- To nie jest łasiczka, tylko gronostaj.
- Gronostaj – odezwał się Leonardo – umiarkowanie jada tylko raz dziennie. Raczej da się zabić myśliwemu niż się schronić w brudnej norze, żeby zachować swój nieskazitelny wygląd.
- Poza tym – dodał Bernardo – nie należy zapominać, że król Neapolu nie tak dawno uhonorował Jego Wysokość Orderem Gronostaja.
- Świetnie – uznał Fazio. – Czyli Jego Wysokość będzie jeszcze bardziej zadowolony z portretu. Siostrze, twoi wielbiciele czekają na ciebie.

## EDITH

Okolice Puław, Polska  
Grudzień, 1940

W kieszeni kurtki od munduru polowego Edith nosiła jedyny list, jaki dostała z domu. Od miesiący trzymała go tam, starannie złożony. Teraz brzegi były ponaddzierane, linie złożenia zagniecione. Jednak tłukąc się pojazdem opancerzonym razem z Franzem i kilku innymi żołnierzami, wyjęła list z kieszeni i przeczytała jeszcze raz:

*Droga Edith,*

*wierzę, że ten list, wraz z innymi, jakie wysłałam, dotarł do Ciebie. Nie mamy od Ciebie wiadomości i nie wiemy, czy próbujesz skontaktować się z ojcem. Nie znamy Twojego miejsca pobytu. Nie przestaję pisać, mając nadzieję, że otrzymasz przynajmniej jedną z naszych wiadomości.*

*Twój ojciec ma się jak zwykle. Apetyt ma dobry. Polubił moje specjalnie smażone ziemniaki. Staram się spacerować z nim po parku na tyle, na ile pozwala, ale na ogół woli zostać w swoim fotelu i patrzeć na drzewa za oknem. Nie woła Twojego imienia, ale myślę, że wypatruje Ciebie.*

*Moi koledzy i koleżanki z domu opieki donoszą, że każdego dnia coraz więcej pacjentów odchodzi do Boga. Polityka. No nic, nie ośmielam się podawać zbyt wielu szczegółów, bo boję się, że ten list mógłby w ogóle do Ciebie nie dotrzeć. Wystarczy powiedzieć, że jestem wdzięczna za wyciągnięcie stamtąd mnie i Herr Beckera. Zrobię co w mojej mocy, żeby Twój ojciec tam nie wrócił. Mamy nadzieję zobaczyć Cię wkrótce w domu.*

*Rita*

List na chwilę przeniósł ją do domu, daleko od rzeczywistości wschodniej Polski. Przez okno pojazdu omiatała wzrokiem opustoszałe pola. Teren poza spokojnymi i uporządkowanymi ogrodami rezydencji przedstawiał wielką panoramę piekła. Gdzie jest Heinrich?

Franz Klein uległ w końcu naleganiom Edith i zabrał ją poza teren posiadłości. Powiedział jej, że istnieje niewielka szansa natrafienia na obóz, w którym ulokowany jest pułk Heinricha. W sercu Edith zagościła nadzieja na myśl, że być może dzieli ją od niego odległość przejażdżki samochodem. Czy on wie, że ona go szuka?

Jednak w miarę jak oddalali się od willi i wjeżdżali coraz głębiej w kraj, Edith czuła coraz silniej jadowite ukąszenia okrutnej ironii. Willa, biuro w suterenie, piękne ogrody stanowiące oazę wśród chaosu odgradzały ją od prawdziwych skutków wojny. Od czasu jej przyjazdu kilka miesięcy temu zniknęły miasteczka, wsie, budynki rządowe, nawet restauracje czy sklepy. Teraz, wciśnięta między trzech żołnierzy na tylnym siedzeniu pojazdu opancerzonego, który z dudnieniem silnika wyjechał z terenu posiadłości na główną drogę, widziała krajobraz poznaczony stertami gruzu, resztkami strzech i dachówek. Zastanawiała się, ilu ludzi ukrywa się po strychach stojących jeszcze stodół albo po piwnicach pod dogasającymi ruinami. Ile niewinnych rodzin zdążyło uciec, żeby uniknąć uwięzienia w obozach?

A ci ludzie, te rodziny, do których jako prawowitych właścicieli należały wszystkie te rzeczy zgromadzone w suterenie rezydencji – wszyscy wyszczególnieni w jej spisach inwentarzowych – gdzie oni są? Czy już zrobiono na nich obławę? Czy zostali zagnani do obozów koncentracyjnych? Zabici?

Pomyślała o swoich tajnych spisach, które trzymała pod materacem. Czy jest jakiś sposób na to, żeby jej lista zagrabionych obiektów mogła coś zmienić? Czy w polskich muzeach zostali jacyś pracownicy? Czy znalazłby się tam ktoś, kto mógłby jej pomóc ocalić dzieła sztuki? Czy na koniec zostanie ktoś, komu będzie można je zwrócić?

Po jej powtarzających się prośbach, aby dowiedzieć się, co się stało z Augustynem Józefem Czartoryskim i jego żoną Dolores, prawowitymi właścicielami *Damy z gronostajem*, Jakub miał dla Edith dobrą wiadomość. Kanałami dyplomatycznymi umożliwiono im ucieczkę do Hiszpanii, ojczyzny Dolores. Edith ogarnęło poczucie ulgi, bo skoro rodzina była bezpieczna, ona

nie musiała dźwigać ciężaru winy za ich aresztowanie. Żałowała, że nie może skontaktować się z nimi, żeby powiedzieć, że ich cenna kolekcja jest przynajmniej bezpieczna. Ale wiedza, że uciekli ze szponów gestapo, dodawała jej odwagi do działania.

Konwój zwolnił. Przejeżdżali obok obozu, w którym trzymani byli polscy partyzanci. Sponiewierani ludzie stali za wysokim ogrodzeniem z drutu kolczastego i obserwowali konwój. W oddali dym wzbijał się do nieba. Edith przeszły ciarki. Nie mogła oderwać wzroku od wyrazu rozpaczony i beznadziei na twarzach Polaków snujących się bez celu. Byli skrajnie wychudzeni, wisiały na nich w strzępy ubrań. Czy przetrwają zimą?

Edith zastanawiała się, po co konwój zwolnił, niemal stając w miejscu. Czy miała sycić oczy obrazem tych obdartych ludzi? Czy żołnierzom sprawiał przyjemność wygląd polskich więźniów?

Wzięła głęboki wdech i przytrzymała go przez moment. Stała się specjalistką od zachowywania obojętnej twarzy. Był to najbezpieczniejszy sposób, jedyny sposób na istnienie w świecie, który nie dawał jej wyboru. Nie chciała, żeby mężczyźni widzieli, że jest słabą kobietą maskującą się pod pozorami twardego spojrzenia.

Nagle z tyłu rozległ się huk eksplozji. Edith podskoczyła na swoim siedzeniu, a zaraz potem szeroka dłoń jednego z żołnierzy siedzących obok zepchnęła ją na podłogę. Słyszała gęsty ogień karabinowy. Kule gwizdały jej nad głową, serce podeszło do gardła.

– Nie podnoś się, Fräulein! – syknął na nią żołnierz.

Przez długi czas słyszała tylko dzwonienie w uszach. Nagły atak nastąpił ze wszystkich stron. Chaos. Nie była w stanie usłyszeć, co krzyczy żołnierz obok. Klęczał, wyprostował się na tyle, żeby wyjrzeć ponad siedzeniami, po czym wyciągniętą ręką wskazał, że ma zostać tam, gdzie jest.

Edith nie unosiła głowy, dopóki nie ustał hałas i chaos. Kiedy wreszcie spojrzała w górę, zobaczyła żołnierza dającego znak podniesionym kciukiem. Dźwignęła się z podłogi.

Kłapa została otwarta i mężczyźni wysypali się na zewnątrz. Słysząc było tupot butów po zwirowej drodze. Żołnierze biegali w tę i z powrotem, szukając rannych.

– Z panią wszystko w porządku? – spytał żołnierz. – Uderzyła się pani, skaleczyła?

– Nic mi nie jest. – Na pewno słyszeli, jak wali jej serce.

Żołnierz bez słowa ruszył biegiem w kierunku oficera dowodzącego. Edith otworzyła drzwi i postawiła stopę na ziemi.

Polskim partyzantom, którzy ostrzelali ich pojazd, kazali ustawić się wzdłuż drogi i uklęknąć. Większość była już na kolanach. Ci, którzy odmówili, zostali rozstrzelani pierwsi. Ludzie padali, a ona patrzyła, nie dając po sobie poznać, jak jest wstrząśnięta.

Przesunęła wzrokiem po szeregu. Było jedenastu mężczyzn, z czego dwóch już leżało na ziemi nieżywych, zabitych strzałem w głowę. Czy uciekli z obozu? Czy próbowali uwolnić więźniów? Ludzie w obozie wyglądali na bezsilnych. I ci tutaj bardziej przypominali martwych, z zapadniętymi oczami, z ciałami jak szkielety, w łachmanach pokrytych pyłem, patrzący z gniewem i desperacją.

Edith czekała i patrzyła, bez ruchu, starając się omijać wzrokiem rząd ludzi, na których zaraz zostanie wykonana egzekucja. Słyszała, jak niemieccy żołnierze drą się na partyzantów. Żaden nie odpowiedział. Klęczeli z rękoma za głową, ze spuszczonej oczami. Żaden nie podniósł wzroku, choć słyszała, że żołnierze się tego domagali. Słyszała, jak wyśmiewają Polaków, obrzucają ich nikczemnymi obelgami.

Jeden z żołnierzy przechadzał się w tę i z powrotem przed tymi dziewięcioma ludźmi. Hałas po lewej kazał Edith spojrzeć w tamtą stronę. Zbliżało się dwóch następnych niemieckich żołnierzy, prowadząc między sobą wrywającego się Polaka. Chwyciwszy go pod ramiona, popchnęli do szeregu klęczących. Potknął się, wzbijając trochę kurzu. Nagle z obrotu spróbował trafić tego, który go popchnął i został natychmiast zastrzelony przez drugiego.

Edith zamknęła oczy. Usłyszała odgłos upadającego na ziemię ciała Polaka.

– Przestańcie! – krzyknęła, ale jej głos znikł w chaosie.

Bez ostrzeżenia żołnierz, który o mało co nie zarobił ciosu, przeszedł wzdłuż szeregu partyzantów, strzelając każdemu w głowę.

– Przestańcie... proszę!

Musiała odwrócić głowę. Partyzanci nie wyglądali na tak silnych fizycznie, że mogliby stanowić zagrożenie dla niemieckich żołnierzy. Zostali zabici jakby nie

byli ludźmi. Każdy, kto miał czelność patrzeć prosto przed siebie albo w oczy niemieckich żołnierzy, patrzył z nienawiścią pochodzącą z głębi, łatwą do wykrycia, choć zmieszaną z desperacją.

Edith zemdliło. Jej Heinrich. Czy on też strzela do tych bezsilnych, chorych, biednych ludzi?

Spojrzała na swoje dłonie i zacisnęła je w pięści. Czym ona się różni od tych mężczyzn z karabinami? Przecież to ona pomaga w ograbianiu domów w całej Polsce i Europie. Mężczyźni wskoczyli z powrotem do pojazdu. Edith czuła się brudna, nie chciała siedzieć obok żadnego z nich.

– Jest ostrzał z przodu – powiedział inny żołnierz do kierowcy. – Zawróć. Partyzanci mogli zaminować drogę. Trzeba jechać z powrotem.

Edith poczuła, że kierowca zawrócił ostro, opony wskoczyły w koleiny i pojechali z powrotem do spokojnej posiadłości.

Podczas jazdy wciąż dzwoniło jej w uszach od wystrzałów i ogarniała ją zgroza. Myślała o tym, co powiedział jej Kai Mühlmann: że Heinrich po powrocie nie będzie już tym samym człowiekiem. Jakim człowiekiem będzie? Jakim trzeba być człowiekiem, żeby stanąć przed tymi bezsilnymi więźniami i patrząc im w oczy, rozstrzelać ich? I jaką kobietą stanie się ona, jeśli jej się poszczęści i wyjdzie z tej sytuacji żywa?



## CECILIA

Mediolan, Włochy

Maj 1491

Jaką kobietą stanie się ona – myślała Cecilia, kiedy akuszerka przesuwiała dłońmi po jej rosnącym brzuchu – jeśli jej się poszczęści i wyjdzie z tego żywa?

Przyglądała się blaknącym, barwnym twarzom namalowanym na sklepieniu nad jej łóżem i czekała. Akuszerka była siwowłosa, poważną kobietą o zimnych, gładkich dłoniach. Pracowała powoli, wsłuchując się w jej ciało, jakby Cecilia była koniem, który ma być wystawiony na wyścigach: dźgała, poklepywała, słuchała, oglądała, szukając znaków.

Nawet jeśli przeżyje poród, myślała Cecilia, z pewnością jej dni w książęcym pałacu są i tak policzone, chyba że będzie nadal bronić pozycji, na jaką zasłużyła, nadal udowadniać Ludovicowi swoją wartość. A jeśli zostanie odprawiona, to co wtedy? Może to wszystko i tak nie ma znaczenia. Co kilka dni widziała trochę krwi. Z początku czekała z nadzieją, że to przejdzie. Ale kiedy nie przechodziło, w końcu zwierzyła się Lucrezii i zjawiała się akuszerka.

Wreszcie akuszerka podniosła się i ze zmarszczonym czołem patrzyła na Cecilie. – Następných kilka tygodni zadecyduje – powiedziała. – Już widziałas krew. Jeśli zobaczysz znowu, musisz zostać w łóżku. Nie wolno ci wstawać pod żadnym pozorem. Zrozumiałaś?

Cecilia przytaknęła, myśląc o swoich ćwiczeniach wokalnych w ramach przygotowań do następnych wydarzeń zaplanowanych w zamku.

– A skąd będę mieć pewność, że poród jest... zgodnie z planem?

Akuszerka tylko wydeła wargi. – Nie chcę cię okłamywać, pani. Żadne dwa porody nie są takie same. Nie ma gwarancji co do wyniku. Ostatecznie natura

zrobi swoje, ja jestem tylko narzędziem. Inna akuszerka mogłaby cię mamieć fałszywymi zapewnieniami, ale ja mówię tylko prawdę.

Kobieta przez długi moment przyglądała się uważnie twarzy Cecylii, a potem ścisnęła dłoń jej nogę. Mały gest, nie wiedziała, czy na niego zasłużyła.

– Poślij dziewczynę po mnie, kiedy nadejdzie czas.

## EDITH

Okolice Puław, Polska  
Styczeń 1941

Po strasznym wypadzie w sam środek konfliktu Edith była bardziej niż kiedykolwiek zdeterminowana, aby wyegzekwować tę odrobinę kontroli, jaką miała, żeby naprawić szkody. Dni mijały jej na katalogowaniu obiektów, kopiowaniu rejestru i usilnych staraniach, żeby nie myśleć o straconej nadziei na znalezienie Heinricha na tej spustoszonej ziemi poza murami posiadłości.

Wraz z upływem czasu zmieniały się twarze w tej wiejskiej rezydencji. Ludzie zjawiali się, potem znikali. Ci, którzy zostawali, wyglądali tak, jakby uciekło z nich życie. Nic dziwnego, że byli ponurzy i mroczni. Nie było o tym jeszcze w gazetach, ale z poszeptywań żołnierzy w pałacu Edith wiedziała, że Hitler najechał na Związek Radziecki<sup>[3]</sup>. Rosjanie nie byli już sojusznikami, stali się wrogami, a posiadłość leżała niedaleko od granicy. Teraz, oprócz trudnych do zwalczania band polskich partyzantów, zagrożenie stanowili również Rosjanie – powiedzieli jej żołnierze.

Ponieważ Edith była świadkiem masakry na skraju drogi, trzymała się na uboczu w swojej suterenie, starając się zagłuszyć lęk przed piekielną dewastacją, o której wiedziała, że rozciąga się wokół niej na wiele kilometrów we wszystkich kierunkach. Nie byłaby sobą, gdyby przestała się zastanawiać, ile tam jest obozów, czy zostały się jeszcze jakieś miasta, ile domów polskich rodzin zostało opróżnionych z dobytku, ilu ludzi zagnano do bydłych wagonów. Jedyne, co mogła zrobić, myślała, to dokumentować wszystko, co widziała, wszystko, co przeszło przez jej ręce, do czasu aż będzie wiedziała, co z tym zrobić, żeby to miało sens.

Wydarła czystą kartkę z końca swojej księgi rejestrowej i zaczęła kopiować opis małego obrazu olejnego.

*Temat: Pejzaż z pasterzami.*

*Artysta: XVII-wieczny, holenderski, prawdopodobnie naśladowca van Ruysdaela.*

*Podłoże: Deska z orzecha włoskiego, 32 cm x 63 cm. Dwie równe części połączone poziomo. Ślady po kornikach, obecnie nieaktywnych.*

*Grunt: Biały, bardzo cienki. Miejscami ubytki, prawdopodobnie powstałe w transporcie.*

*Farba: Olejna, nakładana cienką warstwą, z półprzezroczystym laserunkiem, pod spodem słabo widoczny rysunek ołówkiem.*

*Obramienie: Niskie, sosnowe. Zwichrowane. Uszkodzone górne rogi...*

*Miejsce docelowe: Wysłany do Alte Pinakothek, Monachium, pociągami. List przewozowy #3467*

*Pierwotny właściciel: Rodzina Nowak, Dolny Śląsk, miejscowość nieokreślona.*

– Dzień dobry, moja droga – do pokoju wszedł polski tłumacz Jakub, szczupły, pachnący mydłem i tłustym kremem, którego używał do przygładzania włosów i szorstkich wąsów.

Edith szybko wetknęła kopię spisu między zagniecione kartki księgi rejestrowej. W pewien sposób Jakub przypominał jej ojca i czuła się swobodnie w jego obecności, teraz jednak wpadła w panikę na myśl, że może jej tajemnica została odkryta. Czy on widział, że kopiuje rejestry?

Ale Jakub zdawał się nie zauważać, co robi Edith. Usiadł przy dużym stole i przystąpił do pracy nad swoją stertą papierów. Niemieccy oficerowie powierzali Jakubowi tłumaczenie wszelkiego rodzaju materiałów, które tu trafiały. Edith przyglądała się, z jaką starannością zapisuje treść listu. Był skrupulatny, obowiązkowy. Robił to, o co był proszony, ponieważ, no cóż, jaki miał wybór? Tak jak ja, pomyślała Edith. Zastanawiało ją, po której tak naprawdę jest on stronie. Podeszła do niego i przysiadła na brzegu stołu.

– Jakubie – zaczęła, niewiele głośniejsze od szeptu. Trudno jej było zdecydować się, co powiedzieć albo jak poruszyć temat. Ale zwróciła na siebie uwagę, jego bystre niebieskie oczy patrzyły na nią. – Zastanawiam się, czy masz jakiś... kontakt... z grupami na zewnątrz... – powiedziała z namysłem.

Edith wiedziała, że Jakub pod koniec każdego dnia wychodzi z pałacu i wraca następnego dnia rano. Nie wiedziała, dokąd chodzi, kogo zna poza posiadłością albo co wie. Wyraz jego twarzy pozostawał obojętny, nieodgadniony.

Spróbowała jeszcze raz. – Słyszałam, że w okolicy są ludzie, którzy potrafią przekazywać informacje tym, którzy mogliby... którzy mogą... – omiotła wzrokiem ogromny zbiór skradzionych dóbr, złożonych w wysokie sterty w mroku pomieszczeń magazynowych. – Pomóc ochronić to wszystko. Albo może zwrócić tam, gdzie jest tego miejsce. Wiesz coś o tym?

Jakub odchylił się od oparcia krzesła i wydał wargi. Przez chwilę rozważał jej słowa, obracając między palcami swoje pióro. Wreszcie odezwał się: – Robię tylko to, o co mnie proszą, moja droga – uśmiechnął się blado. – Co innego mógłbym zrobić?

Edith skinęła głową i zamierzała odejść, ale wtedy Jakub pochylił się do przodu, mówiąc szeptem: – Ale proszę... powiedz mi. O czym myślałaś?

Podeszła do książki rejestrowej i wyjęła kopię, którą wcześniej wetknęła między kartki. Wróciła do stołu i podała ją Jakubowi.

Patrzyła, jak Jakub przez okulary wpatruje się w jej drobne, schludne pismo. Długa, ciężka cisza zaległa między nimi. Czy on ją wyda? Czy powie oficerom na górze, że sporządza kopię spisu inwentarzowego i szuka sposobu przekazania go w ręce odpowiedniej grupy ruchu oporu? Co się z nią stanie?

– Kopiujesz spisy inwentarzowe – wyszeptał w końcu, spoglądając jej w oczy.

– Ja... tak – przyznała, szukając słów, żeby się wytłumaczyć, ale Jakub zdawał się już rozumieć. Milczał przez chwilę, podpierając palcami brodę.

– Wasz gubernator Frank – zaczął. Na dźwięk nazwiska Hansa Franka Edith się nastroszyła. – Być może wiesz, że kazał wymordować już setki tysięcy moich rodaków? Może więcej. Nie ma moich braci. Ich żon i dzieci też – cień przemknął po twarzy Jakuba. – Jego ludzie nie wahają się strzelać bez ostrzeżenia. Bez powodu.

Ostry ból przeszył Edith na wskroś. Spojrzała na swoje ręce. Jak miałyby wyjaśnić, że sama pomogła Frankowi dostać to, czego chciał? Że Jakub ma wszelkie prawo winić ją wraz ze wszystkimi innymi Niemcami, którzy dokonali tak brutalnej napaści na jego ojczyznę?

– Wiem tylko to, o czym piszą gazety – skłamała.

– A niemiecka prasa nie napisze o zbrodniach przeciwko nam – stwierdził Jakub. Kiedy Edith dała za wygraną, przyjmując do wiadomości, że jej nie pomoże, on mówił dalej: – Ale ja mam głębokie przekonanie, że nie wszyscy Niemcy są źli. Ty, na przykład. Rozumiem, że jesteś osobą darzącą wielkim szacunkiem sztukę. I ludzkie życie. Chcesz dopilnować, żeby te rzeczy wróciły do swoich właścicieli – wskazał gestem ciemną głębię magazynu, a potem leżącą na stole jej kartkę ze spisem inwentarzowym. – Mógłbym ci pomóc – zakończył ciszej.

– Naprawdę? – Edith poczuła ulgę, jakby zdjął z jej ramion ciężar. – Co możemy zrobić, Jakubie? Czuję się taka bezsilna!

Jakub przezornie popatrzył na drzwi, nic nie mówiąc. Wreszcie odezwał się szeptem: – Panie z kuchni. Mogą sprawiać wrażenie, że nic nie wiedzą, ale mają kontakty z grupami na zewnątrz.

Edith otworzyła usta ze zdumienia. Te ciche, niepozorne kobiety, które pieką chleb, zmywają naczynia i piorą ich bieliznę pościelową? Te, które wydają się zupełnie nie rozumieć niemieckiego? Edith prawie całkowicie zrezygnowała z porozumiewania się z nimi. Teraz nie mogła uwierzyć w to, czego dowiedziała się od Jakuba.

– Twoja tajemnica jest moją – zapewnił. Potem poklepał dłonią skopiowaną przez Edith stronę inwentarza. – Jeśli będziemy współpracować, to myślę, że znajdziemy sposób, żeby to trafiło w odpowiednie ręce.

## **Część IV**

# PRZEDMIOT POŻĄDANIA

## LEONARDO

Mediolan, Włochy  
Kwiecień 1491

Portret jest gotowy.

Sekretarz Jego Wysokości poprosił mnie o urządzenie wieczoru, podczas którego podobizna Cecylii zostanie odsłonięta przed dworem, najbliższymi przyjaciółmi Ludovica i gośćmi. Na razie obraz stoi na sztaludze w mojej sypialni w Corte Vecchia, a farba jest już w końcu sucha pod moim kciukiem. Wracam do swoich rysunków, twarz Cecylii Gallerani wydaje się zaglądać mi przez ramię z wyrazem zaciekawienia.

Przeoglądam stosy rysunków, jakie wykonałem w ciągu lat spędzonych w Mediolanie. Człowiek zbudowany według idealnych proporcji opisanych przez Witruwiusza. Lawowane przedstawienia Matki Boskiej, nadające się do wykorzystania w rozmaitych obrazach religijnych. Projekt placu publicznego i moje bezowocne starania o uzyskanie zamówienia na kopułę mediolańskiej katedry. Niezliczone studia koni jako prace przygotowawcze do wielkiego pomnika konnego zmarłego ojca Jego Wysokości. Niemal wszystkie te rzeczy polecił mi zaprojektować Ludovico il Moro.

Ale prawda jest taka, że Jego Wysokość żadnej z nich nie potrzebuje. Na świeżym arkuszu pergaminu zacząłem kreślić szereg projektów architektonicznych udoskonaleń Castello Sforzesco, służących wzmocnieniu jego obronności w obliczu najazdu. Wiele godzin poświęciłem pomiarom starego blankowania i od dawna już przestarzałego systemu hydraulicznego. Przeprojektowałem most nad fosą, który w stanie obecnym jest bezużyteczny w razie ataku.



W ostatnich tygodniach obserwuję, jak najemni dowódcy zatrudnieni przez Jego Wysokość wjeżdżają i wyjeżdżają przez zamkowe bramy na potężnych koniach. Dwóch najbliższych doradców Ludovico zniknęło – nie śmiem pytać, gdzie się podziali. W swoich komnatach Ludovico il Moro otacza się coraz ciaśniejszym kręgiem ludzi. Widocznie przewiduje zagrożenie nadchodzące ze wszystkich stron – z wewnątrz zamku i zewnątrz.

Zbliża się bitwa, myślę. To tylko kwestia czasu.

## DOMINIC

Siegen, Niemcy  
Kwiecień 1945

Zbliża się bitwa, pomyślał Dominic. To tylko kwestia czasu.

Droga z wyżłobionymi koleinami wiła się przez las, reflektory Jimmy'ego wczepiały złote jęzory między ciemne pnie drzew. Posuwali się w ślimaczym tempie, Hancock, do połowy wystający z ciężarówki, w skupieniu przeczesywał wzrokiem zarośla. Dominic nie mógł nie zadać sobie pytania, czy się zgubili. Przyciągnął bliżej do siebie swój karabin, paskudne podejrzenie ścisnęło mu wnętrzości. Zgubili się. Albo zostali skierowani w jakąś zasadzkę.

Droga do Siegen była ciężka, ale nie tak ciężka jak dla tych przed nimi, którzy spychali niemieckie pozycje coraz dalej na wschód. Mijali niezliczone dowody zaciekłych walk. Z pobocza drogi usunięto trupy, ale wszędzie było widać dopalające się jeepy, podziurawione pociskami czołgi, leje po wybuchach, bezużyteczną broń rozsianą po zboczach wzgórz. I ciemne plamy krwi znaczące miejsca, skąd odciągnięto ciała. Jedna kałuża krwi była wciąż jasnoczerwona i lepka, na wpół zanurzony tkwił w niej amerykański hełm. Ten widok rozdarł serce Dominica. Chciałby wiedzieć, czy ktoś powiedział rodzinie Paula Blakely'ego, co się z nim stało. Teraz Francine będzie tylko jeszcze jedną dziewczyną, której wojna zabrała przyszłość. Ślub, o jakim marzyli z Pauliem, dzieci, które, jak miał nadzieję, będą mieć oczy matki – nic z tego się nie wydarzy. Dominic zastanawiał się, czy jego mała Cecilia zobaczy jeszcze ojca... i czy jego drugie dziecko w ogóle ma szansę go poznać.

– Tam! – Hancock wyrzucił z siebie to słowo tak nagle, że palec Dominica natychmiast znalazł się na spuście, ale wyraz twarzy ich dowódcy był radosny. Kierowca Jimmy'ego zahamował. Hancock wyjął z kieszeni latarkę i zaświecił.

Promień oświetlił ciemny otwór w zboczu wzgórza, brzydką szczelinę wcinającą się w gładką ziemię. Była zasłonięta resztkami wielkiej metalowej bramy. Brama zwisała na jednym zawiasie, ostre krawędzie dziur po kulach szczyrzyły się na jej powierzchni.

– Otwórzcie to! – zawołał Hancock.

Dominic wyskoczył z ciężarówki. Podczas gdy inni stali niepewni, szukając wzrokiem czającego się w zaroślach niebezpieczeństwa, on chwycił zimne żelazo skrzydła bramy i pociągnął. Jego mięśnie protestowały, napięte do ostatnich granic w zmaganiu z ciężarem, ale brama drgnęła. Przy dźwięku metalicznego pisku Dominic i dwaj inni żołnierze zdołali odciągnąć ją na bok.

Hancock wysiadł z Jimmy'ego i patrzył w ciemność, z której światło jego latarki wydobywało zarys otworu, podczas gdy Dominic i inni rozprostowywali bolące plecy, po czym z powrotem brali do rąk karabiny.

– Bonelli, weź czterech ludzi i chodźcie ze mną. Reszta zostaje tutaj i pilnuje konwoju – rozkazał dowódca.

Po chóralnym „Tak jest” Hancock ruszył przed siebie, a Dominic tuż za nim.

– Czekać! – dobiegło z ciężarówki, na co Hancockowi opadły ręce. – Idę!

Dominic widział, że Hancock musiał zapanować nad sobą, zanim się odwrócił, co zrobili też inni. Stephany przewiesił nogę zgiętą w kolanie przez burtę Jimmy'ego, usiłując wysiąść. Sutanna, którą uparł się nosić, jeszcze bardziej utrudniała sprawę. Zasapany, strzykając starymi kośćmi, stanął w końcu na ziemi i pospiesznie dołączył do nich, w biegu wygładzając na sobie sutannę.

– Stephany... – zaczął Hancock.

– Nie, nie, nie – Stephany zamachał ręką, oczy mu błyszczały. – Wiem, co powiesz. Że to zbyt niebezpieczne, że muszę zostać przy ciężarówkach. Ale ty wiesz, że jesteś na straconej pozycji, Walker – wyciągnął rękę i serdecznie poklepał Hancocka po policzku. – Chodźmy. Znaleźliśmy moje relikwie, tak? – rozpromieniony potruchtał w kierunku wejścia do kopalni.

Hancock zmełł w ustach przekleństwo. – Dobrze. Rób co chcesz, Stephany. Nie mogę cię powstrzymać.

Komandor podporucznik Stout czekał na nich przed wejściem do kopalni. Czekał na wsparcie. Z jego oddziału, z którym wyszedł z Akwizgranu, zostało

tylko pięciu ludzi, którzy zbili się w gromadę wokół niego, jakby tak było im cieplej. Ale zdecydowana postawa samego Stouta nie uległa zmianie. Jego wąsy uniosły się w górę w uśmiechu.

– Hancock!

– Sir! – Hancock zasalutował.

– Słyszałem, że mieliście trochę kłopotów pod Bonn. Chodźmy, zobaczmy co tu mamy.

Weszli za Stoutem do kopalni miedzi, wątle światło jego trzymanej wysoko latarki zmagало się z gęstą ciemnością i przenikliwym zimnem.

Długi, grubo wykuty tunel prowadził w mrok. Niski strop przytłaczał, powietrze byłoby duszące, gdyby nie panowało tak straszne zimno. Dominic czuł, że ręce mu grabieją na lufie karabinu. Tunel był kręty, miejscami z szerszymi zatokami i ciemnymi komorami otwierającymi się po bokach.

Kiedy jego oczy przywykły do ciemności, zaczął ich dostrzegać. Najpierw białka oczu, potem całe twarze rozbłyskiwały w słabym świetle.

Cywile.

Wygnańcy, ocalali, którym jakimś cudem udało się uciec z Siegen podczas walk. Kulili się zbici w małe grupki w zakolach korytarza, obserwując przerażonymi oczami przechodzących Amerykanów. Stout i Hancock, widząc, że są nieuzbrojeni, nie zwracali na nich uwagi, ale Dominica strach w ich oczach zmroził do kości.

Zakładał, że będzie ich tylko garstka, kryjących się w pobliżu wejścia do kopalni, ale im głębiej wchodzili w ciemność, tym więcej wilgoci czuło się w powietrzu. Wokół zrobiło się cieplej, jego przemarznięte palce zaczęły odzyskiwać czucie. Wraz z ciepłem przyszedł zapach. Znany z zaniedbanych pod względem sanitarnym obozów dla uchodźców, które odwiedzali pod Akwizgranem, tylko wzmocniony tysiącrotnie w stojącym powietrzu kopalni: ludzki fetor najgorszy z możliwych. Pot. Uryna. Ekskrementy. Jeden z młodych żołnierzy obok Dominica krztusił się w odruchu wymiotnym, on sam, z wywracającym się żołądkiem, co chwila spoglądał pod nogi, uważając, gdzie jest stawia. Ostatnio było tak zimno, że sypiał w butach, więc nie chciał wdepnąć w coś, czego nie chciałby rozmazać na swoich kocach. Jeszcze bardziej

niepokojąca była myśl, że skoro tu panuje tak potworny odór, musi tu być mnóstwo ludzi. Żołądek mu się skręcał.

– Uwaga – Stout najwyraźniej podzielał obawy Dominica, bo rękę trzymał na pistolecie u pasa. Hancock wyciągnął swój pistolet. Ta broń nie pasowała do jego szczupłych, eleganckich palców.

Wysoki, przenikliwy dźwięk rozległ się w tunelu. Brzmiał żałośnie i tak bardzo przypominał Dominicowi dom, że chwycił go za serce: płacz małego dziecka.

Tylko że to nie był zwykły wrzask rozkapryszzonego niemowlaka. To dziecko było zmarznięte, głodne i przestraszone, więc żaliło się na swoje nieszczęście w jedyny znany sobie sposób. Dominic ze ściśniętym gardłem szedł dalej, a jednocześnie na jaw wychodziła straszliwa prawda. Tunel rozgałęział się, widzieli wiele jam wykutych w skale, a wszystkie były wypełnione ludźmi. Nikt z tych ludzi nie stał, byli skuleni w pozach rezygnacji na ławkach, kamieniach, prymitywnych posłaniach. Kobiety. Dzieci. Mężczyźni. Niemowlęta. Światło latarki wydobywało z nieprzeniknionej ciemności setki bladych, brudnych twarzy patrzących na nich z głęboką nieufnością.

Można było odnieść wrażenie, że cała ludność Siegen ukrywa się w kopalni, czekając na koniec wojny. Dominic chciał im powiedzieć, żeby się nie bali, że nie stanie im się krzywda, ale nie znał niemieckiego. I uświadomił sobie, wstrząśnięty, że oni się nie boją. Ci ludzie byli Niemcami, nie mniejszością dążącą za wszelką cenę do zmiecienia z powierzchni ziemi alianckich armii, ale prawdziwym niemieckim narodem – ludźmi, którzy żyli, spali i jedli i nie chcieli niczego innego niż odzyskać swoje życie, robić to, co robili, zanim wojna rozniosła ich kraj na strzępy.

– *Amerikaner.*

To słowo było na ustach wszystkich, kiedy tylko rozpoznali ich mundury, odbijało się od ściany do ściany, powtarzane nieufnym szeptem. Dominic spojrział w oczy małej dziewczynki i uśmiechnął się instynktownie. Dziewczynka odwzajemniła uśmiech, ale zaraz matka chwyciła ją mocno i przyciągnęła do siebie, a jej oczy pełne były zgrozy.

U wylotu tunelu znajdowała się kolejna pieczara, tak wielka, że w świetle latarek nie wiadomo było, gdzie się kończy. Dorośli, którzy tam leżeli, zerwali

się na nogi i cofnęli się pod ściany, owijając się ciasniej swoimi łachmanami, patrzyli w niemym przerażeniu. Stephany próbował kilkoma niemieckimi słowami dodać im otuchy, ale nawet on stracił zapal w obliczu tego zbiorowego strachu. Patrzyli na siebie nawzajem w milczeniu, Niemcy i Amerykanie.

Wszyscy poza jednym. W krąg światła wszedł mały chłopiec. Jego ciemne włosy były brudne i splątane nad czołem, ale jego błękitne oczy były jak odpryski klejnotów lśniące w pyle. Podszedł do komandora podporucznika, który zamarł, nic nie rozumiejąc.

Chłopiec wyciągnął rękę, żeby dotknąć naszywki na płaszczu Stouta. Nagle kopalnię w mroku wypełnił pełen radości jego śmiech. Potem swoją pulchną rączką złapał Stouta za palec wskazujący i pociągnął do przodu. Oczarowani żołnierze jak we śnie poszli za chłopcem, który doprowadził ich do dużych, metalowych drzwi. Drobną piąstką wystukał na nich skomplikowaną melodię.

– *Amerikaner* – zaświergotał.

Drzwi uchylily się. Widząc same mundury, Dominic i jego ludzie zdwoili czujność, podnieśli karabiny gotowe do strzału. Ale oczy, które na nich patrzyły, nie były niemieckie. Byli tam Brytyjczycy, Francuzi, Amerykanie, o czym świadczyły naszywki na ich pokrytych czarnym brudem mundurach. Na widok alianckiego wojska wkraczającego do kopalni, upadli na kolana, niektórzy ze łzami w oczach.

Stojący najbliżej mężczyzna drżącymi rękami złapał Stouta za rękaw, mimo że zdumiony oficer wciąż mierzył do niego z pistoletu.

– Proszę – powiedział błagalnie. – Zabierzcie nas do domu.

## EDITH

Okolice Puław, Polska  
Marzec 1941

Pewnego wieczoru, kiedy niemieccy oficerowie odpoczywali przy stole w jadalni, syci i usatysfakcjonowani kluskami ziemniaczanymi i polską wódką, Edith dostrzegła swoją szansę.

Z pustym talerzem w ręce wymknęła się od stołu i przeszła do kuchni. Pozostali przy stole mężczyźni opróżniali kieliszki i śmiali się z niewybrednych dowcipów. Starła się sprawiać wrażenie, że po prostu resztę wieczoru zamierza spędzić u siebie. W końcu jej pokój znajdował się w głębi korytarza, za pomieszczeniami gospodarczymi.

Po kuchni krzątały się trzy Polki, zbierając sterty brudnych talerzy, ścierając z blatów resztki ciasta i mąki, zmiatając śmieci z podłogi. Edith nie była pewna, do której się zwrócić. Nie знаła ich imion, ponieważ zdawało jej się, że tak będzie lepiej. Wiedziała tylko, co powiedział jej Jakub: jeśli sumiennie kopiowała codzienne spisy, odnotowując ciężarówki i pociągi kierowane do niemieckiej i austriackiej granicy, kobiety będą wiedziały, co zrobić z tymi informacjami. Mogą przekazać je we właściwe ręce. Przynajmniej miała nadzieję, że mogą.

Jej dłoń odruchowo powędrowała do kieszeni mundurowej kurtki. Tam, złożony w sprasowany pakiecik, znajdował się dzienny spis obiektów, które katalogowała, wraz z adnotacjami o prawowitych właścicielach i miejscu pochodzenia, jeśli było znane, wszystko spisane jej drobnym, schludnym pismem. Zawahała się jednak. Czy te niepozorne kobiety naprawdę mają moc powstrzymania ludzi z ruchu oporu przed wysadzeniem w powietrze ciężarówek i pociągów, jak powiedział jej Jakub? To się wydawało niepojęte. Ale

Edith ufała Jakubowi, a on zapewniał ją, że daje to największą szansę na ocalenie tych dzieł sztuki, aby kiedyś mogły wrócić do prawowitych właścicieli. Co innego mogłaby zrobić? Była tylko samotną kobietą tkwiącą w suterenie w pobliżu sowieckiej granicy, a jej kontakt ze światem zewnętrznym ograniczał się do pułku hitlerowskich żołnierzy, skromnego polskiego tłumacza i kuchni pełnej członkiń ruchu oporu udających obsługę kuchenną.

Edith wahała się. Do której powinna się zwrócić? Najmłodsza z trzech kobiet stała przy zlewie, ręce miała po łokcie w mydlinach. Edith postawiła na kobietę wycierającą blaty. Podeszła i odstawiła na blat swój brudny talerz. Potem sięgnęła do kieszeni i wyjęła spis inwentarzowy z tego dnia.

Kobieta nie spojrzała na nią, nie przerwała swojej czynności. Po prostu wyciągnęła rękę i niemal niedostrzegalnym ruchem pod krawędzią blatu zgarnęła pakiecik do swojej kieszeni. Edith odwróciła się, a wtedy usłyszała za plecami szept.

– *Danke schön.*

Poczuła, jak jeżą się jej włosy na głowie. One jednak znały niemiecki.

Przez uchylone drzwi jadalni widziała oficerów wciąż siedzących przy stole. Żołnierz masywnej postury, jeden z dowódców oddziału, przechyliwszy się z krzesłem do tyłu, dłubał wykałaczką w szparach między zębami.

Edith wypuściła ustami powietrze, nie mogąc wyjść ze zdumienia. Ci mężczyźni nie mieli pojęcia, że kucharki słuchają każdego wypowiedzanego przez nich słowa.



## DOMINIC

Siegen, Niemcy  
Kwiecień 1945

Jeńcy wojenni. Jak oni uciekli nazistom z niewoli? Dominic mimowolnie rozdziawił usta. Jak długo ukrywali się w tej kopalni razem z mieszkańcami Siegen?

Stephany rozdzielał właśnie kolejne racje kawy w proszku, aby zziębnięci mogli się rozgrzać, kiedy przybiegł Hancock. Wszyscy zerwali się jak jeden mąż, Dominic mocniej chwycił karabin, ale na twarzy Hancocka malowała się radość.

– Sir! – tym razem nawet dystyngowany Hancock był rozemocjonowany. Zsunął sobie hełm na tył głowy, jego twarz promieniała. – Musi pan to zobaczyć.

Stout, Dominic i Stephany poszli za nim krętymi tunelami do miejsca, gdzie dalszą drogę zamykały drzwi, które, sądząc po roztrzaskanej w drzazgi framudze, zostały wyważone. Za drzwiami Dominic w pierwszej chwili nie dostrzegł nic poza chmurą drobnego pyłu. Kiedy jednak jego oczy przywykły do ciemności, zobaczył piękną damę w loczkach z różowymi policzkami patrzącą na niego z portretu. Potem zobaczył to, co widział Hancock. Rząd za rzędem dzieła sztuki. Obrazy. Rzeźby. Ustawione jedna na drugiej, wyładowane skrzynie. Bezcenne dzieła umieszczone chaotycznie na byle jak skleconych półkach z surowego drewna. Wspaniałość tego zbioru nijak się miała do otaczającego go brudu, chłodu i smrodu.

Niezaprzeczalną prawdą było, że kopalnia w Siegen kryła w sobie wszystko, co obiecał stary Herr Weyres.

Strudzone serce Dominica zabiło szybciej, kiedy wszedł do tego pomieszczenia. Natychmiast zrozumiał, że ten brudny kopalniany chodnik może mieścić arcydzieła, o których tylko czytał. Chciał wyciągnąć ręce i dotykać ich wszystkich, ale zamiast tego, trzymając w dłoniach lufę karabinu, chodził tylko między nimi, spoglądając na złoczone ramy i lśniące powierzchnie obrazów olejnych. Niektóre obrazy opatrzone były etykietami wypisanymi czarnym atramentem. Manet. Vermeer. Panteon artystów, o których Dominic mógł tylko marzyć, że zobaczy ich dzieła na własne oczy. Nagle palce zaczęły go świerzbić, żeby znów rysować.

*Nie przestawaj rysować.*

W przeblysku pamięci był znów w Akwizgranie, klęczał przy Paulu przed zrujnowaną katedrą, patrząc, jak jego przyjaciel wydaje ostatnie tchnienie. Ból, który przenikał jego ciało, zamienił się w niesmak. Odwrócił się, czując mdłości. To wszystko było wspaniałe, ale oddałby dzieła tu zgromadzone, żeby odzyskać Paula.

Kiedy otępiały z bólu podniósł wzrok, wtedy to zauważył. Dużą skrzynię z napisem AACHEN biegnącym przez całą jej długość.

– Stephany – powiedział bezbarwnym głosem.

Ksiądz wikariusz podbiegł z nadzieją w oczach, które zrobiły się okrągłe na widok skrzyni. Doskoczył do niej, jego palce bezskutecznie przesuwwały się po drewnie. Hancock chwycił łom, jeden z żołnierzy pomógł mu podważyć wieko. Zawartość owinięta była w płótno z konopi. Trzęsącymi się rękami Stephany rozgarnął je delikatnie. Złoto i drogie kamienie zalśniły między fałdami szorstkiej tkaniny. Stephany osunął się na kolana, łzy popłynęły po jego twarzy, jakby to członkowie jego rodziny odnaleźli się żywi. Płynna niemczyzna wylewała się z jego ust za szybko, żeby Dominic mógł cokolwiek zrozumieć, ale serce mu rosło. Przyklęknął koło Stephany'ego, kładąc rękę na jego ramieniu.

– Co to jest?

Widok radości w oczach starca chwycił Dominica za gardło. Stephany oparł drżące ręce na jego ramionach.

– Bogu niech będą dzięki. To dzięki wam, przyjaciele. Znaleźliśmy je – oznajmił.

## EDITH

Okolice Puław, Polska  
Kwiecień 1941

Pewnego wieczoru po przekazaniu kobietom z kuchni spisu inwentarzowego z tego dnia, Edith poczuła przemożną potrzebę zaczerpnięcia świeżego powietrza. Z tyłu dobiegały do niej śmiechy oficerów, ich koleżeńskie dogadywanie przy stole. Czy oni – i czy ona – kiedykolwiek zaznają spokoju po tym, co robili? Czy oni jej nie podejrzewają? Naciągnęła wełniany płaszcz na swój brunatny, wygnieciony mundur i wyszła na zewnątrz.

W świetle księżycy rozróżniała sylwetki strzyżonych żywopłotów i klombów kwiatowych w ogrodzie. Cienka warstwa szronu osiadła na wszystkich powierzchniach. Nazistowska flaga, tak wielka, że aż nierealna, wisiała nieruchomo w bezwietrznym powietrzu, swastyka na niej sięgała od okapu dachu, przez dwa piętra, do ławki, na której siedziała Edith, obserwując jak jej oddech zamienia się w obłoczek pary. Podniosła kołnierz, osłaniając szczelniej szyję.

Od prawie trzech miesięcy Edith i Jakub starannie kopiowali codzienne spisy inwentarzowe i listy przewozowe, powierzając je kobietom z kuchni. Taki drobny akt, myślała. Czy jest w stanie coś zmienić? Gdyby choć jeden wagon, jeden pojazd opancerzony pełen cennego dobytku i dzieł sztuki został ocalony, myślała, to i tak było warto. Potem pomyślała o ojcu, o jego drobnych aktach oporu podczas poprzedniej wojny. Z całego serca pragnęła móc z nim porozmawiać, powiedzieć mu, co robi, spytać go o radę.

Tak dawno nie miała wiadomości od ojca ani od jego pielęgniarki. Opuściła głowę na kolana i objęła ją rękami. Przycisnęła oczy do rękawa płaszcza, wstrzymując oddech, odcinając się od emocji.

– Edith.

Przycisnęła opuszki palców do oczu, jakby ją piekły.

– Edith – usłyszała znowu, wypowiedziane łagodnym głosem.

Franz w mundurze stał wyraźnie widoczny na tle flagi wiszącej na fasadzie willi. Nawet w mroku widziała, że policzki ma zarumienione z zimna. Usiadł obok niej na ławce i oboje patrzyli przed siebie, w ciemność. Nagle poczuła jego szeroką dłoń na swoim ramieniu. Co on robi? Przecież wie, że jest zaręczona. Czy tak mu brakuje kobiecego ciepła, że mógłby spróbować ją pocałować, wykorzystując jej samotność i odosobnienie w tym dziwnym miejscu, z dala od domu i wszystkiego, co kochali?

Ale kiedy zwróciła się ku niemu, zobaczyła, że ma smutny wyraz twarzy i zaczerwienione oczy.

– Przyszła wiadomość o twoim Heinrichu.

## DOMINIC

Siegen, Niemcy  
Kwiecień, 1945

Dla Dominica chodniki kopalni miały w sobie coś kojącego i znajomego mimo wilgoci i ostrego zapachu. Ogniska rozpalone w komorach dawały ciepło i oświetlały czarne tunele. Wczesną wiosną, mając zapewnienie, że walki w ich rodzinnym mieście się skończyły, uciekinierzy zaczęli nieśmiało wychodzić na słońce. Powracała radość i dawała o sobie znać w czystszych zapachu ich ubrań, w kolorze, jakiego nabierała ich skóra, w błysku w ich oczach. A może to była tylko nadzieja – nadzieja, że nie przyjdzie im umrzeć w tej kopalni.

Ale to nie uciekinierzy sprawiali, że Dominic czuł się w kopalni jak u siebie. Trzymał wartę w jednym z wielu pomieszczeń magazynowych pełnych dzieł sztuki, jakie znaleźli, opierając się swobodnie o ścianę, z karabinem, którego nie musiał już używać. Strzegł skarbów bardziej przed uciekinierami niż przed czymkolwiek innym. Byli cywilami, ale byli ludźmi i właśnie stracili wszystko, co posiadali. Kto mógłby ich winić, że w tych okolicznościach mieli lepsze ręce?

Oprócz mieszkańców miasta, których znaleźli w opłakanym stanie w kopalni – ludzi, którzy byli więcej niż chętni do pomocy – musieli zatrudnić także więźniów. Większość trafiła do więzienia za drobne kradzieże, więc trzeba było szczególnie mieć ich na oku wśród tych skarbów, ale alianci nie mieli wyboru. Za dużo było do zrobienia. Dni mijały i Dominic wiedział, że może się to jeszcze ciągnąć tygodniami.

Siegen przypominało mu kopalnię węgla w Pittsburghu, w której pracował od zawsze. Jego praca zginała mu grzbiet, była brudna i głęboko pod ziemią, gdzie słońce nie dociera, ale była to dobra praca, ciężka i spokojna i tęsknił za nią. Brak mu było koleżeństwa między górnikami i świadomości, że pracuje

uczciwie, dając ludziom coś, czego potrzebują. Tęsknił do swoich stwardniałych, spracowanych rąk, które wydobywały spod ziemi węgiel do ogrzewania domów ludzi, o których się troszczył. Teraz te same ręce od miesięcy robiły niewiele poza zabijaniem.

Ale najbardziej tęsknił za swoją rodziną. Już prawie rok.

Odgłos kroków w magazynie wyrwał Dominica z zamyślenia. Skoczył otworzyć drzwi i przytrzymać je, żeby mogło przejść kilku żołnierzy niosących ogromną drewnianą skrzynię. To było jedno z wielu pomieszczeń, jakie odkryli, wylądowane po strop dziełami sztuki. Na boku skrzyni niesionej przez żołnierzy zauważył stempel KÖLN. Znajdowali ukryte tutaj, w ciemności, obiekty z wielu muzeów z różnych niemieckich miast. Kolonia, tak, ale poza tym Essen, Münster – więcej niż mógł spamiętać. Były tu ołtarze, obrazy olejne, rzeźby, złożone popiersia, wszystko stare i nie do wyceny. Prawie czterdzieści pudeł dokumentów i oryginalnych zapisów nutowych pochodziło z domu Beethovena w Bonn. Dominic mógł jedynie ze zdumienia kręcić głową.

Zaraz za ludźmi niosącymi skrzynię nadeszli inni żołnierze, z wielkim poszanowaniem niosący pojedyncze obrazy olejne. Dramatyczne sceny batalistyczne, żywe pejzaże, głębia oczu z portretów przesuwały się przed Dominikiem w brudnych rękach żołnierzy, w drodze na powierzchnię i dalej, do bezpiecznych miejsc przechowywania.

– Czekaj! – żołnierz pełniący razem z Dominikiem wartę przy drzwiach zatrzymał mijającego go żołnierza niosącego obraz. – Czy to jest to, co myślę?

Chłopak o okrągłej twarzy spojrzał pytająco. Dominic wciąż nie rozmawiał za wiele z kolegami, ale wiedział, że jego partner z warty George Weaver jest bostończykiem i wylądował na plaży w Normandii tego samego pamiętnego dnia co Dominic.

– A myślisz, że co to jest? – spytał żołnierz.

– Bo to jest – oczy Weavera zabłysły. Wyciągnął rękę, ale wstrzymał swoje drżące z emocji palce o centymetr od obrazu, nie dotykając go. – To jest Rubens – powiedział zdławionym głosem. – Oryginał.

Dominic przyglądał się uważnie obrazowi. Przedstawiał majestatyczną Madonnę z Dzieciątkiem w otoczeniu świętych, scenę, której wymowa znana była przez stulecia.

– Wyobraźcie sobie! – entuzjasmował się Weaver. – Ten obraz upchnięty tu, pod ziemią.

– Wiesz, on waży tonę, więc jeśli nie masz nic przeciwko – burknął żołnierz. Przepchnął się koło Weavera i ruszył do wyjścia, mamrocząc zrzędliwie.

Entuzjazm Weavera nie słabł.

– Większość ludzi uważa Rubensa za Flamanda – tłumaczył Dominicowi, wskazując palcem strop chodnika – a naprawdę urodził się tutaj, w Siegen.

Parada arcydzieł trwała dalej, a Dominic rozpoznając na twarzy Weavera mieszaninę zachwytu i przerażenia, przypomniał sobie dzień, kiedy półgłówkę Kellernamm wyrwał mu z ręki rysunek przedstawiający Sally i szydził z niego. Miłośnik sztuki na wojnie to rzadkie zjawisko.

Weaverowi wystarczył rzut oka na następne duże płótno z nagą kobietą. – Lucas Cranach!

– Znasz je wszystkie? – spytał Dominic, parskając śmiechem.

Weaver wzruszył ramionami. – Przed wojną studiowałem historię sztuki. Zrobiłbym dyplom, ale musiałem się zaciągnąć. – Kąciki jego ust uniosły się w lekkim uśmiechu. – Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że znajdę się w kopalni miedzi w Niemczech i będę tam oglądał największe arcydzieła, jakie kiedykolwiek stworzono.

– Miejmy tylko nadzieję, że wydostaniemy je stąd całe – zauważył Dominic. – Spójrz.

Weaver popatrzył w ślad za palcem wskazującym Dominica, na następny obraz. Przedstawiał rodzinę, wszyscy jej członkowie dosiadali lśniących wierzchowców z obciętymi ogonami, ale farba paskudnie odchodziła w górnym rogu. Ciemna plama na ramie była dowodem, że wilgoć zaczyna zżerać dzieła sztuki w kopalni.

Hancock mówił im, że początkowo naziści kontrolowali temperaturę i wilgotność w kopalni, sterując procesem osuszania z pobliskiej fabryki, ale fabryka została zbombardowana przed wieloma tygodniami, może nawet miesiącami. Teraz w tunelach echo niosło dźwięk wody kapiącej ze stropu. Każda powierzchnia była przesiąknięta wilgocią. Cennym dziełom sztuki ocalałym z totalnej wojny, jaka przetoczyła się przez prawie cały kontynent, teraz zagrażał podstępny wróg, równie niebezpieczny. To był wyścig z wilgocią,

aby zdążyć wy dostać obrazy z kopalni i opancerzonymi transporterami przewieźć je do punktu zbiorczego. Tam, jak słyszał Dominic, będą zabezpieczone i skatalogowane, a potem zostaną zwrócone prawowitym właścicielom. Jeśli ktokolwiek z nich przeżył.

Przypomniiał sobie wyraz twarzy Stephany'ego, kiedy otworzyli skrzynię z Akwizgranu, tę niezmaconą radość w jego oczach, kiedy dotykał lśniącej, złoconej powierzchni relikwiarza zawierającego szczątki Karola Wielkiego. Po raz pierwszy zobaczył taki wyraz twarzy odkąd był w Europie. Jeszcze nie tak dawno zastanawiał się, czy sztuka w ogóle ma znaczenie. A teraz poczuł przyływ czegoś, co uważał za stracone na zawsze. Nadziei.

– Spójrz na to! – wykrzyknął Weaver. Zatrzymał następnego żołnierza i sycił oczy obrazem.

– I na to – Dominic wskazał piękny portret dostojnej kobiety o jasnej cerze, w czerwonej sukni, której fałdy zostały namalowane tak doskonale, że niemal czuł ich dotyk.

Weaver przyglądał mu się. – Słyszałem, że ty też jesteś artystą.

Dominic pokręcił głową. – Nie, to nic takiego. Kiedyś rysowałem. Portrety.

– Kiedyś?

Dominic musiał się odwrócić, nagle osłabły z bólu, bo znów usłyszał przywołane w pamięci słowa, jakie wypowiedział Paul z ostatnim tchnieniem.

*Nie przestawaj rysować.*



## EDITH

Okolice Puław, Polska  
Kwiecień 1941

– Bardzo mi przykro, Edith – powiedział Franz, ale co znaczą słowa, kiedy mężczyzna w rozkwicie życia może je stracić, w jednej chwili być żywy, w następnej martwy? I z jakiego powodu?

– To się stało niedaleko granicy – mamrotał Franz ze zwieszoną głową, wpatrując się w swoje palce, które splótł między kolanami, kiedy tak siedzieli razem na ławce w mroźnym powietrzu. – Podobno tam była wioska. Oddział Heinricha obstawił bunkier zaraz obok...

Edith zrobiła to, czego nauczyła ją wojna i co umiała robić dobrze. Zapadła w odrętwienie, przez które przebijały się obrazy do jej świadomości. Heinrich biorący ją za rękę, kiedy przechodzą wieczorem przez galerie Alte Pinakothek, gdzie są sami po zamknięciu dla publiczności. Nawołujący ptaki, kiedy pływają łódką po stawie w parku. Pomagający jej ojcu obrać jabłko. Odgarniający pasmo włosów z jej twarzy i zbliżający wargi do jej szyi.

Zaczerpnęła powietrza. Jej serce już się uodporniło na poczynania Wehrmachtu. Niemcy poświęcali życie dla przedsięwzięcia, które wydawało się chybione od początku, a teraz stawało się coraz bardziej beznadziejne. Pomyślała, że jest ktoś, kto jest odpowiedzialny za zniszczenie Polski. I za śmierć Heinricha.

Edith wyobraziła sobie gubernatora Franka, jak siedzi za swoim ogromnym biurkiem, pije polską wódkę, spogląda na swojego Leonarda nad kaloryferem, a w tym czasie Heinrich i tysiące innych giną w krwawej walce. Nie miała teraz wątpliwości, że to Hans Frank, z nadania Hitlera gubernator generalny, jest odpowiedzialny za to wszystko, za każde życie brutalnie odebrane jak Polska

długa i szeroka, tak samo swoich, jak i przeciwników. Dreszcz przebiegł jej po plecach na myśl o jego troskliwości, jego obłudnych *pozorach* kultury.

Franz dalej podawał jej szczegóły okoliczności śmierci Heinricha, ale ona nie była już w stanie przyjmować tych okrutnych informacji. Potrafiła myśleć tylko o jednym: straciła mężczyznę, którego miała poślubić, a winę za to ponosi gubernator Frank.

## CECILIA

Mediolan, Włochy

Maj 1491

– Gdybyś wiedziała, co dla ciebie dobre, zostałabyś w łóżku.

Lucrezia Crivelli kończyła owijać długi warkocz Cecylii wstążką naszywaną perłami, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

W lustrze ukazał się Leonardo da Vinci, więc Cecilia uśmiechnęła się do jego odbicia. Dla każdego nieznanego ten skromnego pochodzenia rzemieślnik z Florencji wyglądał jak sam książę. Miał na sobie starannie dobrane fioletowe pończochy i skórzany kaftan z metalowymi ćwiekami lśniącymi w świetle latarni. Cecylii zaparło dech.

– Jesteś zjawiskowy, signore.

Mistrz Leonardo skłonił się.

Cecilia zaczęła się podnosić z ławy przed lustrem, żeby się z nim przywitać, ale nagle zgięła się wzdłuż, nie mogąc się wyprostować. Artysta podbiegł do niej, Lucrezia podtrzymała ją, chwytając pod ramię.

– Dobrze się czujesz, signorina? – spytał Leonardo.

– Akuszerka radziła jej leżeć w łóżku, żeby powstrzymać krwawienie – oznajmiła Lucrezia. – Taki niebezpieczny czas. Ale ona nie chce słuchać.

Cecilia zaśmiała się nerwowo i wyprostowała. – Proszę, nic mi nie jest. To nic poważnego.

W ostatnich dniach czuła się niepewnie i była słaba. Żołądek ścisnął się chwilami tak mocno, że musiała zwinąć się na łóżku, dopóki skurcz nie ustąpił. Miała nadzieję, że zdoła przebrnąć przez sonet i pieśń, które ćwiczyła, bez konieczności położenia się. Prawdę mówiąc, poród ją przerażał, ale nie mogła

pozwolić na to, żeby dać Ludovicowi powód do odesłania jej. Musiała utrzymać swoje miejsce na dworze Ludovica, nikt inny nie mógł tego zrobić za nią. Jedna pieśń. Następnie wymiana uprzejmości z gośćmi Jego Wysokości. Potem wróci do łóżka, jak zalecała akuszerka.

Cecilia wzięła Leonarda pod rękę i ruszyli korytarzem – on dbając, by ją wspierać w powolnym, niezdarnym posuwaniu się w kierunku wielkiej sali, gdzie odbywały się najważniejsze dla Ludovica wydarzenia. Lamy migotliwym blaskiem oświetlały szerokie korytarze. Brzeg ciężkiej, nowej sukni z zielonego aksamitu z cichym szelestem sunął po marmurze, podczas gdy Cecilia nerwowo rozglądała się wokół. Wyszła ze swoich komnat po raz pierwszy od dnia ślubu Ludovica, bez mała pięć miesięcy temu. Pokojówka, którą minęli po drodze, skłoniła głowę, a Cecilia z ulgą przyjęła jej milczenie.

– Ona ledwo idzie – usłyszała szept Lucrezii skierowany do pokojówki. – Spójrz na nią!

Na końcu korytarza, w świetle lamp, grono dam dworu i gości czekało przed wejściem do wielkiej sali. Cecilia poczuła w brzuchu trzepotanie, a potem skurcz, ale to szybko ustąpiło. Rozległy się szmery i tłum rozstał się przed Cecilią i Leonarodem. Cecilia ośmieliła się podnieść wzrok, a widząc szczerze zaciekawione twarze z wyrazem oczekiwania, zdobyła się na uśmiech. Wiedziała, że oczekuje się od niej, aby oczarowała ich swoim talentem wokalnym. Robiła to już wcześniej, zrobi to i teraz, powiedziała sobie. Przywołała swoją odwagę.

Słyszała dobiegający z wnętrza głos Bernarda, co podniosło ją na duchu i poczuła się gotowa wkroczyć do *sala grande*. Wiedziała, że rysunki Leonarda są tam rozmieszczone tak, żeby goście mogli się im dokładnie przyjrzeć, natomiast jej portret stoi pośrodku, przykryty aksamitem, który sam mistrz zdejmie, kiedy przyjdzie pora odsłonić jego arcydzieło. Mistrz da Vinci przycisnął mocno jej dłoń do swojego boku i poczuła, że wszystko będzie dobrze.

Jednak kiedy tylko skręcili do westybulu wielkiej sali, dał się słyszeć przenikliwy wrzask. Tłum zamilkł. Stukot obcasów po marmurowej posadzce roznosił się echem w korytarzu, towarzysząc zbliżaniu się wzburzonej kobiety.

Ręka Leonarda trzymająca Cecilię pod ramię opadła, ale zaraz otoczyła ją w pasie, by ją podtrzymać.

– Beatrice – usłyszała jego szept. – *Dio*.

– *La dogaressa* – zaszemrał tłum.

Do tej pory Cecilia nie widziała świeżo poślubionej małżonki Ludovica, która teraz oto, choć to niewiarygodne, zjawiała się przed nimi.

– Czy nie miała być w drodze do Ferrary? – wyszeptał Leonardo.

Cecilia oniemiała, słowa uciekły jej z głowy, a ta kobieta nadciągała jak burza. W chwili, w której Beatrice ujrzała Cecilie, świat się zatrzymał. Dwie kobiety stały twarzą w twarz, z ustami otwartymi ze zdumienia, jakby każda patrzyła na swoją bliźniaczkę.

Obie były ubrane w suknie z ciemnozielonego aksamitu, niemal identyczne, obie miały brązowe włosy splecione z tyłu w warkocz, ich ciemne oczy płonęły ogniem. Leonardo wkroczył między nie, osłaniając Cecilie. Ale Cecilia położyła mu rękę na ramieniu i delikatnie odsunęła go na bok. Nigdy nie chciała zobaczyć żony Ludovica, ale teraz nie mogła oderwać od niej oczu.

Tłum gości stał w ciszy pogłębionej wrzaskami Beatrice. Cecilia nie była pewna, co mogłaby powiedzieć, stając oko w oko z kobietą, którą sama chciała być przez te wszystkie miesiące. Nie tylko Beatrice zabrała jej pozycję, na którą to ona zasługiwała i była o tym przekonana, ale jeszcze do tego, jak Ludovico mógł się ożenić z kobietą, która wygląda dokładnie tak jak ona?

Beatrice odwróciła oczy od Cecyli i powiodła wzrokiem po gościach zebranych w jej zamku.

– Gdzie on jest?! – zażądała od nich odpowiedzi. – Ludovico!

W głębi korytarza Cecilia usłyszała znajome podzwanianie metalu towarzyszące regentowi Mediolanu zmierzającemu na oficjalną uroczystość. Niski, ciemny mężczyzna przeszedł między gośćmi i wysunął się do przodu. Zobaczyła go po raz pierwszy od tygodni i poczuła dżgnięcie, jakby rozżarzony nóż przebił jej serce.

– Co to, na Boga? Moja żona...

Na słowo *żona* Cecilia zachwiała się i musiała znaleźć oparcie w ramionach Leonarda.

– Ta dziwka! – Beatrice oskarżycielsko wymierzyła palec w Cecilie. – Co ona tu robi? – ostry głos Beatrice niósł się korytarzami. Tłum gości zaczął napierać, nęcony obietnicą skandalu.

Czarne oczy Ludovica zajrzały w oczy Cecylii, potem ogarnęły wzrokiem jej szeroką w pasie figurę. Następnie Jego Wysokość popatrzył na tłum szacownych gości otaczających ich kręgiem i zaśmiał się nerwowo, jakby chciał rozwiać burzową chmurę, z której w każdej chwili może spaść ulewny deszcz. Chwycił Beatrice za ramiona, tak samo jak Leonardo Cecylię. Dwie kobiety stały naprzeciw siebie.

– Cóż więc, zebraliśmy się tu po to, żeby zobaczyć piękny portret pędzla mistrza Leonarda da Vinci. Czyż nie tak, przyjaciele? Wejdziemy? – zakończył znów nerwowym śmiechem.

Ludovico usiłował skierować małżonkę ku drzwiom wielkiej sali, ale Beatrice ani drgnęła, stojąc jak wmurowana przed Cecylią, swoim lustrzanym odbiciem w zielonej sukni. Cecilia widziała w jej brązowych oczach, jak burza przybiera na sile. Jej nienawiść sprawiała niemal fizyczny ból. Cecilia skrzywiła się i przycisnęła rękę do brzucha, który ścisnął kolejny skurcz. Zachwiała się, mistrz da Vinci podparł ją od tyłu swoim ciężarem.

– Ta suknia! – wrzeszczała Beatrice. – Prezent, jak przypuszczam? – patrzyła oskarżycielsko na Cecylię, a jej głos rozbrzmiewał echem. – Jakże miłosiernie. Niestety na niewiele się zda, żeby ukryć twój stan.

Ludovico wziął żonę za rękę i przyciągnął do siebie, szepcząc jej coś na ucho. Tłum napierał, chętny usłyszeć.

– Absolutnie nie! – odpowiedziała Beatrice głośno na jego wyszeptaną prośbę, jakakolwiek ona była. – Ona nosi twoje dziecko!

W tym momencie fala silnego bólu obezwładniła Cecylię, która krzyknęła.

– Signorina Cecilia! – Leonardo próbował ją złapać, ale stracił równowagę i Cecilia upadła na podłogę.

– Proszę mnie przepuścić! To moja siostra! – rozpoznała głos swojego brata Fazio, który przepychał się przez tłum gapiów. – Cecilio!

Poczuła jak płyn tryska między jej nogami i ciepły strumień zaczyna spływać po wewnętrznej stronie ud. Krew. Czowała się, jakby miała zaraz umrzeć.

– Pomóżcie zanieść ją do jej komnat! – krzyczał Fazio. Dwaj mężczyźni stojący najbliżej przykucnęli, żeby pomóc podnieść Cecylię z podłogi. Kiedy ją dźwignęli, dostrzegła szerokie plecy Ludovica, który usiłował skierować tłum

zaintrygowanych gapiów do wielkiej sali. Beatrice d'Este nadal wbijała morderczy wzrok w Cecilie niesioną korytarzem.

Tak to jest, myślała Cecilia. Mój ostatni dzień na tym świecie. Ostatnią rzeczą, jaką widzę, są plecy Ludovica, który ucieka.

– Przejdźcie! – krzyczał jej brat i tłum się rozstępował. – Dziecko się rodzi!

## DOMINIC

Siegen, Niemcy  
Kwiecień 1945

Dominic oparty plecami o ścianę jadł cienką, wodnistą rację wojskową. Bolały go wszystkie kości, wyczerpanie dopadało go za każdym razem, kiedy tylko znajdował chwilę, żeby usiąść. Żołnierze pracowali na zmiany bez przerwy, żeby zapewnić dziełom sztuki ratunek. Dominic patrzył, jak idą jeden za drugim tunelami, taszcząc obrazy i rzeźby, pudła i skrzynie.

Jakiś szmer obok wyrwał go z zamyślenia. Zobaczył Stephany'ego, który stanął obok niego z parującą miską.

– Może jeszcze? – spytał, podsuwając ją Dominicowi.

– Och, wystarczy. Najadłem się, dziękuję – odpowiedział i nawet udało mu się uśmiechnąć do księdza.

Stephany w świetnym humorze dosiadł się do niego. Przełknął kilka łyżek, po czym siedział, żując twardego suchara bez smaku i patrząc na przesuwane przed nimi dzieła sztuki.

Dominic też przyglądał się tym pięknym rzeczom. Sztuka przedstawiała tyle uczuć. Radość. Strach. Triumf. Spokój. Walczył, żeby pozostać przy życiu, ale też walczył o świat, w którym te rzeczy miały znaczenie. Chciał, żeby Cecilia i jego nowe dziecko dorastały wśród sztuki, przyjaźni, a co najważniejsze – nadziei. Weaver, Stout, Hancock i Stephany nie byli szaleńcami. Oni to od początku rozumieli.

Dominic odstawił puszkę na ziemię i sięgnął do kieszeni kurtki mundurowej po mały zwitek kawałków papieru, jakie zbierał. I zaczął ołówkiem szkicować



pulchne policzki Stephany'ego, linię włosów z zakolami. Za ledwie kilka kresek, prawie jak komiks.

– Zrób, żebym wyglądał na młodego i przystojnego – powiedział Stephany, nie przestając patrzeć przed siebie i wkładać żołnierskie jedzenie do ust.

Dominic roześmiał się mimo bólu w kościach i nie przestawał rysować.

– Postaram się, proszę księdza.

## EDITH

Okolice Puław, Polska  
Czerwiec 1941

Edith naprawiała małe uszkodzenie płótna obrazu, kiedy w drzwiach magazynu w suterenie stanął Kai Mühlmann.

Gwałtownie wciągnęła powietrze. Przez moment nie była pewna, czy to on. Mrugała w ostrym świetle lampy, po czym wyłączyła ją, żeby odzyskać ostrość widzenia.

Mężczyzna, którego miała przed sobą, wyglądał jak Kai Mühlmann – rozpoznała szeroką szczękę, wąskie wargi, włosy zaczesane do tyłu. Ale kiedy podszedł bliżej, zauważyła, że ten mężczyzna niewiele ma wspólnego z barczystym, pewnym siebie Austriakiem, którego widziała zaledwie kilka miesięcy temu. Był zmizerniały i skurczony, oczy miał zapadnięte i podkrążone. Marynarka wisiała na jego kościstych ramionach jak na wieszaku.

Edith poczuła gorącą falę paniki podchodzącą jej do gardła. Czy Mühlmann dowiedział się, że ona pomaga Polakom? Czy wie o jej spisach inwentarzowych i listach przewozowych przekazywanych Jakubowi i kobietom z kuchni?

Odsunęła się z taboretom od swojego stołu do pracy i wstała.

– Doktor Mühlmann! Co za niespodzianka.

– Edith – powiedział Kai, biorąc jej rękę. – To już ponad rok. – Przesunął wzrokiem po stertach obiektów zgromadzonych w dalszych pomieszczeniach.  
– Cieszę się, widząc, że nadal jesteśmy współnikami w zbrodni.

Edith wzdrygnęła się na przypomnienie o swojej roli w ograbianiu Polaków.

– Cóż – zająknęła się. – Większość z tego jest w zasadzie niewarta odnotowania – powiedziała, wskazując stosy przedmiotów – ale zdarzają się rzeczy warte... zabezpieczenia.

– Mam tego świadomość. Widziałem pani raporty *Wahl I*.

Oczywiście, że widział. Mühlmann musiał znać każdy szczegół dotyczący dzieł sztuki przechodzących z rąk do rąk w kręgu wysokich funkcjonariuszy reżimu. Ale patrząc na jego zmarszczone brwi, na nowe bruzdy na jego twarzy, mogła się domyśleć, że ta praca daje mu się we znaki.

Opadł na krzesło przy jej stole i bez celu powiódł palcem po zakurzonej, poszarpanej krawędzi obrazu, nad którego naprawą pracowała.

– Byłem wszędzie w Europie. Widziałem rzeczy, które wprawilyby panią w osłupienie.

Edith była ciekawa, czy miał na myśli dzieła sztuki, czy potworności wojny. Ona widziała aż nadto jednych i drugich. Przez chwilę siedzieli w milczeniu, po czym on zwrócił na nią intensywne spojrzenie.

– Ale proszę mi opowiedzieć o sobie. Miała pani wieści o swoim narzeczonym?

Edith z trudem przełknęła to coś, co zdawało się tkwić jej w gardle. – On... zginął. W pobliżu sowieckiej granicy.

– Ach – wyciągnął rękę i ścisnął przedramię Edith. – Przykro słyszeć.

Znów zapadła między nimi cisza. Mühlmann wstał i przeszedł do dalszych pomieszczeń magazynowych. Uważnie przejrzał kilka obrazów olejnych w ramach, stojących jeden za drugim pod ścianą.

Kiedy Edith była już pewna, że nie będzie płakać, dołączyła do niego. Przyglądając się pogrupowanym obrazom, powiedział: – Robi tu pani dobrą robotę, Edith. Ważną. Będzie pani nagrodzona za wszystko, co pani zrobiła dla Rzeszy.

Gdyby tylko wiedział, pomyślała.

– Nie chciałabym skupiać na sobie uwagi – odpowiedziała szybko, unosząc rękę w obronnym geście. – Nie chcę, żeby ktokolwiek mnie zauważył. Jedno czego chcę, to wrócić do Monachium.

Widziała, że twarz Mühlmanna zachmurzyła się.

– Czasami myślę tak samo – powiedział tak cicho, że ledwie go słyszała. Zaczął chodzić między półkami pełnymi porcelany i figurek z brązu. – Ja... czuję się, jakbym utknął pośrodku czegoś poza mną, w jakimś wirze równie rozległym, co destrukcyjnym. To nie jest życie, jakim żyłem przed wojną. Mój ojciec namawiał mnie, żebym został prawnikiem – roześmiał się gorzko. – A ja uparłem się pracować z pięknymi dziełami sztuki, z zapomnianymi albo niedocenionymi dziełami minionych stuleci – pokręcił głową. – Jestem tylko historykiem sztuki. Pani jest konserwatorem. Nie mamy powodu być tutaj, pośród śmierci i zniszczenia. A jednak jesteśmy i co możemy zrobić? Nic. Musimy wykonywać rozkazy, jeżeli chcemy przeżyć.

Edith kręciła głową, słysząc jak Kai wyraża słowami to, o czym myślała zawsze od prawie dwóch lat, odkąd otrzymała rozkazy w Monachium.

– Mam tylko nadzieję, że jest pan tu po to, żeby powiedzieć mi, że odsyła mnie pan do Monachium, że zastępuje mnie pan kimś o wyższych kwalifikacjach – spróbowała żartem pokryć zdenerwowanie.

– Kogoś takiego trudno byłoby znaleźć – powiedział i znów utkwiał w niej spojrzenie. Widziała, jak jego uśmiech znika. – No dobrze. Wygląda na to, że znów okazuje się pani niezastąpiona, Edith. A ja, jak przypuszczam, winien jestem pani wyjaśnienie, dlaczego tu jestem.

Edith zamarła. Co o niej wie Mühlmann? Co się z nią stanie, jeśli dowiedział się o jej spisach?

Szukała na jego twarzy przeblysku zrozumienia, ale odwrócił się do niej tyłem i dalej przechadzał się między obiektami piętrzącymi się w pomieszczeniach magazynowych.

– Reichsmarschall Hermann Göring, z którym byłem w bliskim kontakcie przez ostatnich siedem lat, rozkazał mi wrócić do Polski. Chce, abym przywiózł do Niemiec kilka cennych obrazów, które życzy pozyskać do nowej galerii Führera.

– *Dama z gronostajem* Leonarda da Vinci – powiedziała Edith.

Cień uśmiechu pojawił się w kąciu ust Mühlmanna. – Owszem. To jeden z nich.

Edith pokręciła głową. – To znaczy wyrwanie jej ze szponów Hansa Franka. On ma obsesję na punkcie tego obrazu. To nie będzie łatwe.

– Nie wyobrażam sobie, że będzie – odparł Mühlmann – ale tym razem są bardziej naglące kwestie. Hitler wysłał więcej wojsk przeciwko Rosjanom. Jak już pani wie, Rosjanie są niebezpieczni. Göring obawia się o bezpieczeństwo tych bezcennych dzieł sztuki w Krakowie. Jesteśmy za blisko granicy. Nasi nazistowscy funkcjonariusze nie są już tutaj bezpieczni. Obrazy też nie.

Edith ciekawa była, czy to znaczyło, że ona sama – i wszyscy w tej willi – znaleźli się w niebezpieczeństwie.

Mühlmann mówił dalej: – Ostatnim razem musiałem zaspokoić Göringa portretem Antoine’a Watteau. Był wściekły, że *Dama* została w Polsce. Tygodnie trwało, zanim się uspokoił. Tym razem wydał rozkaz i nie mam wyboru. –

Muszę zabrać *Damę z gronostajem* razem z *Portretem młodzieńca* Rafaela i *Krajobrazem z miłosiernym Samarytaninem* Rembrandta.

Wielka Trójka, pomyślała Edith.

– Zawiozę je pociągiem z Krakowa do Berlina osobiście – podkreślił i teraz Edith zrozumiała, dlaczego wyglądał na człowieka tak udręczonego.

– I chce pan, żebym pojechała z panem – powiedziała, usiłując ukryć rozżalenie w głosie.

Twarz Kaia pociemniała. – Obawiam się, że to nie będzie możliwe tym razem, moja droga. Pani otrzymała inny przydział.

Edith ogarnęło przerażenie, od którego zabrakło jej powietrza w płucach. –

Proszę nie przekazywać mi następnych złych wiadomości – powiedziała w końcu prawie szeptem.

Mühlmann pokręcił głową. Nad nimi żarówka zamigotała gwałtownie.

– Gubernator Frank. To on zażądał pani pozostania w Polsce. Nie chce, żeby wracała pani do Niemiec z obrazami. Jest pani... to była część transakcji.

Edith zamrugnęła szybko oczami, próbując przetrwać to, co właśnie usłyszała. Została przehandlowana za kilka cennych dzieł sztuki, zmuszona do pozostania przy podstępny, złym człowieku. Przy człowieku, którego uważała za winnego śmierci Heinricha.

– Zawarł pan transakcję? – upewniła się czując, że jej serce zamienia się w kamień.

– Dokonałem wymiany – odparł. – W tej chwili tylko zwracam kilka obrazów do Berlina. Wiele innych zostaje na Wawelu. A Frank... Chce, aby dołączyła

pani do jego osobistego personelu kuratorskiego.

Edith gwałtownie wciągnęła powietrze. – Ja... muszę zostać u niego?

– Tak, razem z jego żoną Brigitte, jego dziećmi i wieloma innymi osobami z jego prywatnej obsługi. – Doktor Mühlmann wzruszył ramionami, ale nie patrzył jej w oczy. – On nie zrobi pani krzywdy, Edith. Przeciwnie. On ceni pani kompetencje.

Edith stanęła twarzą w twarz. – A jeśli odmówię?

– Nie radziłbym – powiedział, patrząc jej w oczy. – Edith, gdybym mógł coś zrobić w tej sprawie, zrobiłbym, ale słyszałem, jak wychwalał przed innymi pani zdolności do tropienia sztuki. Wykonuje pani swoją pracę tak dobrze, że Frank widzi panią jako jeden ze swoich klejnotów koronnych.

– Ale ja jestem tutaj, w piwnicy w jakimś zapomnianym przez Boga kącie Polski i przebieram w rzeczach należących do ludzi, którzy zostali aresztowani albo gorzej. A tymczasem moja własna rodzina się rozpada!

Mühlmann uśmiechnął się do niej blado. – Robi pani dużo więcej.

Na moment zamarła ze zgrozy. Czy on wie? Ale on mówił dalej: – Musi pani czerpać pociechę z wiedzy, że spełnia pani zaszczytny obowiązek wobec Najwyższego Przywódcy i swojego kraju. Wojna wymaga wielkich poświęceń od nas wszystkich. Poza tym myślę, że Frankowi podoba się pomysł, żeby mieć panią blisko.

Edith poczuła się, jakby ktoś ją mocno uderzył w brzuch. Rozejrzała się po stosach rejestrów, które zapełniła w ciągu ostatnich miesięcy i po stertach obiektów pozostałych do skatalogowania. Potem spojrzała na Kaia i zorientowała się, że on cały czas przygląda się uważnie jej twarzy.

– Jutro wyjeżdżam do Krakowa – oznajmił. – Ma pani trochę czasu, ale Frank nie będzie czekał wiecznie. Powinniśmy poczekać, aż zrobi się trochę spokojniej. Wtedy konwój przetransportuje panią na Wawel.

## DOMINIC

Marburg, Niemcy  
Kwiecień 1945

Dominic stał sam na rampie magazynowej i patrzył na zbliżający się konwój ciężarówek w eskorcie żandarmerii wojskowej sił sojuszniczych, wijący się w dali wąż pojazdów wyładowanych dziełami sztuki, których strzegli żołnierze. Obserwował konwój z mieszaniną podniecenia i dumy, wysoko trzymając głowę i karabin.

Pełnił służbę wartowniczą od dwóch tygodni, przyjechawszy z Siegen z konwojem transporterów pełnych dzieł sztuki do tymczasowego miejsca przechowywania skarbów z kopalni miedzi i soli w Marburgu.

Idące przed nimi oddziały amerykańskie zarekwirowały potężny, imponujący gmach, dawniej archiwum państwowe, na magazyn, w którym dzieła sztuki zostaną skatalogowane. A tych dzieł była masa. Dominic przekonał się niebawem, że Siegen było zaledwie wierzchołkiem góry lodowej. W całych Niemczech odkrywano repozytoria, których zawartość starannie pakowano i odsyłano tutaj. Teraz Dominic czuł się podekscytowany i dumny ze swojej małej, ale istotnej roli, jaką odegrał w tej misji. Miał tylko pilnować wjazdu do magazynu, co było łatwym zadaniem, ale widok tych arcydzieł fascynował go.

Drugi żołnierz pomógł mu otworzyć wrota magazynu, aby przepuścić pierwszego z M151. Jak większość konwojów, które przyjmowali, tak i ten składał się z sił amerykańskich i brytyjskich, współpracujących przy ratowaniu skarbów Europy. Codziennie przyjeżdżały jeepy, transportery, ciężarówki wojskowe załadowane obrazami, rzeźbami, mniejszymi obiektami,

materiałami z archiwów i innymi dokumentami. Każdy konwój dostarczał kolejne dzieła wielkiej wartości wydarte ze szponów chciwych nazistów.

– Patrz! – George Weaver wskazał palcem. – To Hancock.

Weaver i Dominic stanęli na baczność, salutując, kiedy jeep z ich dowódcą podjechał bliżej i zatrzymał się. Hancock wyskoczył z uśmiechem, który pozostał niezmiennie szeroki po tylu miesiącach. Hancock całymi tygodniami przebywał w terenie, podążając śladem napływających wciąż raportów wyszczególniających lokalizacje kolejnych repozytoriów: kopalnie soli, jaskinie, zamki, klasztory, urzędy – gdziekolwiek naziści mogli ukryć swoje łupy. Skoro wrócił, znaczyło to, że ten konwój jest większy niż zwykle i większej wagi.

– Czołem panowie! – Hancock przechylił głowę i uśmiechnął się jeszcze szerzej na ich widok. – Nie uwierzycie, co znalazłem.

– Chwileczkę – powstrzymał go Weaver. – Proszę nie mówić za szybko „da Vinci”, bo ten tu Bonelli zsika się w gacie.

– Ej! – obruszył się Dominic, kiedy Hancock i Weaver ryknęli śmiechem. Sam jednak też się uśmiechnął mimo woli. – Wciąż mam nadzieję, że kiedyś tak się stanie.

– Nie trać nadziei – Weaver klepnął Dominica w ramię. – Zatem co pan znalazł, sir?

Hancockowi zaświeciły się oczy. – Okazuje się, że Siegen nie jest jedyną kopalnią, w której naziści coś ukryli. Jest też kopalnia w pobliżu Bernterode i znalazłem tam nie tylko dzieła sztuki. Są tam trumny ze szczątkami znanych postaci historycznych. Fryderyka Wielkiego i jego ojca. Marszałka Paula von Hindenburga i jego małżonki.

– Von Hindenburg? – powtórzył Dominic z irytacją. – Chyba możemy się bez niego obejść, sir.

Wiedział, że Hindenburg był częściowo odpowiedzialny za dojście Hitlera do władzy. Hancock wzruszył ramionami.

– Kiedyś to będzie historia, synu. Tak czy inaczej, trzeba się tym zająć – uśmiechnął się. – To wspaniałe znaleziska. Wejdźmy do środka, chcę żebyście obaj oprowadzili mnie i pokazali wszystkie nowe obiekty. Wasza zmiana już tu jest.



Dominic i Weaver zdali wartę przed magazynem dwóm nowo przybyłym żołnierzom i weszli za Hancockiem do środka. Zaraz za wrotami stało kilka biurków, przy których pracowali specjaliści ściągnięci z wielkich niemieckich muzeów i uniwersytetów. Mnóstwo mężczyzn i kobiet wyposażonych było w aparaty fotograficzne, pióra i metryczki inwentaryzacyjne. Dominic wiedział, że rejestrowanie i śledzenie drogi każdego obiektu ze stale rosnącego zbioru jest logistycznym koszmarem. Stosowany przez nich system nadawania każdemu obiektowi indywidualnego numeru był czasochłonny, ale konieczny. Każde z dzieł sztuki po wyładowaniu było fotografowane i opatrywane metryczką, po czym przenoszono je do wnętrza budynku, gdzie mogło być bezpiecznie przechowywane z dala od kopalnianej wilgoci.

Dominic i Weaver oprowadzali Hancocka po gmachu, pokazując mu ostatnio dostarczone skarby. Wiele z nich pochodziło ze skarbcza katedry w Metz. Obrazy, rzeźby, klejnoty i co cenniejsze obiekty z muzeów, kościołów, archiwów i prywatnych kolekcji były poukładane w skatalogowanych rzędach i czekały tylko, aż zostaną zwrócone prawowitym właścicielom. Sama ich liczba była obezwładniająca. Dominica otaczały równe rzędy niewypowiedzianego piękna, każda rzecz była świadectwem wartości ludzkiego ducha, który ją stworzył, przykładem determinacji, z jaką ludzkość dawała światło i piękno światu, który pogrążył się w niewyobrażalnej ciemności. Ta wojna światowa nie była pierwszą tragedią, jakiej doświadczył rodzaj ludzki i nie będzie ostatnią, ale żadna z nich nie jest w stanie zniszczyć w ludziach zachwyty nad pięknem. To jedno dawało Dominicowi nadzieję.

Naziści uknuli plan, żeby wszystko co dobre i cenne na świecie zagarnąć dla siebie. Ale naziści nie wygrają. Któregoś dnia, kiedy Cecilia będzie już dorosłą kobietą, ona też będzie mogła oglądać bezcenne dzieła sztuki wiedząc, że jej ojciec miał swój udział w zespole, który oddał wszystko, żeby je ocalić. Dominic poczuł ogromną ulgę.

Co najważniejsze, pomyślał, Stephany mógł wreszcie wrócić ze swoimi ukochanymi skarbami do katedry w Akwizgranie, pod eskortą całego kontyngentu sił sprzymierzonych.

– Wspaniale! – stwierdził Hancock z entuzjazmem, kiedy skończyli obchód.  
– Idę sprawdzić, co nowego przyszło – i odszedł rozpromieniony.

Zamiast przejść do pomieszczenia z zaimprovizowaną recepcją, gdzie panował rozgardiasz, Weaver i Dominic wrócili do obrazów ustawionych w korytarzu i oglądali je, wymieniając się uwagami. Ta nowa przyjaźń zaczynała goić bolesną wyrwę, jaka została w życiu Dominica po śmierci Paula. Najlepsze ze wszystkiego było to, że znów rysował.

Podeszli do popiersia młodej kobiety, które Dominic od wielu dni chciał narysować, więc teraz usiadł naprzeciwko na podłodze. Odkąd znów wziął do ręki węgiel, podarowany przez Stephany'ego jeszcze w Siegen, wziął się do rysowania i nie mógł przestać. Ponieważ wkrótce zabrakło mu modeli do portretowania, zaczął czerpać inspirację z dzieł sztuki. Siedząc po turecku na podłodze, wyjął z kieszeni metryczkę, których całe stopy leżały w magazynie. Popiersie szybko nabrało kształtu – najpierw owal twarzy, potem wypukłości kości policzkowych, wijące się włosy, oczy. Nos. Tchnął życie w rysunek, wypełniając szkic oczu, które stały się ciemne i bystre. Kiedy skończył, jakaś dawno zapomniana dziewczyna z portretu zarumieniła się ślicznie na jego widok, a on zabawił się, dorysowując jej na nosie kilka piegów.

– To jest świetne, Bonelli – ocenił Weaver, kiedy Dominic pokazał mu rysunek.

– Poczta! – zawołał chudy szeregowiec, wnosząc płócienny worek pocztowy. Żołnierze stanęli w szeregu, a chłopak schrypniętym głosem zaczął odczytywać nazwiska z kopert. – Ackerman. Barnes. Bonelli...

Serce zabiło mocno w piersi Dominica. Szeregowiec podał mu list.

Bonelli popatrzył adres zwrotny na kopercie. Greensburg. Pensylwania. Rozpoznał staranne pismo Sally, równe litery z wyrobionymi zawijasami. Przytulił kopertę do twarzy i wahał, jakby mógł się na niej zachować zapach Sally. Niezdarnie gmerał palcami, żeby rozerwać kopertę.

– Bonelli.

Znów padło jego nazwisko, ale tym razem z ust Hancocka idącego w ich stronę. Obaj z Weaverem zaszalutowali oficerowi, ale Dominicowi zdawało się, że widzi cień smutku w jego oczach.

– Mam wiadomość – powiedział Hancock. Dominic międlął w palcach list od Sally, z trudem powstrzymując się przed jego otwarciem. Starał się skupić uwagę na Hancocku. – Obaj dostaliście inny przydział.

Żołądek Dominica wykonał salto. Dopiero zaczynał się cieszyć spokojem i ciszą Marburga. Ściskając kopertę, starał się, by w jego głosie nie było słycać strachu. – Dlaczego?

– Wygląda na to, że tu jest za spokojnie dla takich jak ty, żołnierzu. Dowiodłeś swojej przydatności jako frontowiec. Trzeba ruszać do przodu, do akcji.

Hancock wręczył Dominicowi wąski pasek papieru, rozkaz ostemplowany dużymi, bezosobowymi literami, zmieniający życie kilkoma linijkami maszynowego pisma.

Dominic był załamany.

Jakby nigdy nic, właśnie teraz, kiedy zaczynał całym sercem angażować się w misję Obrońców Zabytków, był zmuszony ich opuścić. On i Weaver wracali na front.

## EDITH

Kraków, Polska  
Styczeń 1942

Mały chłopiec odrabiał lekcje przy stole, swobodnie machając nogami pod krzesłem. Światło sączące się przez okno za jego plecami było odbłaskiem śniegu wirującego w powietrzu i pokrywającego dziedziniec zamku na Wawelu. Ogień trzaskał głośno w ogromnym kominku zajmującym całą ścianę wielkiej komnaty. Umebłowanie stanowiło kilka kanap i głębokich foteli i stołów, na których leżały rozrzucone narzuty, gazety i książki.

Edith spodziewała się, że znów zostanie zaprowadzona do gabinetu Hansa Franka, ale zamiast tego żołnierz wprowadził ją do komnaty, w której sekretarka Franka, Hilda, zalewała wrzątkiem liście herbaty w ceramicznym imbryku, a chłopiec był skupiony na literach alfabetu.

– Fräulein Becker – przywitała ją Hilda. – Proszę się rozgościć. Herr von Palézieux już tu idzie, żeby się z panią spotkać.

Edith nie bardzo zrozumiała. – Herr... Kto?

– Nie poinformowali pani? Proszę wybaczyć. Wilhelm Ernst von Palézieux. To sławny architekt, który przyjechał do nas ze Szwajcarii. Został mianowany nowym osobistym kustoszem gubernatora Franka. Będzie pani z nim współpracować.

Von Palézieux? Osobisty kustosz? Czy to następny z protegowanych Kaia Mühlmanna?

Edith nie miała jednak szansy spytać o więcej szczegółów, bowiem Hilda z tacą z herbatą zniknęła w sąsiednim pokoju i drzwi zamknęły się za nią.

Usiadła przy stole, naprzeciwko chłopca. – Cześć – powiedziała. – Jestem Edith.

Chłopiec zignorował ją zajęty swoimi literami. W padającym przez okna świetle odbitym od śniegu przyjrzała się jego lnianym włosom i doskonale ukształtowanym rysom twarzy. Patrzyła, jak starannie kaligrafuje w dawnym stylu eleganckie, ostro zdefiniowane litery, które bardziej pasowałyby do niemieckiego renesansu niż do XX wieku.

– Masz bardzo dobry charakter pisma – pochwaliła. – Jak ci na imię?

Tym razem chłopiec uniósł głowę i ich spojrzenia się spotkały. W kontraście do jego blond włosów, jego oczy były prawie czarne. Tak jak u ojca.

– Michael.

– Nad czym pracujesz?

– Ćwiczę litery.

Edith dostrzegła kilka innych kartek z kaligraficznymi ćwiczeniami wystających z leżącego obok notatnika.

– Michael – w drzwiach stanęła nastoletnia dziewczyna. – Chodź. Twój guwerner czeka.

Michael zamknął swój zeszyt, zerkając jeszcze na Edith, po czym zsunął się z krzesła i pomaszerował przez pokój, do stojącej w drzwiach siostry.

Przez okno obserwowała dwoje innych dzieci Franka brnących przez zasypany śniegiem dziedziniec. Najwyraźniej nie zważając na zimno, starszy chłopiec i młodsza dziewczynka zdjęli rękawiczki i zaczęli obrzucać się śnieżkami. Zabawa trwała do czasu aż pojawiła się kobieta, która kazała im natychmiast przestać, bo nie będzie tolerować brudzenia ubrań. Jedną ręką pociągnęła za sobą młodsze dziecko, które, potykając się, niechętnie poszło za matką.

Brigitte Frank. Żona gubernatora. Edith widziała ją tylko przelotnie z okna, przechodzącą przez trawnik z pięciorgiem swoich dzieci, albo na ziarnistych, czarno-białych fotografiach w gazecie, ale rozpoznała tę wysoką kobietę natychmiast. Była okazem surowej elegancji w rozwianym przez wiatr długim, wełnianym płaszczu z kołnierzem z norek. Nawet patrząc na nią ze swojego punktu obserwacyjnego w oknie, Edith czuła się równie zastraszona przez Brigitte, jak przez jej męża.

Jakimś dziwnym zrządzeniem losu trafiła do ich prywatnego skrzydła wawelskiego zamku. W sam środek ich prywatnych spraw. Jak to się stało, że się tu znalazła? Chociaż w tamtej wiejskiej willi czuła się jak w pułapce, teraz żałowała, że nie może tam wrócić, wyrwać się, znaleźć się daleko od Franka i jego rodziny.

– Fräulein Becker.

Edith wstała. Miała przed sobą drobnego mężczyznę w wielkich okularach. Odślonił krzywe zęby w wymuszonym uśmiechu.

– Gubernator Frank nie może się pani nachwalić. To zaszczyt wreszcie panią poznać – wyciągnął rękę. – Jestem Ernst. – Edith uścisnęła jego dłoń, ciepłą i pewną, niezbyt mocno. – Gubernatora Franka nie ma w pałacu. Możemy przejść do frontowego pokoju sąsiadującego z jego gabinetem. Tam spokojnie będziemy mogli porozmawiać. Proszę.

Ernst otworzył drzwi i gestem zaprosił Edith, by poszła za nim. Weszli do długiego korytarza, w którym wisiały obrazy, a za dużymi, panoramicznymi oknami roztaczał się widok na Wisłę. Po drodze Edith nie mogła nie spostrzec dziesiątków obrazów na ścianach. Pejzaże. Portrety. Wszystkie co najmniej stuletnie. Ernst z wyraźną satysfakcją zwolnił kroku. W milczeniu patrzył na obrazy, idąc obok niej.

Edith nie odzywała się. Ręce miała splecione z tyłu, plecy wyprostowane. Ernst często się do niej uśmiechał, ale ona nie odwzajemniała się mu tym samym. Nie chciała być oczarowana. Nie chciała nowego przyjaciela. Chciała wykonać swoją pracę i wrócić do Monachium ze swoimi spisami inwentarzowymi. Może wtedy mogłaby coś zmienić. Na razie upchnęła spisy pod materacem ze strachu, że ktoś mógłby przeszukać walizkę albo kieszenie jej ubrań, kiedy nie będzie jej w pokoju.

Rozpoznała znajomy obraz na ścianie i zatrzymała się.

– *Krajobraz z pasterzami* – powiedziała. – Prawdopodobnie van Ruysdael albo jeden z jego naśladowców.

– Dobre oko – pochwalił.

– Raz go już widziałam, w innym pięknym domu.

Rozpoznała obraz, który katalogowała i pakowała do wysłania na Wawel. Zebrało jej się na mdłości, kiedy uświadomiła sobie, że po raz kolejny jest

świadkiem skutku swoich działań: bezcenne dzieła sztuki zagrabione prawowitym właścicielom, najcenniejsze ze wszystkich, zarezerwowane dla prywatnej kolekcji gubernatora. Ciekawa była, czy Ernst widzi, że zrobiła się zielona na twarzy.

Nie miała przy sobie papieru ani pióra, ale odruchowo, idąc korytarzem, zaczęła katalogować każde z dzieł w pamięci.

Artysta, temat, wymiary, technika, pochodzenie.

Za plecami przebierała nerwowo palcami. Wątpiła, że mogłaby w jakiś sposób przekazać Jakubowi spis dzieł sztuki znajdujących się na Wawelu. Jednocześnie wiedziała, że musi zarejestrować, co trafiło do prywatnej kolekcji gubernatora z dawnych ziem polskich. Może coś będzie można zrobić z tą informacją.

– Jest pan osobistym kustoszem gubernatora – powiedziała, spoglądając Ernstowi prosto w twarz. Słowa *osobisty* i *kustosz* zupełnie nie pasowały do siebie.

– Owszem – potwierdził. – Tak samo jak pani, moja droga – jego usta wygięły się w uśmiechu. – Pani umiejętności i wiedza są dobrze znane. Gubernator Frank nalegał, żeby sprowadzić panią tutaj i włączyć do jego osobistego personelu.

Edith poczuła, że włosy na jej głowie stają dęba.

On tymczasem ruszył dalej korytarzem. – Mamy za zadanie zająć się wystrojem wnętrza każdej z prywatnych rezydencji gubernatora na dawnych ziemiach polskich. Nie wszystkie są tak okazałe jak Wawel, ale i tak będziemy bardzo zajęci przez jakiś czas, jak sądzę – zachichotał. – Dzięki staraniom pani i innych kustoszy w całym kraju mamy dużo pięknych rzeczy, więc jest z czego wybierać.

– Wystrój... wnętrza – powtórzyła Edith.

– Cóż – Ernst zastanowił się, marszcząc brwi. – Chodzi o dużo więcej, oczywiście. Co prawda obawiam się, że musimy się postarać o zasłony i sztuce, ale z drugiej strony pani i ja będziemy mieć przywilej dostarczyć i powiesić wiele innych obrazów dla gubernatora Franka i jego małżonki.

Edith milczała, przyswajając informację.

Ernst otworzył kolejne wielkie drzwi i weszli do pokoju, który natychmiast rozpoznała jako gabinet Hansa Franka. Nie było w nim nikogo, ale Edith zabrakło powietrza.

*Dama z gronostajem.*

Wciąż tam była, wisiała na ścianie nad kaloryferem, tak jak wtedy, kiedy ona wyjeżdżała z zamku na Wawelu przed dwoma laty. Łagodne brązowe oczy Cecylii Gallerani, kochanki księcia Mediolanu, patrzyły na Edith z drugiego końca pokoju. Dopiero po kilku sekundach Edith udało się odzyskać głos.

– Ojej! Nie spodziewałam się, że znów ją tu zobaczę. Ja... myślałam, że obraz wrócił do Berlina...

Ernst kiwnął głową. – Bo wrócił. Ale jak zapewne pani wiadomo, gubernator Frank jest nim osobiście zainteresowany. Wynegocjował porozumienie z Göringiem... – przerwał. – I teraz obraz jest tu, gdzie jego miejsce.

Edith odwróciła się, żeby patrzeć na obraz. Żal się jej zrobiło Kaia Mühlmanna, który musiał jeździć tyle razy do Berlina i z powrotem z tym obrazem i dwoma innymi. Musiał się czuć jak między młotem a kowadłem, między dwoma egoistami walczącymi o portret dziewczyny, która żyła tak dawno temu. Pokręciła głową.

– Mühlmann... – zaczęła.

Ernst podrapał się po skroni, w miejscu gdzie włosy cofały się z czoła i zaczesane do tyłu były przygładzone oliwą.

– Oberführer Mühlmann nie jest już w służbie gubernatora Franka – powiedział, zaciskając usta. – To dlatego gubernator Frank wezwał mnie ze Szwajcarii, żebym poprowadził jego prywatne sprawy dotyczące dzieł sztuki.

Serce Edith zabiło szybciej. Wiedziała, że Kai Mühlmann pracuje daleko, ale czy został zwolniony z obowiązków? Czy naraził się Hansowi Frankowi? Czy został zdymisjonowany? Albo gorzej? Chociaż nie zgadzała się ze stanowiskiem Kaia co do przejmowania dzieł sztuki, które nigdy nie należały do Niemiec, współczuła mu, że się znalazł wśród potężnych ludzi mających władzę.

– Miło mi było słyszeć, że to pani sprowadziła tutaj *Damę z gronostajem* dla gubernatora Franka. Długo czekałem na okazję zobaczenia jej na własne oczy.

Edith spojrzała na niego obojętnie, nie odwzajemniając jego czarującego uśmiechu.



– Tak, ja ją tu przywiozłam za pierwszym razem. Najwyraźniej jeździła do Berlina i wracała wielokrotnie. Rozumiem, że Reichsmarschall Göring jest zainteresowany umieszczeniem jej w kolekcji Führera.

– No cóż. Teraz wróciła tu, gdzie powinna być. Tutaj, w Polsce. Jest nasza, mamy do niej pełne prawo. Wie pani, że miejsce wszystkich trzech wielkich obrazów jest w Polsce. Zgadza się pani z tym? – pytał Ernst, próbując wciągnąć ją w rozmowę, podczas gdy ona zdała sobie sprawę, że nie byłaby w stanie mu zaufać.

– Z pewnością obraz jest narażony na większe ryzyko, kiedy jest przetrzucany tam i z powrotem między Wawelem a Berlinem. Uważam, że naszym najważniejszym zadaniem jest zapewnianie dziełom sztuki bezpieczeństwa, a nie stwarzanie dla nich zagrożenia – oznajmiła Edith.

Ernst wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Z całym szacunkiem, pozwolę sobie nie zgodzić się z panią, panno Becker. Naszym najważniejszym zadaniem jest uszczęśliwienie gubernatora Franka. Bez względu na to, czego to wymaga.

– W takim razie przynajmniej niech ten obraz nie wisi nad kaloryferem!

– Oczywiście, ma pani rację – Ernst wzruszył ramionami. – Wspominałem o tym gubernatorowi kilkakrotnie. Ale on chce, żeby wisiał właśnie tutaj. Gubernator Frank chce, żeby ludzie wokół niego sprawiali, że jest szczęśliwy i zadowolony. To dotyczy również nas, prawda panno Becker?

Edith zjeżyła się. Heinrich stracił życie przez Hansa Franka i kampanię polską. Nie chciała ryzykować czymkolwiek, przez co sama mogłaby zginąć, i bardziej niż czegokolwiek chciała wrócić do Monachium, żeby być przy ojcu w ostatnim latach jego życia. Gdyby tylko miała kogoś, kto przyjąłby jej rezygnację.

Ale spojrzawszy w oczy Cecilii Gallerani, zaczęła się zastanawiać, co jeszcze mogłaby zrobić, żeby uchronić te bezcenne arcydzieła przed dostaniem się do prywatnych kolekcji – i w szpony – tych zachłannych ludzi. Jak mogłaby zapewnić przetrwanie obrazowi, kiedy Polska, cały kraj znalazł się na krawędzi unicestwienia?

## DOMINIC

Las w pobliżu Dachau, Niemcy  
Kwiecień 1945

Nawet drzewa były gotowe do ataku. Kiedy konwój posuwał się krętą drogą między ciemnymi pniami, Dominic usiłował pokonać strach. Owładnęło nim stare uczucie bycia na krawędzi, stary instynkt, żeby strzelać.

Strzelanina go nie martwiła. Wracając do oddziału ochrony leśnymi drogami, które znali Niemcy, brał już udział w kilku potyczkach i popadał z powrotem w rutynę maksymalnie wyostrzonej czujności. Jego umiejętności strzeleckie nie ucierpiały podczas tych kilku tygodni spokoju i starał się nie myśleć. Po prostu strzelać, być gotowym do walki, ukrywać ból i strach w rysunkach, które wykonywał przy świetle migającej świecy, kiedy stawali w jakimś spokojnym miejscu.

Przede wszystkim żał mu było, że nie uczestniczy już w misji odzyskiwania wielkiej sztuki, przywracania nadziei na przyszłość. Ku swemu zaskoczeniu żał mu było, że musiał zostawić Hancocka i innych Obrońców Zabytków w Marburgu. W odzyskiwanie dzieł sztuki był zaangażowany teraz całym sercem, czuł, że w ten sposób mógłby wnieść niewielki, ale trwały wkład w istnienie świata, który bez tego nie miał sensu.

Jedyną, co go trzymało przy zdrowych zmysłach, było przebieganie wzrokiem po słowach Sally, napisanych jej starannym pismem. Miał jej list w kieszeni na piersi, wyjmował go w chwilach spokoju i czytał od nowa. Kocham cię, pisała. Tylko to się liczyło. To i malutka, zdrowa, nowa dziewczynka. Kathleen, po matce Sally.

Według ich dowódców, sekcja Dominica miała spotkać się z konwojami z innego batalionu, a następnie skierować się do Dachau. Na odprawie zostali

poinformowani, że w tej okolicy znajduje się duży obóz koncentracyjny. Jeden z pierwszych wzorcowych obozów nazistowskich, powiedzieli oficerowie. Z raportów wywiadu wyłaniał się wstrząsający obraz tysięcy więźniów gnanych w marszu do Dachau jako jednego z niewielu obozów pozostałych na terytorium kontrolowanym przez nazistów, który jeszcze działał. Dominic był pewien, że wielu z tych więźniów nie dojdzie tak daleko.

Przy ryku silnika M151 Dominic z karabinem, który w każdej chwili mógł być gotowy do strzału, usiłował pojąć bezmiar okrucieństwa, mordowania tysięcy ludzi. Jednocześnie nie spuszczał z oka krętej drogi.

Za następnym zakrętem przed jeepem otwierała się przecinka w lesie. Dominic zobaczył kilkadziesiąt krytych wagonów towarowych stojących na boczniczy, porzuconych przez uciekających Niemców. Na horyzoncie połyskiwał w słońcu drut kolczasty i widać było wieżę nad bramą: Dachau. Droga prowadząca do obozu biegła łukiem koło wagonów i wtedy w ich nozdrza uderzył ten zapach.

Siedzący obok Dominica Weaver zaklął zduszonym głosem. Dominicowi zabrakło tchu, żeby zakląć nawet gdyby chciał. Chwycił się za miejsce na piersi, gdzie zwykle miał zawieszony medalik ze świętym Krzysztofem i modlił się w myślach, podczas gdy wywracał się mu się żołądek. Fetor był niepojęty. W porównaniu z nim, ten, z którym zetknął się w kopalni miedzi w Siegen, był jak przyjemne w zapachu perfumy. Siegen cuchnęło tysiącami ludzi, którzy żyli, pocili się i załatwiali swoje potrzeby, tutaj panował odór śmierci. Czuć było ekskrementy, ale ich woń przesłaniał dużo bardziej przerażający zapach rozkładającego się ciała. Był słodki, lepki i zatykał Dominicowi nozdrza.

Czuł się jak przyspawany do jeepa. Wzrok wbił tępo przed siebie, tylko jego wyobraźnia pracowała na najwyższych obrotach wokół tego zapachu. Wtem usłyszał wrzaski. W pierwszej chwili pomyślał, że w wagonach muszą być żywi ludzie, ale kiedy wśród krzyków rozróżnił słowa po angielsku, zorientował się, że to głosy amerykańskich żołnierzy z dwuipółtonówki przed nimi. Nigdy by nie przypuszczał, że dorośli mężczyźni są w stanie wydawać dźwięki o takiej wysokości, o takim natężeniu pełnym zgrozy. Włosy stanęły mu dęba, dostał gęsiej skórki na całym ciele, ale wciąż uporczywie patrzył w bok, nie chcąc odwrócić głowy. Jeep zwolnił i cały konwój zatrzymał się bezładnie i bez planu.

– Nie – wyrzucił z siebie ochryple Weaver. Ten wyraz, nasycony tak niewypowiedzianym przerażeniem, wytrącił Dominica z transu. Musiał spojrzeć. Musiał się przekonać na własne oczy, bo przecież to nie mogło być tym, co sobie wyobrażał.

I nie było. Było dużo gorsze.

Wagony towarowe były wyładowane trupami.

Ponad trzydzieści tych wagonów stało na torach. Ciała leżały jedne na drugich, żadne nieosłonięte, po prostu rzucone nagie i wycieńczone na rozkładającą się stertę. Mężczyźni i kobiety. Dzieci. Matki, ojcowie, bracia, siostry – ich szczątki porzucone i zapomniane, załadowane z mniejszą dbałością niż worki węgla, które Dominic ładował w kopalni. Ciała ludzi, których ktoś opłakiwał, leżały wzdęte na słońcu, muchy łaziły po ich martwych twarzach, obsiadły zmętniałe oczy. Krew i ekskrementy przeciekały powoli przez dno wagonów. Ręce i nogi wystawały przez uchylone drzwi. Policzki przyciśnięte do desek ciężarem innych ciał. To była piekielna panorama śmierci na skalę, jakiej Dominic nie był w stanie ogarnąć. Ten obraz wżarł mu się w duszę. Osłupiały aliancki konwój nie mógł jechać dalej.

– Niedobrze mi – wychrypiał Weaver.

Dominic jak we śnie wyskoczył z samochodu, przepuszczając kolegę, który wysiadł z trudem i niepewnym krokiem zaczął się oddalać w kierunku drzew.

– Jeszcze nawet nie dojechaliśmy do obozu – powiedział słabym głosem, do nikogo. – Jeszcze nawet tam nie dotarliśmy.

Zrobił krok w tył i spod jego buta wydobył się mlaszczący dźwięk. Spojrzawszy w dół, zobaczył, że stoi w ciemnej, lepkiej plamie krwi. Muchy zleciały się do jego butów i to już było za wiele. Presja wojny, cała jej potworność zwała się na niego, mocno przygniatając jak olbrzymia pięść gotowa wgnieść go w ziemię.

Przeżywał to wszystko na nowo: lądowanie w Normandii; pierwszy raz, kiedy zobaczył człowieka rozrywanego na kawałki przez wybuch pocisku; pierwszy raz, kiedy słyszał oddech umierającego; stukot karabinów; przerażający gwizd przelatujących obok pocisków; setki kilometrów, jakie przejechał w tę i z powrotem w trzęsącym się jeepie, czekając aż zza wzgórz odezwą się karabiny; ostrzał Akwizgranu; odległość dzieląca go od rodziny;

sponiewierane i zniszczone dzieła sztuki, których nie byli w stanie uratować; przerażenie na twarzy Stephany'ego wychodzącego spod ambony w ruinie; życie gasnące w oczach Paula.

To było najgorsze – ból, jaki odczuwał po stracie Paula, odczuwali wszyscy członkowie rodzin, bez wyjątku, tych setek niewinnych martwych, załadowanych bezmyślnie do wagonów towarowych. Ogrom żałoby zdruzgotał go. Rzucił karabin i pobiegł na oślep, zasłaniając rękami uszy, jakby broniąc się przed wspomnieniami. Potknął się i wpadł do rowu, uderzając kolanami o ziemię. Piekąca treść żołądka podeszła mu do gardła.

## EDITH

Haus Kressendorf (pałac Potockich w Krzeszowicach) pod Krakowem, Polska  
Czerwiec 1944

– Brakuje trzech widelców. I łyżki do nakładania – Brigitte Frank rzuciła Edith oskarżycielskie spojrzenie.

Edith przyjrzała się srebrom rozłożonym na stole w jadalni. Miała przed sobą imbryki do herbaty i tace, noże do mięsa, łyżki. Specjalne widelce do kawioru, do śledzia do dziczyzny. Edith i Ernst przeliczyli je wszystkie, zanim Brigitte i Hans Frank przyjechali do świeżo urządzonego domu na wsi. Na pewno zaszła pomyłka.

Ernst stanowczo obstawał, by on i Edith sami dopilnowali prac związanych z wyposażeniem domu w srebra. Powiedział, że Brigitte Frank będzie sprawdzać, czy każda sztuka została skatalogowana i policzona. Żona Hansa Franka dorastała w nędzy, wyjawiał Ernst, i teraz, jako królowa Polski, patrzyła łakomym okiem na cenne mienie. Jak już Edith zdążyła zauważyć, Brigitte najbardziej bała się, że ktoś mógłby jej to wszystko odebrać.

– Jest tak, jak mówiłam – stwierdziła Brigitte, patrząc na Edith z góry. – Zbyt łatwo jest służącej wynieść je w kieszeni fartucha. Każda z tych niewdzięcznych Polek mogłaby spróbować nas wykorzystać – powiedziała specjalnie głośno, żeby było ją słychać z kuchni.

– Przeliczymy jeszcze raz – Edith wzięła do ręki podkładkę z katalogiem sreber przeznaczonych do jeszcze jednego pięknego domu na wsi, który Hans Frank zarekwirował dla siebie.

To prawda, że wiele bezcennych dzieł sztuki zostało przetransportowanych do Niemiec, niektóre z najcenniejszych oznaczone jako eksponaty do muzeum Hitlera w Linzu. Teraz jednak Edith wiedziała, że mnóstwo cennych rzeczy

poszło na wyposażenie świeżo konfiskowanych, pięknych domów nazistowskich przywódców. Prawdą jest, że wiele z tych luksusowych przedmiotów nigdy nie było przeznaczonych dla żadnego muzeum – trafiły do kufrów Hansa Franka i innych wysokiej rangi funkcjonariuszy.

Podczas gdy Brigitte awanturowała się z Ernstem o umieszczenie obrazu, Edith uważnie sprawdziła srebra ze swoją listą. Szczęk srebrnych sztucców brzmiał tak, jakby szykowało się przyjęcie i Edith wyobraziła sobie ten wytworny wieczór, którego gospodarzami będą gubernator generalny z małżonką, a który odbędzie się w tym właśnie pokoju jutro, kiedy już ona i Ernst wykonają do końca swoje zadanie rozwieszenia obrazów, ustawienia kandelabrow i przeliczenia setek sreber stołowych.

– Lewa strona wyżej – zawołała Brigitte do Ernsta z drugiego końca pokoju.

Na obrazie chłopska chata stała na pierwszym planie, jej dach był zapadnięty, w drzwiach widać było owcę. Przyćmione światło wydobywało z tła miękkie kontury drzew. Edith mogłaby sklasyfikować ten obraz, namalowany prawdopodobnie przez artystę niemieckiego sto lat temu, jako *Wahl II*, ale jakiś inny kustosz, nieznaną jej, musiał go przydzielić do kolekcji przeznaczonej do wiejskiej posiadłości Hansa Franka, gdzie za wystój odpowiadali wspólnie Edith z Ernstem. Stojąc na najwyższym stopniu drabinki, Ernst sięgnął do ramy i ją poprawił. Kiedy już obraz wisiał równo, Ernst zszedł na mozaikową podłogę, której misterne wzory ułożone były z różnych gatunków drewna. Ze wszystkich wiejskich rezydencji Franka, jakie Edith widziała w ostatnich miesiącach, ta była najpiękniejsza. Tutaj pomagała rozwijać dywany, układać srebra w zupełnie nowych skrzyniach, starannie marszczyć zasłony. Zasłony trzymano rozsunięte, przewiązane złotymi sznurami z chwostami.

Ze skupienia wyrwał ją jakiś ruch. Ktoś z obsługi przeszedł z dwoma kandelabrami. Już je kiedyś widziała. Oceniała ich wartość w suterenie siedziby dowództwa, zanim została zmuszona do pracy u gubernatora Franka razem z Wilhelmem Ernstem von Palézieux. Czy te świeczniki były prezentem ślubnym dla polskiej młodej pary, która mogła już nie żyć? Poczowała mdłości. W pokoju zrobiło się ciemniej. Spojrzała przez wysokie okno na rozciągający się krajobraz. Przez ostatnie miesiące starała się omijać Brigitte i jej dzieci, aby być z dala od nich, trzymać się z dala od Franka. Na jej szczęście Frank był

często nieobecny. Teraz jednak rodzina przyjechała i nie dało się już dłużej unikać Franka.

W tym momencie drzwi do jadalni otwały się i w ich świetle rozpoznała ciemną sylwetkę Hansa Franka. Krok w krok za ojcem szedł jego nastoletni syn Norman. Ostry skurcz ścisnął wnętrzności Edith w znajomej już, powtarzającej się za każdym razem reakcji na znalezienie się w obecności Franka. Chciałaby móc wymówić się i pod jakimś pretekstem i zniknąć.

– Giną nam srebra – zakomunikowała głośno mężowi Brigitte. – Mówię ci, że rozkradną wszystko w sekundę.

– Sprawdź w kuchni, madam – powiedziała Edith, czując ulgę, że ma powód, aby czmychnąć z tego pokoju.

W dużej kuchni dwie Polki usługujące w jadalni, pochodzące z okolicy, wyjmowały ze skrzyni garnki, patelnie i ustawiały je ostrożnie na bogato rzeźbionym, drewnianym kredensie. Od wielu dni Edith uważnie obserwowała te kobiety, zastanawiając się, czy mogłyby one być, tak jak kobiety z innej kuchni, bojowniczkami ruchu oporu w przebraniu łagodnej służby domowej. Pętała się po kuchni i często zwracała się do tych kobiet, chcąc się przekonać, czy zdradzą jakieś oznaki znajomości niemieckiego. Czy byłyby w stanie pomóc jej, a ona im? Ale nie dostrzegła najmniejszego błysku zrozumienia, bez względu na to, jak często podejmowała próbę nawiązania kontaktu.

Co wieczór Edith zapisywała informacje, jakie udało jej się zebrać, na pustych kartkach z rejestru, składała je w pakiecik i wtykała pod materac. Zdawała sobie sprawę, że katalog sreber stołowych Brigitte błędnie w porównaniu ze spisami inwentarzowymi, jakie ona sporządzała. Może kiedyś te zapiski pomogą dziełom sztuki wrócić do ich prawowitych właścicieli, myślała.

Edith odkryła, że jeden z podkuchennych, chłopiec imieniem Józef, całkiem nieźle mówi po angielsku. Spotykając ją w korytarzu, chętnie witał ją z figlarnym wyrazem twarzy słowami „Good morning ma’am” i rozmawiał z nią o muzyce i sztuce, ćwicząc swój angielski. Nie wiedziała tylko, czy jest świadom ogromu zniszczenia wokół. Pytała go o jego życie poza posiadłością, szukając jakiejś wskazówki, że mógłby być jej łącznikiem z siatką ruchu oporu na zewnątrz. Józef jednak w rozmowie trzymał się tematów neutralnych – że będzie padać, że podano kawę, że lubi takie, a nie inne pierogi.



Kiedy wpadała jej w ręce niemiecka gazeta, przeglądała nagłówki.

OBLĘŻENIE LONDYNU TRWA. WIARA W ZWYCIĘSTWO  
W DECYDUJĄCEJ GODZINIE. AMERYKAŃSKIE ZAGROŻENIE. WIECZNA  
WALKA O PRAWDĘ.

Nic nie było o ponurej rzeczywistości polskiej prowincji. Dni Edith wypełniały dziwne, fragmentaryczne, zmieniające się komunikaty.

Nagle drzwi kuchni otworzyły się na oścież i z impetem wpadł do środka Józef. Popatrzył wytrzeszczonymi oczami na Edith i służbę kuchenną.

– Józef, próbujemy ustalić, gdzie są trzy srebrne widelce i łyżka do nakładania – powiedziała do niego po angielsku. – Widziałeś je? Mógłbyś spytać o to po polsku te panie?

Ale Józef tylko gapił się na Edith, jakby nie słyszał ani słowa z tego, co powiedziała.

– Amerykanie! Brytyjczycy! – wykrztusił niemal bez tchu. – Wylądowali na plażach we Francji.

– Co? Skąd to wiesz? – spytała Edith.

– My... w korytarzu dla służby. Słyszeliśmy przez radio – urwał, jego mina mówiła, że coś przeskrobał i wie o tym. – BBC.

Czyżby Józef słuchał zakazanych programów radiowych? To było niebezpieczne, zwłaszcza teraz, kiedy w rezydencji przebywała rodzina Franka. Edith widziała jednak, że Józef ogarnięty nerwowym podnieceniem nie zważał na konsekwencje swojego nieposłuszeństwa.

– Wylądowały ich tysiące! – obwieścił jeszcze raz. – Alianci! Inwazja na plaże we Francji!

## **Część V**

# **KRAJ RODZINNY**

## LEONARDO

Mediolan, Włochy  
Czerwiec 1491

Nowo narodzone dziecko. Syn Ludovica il Moro. Bękart, ma się rozumieć. Ja rozumiem, gdyż też jestem bękartem. Chłopiec nigdy nie będzie rządził księstwem, ale ostatecznie będzie miał przyszłość.

Dzięki Bogu, Cecilia czuje się dobrze. Zawsze są obawy, kiedy rodzi się dziecko. Nowe życie i śmierć są ze sobą ściśle splecione. Ze względu na Cecilię wdzięczny jestem za jej dobre zdrowie, zwłaszcza że dziewczyna wycierpiała się podczas porodu.

Z drugiej strony, z pewnością jej czas minął. Ludovico il Moro ma teraz nową żonę, kochankę i nowo narodzone dziecko z nieprawego łoża pod jednym dachem. Trudno o trwałość takiego układu. Co najmniej jedno z nich będzie musiało odejść. Co się z nimi stanie?

Przez wzgląd na siebie samego jestem wdzięczny, że mój portret Cecylii Gallerani jest już ukończony. W samą porę. Co lepsze, Ludovico il Moro przyjął go, klepiąc mnie po plecach z wdzięcznością, a następnie zapatrzył się na piękną dziewczynę na obrazie z mieszaniną miłości i smutku. Tak jak powiedziałem, jej czas minął, pora odejść.

W małym warsztacie w Corte Vecchia wreszcie mogłem wrócić do mojej największej radości: zakurzona machina latająca leżała uśpiona na dachu przez wszystkie te długie miesiące. Czas i przestrzeń naprowadziły mnie na zmianę w projekcie. Załączek pomysłu objawił mi się dawno temu we śnie i naszkicowałem go pospiesznie. Gdybym tylko potrafił ponownie uchwycić to wyobrażenie.

Otwieram stary szkicownik, który miałem w torbie podczas długiej podróży z Florencji do Mediolanu prawie dziesięć lat temu. Podniszczone kartki otwierają dawno zapomniane miejsce w moim umyśle. Wszystkie projekty obronne, które pierwotnie proponowałem Jego Wysokości. Łódź desantowa. Nigdy wcześniej nie widziany typ katapuły. Przenośny most.

Mój palec trafia na projekt działa, którego można by użyć do wysadzenia kopalni pełnej skarbów. Nie jest to zły pomysł, myślę. Wyrywam kartkę ze szkicownika i przysięgam sobie pokazać ją Jego Wysokości.

## EDITH

Altaussee, Austria  
Styczeń 1945

Edith stąpała po gruzie leżącym na chodniku w kopalni. Szła wśród ciemności za szczupłą sylwetką Gerfeitera, którego latarka rzucała drgające światło na surowe ściany tuneli wydrążonych w zboczu góry za pomocą materiałów wybuchowych. Wdychała głęboko rozrzedzone, zimne powietrze, czując jak narasta w niej panika, instynktowny strach, że może jej zabraknąć tchu. Żołnierz poruszał się szybko i pewnie niskimi tunelami. Edith i Ernst z trudem za nim nadążali.

Kiedy już jej oczy przywykły do mroku, dostrzegła drewniane półki i rusztowania, które sprawiały wrażenie, jakby ktoś w pośpiechu zbił je z surowego drewna prosto z tartaku. Na tych prowizorycznych regałach zobaczyła ustawione jedno na drugich skrzynie. Światło latarki przesunęło się po porozrywanych ścianach kopalni soli i przed oczami Edith błysnęła krawędź złoconej ramy. Obrazy. Setki – nie, może tysiące – dzieł sztuki.

Na ten widok Edith zapało dech.

W końcu żołnierz zatrzymał się. – To tylko jedna z kopalń, które zostały wykorzystane – powiedział tonem przechwałki, odwracając się do Edith. Zerkał na nią co chwila, mierzył ją wzrokiem, ale ani razu nie spojrzął jej w oczy. Skrzyżowała ręce na piersi.

– Gdzie są inne? – spytała, mając tuż za sobą Ernsta.

– To tajne – odparł żołnierz arogancko. – Są rozrzucone w rozmaitych miejscach na terytorium Austrii i Niemiec. Zajęliśmy je na dzieła sztuki, których Führer użyje do zapelnienia swojego nowego muzeum.

Żołnierz mógł być aroganckim głupcem, ale nie kłamał. Sama skala tej operacji przyprawiała Edith o zawrót głowy. Od ponad pięciu lat miała wrażenie, że pracuje równolegle dla innych specjalistów z dziedziny sztuki, którzy po cichu zagarniali obrazy, rzeźby i inne obiekty w imieniu Rzeszy. Teraz, przechodząc przez kolejne pomieszczenia zastawione regałami i skrzyniami wypełnionymi dziełami sztuki pochodzącymi nie wiadomo z jak daleka, uświadomiła sobie z całą jasnością, że sama wcale nie była tak ważna, jak jej wmawiano.

Ilu innych fachowców w całej Europie tkwiło po piwnicach, w wiejskich rezydencjach, magazynach muzealnych, kościelnych skarbcach, katalogując i organizując transport każdego z bezcennych arcydzieł? Była tylko trybikiem w gigantycznej maszynie.

W czerwcu, niedługo po tym jak dowiedzieli się o alianckim desancie w Normandii, Edith i Ernst byli ciągle w drodze. Frank polecił im przeniesienie wszystkich dzieł sztuki znajdujących się w Polsce, a zaliczonych do pierwszej kategorii – *Wahl I* – do miejsca ukrycia. Każdy dzień Edith zaczynał się teraz i kończył pakowaniem, ładowaniem, rozładowywaniem, porządkowaniem i dokumentowaniem dzieł sztuki. Razem z Ernstem podróżowali z wielką teką dokumentów, spisów inwentarzowych, listów przewozowych, skrupulatnie odnotowanych przenosin bezcennego ładunku.

Kopalnie, skarbcze bankowe, pomieszczenia gospodarcze uniwersytetów, biura muzeów. Niepowtarzalne i nie do zastąpienia dzieła sztuki były rozmieszczane po najdalszych zakątkach Niemiec i Austrii, gdzie, jak dowodził Frank, będą bezpieczne, podczas gdy dawne terytorium Polski stawało się coraz bardziej niepewne, w miarę jak rosło zagrożenie ze strony Sowietów i aliantów. Edith obawiała się, że zamiast tego mogą ulec zniszczeniu, kradzieży, zgubić się albo zostać zapomniane.

Nocami w pokoju, przy słabym świetle, chociaż powieki jej opadały, zmuszała się, żeby nie zasypiać, dopóki nie skopiuje informacji o ich ruchach w swoim tajnym rejestrze ograniczonym do stenograficznych zapisków, które tylko ona potrafiła rozszyfrować.

Najczęściej miała poczucie daremności swoich znojných wysiłków, bo co miałyby zrobić teraz z tymi rejestrami? Wysłanie ich do Manfreda, przyjaciela z Alte Pinakothek, wydawało się czymś naturalnym, ale wykonanie tego było

zbyt niebezpieczne. Co by się stało, gdyby ktoś przechwycił jej list, zanim dotarłby do Monachium? Jak mogłaby się skontaktować z Manfredem? Wobec tego nadal wpychała skopiowane spisy między materac a sprężyny łóżka albo chowała za podszewką walizki. To wszystko, co mogła zrobić do czasu, aż nie będzie miała lepszej możliwości. Wiedziała, że nie może ufać nikomu z pracowników Franka. Z pewnością zostali prześwietleni dokładniej niż ktokolwiek inny pod względem lojalności.

A teraz stale byli w drodze.

W styczniu gubernator Frank został ostatecznie zmuszony do opuszczenia Krakowa i przeniesienia rodziny z powrotem na obszar niemieckojęzyczny, razem z pracownikami i dziełami sztuki, które były mu najbardziej drogie. *Damę z gronostajem* Leonarda rzadko spuszczał z oka.

Przy pierwszej przeprowadzce Wielkiej Trójki Edith razem z Ernstem i kilkoma osobami z personelu ładowała te obrazy i kilka innych bezcennych obiektów do opancerzonego transportera. Przewiezienie do odległej, prywatnej rezydencji w Sichowie, wsi na Dolnym Śląsku, gdzie nie było możliwe ich wytropienie, zostało wcześniej uzgodnione. Tam miały pozostać tymczasowo zabezpieczone.

Powoli zaczynały do nich docierać wiadomości: oddziały amerykańskie i brytyjskie posuwały się w kierunku wschodnim, zmuszając wojska niemieckie do odwrotu. Równocześnie oddziały radzieckie, teraz wrogie, szły na zachód. Ściśniętym pomiędzy nimi siłom hitlerowskim pozostawał zwięzający się coraz bardziej pas ziemi. Edith martwiła się o Jakuba i jego przyjaciół z polskiego ruchu oporu. Nie miała możliwości kontaktu i zastanawiała się, co się z nim stało – i co dały ich wysiłki.

Pomimo nowych zagrożeń, Edith odczuła ulgę, słysząc, że Frank ma jeszcze zostać w Krakowie. W końcu jednak, ku jej przerażeniu, dojechał do nich do Sichowa, przywożąc ze sobą Brigitte i dzieci. Wkrótce po przyjeździe rodziny, całą grupą – razem z Wielką Trójką – przenieśli się do następnej prywatnej rezydencji w Morawie, gdzie zatrzymali się na krótko. Co noc Edith upychała pod materac swoje cenne, teraz postrzępione, kartki ze spisem obiektów zagrabionych z polskich kolekcji i każdego ranka przekładała je za podszewkę swojej skórzanej walizki. Nie było to łatwe, ich ruchy stawały się coraz bardziej niepewne, krąg się zacieśniał. Czy jej rejestry kiedykolwiek przyczynią się do

zwrotu mienia prawowitym właścicielom? Czuła się przytłoczona ogromem zadania zwrócenia każdej rzeczy tam, gdzie jej miejsce.

Edith trudno było pogodzić dwa oblicza człowieka, który w dzień odpowiadał za dewastację dokonywaną wokół, a wieczorem świata nie widział poza swoimi dziećmi. Brigitte z kolei była często nieobecna, migiała tylko przelotnie – na wysokich obcasach i w futrze – by zaraz zniknąć za drzwiami. Edith była zdezorientowana, że ci najbliżej Franka traktowali go z uwielbieniem albo obojętnie. Czy nie dostrzegali całego zła, które działo się wokół za jego sprawą?

Potem Brigitte i dzieci wróciły do Bawarii na ferie. Frank został, ale wysłał Edith i Ernsta w delegację z bezcennymi dziełami sztuki, tym razem samych, co przyjęła z ulgą. Tłukli się na platformie ciężarówki w kierunku dawnej granicy austriackiej. Za każdym razem, kiedy przenosili obrazy, Edith była świadkiem coraz większej dewastacji polskiego krajobrazu, który zamieniał się w piekielną panoramę ruin i zgliszcz. Tym bardziej skupiała się na ochronie transportowanych obrazów, bo nic więcej w tej chwili nie mogła zrobić.

Dopiero kiedy znaleźli się za dawną granicą Austrii, zaczęła dostrzegać oznaki życia i serce ją zabolowało. Wieczorami czekał na nią ciepły posiłek i ciepłe łóżko. Ponieważ należała do otoczenia gubernatora Franka, nigdy jej niczego nie brakowało, poza tym czego brakowało jej najbardziej: rodziny i wolności.

Czy ojciec jeszcze żyje? A jeżeli tak, to czy do tej pory o niej nie zapomniał? Wyjechała już tak dawno, a jedynymi wiadomościami, jakie otrzymywali, były raporty wywiadu, na podstawie których się przemieszczali.

Zarówno w kopalni soli, jak i w pałacach czy innych rezydencjach w posiadaniu Franka widziała obiekty, które przeszły przez jej biuro w suterenie. Ona decydowała o ich wartości lub jej braku. Być może obdarzono ją większą mocą sprawczą, niż na to zasługiwała, większą władzą nad własnością innych niż powinna mieć. Kim ona jest, żeby mówić, co jest naprawdę wartościowe, a co nie? Nie chciała widzieć, jak te bezcenne dzieła przepadają. Arcydzieła malarstwa i rzemiosła, każde jedyne na świecie.

Teraz Edith, Ernst, kilka osób z obsługi i żołnierzy przydzielonych rodzinie dla bezpieczeństwa, wszyscy oni stąpali ostrożnie po rumowisku w kopalni soli Altaussee w Austrii. Po raz pierwszy od niemal trzech lat Edith postawiła stopę na ziemi niemieckojęzycznego kraju.



Minęli niewielkie pomieszczenie, wykorzystywane jako latryna. Edith ogarnął wstyd, kiedy dotarło do niej, co zobaczyła: obrazy w ciemnej, wilgotnej komórce oparte o ścianę.

– Stop! – rzuciła, chwytając Ernsta za przedramię. – Nie możecie trzymać obrazów w latrynie! Nie macie rozumu? – krzyczała na żołnierza, który ich prowadził.

Weszła do cuchnącej komórki i wyciągnęła dwa duże pejzaże pociemniałe pod wpływem czasu i brudu. Chciałaby móc zabrać je natychmiast do swojej pracowni konserwatorskiej.

Kiedy jednak rozejrzała się wokół, widząc setki bezcennych dzieł sztuki zwalonych na sterty w mroku kopalni soli, poczuła, jak rozpacz chwyta ją za gardło. A co, jeśli uciekający nazistowscy funkcjonariusze każą wysadzić to wszystko w powietrze, chcąc za wszelką cenę mieć pewność, że nie wpadnie w ręce wroga? A co, jeśli alianci zbombardują kopalnię, nie zdając sobie sprawy, jakie skarby znajdują się w środku? Czas nie działa na ich korzyść, uświadomiła sobie. Jak mogłaby przekazać swoje tajne spisy w odpowiednie ręce, nie ryzykując własnym życiem?

## CECILIA

Mediolan, Włochy  
Czerwiec 1491

Cecilia kochała.

Przyglądając się, jak pierś jej syna podnosi się i opada przy każdym oddechu, tuliła go w ramionach i myślała, że mogłaby to robić bez przerwy. Chciała tylko jednego – patrzeć w ciemne oczy dziecka, jak głębokie sadzawki o północy, takie same jakie ma jego ojciec.

Pokojówka wymiotła z kątów ćmy, które wleciały przez otwarte okno wraz z ciężkim, lepkiem upałem. Teraz okiennice były zamknięte przed letnią burzą z piorunami, słychać było odległy grzmot, deszcz wybijał stały rytm, kojący dla tych w pałacu, podczas gdy świat na zewnątrz zamieniał się w śliski, koszmarny chaos. Cecilia wdychała wilgotne powietrze pachnące drzewami i wsią. Zapach przywołał wspomnienie lasu, po którym biegła jako mała dziewczynka i przez moment pragnęła uciec z tego miasta z szarego kamienia i wrócić do domu, do Toskanii. Gdyby Ludovico ją odprawił, pomyślała, może znalazłaby drogę do domu. Cokolwiek miało się wydarzyć, Cecilia była wdzięczna, że żyje.

W przyćmionym świetle dotykała doskonałego profilu twarzy dziecka. Powiodła kciukiem wzdłuż jego ręki i ścisnęła drobną piąstkę. Violina wtuliła wilgotny nos w szyję dziecka, węsząc i spoglądając na Cecilię, jakby szukała u niej potwierdzenia, po czym ułożyła się przy niej na łóżku.

W pokoiku obok komnaty Cecyliei swój skromny dobytek rozpakowała mamka. Kobieta niewiele miała do roboty, bowiem Cecilia uparła się przystawiać dziecko do własnej piersi. Nikt inny nie mógł kochać jej syna tak bardzo jak ona, nawet Ludovico.

Minęły cztery dni. Przez cztery dni Ludovico nie przyszedł zobaczyć swojego nowo narodzonego syna. Za każdym razem, kiedy otwierały się drzwi, miała nadzieję ujrzeć jego twarz, ale była to tylko pokojówka, służąca z kuchni albo Lucrezia.

Poprzedniego dnia sekretarz księcia, Giancarlo, wkroczył do jej komnat z fanfarami, przynosząc w darze duże, płaskie, pozłacane pudło. Po otwarciu go Cecilia znalazła kilka wielkich arkuszy pergaminu z woskowymi pieczęciami zwisającymi z dolnego brzegu każdego dokumentu. Przesunęła palcem po łacińskich wyrazach wypisanych brązowym atramentem. Pawia. Saronno. Do tego nazwy miejsc, o których nigdy nie słyszała. Połacie ziemi uprawnej pod ryż i winorośl. Akty własności, na których Cecilia Gallerani figurowała jako właścicielka. Następne dokumenty potwierdzające prawo własności bydła i stadniny koni na Nizinie Padańskiej.

Przerzuciła wzrok na toaletkę, na której piętrzyły się inne podarunki od Ludovica i ludzi z jego dworu, którzy nigdy nie poświęcili jej ani odrobiny uwagi, aż do teraz. Wyszywane ubranka i ozdoby dla dziecka. Ciastka na miodzie i cukierki z masy migdałowej wyrabiane w pobliskim klasztorze. Duża, pozłacana taca malowana w sceny z życia świętej Anny. Ceramiczne talerze i perełki do włosów oraz srebrne nici na obszycie sukni.

Lojalny nadworny poeta Bernardo złożył jej nawet dwie wizyty i na dodatek ułożył śliczny sonet na cześć narodzin Cesarego. Na ogół jednak Cecilia pozostawała sama, skulona w łóżku ze swoim dzieckiem i psem.

Mocne pukanie do drzwi obudziło w Cecyli nadzieję. Ludovico? Kiedy jednak drzwi się uchylły, rozpoznała szerokie czoło i niemądry uśmiech swojego brata.

## EDITH

Neuhaus am Schliersee, Niemcy  
Styczeń 1945

– Napije się pani czegoś?

Hans Frank podszedł do barku na kółkach stojącego pod oknem, za którym roztaczał się zapierający dech w piersi widok jeziora Schliersee. Z tego miejsca Edith mogła dostrzec znajome, dwuspadowe dachy pięknych bawarskich domów, a dalej ośnieżone szczyty. Tylko godzina jazdy od Monachium. Czy znajdzie drogę do domu? Cokolwiek miało się wydarzyć, Edith była wdzięczna, że żyje.

– Nie, dziękuję.

– Mam polską wódkę – Frank uśmiechnął się, nawiązując do ich pierwszego spotkania w Krakowie.

Edith nadal wbijała wzrok we wzorzysty dywan. Stała z założonymi rękoma obok ogromnego biurka w gabinecie kilkusetletniego wiejskiego domu stanowiącego centrum rodzinnego majątku Franka.

Wiejski dom Franka, Schoberhof, był ogromny, ale prawie pusty. Brigitte Frank wyszła, a ich dzieci bawiły się na dworze, biegając w śniegu po zboczu schodzącym do jeziora. Edith pomyślała, że kucharz i sprzątaczkę muszą być zajęci w kuchni, ukryci głęboko w trzewiach domu. Przyszło jej do głowy, że oni też chcą być niewidzialni. Jedynym dźwiękiem było głośnie tykanie zegara w holu.

W drodze do wiejskiego domu zatrzymali się, żeby zostawić ciężarówkę ze skarbami pod ochroną uzbrojonych strażników w byłym biurze Franka w Neuhaus. Frank powierzył Ernstowi zadanie bezpiecznego dostarczenia

dzieł sztuki innemu wysokiej rangi urzędnikowi nazistowskiemu w Monachium.

Edith została sama. Przez chwilę puściła wodze wyobraźni, że mogłoby ją puścić do domu. Zamiast tego, ku jej przerażeniu, Frank uparł się, żeby jechała do jego prywatnej posiadłości razem z jego rodziną. Teraz była w gruncie rzeczy więźniem. Jej dom i jej ojca dzieliła od tych ośnieżonych gór niecała godzina jazdy, a ona nie mogła opuścić posiadłości. Bała się, co Frank mógłby zrobić, gdyby mu się sprzeciwiła albo odważyła się odejść.

*Damy z gronostajem* Leonarda nie było na liście dzieł sztuki podrzuconych do dawnego biura Franka. Była za to w swojej drewnianej skrzyni, zaledwie o metr z kawałkiem od miejsca, gdzie stała Edith, w domu Franka. Edith czuła się w pewnej mierze uspokojona, mogąc patrzeć na obraz, wiedząc, że jest bezpieczny. Martwiła się o inne obrazy – Rembrandta, Rafaela, wiele innych o nieoszacowanej wartości, bezustannie przewożonych z miejsca na miejsce w ostatnich miesiącach.

Edith wiedziała jednak, że *Dama* Leonarda wcale nie jest bezpieczniejsza tutaj niż wożona po Polsce i Austrii albo schowana pod ziemią, w kopalni soli. Bez wątplenia Frank był na celowniku aliantów. Patrząc pobieżnie, stworzono iluzję, że Frank żyje jako ziemianin w tej bawarskiej posiadłości. Ale jeśli był na celowniku i jego prywatna rezydencja mogła zostać zbombardowana, zarówno obraz, jak i ich życie było w niebezpieczeństwie nie mniejszym niż w Polsce czy gdziekolwiek indziej.

Edith patrzyła na skrzynię, wiedząc, że zaraz zostanie poproszona o jej otwarcie i powieszenie obrazu. Na razie Frank stał w milczeniu przy barku, przyglądając się uważnie kryształowej szklance napelnionej przezroczystym płynem. Zastanawiała się, co mu chodzi po głowie. Chciałaby, żeby Brigitte już wróciła do domu.

– Czy mogłaby pani powiesić naszą dziewczynę? Proszę – powiedział w końcu ściszym głosem, pociągnął łyk ze szklanki i wydał wargi. – Jestem pewien, że zrobi to pani dużo bardziej profesjonalnie niż ja.

Nie pierwszy raz trzymała w rękach *Damę z gronostajem* Leonarda, ale traktowała ją z takim samym nabożnym szacunkiem jak wtedy, kiedy zobaczyła ją pierwszy raz wydobytą z zamurowanego pokoju w Pełkiniach. Podeszła do miejsca na ścianie, gdzie obraz miał zawisnąć. Patrzyła w oczy

Ceciliii Gallerani, podziwiając jej urodę, chłonąc wzrokiem każde pociągnięcie pędzla, całą lśniącą powierzchnię, która rozdzielała dwie kobiety odległe od siebie o pięćset lat. Twarz Ceciliii wydawała się taka spokojna. Czyba była hołubiona jak największy skarb? Czyba nie mogła wiedzieć, jak to jest paść ofiarą kaprysów potężnych mężczyzn i zdarzeń, na które nie ma się wpływu?

– Czarująca, prawda?

Edith wyczuła, że Frank stoi kilka centymetrów za nią. Starła się nie zwracać na niego uwagi, jedną ręką poprawiając obraz, żeby równo wisiał. W drugiej ręce ścisnęła trzonek młotka, którym wbiła gwóźdź. Frank nie pozostawiał jej miejsca na jakikolwiek ruch. Jej pięść zacisnęła się mocniej na trzonku młotka.

– Cieszy się pani, że wraca do Monachium, *mein Liebling*?

*Nie jestem twoje kochanie* – pomyślała. Głośno powiedziała: – Nie mogę się doczekać, żeby znów zobaczyć tatę, przekonać się, czy wszystko u niego w porządku. Był chory, kiedy wyjeżdżałam. Mam nadzieję, że żyje, żebym miała do kogo wracać.

Spojrzała na niego przez ramię, krzyżując ręce na piersi i odsuwając się trochę.

– Cecilia Gallerani była piękną kobietą – wykrztusiła, starając się odwrócić jego uwagę.

Spojrzał na obraz z wyrazem dumy na twarzy. – Tak. To przywilej mieć ją pod swoją opieką.

*Tylko nie swoją* – pomyślała Edith.

– Wróci pani do swojego narzeczonego, kiedy już będzie pani w Monachium?

Edith starała się niczego po sobie nie pokazać. Pokręciła głową i zwróciła ku niemu obojętną twarz. – Zginął w Polsce.

Tylko że Frank nie słuchał. Jej wypowiedź nie zrobiła na nim żadnego wrażenia, wyraz jego twarzy się nie zmienił. Nadal wpatrywał się w portret Ceciliii Gallerani. Nie obchodziło go, że Heinrich nie żyje, że on, Frank był odpowiedzialny za jego śmierć. Nie obchodziły go tysiące istnień ludzkich, do których unicestwienia się przyczynił. Był chciwym, maniakałnym potworem.

Edith zastanawiała się, czy umiałaby walnąć go młotkiem w głowę. Czy starczyłoby jej siły? Odwagi? Co by się stało, gdyby spróbowała i nie udało się? A co, gdyby się udało? Napawała się tą fantazją przez chwilę, po czym Frank odezwał się znowu:

– Pełniła pani doskonale swoją służbę, będąc z nami, panno Becker. Dopilnuję, aby otrzymała pani odpowiednie stanowisko w muzeum, kiedy to wszystko się skończy.

Edith wątpiła, czy kiedy to wszystko się skończy, będzie dla niej jakiegokolwiek wysokie stanowisko do objęcia.

– Ja muszę teraz jechać do domu – zmusiła się, żeby patrzeć Frankowi w oczy. – Mój ojciec... Długo chorował. Proszę... Proszę mnie puścić do domu, do Monachium.

Patrzyła, jak wargi Franka rozciągają się w cienką linię. – Hmm. Ale moja droga, my tu ciągle mamy pracę. Poza tym jesteśmy tu zagrożeni, teraz może nawet bardziej niż będąc w Polsce. To nie jest czas na podróż.

Frank znów zbliżył się do niej. Był tak blisko, że czuła jego oddech na swojej szyi. Zamknęła oczy, starając się pokonać niesmak. Nieznacznie przesunęła się i przeszła za jego plecami na drugą stronę biurka, naprzeciwko którego stała kanapa.

Powoli podeszła do balkonu, z którego widać było trawnik schodzący do jeziora. Dwóch uzbrojonych wartowników, wyglądających na znudzonych, wydeptywało ścieżkę między jeziorem a domem. Edith otworzyła dwuskrzydłowe, przeszklone drzwi i wyszła na wąski balkon, czując, że Frank idzie za nią krok w krok. Z wysokości widziała ogrody, wzgórze wznoszące się pasmo za pasmem jak fale oceanu, rozciągające się przed nią do krawędzi zamrażanego jeziora. Bawaria. Dom. To trwało o cztery lata za długo.

Wychyliła się przez balustradę, patrząc na dzieci turlające się po śniegu. Norman i Michael ubrani w takie same *lederhosen* i zrobione na drutach rękawiczki z jednym palcem, udawali walczących zapaśników. Wokół nich skakał wesoły pies. Na pokrytym śniegiem trawniku porozrzucane były kule śniegowe, widać było także ślady stóp. Mały Michael przerwał zabawę i spojrzał w górę, jego blond loki wysypywały się spod czapki. Uśmiechnął się do niej i zaczął machać żywiolowo, jakby bez tego nie sposób było go zauważyć. Edith

odwzajemniła uśmiech i też do niego pomachała. Słodkie niewinne dziecko. Co się z nim stanie? Ile jeszcze ma czasu, zanim wchłonie go Hitlerjugend?

– Dobrze ma pan dzieci – powiedziała. Frank podszedł i stanął obok niej, patrząc w dół na swoje dzieci. – Musi pan je chronić.

Oboje obserwowali wir suchego śniegu, który podniósł się nagle i pomknął nad szklaną taflą jeziora.



## DOMINIC

Monachium, Niemcy

Maj 1945

Monachium jest wolnym miastem, zachwycił się Dominic, kiedy pokryty kurzem jeep wtoczył się przez zwieńczoną blankami bramę miejską. Bitwa była krótka, tych kilka niemieckich oddziałów jakie zostały, stawiało niewielki opór. Teraz żołnierze mogli odpocząć.

Przez ostatnie dwa dni toczyli walki, pierwszą w okolicy Dachau, dzień wcześniej, zanim do głębi wstrząśnięci i przejęci grozą Amerykanie ujrzeli trupy bezdusznie zwalone w wagonach towarowych. Te wagony. Te wynędzniałe ciała pozbawione wszystkiego – godności, miejsca w społeczeństwie, dobytku, tożsamości. Masa bezimiennego mięsa rozkładającego się w bezlitosnym słońcu, ludzi, którym pozostały tylko dusza i ciało, zanim zostali zamordowani i zapomniani.

Opowieści o innych obozach koncentracyjnych, stopniowo wyzwalanych – poczynając od Majdanka w Polsce w czerwcu poprzedniego roku – docierały do Amerykanów maszerujących na Dachau. Liczby przyprawiały o zawrót głowy. Historia z Auschwitz wyzwolonego przez Sowieców kilka miesięcy wcześniej dręczyła Dominica najbardziej. W głowie utkwiała mu jedna liczba. Osiemset tysięcy. Tyle sukienek Sowieci odkryli w magazynie pełnym przedmiotów osobistego użytku, przypuszczalnie należących do zamordowanych więźniów. Ta liczba przekraczała granice pojmowania Dominica. Ale nikt nie przygotował ich na to, co czekało w Dachau.

W porównaniu z resztą jednostki Dominica – żołnierzami, którzy szli na Dachau, żeby wyzwolić obóz – jemu przypadła łatwa misja: został wysłany z małą grupą żołnierzy do Monachium, przodem, aby przygotować miasto na

wkroczenie wojsk. Był niezmiernie wdzięczny, że nie musi się zbliżyć do obozu koncentracyjnego. Wymiana ognia, w jakiej uczestniczyli, wydawała się błahostką przy gigantycznym zadaniu ocalenia tysięcy chorych i zagłodzonych więźniów.

Konwój nie napotkał oporu, wjeżdżając do miasta. Przeciwnie. Panowała atmosfera spokojnego wyczekiwania. Oddział poprzedzający Dominica już przejął miasto i teraz, kiedy jechali główną ulicą, ludzie zaczynali wynurzać się z domów, piwnic i schronów. Szeroko otwartymi oczami patrzyli na ten nowy spektakl: uzbrojonych mężczyzn, którzy nie mieli zamiaru robić krzywdy cywilom. To nie była okupacja tylko wyzwolenie.

Zniszczenia w mieście wyglądały na przypadkowe. Mijali całe kwartały nietkniętych budynków, z całymi szybami w oknach i kwiatami, które zaczynały kwitnąć na klombach i w skrzynkach. Potem jednak natrafiali na całą ulicę zamienioną w zwały dymiących gruzów, z odłamkami pocisków niebezpiecznie rozrzuconymi wokół.

Nie zważając na grożące niebezpieczeństwo, coraz więcej cywilów wylegało na ulice, żeby milcząco gapić się z niedowierzaniem na Dominica i innych żołnierzy. Im głębiej wjeżdżali w miasto, tym większą nadzieję widzieli w oczach ludzi, którzy zaczęli się gromadzić i tłumnie ruszali za nimi. Monachium było celem bombardowań w ostatnich latach. Ci mieszkańcy, którzy pozostali, nie mogli uwierzyć, że być może wreszcie się to skończyło.

Tłum gęstniał, wypełniając chodniki. Wtem zatrzepotała chusteczka, jasny akcent na ponurym tle. I następna. I jeszcze jedna. W tłumie podniosły się głosy, okrzyki, wiwaty i nagle chciał tam być każdy. Wzdłuż ulic stali wiwatujący, machający, niewinni ludzie, którzy nie mieli swojego udziału w rozpoczęciu tej wojny i którzy z niezwykłą ulgą witali to, co wyglądało na jej zakończenie. Białe chusteczki powiewały nad rozkrzyczanym tłumem. Coraz bardziej przypominało to paradę zwycięstwa niż strefę działań wojennych. Dzieci, a potem ich rodzice biegli obok czołgów. Pełne entuzjazmu dzieci na rowerach pędziły ulicami, starając się nadążyć, jednocześnie omijając zalegający gruz.

Uwagę Dominica zwróciły gorączkowe nawoływania po niemiecku, więc spojrzał w tamtą stronę. Zobaczył biegnących przy ciężarówce dwóch nastolatków, którzy z nadzieją w oczach wyciągali do niego niecierpliwe ręce.

Śmiejąc się, razem z kolegą wychylili się i wciągnęli chłopców na platformę ciężarówki. Zrazu rozpoznał ton zagniewanej matki, kobiety w chustce na głowie, która wykrzykując coś, groziła chłopcom palcem. Oni pomachali do niej bezczelnie, uśmiechając się do uzbrojonych mężczyzn wokół. Zachwyceni pomysłem kolejni chłopcy i wyrostki rzucili się do jeepów ogarnięci pokojowym entuzjazmem, chcąc też się przejechać. Wszyscy chcieli uczestniczyć w święcie wyzwolenia, w radości z pokoju, który w końcu zapanował w mieście.

– Dominic! – usłyszał czyjeś wesole wołanie. To wołał Weaver z jeepa jadącego obok. Stał w tylnej części pojazdu, trzymając w górze tablicę, która nie tak dawno wyznaczała granicę miasta. Niemiecki Dominica nie był doskonały, ale wystarczył, żeby mógł z grubsza przetłumaczyć, co oznajmiała: „Monachium stolica narodowego socjalizmu”. Weaver śmiał się, wymachując tablicą nad głową, rozbawiony tą ironią.

Mieszkańców Monachium rozpierała radość. Wypełniali ulice tak ciasno, że konwój musiał zwolnić i poruszać się w ślimaczym tempie, żeby nie rozjechać świętujących. Machając chusteczkami i rzucając kwiaty, ludzie tłoczyli się wokół pojazdów. Na pakę ciężarówki Dominica dostało się co najmniej kilkunastu nastoletnich Niemców, którzy ściskali się między sobą i z żołnierzami. Nigdy nie widział tak wielu ludzi na raz, tak bardzo szczęśliwych, że żyją.

Nad ogólnym chaosem radosnych okrzyków i nawoływań rozległ się nagle głos, w którym brzmiało niedowierzenie połączone z radością. Konwój stanął w miejscu, bo na ulicę wbiegł młody człowiek o nieprzytomnych oczach, na wpół niosąc, na wpół ciągnąc za sobą aparat radiowy, który wydawał dźwięk protestu, brutalnie postawiony na chodnik.

– Słuchajcie! – krzyknął chłopak, mocno akcentując to słowo. – Słuchajcie – pokręcił gałką radia, ustawiając maksymalną głośność.

Ze swojego miejsca w środku konwoju Dominic niewiele słyszał. Zdawało mu się, że rozpoznaje dramatyczną muzykę klasyczną, może Wagnera. Obudziła się w nim nadzieja, którą mógł też dostrzec na twarzach otaczających go ludzi.

Muzyka się skończyła i głęboki głos przemówił po niemiecku, przebijając się przez trzaski w eterze. Tłum ucichł, wszyscy słuchali słów, których Dominic nie rozumiał, ale wyczuwał w nich potężne emocje. Kiedy tylko głos ucichł, tłum

nagle eksplodował okrzykami radości i triumfu. Chusteczki powiewały w powietrzu, ludzie ściskali się, tańczyli, krzyczeli po niemiecku. Ktoś zupełnie obcy objął Dominica w pól i zaczął z nim podskakiwać, trzęsąc nim tak, że aż mu dzwoniły zęby.

– Co? O co chodzi? Co się dzieje? – dopytywał się Dominic.

– Hitler – oczy Weavera wypełniły się łzami na widok radości cywilów. – Hitler nie żyje.

Dominic nie wierzył własnym uszom. W ogóle nie myślał o bezwzględnym dyktatorze jako o istocie ludzkiej. Widział w nim raczej siłę natury, jakąś mroczną, złowrogą dążącą do zagłady rodzaju ludzkiego. Przez moment zastanawiał się, za ile śmierci Hitler może być odpowiedzialny. Pomyślał o Paulu. Potem o tych wagonach towarowych i coś kazało mu się zastanowić, czy Hitler w ogóle był istotą ludzką.

Tak czy inaczej, jego śmierć musiała oznaczać jedno. Berlin upadł. Dominic zerwał z głowy hełm i podrzucił go w powietrze z okrzykiem triumfu.

– Wiesz, co to znaczy? – spytał go rozpromieniony Weaver.

– To prawie koniec. To musi być prawie koniec – odparł Dominic.

Weaver roześmiał się głośno. – Czas jechać do domu.

Dom. Ta myśl przeszła Dominica znajomym, słodkim bólem sięgającym w głąb duszy. Zamknąwszy oczy, dotknął szkicownika spoczywającego w kieszeni razem z pakietem metryczek inwentaryzacyjnych, które dostał jeszcze w Marburgu, teraz pozaginanych i poszarpanych na brzegach, związanych razem kawałkiem sznurka.

Kiedy otworzył oczy, jego wzrok padł na jedną postać z całego tłumu. Stary mężczyzna stał zgarbiony na chodniku z pustym i nieobecnym wyrazem twarzy, z którym kontrastowała zmarszczka między krzaczastymi brwiami. Spojrzał na Dominica zdezorientowany, szeroko otwartymi oczami, w których nie było zrozumienia. Dominic spróbował się uśmiechnąć do niego, ale to tylko pogłębiło jego zagubienie. Tulił do piersi pluszowego psa, kiedyś białego, ale teraz skołtunionego i zszarzałego ze starości. Jego oczy z guzików spoglądały na Dominica życzliwie, podczas gdy staruszek przyciskał go mocno do siebie.

Dominic zastanawiał się, od jak dawna ten stary człowiek nie widział słońca. Mrużył oczy, przy czym pogłębiały się zmarszczki na jego policzkach, i patrzył

z ukosa na Dominica, przechylając głowę w bok. Wtem stojąca obok starca kobieta w średnim wieku, o kasztanowych włosach, ubrana w strój pielęgniarki, chwyciła go za rękę. Szeptala mu coś do ucha, a on skierował głowę w jej stronę, jakby się starał z całych sił skupić na jej słowach. Kiedy ponownie podniósł wzrok na Dominica, jego oczy rozbłysły. Jego obwisłe wargi drgnęły, potem się wygięły i jego twarz rozświetlił uśmiech. Starzec pomachał do Dominica, a Dominic zobaczył łzy wzbierające w oczach kobiety.

Oto, co naprawdę znaczy wyzwolenie, pomyślał.

## EDITH

Neuhaus am Schliersee, Niemcy  
Maj 1945

Przez okno w swoim pokoju, wysoko pod okapem dachu wiejskiego domu rodzinnego Hansa Franka, Edith usłyszała angielski płynący z radia.

Prawie całe popołudnie przesiadła na skraju łóżka, aktualizując swoje spisy inwentarzowe skopiowane drobnym pismem na poszarpanych kartkach. Większość pozycji na jej liście była teraz oznaczona małymi symbolami. Każde z tych dzieł sztuki zostało w którejś z „bezpiecznych przystani” Franka między Polską a Bawarią – w jednym z wielu skarbców bankowych, pomieszczeń magazynowych muzeów, kopalni soli, które Edith odwiedziła w ostatnich miesiącach.

Przebiegła wzrokiem po kilku ostatnich pozycjach znajdujących się teraz w prywatnej posiadłości Franka: trochę cennych dywanów i innych przedmiotów dekoracyjnych, kilka ważnych obrazów. Przesunęła palcem po pierwszej pozycji na liście: *Dama z gronostajem* Leonarda da Vinci. Czuła ulgę, że ten obraz przynajmniej pozostaje pod jej opieką.

Tymczasem Edith została bez zajęcia. Stara rodzinna posiadłość Franka raczej nie potrzebowała dekoracji. Brigitte odjechała samochodem w eskorcie uzbrojonych żołnierzy, zabierając ze sobą młodsze dzieci, z wizytą do rodziny gdzieś w Bawarii. Zostali tylko Norman z ojcem. Norman, którego angielski był prawie tak samo biegły jak Edith, odrzucił jej propozycję pomocy w nauce.

Co miała robić „pani konserwator”? Czekwała na właściwy moment, starając się być niewidzialna w posiadłości nad jeziorem i mając nadzieję, że Frank zostawi ją w spokoju. Dwa razy sprawdziła, czy drzwi są zamknięte na klucz, zanim wyciągnęła spisy spomiędzy skrzypiących sprężyn łóżka.

Teraz jednak dziwny dźwięk, jakim był głos angielskojęzycznego spikera radiowego dobiegający przez otwarte okno z innej części domu, wywabił ją z łóżka. Cicho podeszła do okna, ostrożnie stawiając stopy na podłodze. Otworzyła szerzej wysokie drzwi balkonowe, przez które widać było rozległą połąć wiosennej zieleni schodzącą do jeziora i tafłę wody migocącą w popołudniowym słońcu.

Wyteżyła słuch, żeby rozróżnić słowa. Wychylając się z balkonu, mogła stwierdzić, z którego okna piętro niżej dochodzi głos. Pokój Normana. Bezpośrednio pod jej pokojem. Wiedziała, że czasami, jak większość nastolatków, lubił spędzać czas sam, gdzie nikt mu nie przeszkadzał. Teraz jednak słuchał radia przy otwartym oknie i bardzo głośno. Wiedział, że rodzina wyjechała i że ona jest jedyną osobą w domu, poza nim, jego ojcem i obsługą. Czy robił to celowo, żeby usłyszała, o czym mowa?

Edith zaczęła się wsłuchiwać w słowa. To był angielski brytyjski, co do tego nie miała wątpliwości. Spojrzała w niebo i wszystko stało się jasne.

Hitler. Nie żyje.

Czy się nie przesłyszała?

Spiker mówił szybko, ale wyłowila słowo Monachium i jeszcze bardziej wyteżyła słuch.

Monachium, alianci już wkroczyli do Monachium. Amerykanie i Brytyjczycy chodzili ulicami jej rodzinnego miasta.

Serce waliło jej w piersi. Ojciec. Wojsko prawdopodobnie strzela na lewo i prawo, żołnierze przechodzą przez miasto, zostawiając za sobą trupy. Jeśli Amerykanie są tacy jak żołnierze niemieccy, dojdzie do rozlewu krwi.

Wróciła z balkonu, kiedy usłyszała, że Norman zamyka okno. Czy otworzył je po to, żeby usłyszała?

Musi natychmiast stąd odejść, dostać się do domu. Ale jak? Frank jej nie puści. Ona wie, gdzie był i co robił przez te wszystkie miesiące. Mogłaby go z łatwością wydać.

Edith powiodła wzrokiem po krajobrazie po drugiej stronie jeziora. Czy wojska alianckie już tam są? Czy zniszczą *Damę* Leonarda? Czy mogłaby coś zrobić, żeby ją ocalić? Jej umysł pracował na najwyższych obrotach. Czy powinna zostać i powiedzieć aliantom wszystko, co wie? Przez ostatnie lata

robiła co w jej mocy, żeby ratować bezcenne dzieła sztuki, ale teraz myślała przede wszystkim o ratowaniu własnego życia. Poza tym dlaczego ci obcy żołnierze mieliby ją potraktować inaczej niż wroga?

Poskładała postrzępione kartki spisów na płasko i wetknęła je za pasek spódnicy, gdzie ledwo zakrywała je jej lekka kurtka. Delikatnie otworzyła drzwi pokoju i na palcach wyszła do ciemnego korytarza.

Serce tłukło się w jej piersi, kiedy zastanawiała się, jak wyjść na zewnątrz, nie zwracając na siebie uwagi obsługi kuchennej albo uzbrojonych wartowników Franka, którzy, ziewając z nudów, chodzili do jeziora i z powrotem.

Wyjście do ogrodu warzywnego, pomyślała, i zaczęła schodzić po schodach, stawiając stopy na brzegu stopni, żeby nie skrzypiały. Stamtąd będzie mogła pod osłoną drzew przy murze dotrzeć do głównej drogi.

Jednak na ciemnym półpiętrze wyrósł przed nią nagle Hans Frank, jakby wziął się znikąd. Stał z dłonią na poręczy, patrząc na nią ciemnymi oczami. Edith instynktownie sięgnęła ręką do pasa i zamarła.

– Dokąd to się pani wybiera, Fräulein?



## DOMINIC

Neuhaus am Schliersee, Niemcy

Maj 1945

Dominic prawie zapomniał, że na świecie istnieje piękno. Nawet bezcenne piękno dzieł sztuki, które widział uratowane, było uszkodzone przez wilgoć i w najlepszym wypadku upchnięte w magazynie, zamiast być wystawione w miejscu, gdzie ludzie mogliby je podziwiać.

Za to bawarski krajobraz, który rozpościerał się przed nim, podnosił go na duchu, sprawiał, że nabierał ochoty na duży arkusz papieru, na którym mógłby rysować zapamiętałe. Zacząłby od tych niebywałych linii: długich, zamaszystych, łagodnych krzywizn zielonych wzgórz z ukazującym się gdzieś widokiem Alp w oddali, ich ostrych, białych szczytów i niebieskich zboczy; wierzchołków świerków skupionych w dolinach. Droga w piaskowym kolorze, którą posuwał się konwój, wiła się między wzgórzami tak naturalnie, jakby delikatnie wydrapały ją w trawie jakieś olbrzymie palce. Teraz, późną wiosną, stoki wzgórz obsypane były białymi i żółtymi kwiatami. Tu i tam małe jeziora wygrzewały się w słońcu jak części nieba, które przywędrowały z góry i zwinęły się do snu w zagłębieniach w ciepłej ziemi.

Jemu też wolno było się tym cieszyć. Powiesił hełm na kolanie i pozwolił, by ciepły wiaterek gładził go po krótko przyciętych, czarnych włosach. Nie mógł uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Zaledwie kilka dni temu spotkał się z potwornościami Dachau i ponurą rzeczywistością wojenną Monachium. A tu, na wsi, na południe od miasta było jak w raju. Wręcz obawiał się przyjrzeć się bliżej, żeby nie przysło marzenie. Karabin trzymał na kolanach, bezczynne dłonie położył na lufie.

Odkąd weszli do Monachium, prawie nie było walk. Wiadomości o śmierci Führera i upadku Berlina rozeszły się po kraju, w niemieckiej armii zapanował chaos, niemiecka ludność nabierała odwagi. Równie szybko szerzyła się wieść, że amerykańscy żołnierze są przyjaźni wobec cywilów. Ludzie wypełzali ze swoich kryjówek, w których przetrwali ostrzał artyleryjski – ze stodół, piwnic i schronów przeciwlotniczych – i biegli za wyzwolicielami, krzycząc z entuzjazmem po niemiecku i machając białymi flagami. Dzieci szybko odkryły, że amerykańscy żołnierze mają porcjowany cukier, więc przychodziły zebrać, chytrze zerkając szeroko otwartymi oczami. Wielu żołnierzy było ojcami, dlatego zaledwie nieliczni potrafili odmówić tym głodnym oczom.

Dominic oparł się o burtę toczącego się jeepa. To była błoga chwila, tak jechać przez skąpany w słońcu krajobraz, mogąc odetchnąć od strachu i rozpacz, ale wciąż żał mu było, że nie towarzyszy Obrońcom Zabytków. Zamek Neuschwanstein, niedaleko od miejsca, w którym znajdowali się teraz, został przejęty przez aliantów. Dominic słyszał, że w tym zamku Obrońcy Zabytków odkryli magazyn dzieł sztuki, pod względem jakości i liczby mogący rywalizować nawet ze skarbami, jakie znaleźli w Siegen: rzeźby Rodina, portrety Fragonarda, arcydzieła Vermeera. Ciekaw był, czy kiedykolwiek jeszcze zobaczy tak wspaniałe dzieła jak tam i poczuł ukłucie żalu, że wciąż nie widział żadnego Leonarda. Gdyby tylko mógł zostać z Obrońcami Zabytków do czasu, aż dokonają takiego niesamowitego znaleziska.

Konwój wjechał na wierzchołek niewielkiego wzgórza, z którego roztaczał się widok napawający otuchą. Na wprost leżało kolejne z górskich jezior, jakich wiele było w okolicy. Łagodny wietrzyk marszczył jego powierzchnię, która nabrała barwy najgłębszego błękitu, jaką mógł sobie wyobrazić, i sprawiała wrażenie pogniecionej luksusowej tkaniny. Połacie trawy pokryte polnymi kwiatami falowały poruszane wiatrem po obu stronach drogi, którą konwój zbliżał się do połyskującej tafli jeziora. Wszystko wokół pachniało wiosną: zgnieciona trawa, słodki nektar, pył drogi unoszący się spod kół konwoju. Dominic upajał się aż do zawrotu głowy tym wygrzanym przez słońce pięknem. Gdyby tylko Sally mogła to zobaczyć.

Konwój łagodnie wyhamował. Oficer wysiadł i przeciągnął się, po czym dał żołnierzom czas wolny, żeby mogli się posilić. Wysiadali z pojazdów, chłonąc wzrokiem piękną scenerię, niektórzy po prostu położyli się na plecach w trawie

i wpatrywali się w niebo jak zaczarowani. Widać było po nich, że od dawna nie mieli okazji cieszyć się słońcem.

– Musisz to narysować, stary – powiedział do Dominica Weaver, wysiadając z jeepa.

Dominic wyskoczył za nim. – Narysuję. Ale najpierw muszę się odlać.

Weaver klapnął na trawę i otworzył chlebak. – Nie będę czekał. Jestem głodny.

Dominic miał zamiar odejść w krzaki, które zauważył na wzgórzu. – Zaraz wracam.

Zdjął z ramienia karabin i odstawił go do jeepa. Nie był mu teraz potrzebny. Ruszył w kierunku wzgórza, podziwiając rozłożony wokół piękny dywan. Ten widok dawał mu nadzieję. Nadzieję, że jest już prawie po wojnie.

## EDITH

Neuhaus am Schliersee, Niemcy  
Maj 1945

Hans Frank nigdy przedtem jej nie dotknął.

Edith wzdrygnęła się, czując, jak jego ręka chwyta jej ramię. Powoli sprowadził ją po schodach na dół i dalej korytarzem, który wydawał się nie mieć końca.

Kiedy tylko przekroczyli próg gabinetu Franka, oczy Edith natychmiast zwróciły się ku portretowi Cecylii Gallerani, jakby licząca sobie niemal pięćset lat dziewczyna mogła udzielić trochę swojego spokoju w sytuacji balansującej na granicy katastrofy.

– Gubernatorze Frank... – zaczęła Edith.

– Siadaj – rzucił, puszczając jej rękę. Sam usiadł za swoim ogromnym biurkiem.

Edith usiadła na krześle po drugiej stronie naprzeciwko Franka.

Twarcz miał ponurą, brwi ściągnięte w wyrazie zatroskania. Przez moment siedział w milczeniu z łokciami opartymi na blacie biurka i dłońmi splecionymi na wysokości ust. Edith zdawało się, że widzi, jak drga mu oko. Sprawiał wrażenie, jakby zbierał energię, a może ją tłumił. Trudno powiedzieć.

Wreszcie podsunął jej stertę papierów. – Potrzebuję cię, żebyś...

Gwałtownie urwał, bo otworzyły się drzwi. Stanął w nich jego nastoletni syn Norman, ale nie wszedł. Patrzył tylko na ojca.

– O co chodzi? – Frank w końcu przerwał milczenie.

– *Vati* – odezwał się nieśmiało Norman. – Alianci idą po ciebie. Mają cię aresztować. Słyszałem w radio.

Oczy Edith zrobiły się okrągłe. Jej dłonie ścisnęły poręcz krzesła tak mocno, że zbieleły knykcie. Wpatrywała się w twarz Franka, usiłując odczytać jego reakcję. On jednak tylko wstał i odwrócił się tyłem do nich obojga, do Edith i swojego syna.

Spojrzała na Normana. Starła się przesłać mu telepatycznie wiadomość, podziękowanie, że pozwolił jej posłuchać radia, kiedy nadawano komunikat o Hitlerze i wyzwoleniu Monachium.

– Tato... – spróbował znowu chłopak. – Słyszałeś, co powiedziałem? Oni tu idą.

Frank zdjął z półki duży dziennik i położył go na biurku. Następnie ostrożnie zdjął jeszcze kilka tomów, które dołożył do niego. Potem podszedł do okna. Wetknął ręce głęboko w kieszenie i tylko patrzył na jezioro.

Edith poruszała się powoli, nie chcąc robić hałasu, który zwróciłby uwagę zamysłonego Franka.

Mijając *Damę* Leonarda, zawahała się. Czy mogłaby spróbować uratować obraz? Czy ośmieliłaby się zdjąć go ze ściany? Co zrobiłby Frank? Nie była w stanie przewidzieć. Odczekała chwilę, po czym zmusiła się do postawienia jednej stopy przed drugą. Nie mogła zabrać obrazu ze sobą.

Doszła do drzwi, gdzie Norman blokował jej przejście. Przez chwilę patrzył jej w oczy. Odwzajemniła spojrzenie bez mrugnięcia. Z niemal niedostrzegalnym skinieniem głowy Norman odsunął się na bok i mogła prześlizgnąć się koło niego. Chłopiec wszedł do gabinetu ojca, zamykając za sobą drzwi.

Edith szybko przeszła przez kuchnię, gdzie kucharz z pomocnikami krzątali się koło obiadu na następny dzień, kiedy to Brigitte miała wrócić do domu. Nie mieli pojęcia, że teraz wszystko się zmieni. Nic im nie powiedziała. Zdecydowanym krokiem podeszła do kuchennych drzwi, za którymi żwirowa ścieżka biegła przez ogród. Rzuciła okiem przez ramię, sprawdzając, czy ktokolwiek zauważył, że wychodzi, ale nigdzie nie było śladu wartowników, którzy całymi dniami leniwie przechadzali się wokół posiadłości. Drzwi z cichym szcęknięciem zatrzasnęły się za nią.

W tym momencie pomacała się w pasie, żeby się upewnić, że złożone kartki spisów wciąż są na miejscu zatknięte za pasek spódnicy.

I oto była na zewnątrz. Widziała wzgórze przed sobą, jasne promienie słoneczne malowały cętkowane wzory na łąkach, które zaczynały rozkwitać wszystkimi kolorami tęczy.

Obejrzała się nerwowo za siebie, bojąc się, że ktoś mógłby zobaczyć z okna, jak biegnie przez trawę. Przemknęła się wzdłuż kamiennej podmurówki domu. Może nawet sam Hans Frank mógłby ją zauważyć, ale chyba już go nie obchodziło, co się z nią stanie. Jego własne życie wisiało na włosku. Nie był już aroganckim gubernatorem okupowanych ziem polskich, który mógł przywłaszczać wszelkie cudze bogactwa. Teraz był wrogiem dla potężnych sił, które przyjdą i wymierzą mu sprawiedliwość tak jak na to zasłużył.

Edith cieszyła się, że alianci nadchodzą, że mogą wreszcie przeniknąć ten coraz ciaśniejszy w ostatnich miesiącach krąg Franka i jego współpracowników. Tyle zabitych, tyle rodzin, których już nie ma z powodu jego ego, jego chciwości.

Przebiegła przez trawnik i niewielkie pole do ścieżki biegnącej nad brzegiem jeziora. Po raz pierwszy od lat czuła radość i płynącą z niej nadzieję. Szła szybko ścieżką nad jeziorem na północ, w kierunku Monachium. Amerykanie i Brytyjczycy w końcu znajdą tę wiejską rezydencję. Czy ją zburzą? Czy zniszczą całe jej piękno z powodu jednego złego człowieka, który w niej mieszkał? Miała nadzieję, że uszanują dzieła sztuki i rzemiosła, jakich nigdy nie da się niczym zastąpić, zwłaszcza *Damę z gronostajem*. Chyba wśród ich żołnierzy znajdzie się kilku inteligentnych, kochających sztukę ludzi?

Mogła mieć tylko nadzieję. Teraz pragnęła jedynie powrotu do domu.

Kiedy doszła do wąskiej ścieżki w miejscu, gdzie jezioro zwięzało się, przechodząc w strumień, rzuciła się przed siebie biegiem.

## CECILIA

Mediolan, Włochy  
Czerwiec 1491

– Mały książę. – Fazio podszedł do łoża Cecili i przysiadł obok, rzucając spojrzenie na zawiniątko w jej ramionach. Ujął stópkę chłopca między dwa palce i ucałował. Potem popatrzył na prawie przezroczyste powieki dziecka, drgające we śnie. – Jedyne dziecko Jego Ekscelencji.

Cecylia mogła tylko pokręcić głową. – Na którego nie spojrzeć.

Widziała, że twarz brata się wydłużyła. – Nie? Ach. – Podniósł się i zaczął chodzić po pokoju. W powietrzu zawisła ciężka cisza. – Cóż. Jestem pewien, że zatrzymują go ważne sprawy... – zaczął, ale uniosła rękę i brat zamilkł.

– Fazio. Wszystkie pokojówki i nawet stary Bernardo brali dziecko na ręce. Tylko nie jego własny ojciec – westchnęła. – Przypuszczam, że pora przyznać naszej matce rację.

– Naszej matce? – brwi Fazio uniosły się.

– Tak. Powiedziała, że nie będę niczym innym jak wysokiej klasy dziwką. A teraz co? Spójrz na mnie – wskazała wspaniałą komnatę wokół i dziecko w swoich ramionach.

– Cecilio – Fazio z powrotem podszedł do łoża. – Matka tylko chciała zapewnić ci... godną przyszłość. I usiłowała cię uchronić... na swój sposób, ciężką ręką... żebyś nie miała złamanego serca. Ona potrafiła przewidzieć, jak sprawy mogą się potoczyć, nawet jeśli ty tego nie widziałaś.

Cecilia miała ściśnięte gardło. – Ta koszmarne Beatrice! Mógłbyś jej uwierzyć?

Fazio usiadł i wziął ją za rękę. Zamknąwszy oczy, pokiwał głową. – Ja wiem. Ale ona jest teraz żoną Jego Wysokości. To jest jej dom, jej zamek. Ma wszelkie prawo stawiać na swoim. Nic złego nie zrobiła.

Cecilia chciała tylko, żeby ktoś stanął po jej stronie, ale wiedziała, że brat ma rację.

– A Jego Wysokość... Jest pod pewnym naciskiem małżonki. Przyjdzie tutaj, do tego skrzydła pałacu, prawdopodobnie jest teraz dla niego trudniejsze niż myślisz. W każdym razie, moja droga, trzeba podjąć decyzję.

– Jaką decyzję?

– Co do portretu. Beatrice nie chce, żeby był w domu ani chwili dłużej. Jego Wysokość poprosił mistrza Leonarda, żeby go usunął.

– Moją podobiznę? Rozumiem. No cóż, przypuszczam, że będzie łatwiej Ludovicowi i wszystkim innym zapomnieć o mnie, jeśli zniknie z pałacu.

Wargi Fazio rozciągnęły się w cienką linię. – Raczej nie sędzę, żeby Jego Ekscelencja zapomniał o tobie, moja śliczna, ale jest coś jeszcze.

Wziął siostrę za rękę w geście pocieszenia, który przyjęła z wdzięcznością, ponieważ była pewna, że cokolwiek za chwilę zostanie powiedziane, będzie trudne do przełknięcia. Tym razem wstrzymała oddech.

– Jego Wysokość zarządził, aby pałac Verme był przygotowany dla ciebie – zawiesił głos. – Tutaj nie możesz dłużej zostać.

Cecilia instynktownie przycisnęła dziecko do piersi. – Cesare?

Fazio przytaknął. – Pójdzie z tobą. Również mamka, kucharka, pokojówka. Będziesz mieć wszystko, czego ci trzeba. Nie wiem, jak to się stało. Jego Wysokość był skłonny trzymać chłopca pod swoim dachem, razem z Biancą. Zdaje się, że za czyjąś sprawą zmienił zdanie.

Cecilia odetchnęła. – Dzięki Bogu.

Cesare wiercił się teraz w jej ramionach, wydając bulgocące dźwięki. Cecilia rozwiązała sznurowanie stanika sukni i przystawiła dziecko do piersi, podczas gdy jej brat oglądał z uwagą wachlarz z kości słoniowej, podarunek od posła z Neapolu, leżący na stoliku przy jej łóżku.

– Nie mógł przyjść i sam mi przekazać tych wiadomości? – prychnęła z niedowierzaniem, po czym zamyśliła się na dłuższą chwilę. – Widzisz, Fazio?



Mówiłam ci, że matka miała rację. Jestem nikim innym jak dziwką. Dziwką, której nawet kochanek już nie odwiedza.

– Przykro mi – powiedział Fazio, wziął głęboki wdech i spojrzał jej w oczy. – Zatem, siostró, dowiedziałaś się, że większość rzeczy, zwłaszcza w murach tego zamku, jest tymczasowa. Ja nie wiem, jak długo jeszcze mogę utrzymać się na stanowisku. Musimy starać się... lawirować... wśród intryg dworu Jego Wysokości. A skoro już dowiedziałaś się, że twój czas tutaj dobiegł końca, musisz zrozumieć, że przenosiny do pałacu Verme również będą tymczasowe.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Chyba powinienem to powiedzieć najjaśniej jak potrafię. Jego Wysokość wyświadcza uprzejmość, pozwalając ci udać się do pałacu Verme na jakiś czas. Nie wiem, na jak długo. Być może dopóki nie odstawisz Cesarego od piersi. W pewnym momencie będziesz musiała podjąć decyzję. Nie da się już tego unikać. Jestem pewien, że mógłbym załatwić ponowne spotkanie z przełożoną Monastero Maggiore...

– Klasztor.

Skinął głową. – Albo to, albo musimy w końcu znaleźć ci męża. Jeśli tego chcesz, to nasi bracia i ja jesteśmy ci winni przynajmniej tyle.

Tak, pomyślała Cecilia. Najwyższy czas opuścić ten dom. I tego mężczyznę.

## EDITH

Neuhaus am Schliersee, Niemcy  
Maj 1945

Najwyższy czas opuścić ten dom. A przede wszystkim tego człowieka, pomyślała Edith.

Ze zbocza wzgórza porośniętego wysoką trawą i polnymi kwiatami obserwowała niewielki konwój jadący powoli drogą. Pojazdy wojskowe nie przypominały żadnych, jakie dotąd widziała.

Weszła na wierzchołek trawiastego wzgórza, skąd mogła widzieć poniżej krętą drogę. Droga, którą wcześniej widziała z okna, prowadziła do tego miejsca. To prawdopodobnie znaczyło, że prowadziła do Monachium. Stała w trawie usianej wiosennymi kwiatami i obserwowała krajobraz z konwojem zbliżającym się do wioski nad jeziorem, gdzie stała rezydencja Franka. Dostrzegła czerwone i białe pasy amerykańskiej flagi na boku jednego z pojazdów jadących drogą wijącą się między wzgórzami. Ucisk w jej piersi nasilił się, kiedy konwój przystanął.

Podeszła bliżej, brodząc w wysokiej trawie wyrastającej z błotnistej gleby. Żołnierze wyskoczyli i przemykali między stojącymi jeepami z bronią w pogotowiu, przeczesując wzrokiem horyzont w poszukiwaniu zagrożenia. Miała nadzieję, że nie jest widoczna, a jeśli jest, to że nie wezmą jej za wroga, mimo że wciąż miała na sobie swój brunatny niemiecki mundur. Trawa owijała się jej wokół kostek, pętała stopy w znoszonych, skórzanych pantoflach.

Kiedy doszła do drzewa i przykucnęła, serce biło jej mocno. Gdyby się postarała, mogłaby się dowiedzieć, czy Monachium zostało bardzo zniszczone. Zacisnęła powieki, wstrzymując łzy rozpacz. Jeśli się spóźniła i ojciec nie żyje, będzie mogła winić jedynie siebie.

Jednak nie porzuciła nadziei. Heinricha już nie było, ale ojciec wciąż miał szansę. Musiała się tego trzymać.

Była tak blisko, że mogła słyszeć, co mówią żołnierze. Mówili niewyraźnie, z dziwnym akcentem, więc trudno jej było nadażyć. Ale to, co zrozumiała, nie miało dla niej znaczenia. Nie rozmawiali na żadne ważne tematy, jak skarby do odszukania, ludzie, którzy zginęli, domy, do których wtargnięto. Rozmawiali o futbolu. Kilku mężczyzn śmiało się głośno. Słyszała o futbolu amerykańskim, ich popularnym sporcie, ale nie miała o nim pojęcia.

Słuchając tej rozmowy, nie wiedziała, co myśleć. Czy oni nie przejmują się możliwym zagrożeniem zza tych wzgórz? Nie boją się o swoje życie? Żołnierze czy nie, powinni być choć trochę przestraszeni. A tymczasem ci mężczyźni wyglądali na wesółych i beztroskich. Została jeszcze chwilę na swoim miejscu, czekając aż Amerykanie odjadą, żeby ona też mogła pójść swoją drogą do domu. Oni jednak zdawali się nie zwracać na nic uwagi, więc sama ruszyła dalej pod osłoną zarośli.

Wyszła zza drzewa i nagle stanęła oko w oko z młodym żołnierzem, który właśnie zapinał sobie spodnie. Twarz żołnierza pobladła, oboje jednocześnie wydali stłumiony okrzyk zaskoczenia i patrzyli na siebie osłupiali z przerażenia przez parę sekund.

Potem żołnierz wprawnym ruchem sięgnął do ramienia... do piersi... do pasa... Ale karabinu przewieszzonego przez ramię nie było. Był nieuzbrojony. Cofnął się o krok czy dwa i krzyknął coś przez ramię – jakieś nazwisko? Weaver?

– Stój, zaczekaj! – wyszeptała pospiesznie Edith, kręcąc głową i jednocześnie podnosząc ręce do góry. – Czekaj, nie jestem waszym wrogiem.

Wypowiadała słowa łamaną angielszczyzną, mając nadzieję, że używa właściwych. Trafiała wzrokiem na jego niedopięte spodnie i szybko podniosła oczy na naszywki na jego mundurze, potem na jego twarz, teraz czerwoną jak burak.

Był to przystojny, młody człowiek, mógł mieć niewiele ponad dwadzieścia lat. Niski i szczupły, z kwadratową szczęką i dużymi, inteligentnymi oczami. Znów był opanowany, stanowczy i pewny, jego wcześniejszy przestach znikł bez śladu. Mierzył ją wzrokiem, zaciskając szczęki.

Spojrzała na naszywkę z nazwiskiem. Bonelli.

– Mister Bonelli – powiedziała błagalnym tonem. Wydawał się zaskoczony, że zwróciła się do niego po nazwisku. Mówiła dalej po angielsku: – Proszę nie wołać kolegów. Jestem sama. Nic ci nie zrobię. Ja tylko próbuję wrócić do domu, do Monachium. – Jego twarz złagodniała. – Podejdz... bliżej... coś ci powiem.

Znów przesunął rękami po swojej kurtce mundurowej, jakby sprawdzając, czy na pewno nie ma karabinu. Obejrzał się przez ramię, gotów zawołać innych żołnierzy, ale ona gwałtownie zamachała rękami.

– Czekaj, proszę! Ja... mam informacje... dla was.

Żołnierz czekał, tymczasem jej serce tłukło się jak oszalałe i wszystkie angielskie słowa uciekły jej z głowy. Plik kartek ze spisem inwentarzowym nagle zaczął ją uwierać w pasie, natarczywy jak kamyk w bucie, boleśnie przypominający o sobie. Czy powinna pokazać swój rejestr temu amerykańskiemu żołnierzowi? Czy akurat on mógłby coś z nim zrobić? Czy w ogóle powinna mu zaufać, powierzyć swoją wiedzę i swoje bezpieczeństwo? Ostatnią rzeczą jakiej by chciała, była zamiana świeżo odzyskanej wolności na niewolę u Amerykanów.

– Ja mam informacje... – znów zwróciła się do niego tymi słowami, żalując, że on nie zna niemieckiego. – Ważne informacje dla was.

– Jakiego rodzaju informacje? – spytał. – Skąd się tu wzięłaś?

– Ja... nazywam się Edith Becker. Jestem konserwatorem dzieł sztuki w Alte Pinakothek – powiedziała, ale jego spojrzenie pozostało nieruchome, nierozumiejące. – To jest muzeum sztuki w Monachium. Wiem dużo o obrazach i przedmiotach skradzionych Polakom i innym w całej Europie. Mnóstwo, całe mnóstwo obrazów, rzeźb, innych obiektów artystycznych...

Zawahała się, po czym uświadomiła sobie, że ma przynajmniej jedną informację, którą Amerykanie chcieliby poznać.

– I wiem, gdzie możecie znaleźć gubernatora Franka.

W żołnierza jakby piorun strzelił. Przez długi czas stał z otwartymi ustami, bez słowa. Potem spojrzał na nią zmrużonymi oczami. – Chcesz mi powiedzieć, gdzie się ukrywa Hans Frank? Dlaczego miałabyś to zrobić?

– Ja... nie mam zamiaru być wobec niego lojalna. Dużo wycierpiałam przez niego, choć nie tyle, co wielu innych. Jest samolubnym, złym człowiekiem. Nie będę wobec niego lojalna ani nie mam wobec niego zobowiązań.

– Jesteś Niemką – stwierdził, przesuając wzrokiem po jej znoszonym mundurze. – Należysz do ruchu oporu?

Edith nie wiedziała, co odpowiedzieć. Należała do zespołu kuratorskiego pracującego dla jednego z najpotężniejszych przywódców partii nazistowskiej. Ale nie wierzyła w ich misję. Miała spis inwentarzowy zagrabionych dóbr zatknięty za pasek. Podejmowała wysiłki, żeby uratować co się da, wysiłki, które teraz wydawały się niewielkie, prawie nieistotne.

Ale jak mogłaby odejść, nie próbując skłonić tych amerykańskich żołnierzy, aby coś zrobili? Tak więc powiedziała Bonellemu, gdzie jest rezydencja Franka, jak się tam dostać i co tam zastać. Powiedziała mu, ilu niemieckich żołnierzy strzeże tego miejsca, ile jest obsługi i że obecnie przebywa tam syn gubernatora, reszta rodziny wyjechała.

– Proszę – powiedziała, kiedy Bonelli odwrócił się, żeby wrócić do konwoju na drodze. Wyciągnęła rękę i położyła mu na ramieniu. Spojrzał na tę rękę, potem podniósł wzrok i popatrzył jej w oczy. – Czy mógłbyś zadbać o syna gubernatora? Może się wydawać prawie dorosły, ale w środku to tylko dziecko. Boję się, że będzie potwornie przerażony, kiedy przyjdziecie aresztować ojca. Ale ten chłopiec nic nie zrobił. Nic, zapewniam cię.

Amerikanin zacisnął wargi, patrząc na nią ze współczuciem. – Chciałbym móc mu zagwarantować bezpieczeństwo, ale to niemożliwe. Jest wojna, a oni są wrogami. Będę miał oko na chłopca, ale... cóż... – wzruszył ramionami.

Edith zamrugowała powoli, kiwając głową, podczas gdy docierała do niej okrutna prawda. Wtem kartki spisu zatknięte za pasek znów wpiły się jej w skórę. Przecież nie może ryzykować wypuszczeniem z rąk swojej ciężkiej pracy, prawda? Nie miała pojęcia, czy może mu zaufać. A co, jeśli jej nie uwierzył? A co jeśli to zgubią? Gdyby przekazała spis Amerykanom, straciłaby nad nim kontrolę na zawsze. Nigdy nie dotarłby do Manfreda i on nie mógłby przyczynić się do zwrócenia bezcennych dzieł ich właścicielom. Miała przeczucie, że gdyby przekazała spis teraz, żałowałaby tego do końca życia. Ale musiało być coś, co Amerykanie mogliby zrobić. Jeszcze raz złapała Bonellego za ramię, zmuszając go, by zawrócił.

– Co takiego? – spytał zdziwiony.

– Czekał. Wiesz, kto to jest da Vinci?

Zamrugnął zdziwiony jeszcze bardziej. – Leonardo da Vinci? Malarz?

Edith przytaknęła. – Jeden jego obraz wisi w tej rezydencji. To oryginał namalowany przez Leonarda da Vinci. XV-wieczny portret dziewczyny o imieniu Cecilia. Wisi na ścianie w gabinecie gubernatora Franka. Proszę, postarajcie się obchodzić się z nim ostrożnie. Żeby nic mu się nie stało. Jego tytuł to *Dama z gronostajem*. Nie ma takiej ceny, która odpowiadałaby jego wartości.

– Cecilia – powtórzył i Edith zauważyła, że to imię wywołuje pogodny, serdeczny uśmiech na twarzy żołnierza.

– A chłopiec ma na imię Norman. Proszę. On jest niewinny.

– Portret Cecylii. I dzieciak. Rozumiem. Postaram się. W porządku? A teraz zdaje się, że dokądś idziesz?

Edith spojrzała w dal.

– Idę do domu, do mojego ojca.

Odwróciła się i szybko przemknęła przez łąkę do ścieżki biegnącej nad brzegiem jeziora. Żołnierz Bonelli stał i patrzył za nią, samotna sylwetka na wierzchołku wzgórza.

## DOMINIC

Neuhaus am Schliersee, Niemcy  
Maj 1945

Łagodne brązowe oczy dziewczyny miały w sobie iskrę, której dostrzeżenie zaparło Dominicowi dech w piersi. Patrzyła na coś bliskiego, jej wargi wyginały się lekko, jakby została zaskoczona przez kogoś, kogo miło jej było wiedzieć. Gładka wypukłość jej jasnego, młodzieńczego policzka była podkreślona ostrą, zgrabną linią nosa, lśniące włosy brunetki okalające twarz, stanowiły ciemne obramowanie dla jej nieskazitelnej urody. Reszta włosów była spleciona i ujęta na plecach w przezroczystą siateczkę lamowaną złotem. Gładkie ramiona, szyja i dekolt byłyby odkryte, gdyby nie sznur czarnych koralii wdzięcznie owinięty wokół szyi.

Dominic nachylił się bliżej, przyglądając się badawczo, niemal nos w nos z piękną dziewczyną. Jej suknia była elegancka choć skromna, chłodny błękit został zestawiony z ciepłą czerwienią rękawów i złotym obszyciem brzegów. Ale to wyraz jej twarzy był najbardziej niezwykły. Wydawała się taka żywa, a on nie potrafił wyczytać z mistrzowskich pociągnięć pędzla, jak właściwie artysta osiągnął ten zdumiewający efekt. Chciał chrząknąć i sprawdzić, czy dziewczyna z portretu zwróci uwagę na jego obecność, zauważy tego niechlujnego amerykańskiego żołnierza patrzącego na nią.

Obraz Leonarda da Vinci. Prawdziwy. Dominic nie mógł uwierzyć własnym oczom. Kobieta, która tak całkowicie go zaskoczyła pod nad jeziorem, mówiła prawdę. Teraz żałował, że pozwolił jej tak po prostu odejść. Co jeszcze mogłaby im powiedzieć? Jakie jeszcze skarby mogłaby pomóc odnaleźć Obrońcom Zabytków? Pluł sobie w brodę, że ją wypuścił. Był tak wściekły na siebie, że

nawet nie powiedział kolegom o tym dziwnym spotkaniu. Powiedział tylko dowódcy, że otrzymali wiadomość o miejscu przebywania Franka.

*Dama z gronostajem.* To było marzenie, które się spełniło na wiele sposobów, marzenie, którego spełnienia nie spodziewał się tutaj, w tych okolicznościach, na drugim końcu świata, na koniec straszliwej wojny, w starym domu nad jeziorem. Jednak jakimś cudem w tej sytuacji piękno obrazu było jeszcze bardziej uderzające. Mimo błyszczącej i popękanej farby, zawarte w nim emocje i realizm chwyciły Dominica za serce i nie puszczały. Kusiło go, żeby wyciągnąć rękę, dotknąć powierzchni obrazu i prawie na pewno poczuć ciepło skóry dziewczyny. Wiedział jednak, że ręka położona na pięćsetletniej farbie byłaby niemal tak samo szkodliwa jak wilgoć w Siegen. Złożył dłonie za plecami i chłonął obraz oczami.

Wokół niego ogromny dom Hansa Franka rozbrzmiewał tupotem amerykańskich butów. Schoberhof nazwali ten dom. Stał majestatycznie nad jeziorem ze swoją przysadzistą, tradycyjną bawarską architekturą i rozległym terenem, z którego roztaczał się widok na połyskującą taflę Schiersee. Dominic ledwo ogarniał umysłem samą wielkość domu, a już zupełnie nie mógł pojąć, że należał do jednego człowieka. Jego własny ceglany domek na Swede Hill zmieściłby się w salonie Franka. Sam widok tego salonu zostawił mu gorzki smak w ustach. Podczas gdy ludzie ginęli tysiącami w koszmarze obozów koncentracyjnych, Frank pławił się w komforcie w tym pięknym, starym wiejskim domu, wśród bogactw – nawet z obrazem Leonarda da Vinci na ścianie. Uświadomił sobie, że ten dom należał do tego samego człowieka, którego nazywali „rzeźnikiem Polski”.

Wyprostował plecy i rozejrzał się po pokoju. W tej posiadłości Frank spędził swoje ostatnie spokojne dni. Siły specjalne, wezwane, aby dokonać jego aresztowania – jednego z najbardziej poszukiwanych zbrodniarzy w Europie – odjechały, zabierając go ze sobą. Obsługa niezbędna, aby utrzymać posiadłość w nienagannym porządku, również została zabrana w celu przesłuchania. Patrząc na dom, Dominic domyślał się, że obsługa musiała być liczna. Kucharze, sprzątaczkę, ogrodnicy – cały czas pracowali nad utrzymaniem każdej powierzchni w nieskazitelnej czystości. Ale gdzieś już wkradał się nieład. Ślady brudnych butów na podłodze, brudny odcisk dłoni



na klamce w drzwiach, rysy na marmurowej posadzce powstałe od przesuwania mebli podczas przeszukiwania domu.

To zadanie zostawiono Dominicowi i reszcie jego jednostki: przeszukanie domu Franka, zwłaszcza jego gabinetu, by znaleźć dowody, które mogłyby pogrążyć tego łajdaka w sądzie. Żołnierze zajmowali się właśnie przewracaniem gabinetu do góry nogami. Dominic słyszał ich głosy i hurkot za ścianą. Ale dowódca widział wyraz twarzy Dominica w chwili, gdy przez otwarte drzwi zobaczył portret.

– Odmaszerować, Bonelli. Weaver też – rozkazał. – Do wieczora oczekuję raportu dla MFAA<sup>[4]</sup>.

Dominic nie ruszył się. Wiedział, że powinien dołączyć do Weavera i razem z nim szukać w sypialniach i korytarzach tapiserii, obrazów i rzeźb, ale po prostu nie mógł oderwać oczu od tej dziewczyny ukazanej jak żywa przed wiekami. Namalowanej ręką samego Leonarda da Vinci.

Do pokoju wszedł Weaver, niosąc dwie kunsztownie malowane wazy. – Ciągłe jesteś ze swoją dziewczyną, Bonelli? – zażartował, odstawiając je delikatnie na stół.

– Jakżeby inaczej – odpowiedział Dominic z uśmiechem. – Hancock i Stout nie uwierzą.

Weaver podszedł do drzwi. – Im pręcej prześlemy tę informację Obrońcom Zabytków, tym szybciej te rzeczy będą mogły wrócić do właścicieli, jeśli ktokolwiek z nich przeżył.

Dominic przytaknął z powagą, godząc się z oceną Weavera, ale trudno mu było odejść od portretu. Weaver stanął obok niego i w pełnym szacunku skupieniu zapatrzył się w obraz.

– Bardzo chciałbym opisać go w technicznym żargonie – wskazał gestem. – Pociągnięcia pędzla, użycie światła i cienia... ale szczerze mówiąc, słowa wydają się nieadekwatne. – Wsadził ręce do kieszeni i wzruszył ramionami.

– Wiem – wzrok Dominica wędrował po delikatnych liniach portretu i żywym wyrazie twarzy portretowanej. – Czysta magia.

## LEONARDO

Mediolan, Włochy  
Czerwiec 1491

Czysta magia.

Tak Jego Wysokość przychylnie określił mój portret swojej Cecylii. Jestem bardzo uradowany, że nie potrafię znaleźć słów, aby odpowiedzieć na jego ocenę, więc zmieniam temat na bardziej oczywisty.

– Z całego serca wieszuję ci narodzin syna, panie.

Ludovico il Moro przyjmuje powinszowanie skinieniem głowy, a mnie się wydaje, że widzę jak w kącikach jego oczu ukazują się zmarszczki. Oznaka szczerego uśmiechu. Mały Cesare. Gdzie jest ten mały łobuziak? Zastanawiam się.

Ale Jego Wysokość znów kieruje uwagę na portret Cecylii Gallerani. Ku memu zdziwieniu wkłada mi go do rąk.

– Weź go – mówi. – Dla bezpieczeństwa nie mogę tu już dłużej trzymać tego obrazu. Nie mogę zagwarantować, że nie zostanie zniszczony. Albo skradziony. Ty będziesz wiedział, co z nim zrobić – mówi Jego Wysokość.

– Nie chcesz, żeby był tu wystawiony, panie?

– Beatrice. Ona chce, żeby został usunięty z zamku natychmiast.

Ach tak, myślę. Portret będzie w niebezpieczeństwie, grozi mu zniszczenie.

– Chłopiec zostanie z tobą w pałacu, panie?

– Do czasu. Jest w pokoju dziecinnym z mamką. Będzie miał moją opiekę, choć nie moje nazwisko. Oczywiście zadbam o jego dobrobyt i edukację, tak jak to czynię dla mojej Bianki. Tyle przynajmniej mogę zrobić.

– Ale z całym szacunkiem, panie, może chłopcu byłoby lepiej przy matce? Jeśli ona opuszcza ten pałac, to mogłoby być najlepsze rozwiązanie dla wszystkich.

## EDITH

Monachium, Niemcy

Maj 1945

– Edith.

Jej ojciec rozpoznał córkę, a wtedy wszystkie łzy, jakie Edith wstrzymywała przez lata, popłynęły strumieniem wraz z gwałtownym szlochem. Uklękła na podłodze przy fotelu ojca i pozwoliła, żeby poklepywał ją po głowie, podczas gdy łzy swobodnie płynęły po jej twarzy. Czuła się, jakby znów była małą dziewczynką przykucniętą u jego stóp, z jego szeroką dłonią na swojej głowie. Za nimi w tle dziesiątki oprawnych w skórę książek pełnych zakładki i notatek zbierały kurz. Stary zegar uparcie tykał.

Edith zastała ojca w mniej więcej takim samym stanie, w jakim był, kiedy wyjeżdżała, nie lepszym, ale i z całą pewnością nie gorszym. To dzięki wysiłkom Rity, której zawdzięczała wszystko. Chciałaby, żeby ojciec potrafił zrozumieć, gdzie była, co robiła, i co najważniejsze, że starała się być dzielna, tak samo jak on. Choroba ojca była niesprawiedliwością, z jaką nie sposób było się pogodzić, ale być może nieświadomość kataklizmu wokół utrzymała go przy życiu, pozwoliła mu przetrwać najokrutniejszy rozdział w historii ich kraju.

Edith ledwo poznała rodzinne miasto. Ku jej zdumieniu niektóre części Monachium pozostały całkowicie nietknięte. Patrząc z określonego punktu, widziało się budynki i drzewa takie jak przed wojną. Ale wystarczyło skręcić za róg, a tam ulica była kompletnie zdewastowana, zamieniona w stertę gruzu. Amerykańskie i brytyjskie pojazdy i czołgi stały wzdłuż ulicy przed ich kamienicą. Jeszcze więcej ich było wzdłuż innych ulic w całym mieście.

Nazistowskie flagi wiszące na budynkach publicznych od lat, teraz były zrzucane.

W niektóre poranki Edith budziła się zdezorientowana, nie wiedząc, gdzie jest i odczuwała ogromną ulgę na widok wyłaniających się z ciemności zarysów sprzętów w pokoju swojego dzieciństwa. Często jej się śniło, że wciąż jest więźniem w domu gubernatora generalnego Hansa Franka i budziła się zlane zimnym potem. Kiedy indziej spodziewała się, że kiedy wstanie, wróci do pracy w suterenie niegdyś wspaniałej polskiej rezydencji, gdzie będzie przebierać sterty skarbów należących do innych. Ile ludzkich istnień przeszło przez jej ręce? Ile rodzin straciło bliskich? Teraz mogła tylko modlić się o ich bezpieczeństwo.

Edith nie byłaby sobą, gdyby nie modliła się również o bezpieczeństwo *Damy z gronostajem*. Ciekawa była, co się stało z obrazem. Czy ten amerykański żołnierz, którego spotkała nad jeziorem – Bonelli? – znalazł ten dom? Co żołnierze zrobili z obrazem? Czy skonfiskowali go, żeby po wszystkim wywieźć do Ameryki, tak jak ją ostrzegano? Czy odbędzie jeszcze jedną, ostatnią podróż, tym razem przez ocean? Przypuszczała, że mogłaby zaakceptować taki stan rzeczy, pod warunkiem, że obraz trafi do kolekcji muzealnej, gdzie będzie odpowiednio konserwowany. Cecilia – jej portret – zasługiwała, by traktować ją jak najcenniejszy skarb.

Jednak w głębi duszy miała rozterkę, czy nie zaprzepaściła szansy na zmianę na lepsze dla *Damy z gronostajem* i wielu, wielu innych ważnych dzieł sztuki, których jej ręce dotykały w ostatnich latach. Podjęła decyzję, że nie podzieli się swoimi spisami inwentarzowymi z Bonellim podczas tego dziwnego spotkania na bawarskim wzgórzu. Czy to była słuszna decyzja? Przynajmniej, pomyślała teraz, ma lepszy pomysł na zrobienie jak najlepszego użytku z tych spisów.

## EDITH

Monachium, Niemcy

Maj 1945

Edith patrzyła, jak Manfred drżącymi rękami przekłada ponadrywane, pogniecione kartki jej spisów inwentarzowych. Po chwili zobaczyła, jak z wolna jego pomarszczoną twarz rozjaśnia zdumienie. Zasłoniła dłonią usta, tłumiąc śmiech.

– Edith... – to wszystko, co zdołał powiedzieć. Oczami szeroko otwartymi ze zdumienia odczytywał jej drobne pismo, strona po stronie rejestrujące dzieła sztuki zrabowane z polskich kolekcji.

Za nimi w tle na sztaludze w pracowni konserwatorskiej stał stary, przemalowany obraz Hansa Werla, ten sam, nad którym pracowała tego dnia, kiedy otrzymała rozkaz przystąpienia do poszukiwań skarbów w Polsce prawie sześć lat temu. Uświadomiła sobie, ile się zmieniło, jak bardzo ona się zmieniła od tego czasu.

Nieśmiało, jednym palcem, dotknęła zakurzonej powierzchni. Obraz czekał na nią, tak jakby wyszła z pracowni wczoraj i dziś przyszła zacząć w tym samym miejscu, w którym przerwała. Czy to możliwe? Zacząć w tym samym miejscu, gdzie się przerwało, kiedy tak wielu nigdy nie zazna takiego luksusu?

W galeriach i magazynach w Alte Pinakothek czekało w przyćmionym świetle wiele innych skarbów, setki obrazów i innych obiektów poukładanych metodycznie na powrót do właścicieli. Edith zatrzęsa się, kiedy zobaczyła, w jakim stanie jest muzeum. Podczas alianckiego nalotu bomba spadła na dach, powodując zawalenie się części długiej fasady. Odetchnęła z ulgą, kiedy przekonała się, że pracownia konserwatorska wciąż stoi.

Tymczasem koledzy zaczęli powracać ze swoich dalekich delegacji. W całym budynku kustosze i pracownicy administracyjni zajmowali biura i gabinety, snuli się korytarzami, przystawali, żeby uściskać się ze współpracownikami, których nie widzieli od miesięcy albo i lat.

Manfred wrócił z długiego pobytu w Berlinie. Atmosfera w muzeum stanowiła dziwną mieszaninę euforycznego zamętu, przyciszonej ekscytacji, łez radości, smutku i rozczarowania. Edith zdała sobie sprawę, że będzie dużo do zrobienia. Wobec bezmiaru dewastacji wokół, nikt nie wiedział, od czego zacząć. Czy jej kraj rodzinny będzie w stanie się podźwignąć, odpokutować za tyle zła, które teraz wychodziło na jaw?

## CECILIA

Mediolan, Włochy  
Czerwiec 1491

W nocy przyszedł do niej.

Z głębokiego snu wyrwało ją serce. Poczula go po zapachu – jego upojny zapach lasu, koni i aksamitnego ubioru. Jego gęsta broda drapała delikatną skórę jej szyi, aż przechodził ją dreszcz. Instynktownie odwróciła się w jego stronę i przełożyła łydkę przez jego nogę, przyciągając go do siebie. Jej dłonie znalazły jego nagie ramiona, wilgotne w lepkim powietrzu. Przez moment było jak przed letnią burzą, kiedy błyskawica rozdziera chmury. Gwałtownie wciągała powietrze, bo brakło jej tchu w duchocie.

– Mój kwiecie.

Delikatnie obwiodł palcami kontur twarzy Cecylii. Poczula mrowienie w całym ciele i przypomniała sobie wszystkie noce, kiedy ją tulił, całował, brał ją w tym samym łóżku.

Ale kiedy zbliżył twarz do jej piersi i zaczął niezdarnie gmerać palcami przy drobnych guziczkach jej koszuli, Cecilia zaczęła się budzić. Była nadwrażliwa i obolała po porodzie. I chociaż chciała, by ją tulił, patrzył na nią, był jej wdzięczny, kochał ją, nie mogłaby znieść ciężaru jego ciała na swoim. Nie teraz.

A gdzie jest Beatrice? Śpi w ich komnatach? A jeśli się obudzi, to czy przyjdzie go szukać? Spojrzawszy na drzwi, zobaczyła, że księżę zasunął metalowy skobel, zamykając za sobą drzwi od środka.

W tym momencie usłyszała, że Cesare zaczyna się niepokoić w sąsiednim pokoju. Wiedziała, że będzie dawał o sobie znać coraz głośniejszymi dźwiękami. Był głodny.



Usiadła w łóżu, Ludovico przetoczył się na bok. Odrzuciła pościel i przeszła do pokoiku, w którym spał Cesare. Mamka była już na nogach, ale Cecilia pokręciła głową. Wzięła syna na ręce i rozwiązała jego powijaki.

Kiedy wróciła, Ludovico siedział na skraju łóża owinięty pościelą i przyglądał dłońmi swoje czarne włosy. W świetle księżyca widziała zarys jego nagiego ramienia i piersi. Usiadła obok z Cesarem w ramionach. Rozpięła koszulę nocną i pozwoliła zsunąć się z ramion; widoczny był kontur jej ciała wydobyty z mroku przez blask księżyca. Czowała, jak delikatna skóra dziecka w dusznym powietrzu przylega do jej odsłoniętej piersi. Pod spojrzeniem Ludovica przytknęła usta Cesarego do swojej piersi. Przez kilka spokojnych chwil siedzieli we troje w milczeniu na brzegu łóża. Czowała na sobie wzrok Ludovica.

Na moment zamknęła oczy i pozwoliła sobie na fantazję, że wszystko jest doskonale, że są tylko oni we troje. W głębi serca wiedziała jednak, że jest to tylko fantazja, nic więcej. Ulotny moment minął.

Czy Jego Wysokość uzna to dziecko z nieprawego łóża za swoje?

Ludovico pochylił się i oparł brodę na ramieniu Cecylii, patrząc na dziecko. Przyglądał się zarysowi anielskiej twarzy Cesarego w srebrnej poświacie księżycowego blasku. Cecilia szukała wzrokiem w ciemności czarnych oczu Ludovica i wreszcie odpowiedział jej błyszczącym spojrzeniem.

– Ludovico – wyszeptała. – Twój syn.

## EDITH

Monachium, Niemcy

Maj 1945

Biurko Edith było okropnie zawałone sterami papierów pokrytych kurzem i małymi przedmiotami, więc Manfred zostawił jej egzemplarz brytyjskiej gazety na krześle. Wzięła głęboki wdech i ją rozłożyła. Były tam dwa różne artykuły na temat Hansa Franka. Jeden koncentrował się na liczbie ofiar, za śmierć których był odpowiedzialny – teraz liczonej w tysiącach. Na swój użytek Edith zaliczała do tej kategorii Heinricha. Drugi artykuł mówił o potwornych obozach śmierci, które zakładał w Polsce. Ludzie byli tam torturowani i głodzeni. Jak człowiek może zrobić coś takiego?

– Edith!

Odwróciła się w stronę drzwi, przez które wchodził właśnie dyrektor muzeum. Odruchowo wetknęła gazetę między papiery na zabałaganionym biurku. Serce jej waliło.

– Co za widok! Tyle czasu minęło – Generaldirektor Buchner chwycił jej dłoń w swoje ręce. Poczwała, że są stwardniałe, ale jego oczy były łagodne i szczerze. – Cieszę się, widząc panią w dobrym zdrowiu.

– Na tyle, na ile widać z zewnątrz – odparła, odwzajemniając uścisk dłoni.

– Tak – zmarszczył brwi. – Przypuszczam, że każdy z nas dźwiga swój własny ciężar.

– Tu jest tyle do zrobienia – powiedziała, wskazując gestem obraz na sztaludze.

– Owszem. Dlatego tu jestem. Proszę się jeszcze nie zadomawiać – Herr Buchner wyjął spod pachy teczkę i położył ją na stole do pracy. – Przejdę od

razu do rzeczy, Edith. Ma pani nowe rozkazy.

– Nowe rozkazy?

Ręce jej opadły. Uszło z niej całe powietrze i musiała natychmiast usiąść na krześle, czując, że wszystko wokół wiruje.

## **Część VI**

# **WSPOMNIENIE**

## DOMINIC

Monachium, Niemcy

Maj 1945

Wojna się prawie skończyła, ale Dominicowi było ciężko na sercu. Nie wracał do domu. Dostał tylko inny przydział.

Wlókł się noga za nogą, obchodząc razem z brytyjskim oficerem najnowszy Centralny Punkt Zbiorczy założony przez aliantów. Gmach był ogromny. Rzędy wysokich, łukowych okien między filarami patrzyły na ulicę nieprzychylnie spod gzymsów przypominających zmarszczone brwi. Rozsiadł się w samym centrum Monachium, jego groźna bryła wznosiła się nad ulicą, w jego cieniu chłód ogarnął Dominica w ten rześki, wiosenny poranek.

Obszedł z oficerem budynek z każdej strony, ucząc się rozmieszczenia wszystkich zamków i drzwi zewnętrznych, okien i wyjść awaryjnych na wypadek pożaru. Zapoznano go już z rozbudowanym systemem alarmowym gmachu. Teraz chodził ulicami z rękami wetkniętymi głęboko do kieszeni, wciąż czując się niezręcznie bez karabinu, ale nie było już potrzeby chodzić z bronią po kontrolowanym przez aliantów Monachium.

Za przekazanie informacji o bezcennym obrazie Leonarda da Vinci Dominic został nagrodzony pracą w monachijskim Punkcie Zbiorczym, gdzie dzieła sztuki były katalogowane i poddawane zabiegom konserwatorskim przed zwróceniem właścicielom. Był bohaterem, jak mu powiedział Stout, chociaż on nie bardzo umiał sobie wyobrazić, dlaczego. Uważał, że po prostu mu się poszczęściło, kiedy wpadł na tę kobietę na wzgórzu, mając niedopięte spodnie.

Dominic przechodził za oficerem od drzwi do drzwi, słuchając jego wyjaśnień, wypowiedzianych jakby z angielską wyższością.

– No to wiesz już wszystko o tym, co na zewnątrz – oznajmił oficer, kiedy po obejściu całego budynku doszli z powrotem do drzwi frontowych. Uśmiechnął się do Dominica. – Nudna część zrobiona. Teraz wejdziemy do środka, żebyś mógł zobaczyć, z jakiego powodu tu naprawdę jesteś.

Dominic zdobył się na uśmiech. – Tak jest, sir.

Wartownicy w korytarzach salutowali im, kiedy szli do ogromnej sali recepcyjnej. Oficer szedł energicznym krokiem, opowiadając z entuzjazmem o dziełach sztuki dostarczonych do Punktu Zbiorczego, ale Dominic słuchał go tylko jednym uchem.

Wiedział, że powinien się cieszyć z pracy tutaj. Nie dość że nie musiał już walczyć – ani nie przydzielono mu bolesnego zadania sprzątania obozów koncentracyjnych – to miał pracować wśród najcenniejszych arcydzieł zwiezionych z miejsc ukrycia w całych Niemczech i Austrii. Mogła mu się nawet trafić okazja przyjrzenia się tym olśniewającym obrazom, które widział tylko przelotnie w kopalni Siegen, podawane z rąk do rąk i ładowane do opancerzonych transporterów.

Tylko że trudno mu było zapalać entuzjazmem dla takiego obrotu spraw. Chociaż samo obcowanie ze sztuką cieszyło go, miał wielką nadzieję, że jego udział w odzyskaniu ogromnie cennych dzieł – obrazów Rubensa, Rembrandta, a nawet Leonarda – znajdujących się w posiadłości jednego z najbardziej poszukiwanych nazistowskich przywódców, zadowoli jego przełożonych. Miał nadzieję, że wystarczy, żeby wreszcie wysłali go do domu. Widział mnóstwo wybitnych arcydzieł i był pełen uwielbienia dla nich wszystkich, ale żadne z nich nie mogło się równać z nadzieją na powrót do rodziny.

Sala recepcyjna Centralnego Punktu Zbiorczego przypominała tę w Marburgu – równe rzędy biurek, specjaliści zajęci fotografowaniem i katalogowaniem obiektów przynoszonych z rampy przez żołnierzy amerykańskich, australijskich i brytyjskich.

– Nie możemy nadażyć – powiedział oficer. – Apelujemy o więcej ludzi do pomocy. Te rzeczy wciąż napływają ze wszystkich zakątków Europy. Skala nazistowskiej grabieży nie mieści się w głowie.

Dominic wyczuwał, że atmosfera w Monachium jest inna niż w Marburgu. Wtedy panowała desperacja, do każdego dzieła sztuki podchodzono nerwowo,

z szacunkiem dla krwi przelanej, by je odnaleźć i ze zgrozą na myśl, że to wszystko może być na próżno. W każdej chwili bomba mogła spaść na budynek w Marburgu i zniweczyć ich ciężką pracę. Teraz wojna była wygrana, cały gmach buzował entuzjazmem, z nową nadzieją w oczach specjaliści fotografowali i opisywali. Dotykali dzieł sztuki z szacunkiem i radością, chłonąc piękno każdego z nich.

– Fantastyczne, prawda? – zagadnął Dominica oficer. – Chodź, przejdźmy się po magazynach.

Tu nie było takiej prowizorki i tymczasowości jak w Marburgu. Wszystko wydawało się bardziej stabilne, bardziej uporządkowane. Ten budynek, co najmniej dwa razy większy od starego archiwum państwowego w Marburgu, był jeszcze bardziej wypełniony. Jedna wielka sala za drugą i przyległe do nich korytarze wypełniono po sufit pięknymi dziełami sztuki, starannie posegregowanymi. Obrazy wisiały na ścianach lub stały na sztalugach zamiast leżeć w stertach jeden na drugim. Dołożono starań, żeby rzeźby na półkach wyeksponować, a nie tylko ustawić.

– Trudno uwierzyć, że to wszystko jest w tym budynku, co? – rzucił oficer.

– Dlaczego, sir?

– Bo to była główna siedziba Hitlera i jego nazistów – oficer wzdrygnął się i zapatrzył gdzieś w dal. Dominic zastanawiał się, co on widział. Jemu samemu na dźwięk nazwiska Hitlera stawał przed oczami obraz tych wagonów w Dachau załadowanych trupami. Wiedział, że ten obraz nie opuści go do końca życia, tak wyraźny w każdym szczególe – razem ze strasznym fetorem i krzykiem przerażenia żołnierzy – jak wtedy, kiedy był świadkiem tego piekielnego widoku.

– No dobrze – powiedział oficer, prostując się – teraz to jest miejsce, gdzie gromadzimy dzieła sztuki, które oni zagrabili, żeby je oddać tym, którzy mają do nich prawo – uśmiech wrócił na jego twarz. – Chodź, chcę ci pokazać twoją starą przyjaciółkę.

Zaciekawiony Dominic poszedł za oficerem na górę do dużego, kwadratowego pokoju, który byłby surowy i smutny, gdyby na jego ścianach nie wisiały przepiękne obrazy w złożonych ramach. Było tam tylko jedno okno – prostokątne, wychodzące na zachód, wpuszczające smugę szarawego światła –

ale wystarczało, aby oświetlić portrety wiszące na każdej ścianie. Z biegłością przedstawione twarze patrzyły na Dominica z obrazów, na których ludzie siedzieli swobodnie lub sztywno, byli zamyśleni, uśmiechnięci, roześmiani.

Ale to portret na środku pokoju natychmiast zwrócił na siebie całą jego uwagę. Łagodne oczy dziewczyny tak mistrzowsko sportretowanej przez Leonarda da Vinci patrzyły gdzieś daleko; umieszczenie obrazu na sztaludze stojącej pośrodku sprawiło, że była jeszcze bardziej zdumiewająca. Wśród innych obrazów wielkich mistrzów ta dziewczyna jakimś cudem wciąż się wyróżniała, jej żywe piękno docierało tu przez stulecia i chwyciło Dominica za serce.

– Och! – wykrzyknął. – To ona.

Oficer roześmiał się i poklepał go po ramieniu.

– Zostawiam cię z nią. Służba zaczyna się jutro. Do tego czasu baw się dobrze.

Zanim Dominic zdążył mu podziękować, oficera już nie było. Znowu został sam, żeby patrzeć w oczy Cecilii Gallerani.



## EDITH

Monachium, Niemcy  
Czerwiec 1945

Ta znajoma twarz – te łagodne brązowe oczy, to ożywienie. Ten biały gronostaj.

Edith nie mogła uwierzyć, że dobry los postawił ją znowu przed *Damą z gronostajem* Leonarda da Vinci. Tym razem jednak nie była w piwnicy w rozdartym przez wojnę kraju, ani nie w pociągu, słuchając stukotu kół, czy w kopalni soli, nie była też w prywatnym gabinecie człowieka skłonного zniszczyć wszystko co dobre na świecie.

Zamiast tego była w Monachium, swoim mieście rodzinnym. Tym razem bezpieczna, nic jej nie groziło. I obraz był bezpieczny. To przechodziło wszelkie wyobrażenie.

– To nie jest zła wiadomość, Edith – powiedział jej Buchner i miał rację. – Propozycja ze strony aliantów. Chcą, żeby dołączyła pani do nich jako pracownik cywilny w punkcie kontrolnym sił sprzymierzonych tutaj, w Monachium. Dzieła sztuki z całej Europy, włącznie z tymi ściągniętymi z Polski, będą przechodzić przez ten punkt. Będą gromadzone, katalogowane i zwracane prawowitym właścicielom, gdziekolwiek oni są.

Edith patrzyła na niego, mrugając z niedowierzaniem. Manfred. Spisy inwentarzowe trafiły w końcu w odpowiednie ręce. Manfred zdumiał się, zrobiły na nim wrażenie. Powiedział, że będzie potrzebować trochę czasu, żeby porozmawiać ze swoimi współpracownikami i znaleźć najlepszy sposób wykorzystania ważnych informacji, które zebrała. Teraz jej trud mógł przynieść jakieś owoce.

– Ten punkt jest w Monachium?

Buchner tylko kiwnął głową. – Nie chciałbym tracić pani znowu, akurat kiedy pani do nas wróciła, ale oni żądają konkretnie pani, po nazwisku. Nie mam pojęcia, skąd o pani wiedzą, ale nalegają, żeby pracowała u nich Edith Becker. Musiała pani zrobić coś... nadzwyczajnego.

Alianci chcieli jej usług jako osoby cywilnej. Nikt jej nigdzie nie oddelegował, nie wydał rozkazu. Nie musiała opuszczać ojca i wciąż mogła mieć do czynienia z bezcennymi skarbami, które tak kochała i zabezpieczać je – tym razem naprawdę zabezpieczać, czyli dbać o ich bezpieczeństwo. Wreszcie, z jej starannie przepisanych w tajemnicy spisów może być jakiś pożytek.

Na krótko przed odejściem Edith do nowej pracy, gruchnęła wieść o aresztowaniu Generaldirektora Buchnera, która rozeszła się po korytarzach wśród szeptów i westchnień. Został oskarżony o współudział w rabunku Ołtarza Gandawskiego z repozytorium we Francji i alianci chcieli go przesłuchać, aby dowiedzieć się, gdzie znajdują się inne dzieła sztuki. Edith nie mogła uwierzyć w swój dobry los, który sprawił, że zaproszono ją do pomocy w zwracaniu skarbów ich prawowitym właścicielom, zamiast ją aresztować za ich grabież.

Czy była odpowiedzialna za konfiskatę *Damy z gronostajem* Leonarda da Vinci? Patrzyła Cecilii Gallerani w oczy, tak pełne życia nawet po pięciuset latach i niezliczonych podróżach po rozdartym przez wojnę kraju. *Zrobiłam co w mojej mocy, żeby cię chronić* – przekonywała po cichu dziewczynę z obrazu, jakby sama Cecilia mogła ręczyć za dobre intencje Edith. – *Na tyle rzeczy, które się działy, nie miałam wpływu.* Ale w głębi duszy wiedziała, że to nieprawda.

Po raz pierwszy, odkąd ujrzała obraz pięć lat wcześniej, miała poczucie, że mogłaby zobaczyć go w innym świetle, spojrzeć na niego okiem konserwatora. Obawiała się, że po całym tym przewożeniu przez różne kraje i klimaty, obraz może potrzebować ustabilizowania. Pochyliła się i przesuwiała wzrokiem po jego powierzchni, szukając pęknięć i rys w padającym z ukosa świetle.

Ostrożnie odwróciła obraz. Namalowany został na desce orzechowej. Na osi pionowej widoczne były pęknięcia.

– To pani – Edith usłyszała dziwnie brzmiący dla jej uszu akcent. – Dama znad jeziora.

Odwróciła się i zobaczyła przed sobą znajomo wyglądającego mężczyznę. Szczupłego, przystojnego, o czekoladowych oczach i z amerykańskim akcentem.

– Nie myślę się? – spytał z poważnym i szczerym wyrazem twarzy. – To pani doprowadziła mnie do tego obrazu.

Edith przyjrzała się naszywce z nazwiskiem na jego mundurze i oczy jej się zaświeciły, kiedy go poznała.

– Bonelli! Pan B... Bonelli! – zająknęła się, po czym się roześmiała, odrzucając do tyłu głowę, a kasztanowe włosy rozsypały się przy policzkach. Cała jej ciężka praca jednak nie poszła na marne. Podeszła i zarzuciła Bonellemu ręce na szyję. Zatoczył się parę kroków do tyłu, zanim go w końcu puściła.

Bonelli przygładził dłonią włosy, dochodząc do siebie po takiej niespodziance.

– A pan jest bohaterem! – wykrzyknęła i dostrzegła, że jeden kącik jego ust uniósł się w krzywym uśmiechu.

– Mam na imię Dominic – wyciągnął rękę.

– A ja Edith.

Dominic uścisnął jej dłoń. Jego była stwardniała, ale pewna.

– Jakie to dziwne... i cudowne... widzieć panią znowu.

– Rzeczywiście – zgodziła się Edith, nie chcąc puścić ręki tego nieznanego, który w jeden dzień zrobił więcej dla uratowania portretu niż ona przez pięć lat. – Powinnam przedstawić moje towarzystwo – powiedziała, wskazując obraz. – To jest Cecilia. Ale coś mi się wydaje, że już poznaliście się.

– Miałem ten zaszczyt.

Edith uśmiechnęła się znowu. – Ona mówi mi, że dzielny żołnierz uratował ją z zamku złego tyrana.

– Jasne – przyznał Dominic. – Porwałem ją i uniosłem.

– Jej księżę w pojeździe opancerzonym – powiedziała rozbawiona. – Ale teraz moja kolej. Moim zadaniem jest przywrócić Cecilie taką, jaką musiał widzieć Leonardo da Vinci, kiedy mu pozowała – dotknęła ramy obrazu delikatnymi palcami.

– Dlaczego mówi pani na nią Cecilia? – spytał Dominic.

– Ludzie nazywają ją *Damą z gronostajem*, ale my uważamy, że jest to portret młodej kobiety, która nazywała się Cecilia Gallerani i mieszkała w Mediolanie jakieś pięćset lat temu – wyjaśniła Edith.

– Moja córka ma na imię Cecilia! – oczy Dominica zrobiły się okrągłe ze zdziwienia. Wskazał gestem obraz. – A ona była taka piękna.

– Tak – oczy Edith były ciemne, kiedy tak oboje wpatrywali się w obraz. – I będzie znowu, jak tylko skończę nad nią pracować.

## CECILIA

Pałac Verme w pobliżu Mediolanu, Włochy  
Sierpień 1491

Cecilia podniosła wzrok znad lektury, aby ujrzeć w drzwiach znajomą postać. Rozpoznałaby go wszędzie, tę jego elegancką sylwetkę, którą otaczało światło. W rękach trzymał duży, prostokątny pakunek owinięty w niebieski papier.

Cecilia zapiszczała i zaczęła podskakiwać na ośmiobocznych płytkach posadzki.

– *Cavolo*. Gdyby wszystkie moje obrazy mogły spotkać się z takim przyjęciem – westchnął Leonardo, przechodząc przez próg.

Cecilia roześmiała się. – Mistrzu Leo, muszę przyznać, że jestem szczęśliwa, widząc obraz, zwłaszcza że jak pomyślałam, mogłabym go już nigdy nie zobaczyć. Ale najbardziej cieszę się na twój widok – ujęła w dłonie twarz malarza i ucałowała go w oba policzki. Za przykładem swojej pani Violina radośnie skoczyła do nóg Leonarda w szmaragdowych pończochach i żywiołowo machała ogonem, który sprawiał wrażenie kłębiącego się białego futra.

– Z zadowoleniem widzę, że nadal jesteś otoczona pięknem, które ci służy – powiedział, ogarniając wzrokiem ogromne schody i pociemniałe freski na sklepieniach pałacu Verme.

Cecilia wzruszyła ramionami. – To nie jest Castello Sforzesco, ale to dobrze. Chodź. Musisz zobaczyć, jak Cesare urósł. I musisz mi wszystko opowiedzieć o Bernardzie i o sobie, i swoich poczynaniach. Tak bardzo się stęskniłam za wam.

Usiedli w *sala grande*, jasnej komnacie, której okna wychodziły na wewnętrzny dziedziniec, gdzie Cecilia próbowała bezskutecznie wyhodować drzewko oliwne takie jak w Sienie. Na razie udało jej się uzyskać tylko wiotką, słabowitą roślinkę. Kiedy artysta zaczął odwijać niebieski papier osłaniający jej portret, ona przyglądała się uważnie jego twarzy. Zdawał się postarzały o lata, odkąd widziała go poprzednim razem. Cienkie linie zarysowały się na jego bladym czole i koło oczu. Sztywne, szare włosy wyrosły wokół jego niegdyś młodzieńczej twarzy. Do tego wyglądał, jakby uszło z niego powietrze.

– Dobrze się czujesz, przyjacielu? – spytała troskliwie.

– Tak. Tylko... jestem zajęty bardziej niż zwykle – odpowiedział z bladym uśmiechem. – Jeśli mam być szczery, signorina, od twojego odejścia z domu, Jego Ekscelencja stał się... niespokojny. Drażliwy. Traci panowanie nad sobą. Zmienia zdanie. Zacząłem i wyrzuciłem co najmniej kilkanaście różnych projektów – wzruszył ramionami. – Głównie rysunki kanałów, fortyfikacji, mostów, nawet nowych krosien do jego licznych tkalni jedwabiu – machnął ręką, jakby przeganiał muchę.

– Malujesz też dla niego?

– Tak. Następny portret – przerwał, odczytując jej spojrzenie. Zaległa między nimi niezręczna cisza.

– Lucrezia Crivelli – wyszeptała Cecilia.

Leonardo nie odpowiedział. Nie musiał.

– Rozumiem – stwierdziła w chwilowej rozpacz, że Ludovico tak szybko wziął sobie następną kochankę. I to jej własną garderobianą i niedoszlą przyjaciółkę.

*Jaką ja byłam naiwną dziewczyną*, skarciła sama siebie Cecilia.

Artysta westchnął, po czym szybko zmienił temat.

– Ludovico najpierw powiększył ogrody wokół pałacu. Potem znów zmienił zdanie i wrócił do pomysłu fortyfikacji na wschodnim skraju miasta. Znowu aktualna jest idea wzniesienia konnego pomnika z brązu, dla upamiętnienia jego ojca. Ja mu ją podsunąłem przed laty i nawet wykonałem naturalnej wielkości model z gliny. Sama wiesz, że w pałacu jest dużo białych ścian, które można by pomalować. I książę sam mi obiecał pracę w kościele Santa Maria delle Grazie. Przypuszczam, że powinienem otrzymać gratyfikacje.

Zpracowałem na łaskawość Jego Wysokości swoją propozycją wsparcia jego wysiłków militarnych. Ale to ostatecznie staje się ciężarem nie do uniesienia. Przyznaję się do tego tylko tobie, bo ty rozumiesz, co mam na myśli, mówiąc o tym, jak Jego Wysokość zmienia zdanie.

– A Bernardo?

Brwi Leonarda uniosły się. – Jeśli chcesz znać prawdę, on nie jest sobą. Całe dnie spędza w bibliotece, czytając i pisząc wiersze. Próbował zaprzyjaźnić się z Beatrice. Jest wykształcona i bystra, muszę przyznać, ale to nie to samo. Bernardo tęskni za tobą. Obaj tęsknimy. A Jego Wysokość na ogół zostawia go samemu sobie w bibliotece, co jak podejrzewam, bardzo mu odpowiada – skomentował z półuśmiechem. – Ludovico przestał się interesować życiem artystycznym w swoim pałacu. Jest natomiast owładnięty myślą o zawieraniu sojuszy z tronem Francji i cesarzem Świętego Cesarstwa Rzymskiego. Wyobraża sobie zagrożenia czyhające w każdym miejscu. Kazał mi rysować i przerysowywać plany wojskowe do późnej nocy. Obawiam się, że może im udostępnić efekty mojej pracy i nie wiem, jak będą one wykorzystane. A Beatrice, cóż, wydaje się że nie potrafi odwrócić jego uwagi i zapewnić mu rozrywki.

– Proszę – Cecilia uniosła dłoń. – Nie mogę już zaprzętać sobie głowy takimi problemami. Wystarczą mi moje własne.

– Obarczyłem cię tym niepotrzebnie. Nie miałem takiego zamiaru – zreflektował się Leonardo. – Opowiedz mi o sobie, moja piękna.

W tym momencie niania wniosła do pokoju Cesarego. Po swojej popołudniowej drzemce czarne włosy miał wilgotne, pulchne policzki czerwone.

– *Amore!* – Cecilia zerwała się z krzesła i wzięła chłopca na ręce, obsypując jego twarz pocałunkami.

– Młodzińcze! – wykrzyknął Leonardo, delikatnie pociągając za dziecięce ubranko. – Widzę, że dobrze cię tu karmią.

Cecilia była pewna, że Leonardo dostrzegł w jej dziecku wierną kopię księcia Ludovica il Moro, ale dyplomatycznie przemilczał ten fakt.

– A ja przyniosłem ci prezent – powiedział, uśmiechając się do dziecka. – Podobiznę twojej matki. Może po latach, kiedy mnie już nie będzie, spojrzysz

na ten portret z sympatią dla tego, kto go namalował.

– Chciałabym móc powiedzieć, że nie mogę go przyjąć – powiedziała Cecilia, nie umiejąc powściągnąć emocji. – Ale tak! Oczywiście, że go przyjmujemy. Znajdziemy idealne miejsce, by go powiesić. Dziękuję – pocałowała malarza w policzek. – A teraz chodź. Trochę powietrza dobrze nam zrobi.

Leonardo poszedł za Cecilią niosącą dziecko na zacieniony dziedziniec. Przeszli pod arkadami z kruszącego się szarego kamienia, bujnie obrosniętymi pnącymi różami, obok smutnego drzewka oliwnego Cecylii.

– Zadomowiłaś się tu? – spytał, patrząc na kasetonowe sklepienie arkad. W głębi dziedzińca przed oczami mignęła im młoda pomoc kuchenna, która szybko zniknęła w labiryncie korytarzy prowadzących do wnętrza domu.

Pałac Verme był mniejszy i nie było w nim mnóstwa rzeczy, jakie otaczały Cecilię w zamku, ale dla niej i Cesarego był w sam raz, aby żyło im się dobrze. Wniosła tu ze sobą swoje piękne stroje, klejnoty i kilka dekoracyjnych szkatułek i waz, do których widoku w swoich komnatach przywykła. Ku swemu zaskoczeniu znalazła tu nawet czekający na nich kufer dla Cesarego pełen wszystkiego, czego małe dziecko mogłoby potrzebować. Rozpoczynając tu życie z synkiem, nie była pewna, co gorsze – być kochaną i nie móc zostać, czy w ogóle nigdy nie być kochaną.

Ludovico przysłał jej też nianię, wdowę, która wychowała pięciu chłopców, aby pomogła zająć się Cesarem. Dostała wszystko, co jej obiecał. Piękne miejsce do zamieszkania, ziemie na jej nazwisko, konie i służącą do pomocy w wychowywaniu ich syna, który będzie miał opiekę ojca, kiedy wyrośnie na mężczyznę. Ludovico il Moro nigdy nie obiecał jej swojego serca, to musiała przyznać. Być może w głębi duszy wiedziała od początku, że nigdy nie będzie miała jego samego, co mówili jej własna matka i brat.

– Tak – odpowiedziała. – Nie jest to książęcy pałac, ale pod wieloma względami to lepiej. – Zaprosiła gestem mistrza Leonarda, aby usiadł na ławce obok starego ogrodu ziołowego, teraz zagłuszonego przez chwasty. – Mam wszystko, czego mi trzeba. Pokojówkę. Mamkę. Kucharza. I książki! Tyle, że życia mi nie starczy, żeby je wszystkie przeczytać.

– I żadnej *dogaressy* pod tym samym dachem.



– Tak! To mi się najbardziej podoba – powiedziała ze śmiechem. – Nie wiem, jak długo to potrwa, ale będę się tym cieszyć dopóki mogę.

Nie chciała przyznać, że dni są długie i samotne, że nie wie, gdzie się podzieje, kiedy Ludovico zdecyduje, że jej czas tutaj dobiegł końca.

Artysta chyba czytał jej w myślach.

– Wiesz, dokąd się udasz potem, Signorina Cecilia?

W odpowiedzi na pytanie, czy iść do klasztoru, czy zostać w zamku, z łatwością wybrała niepewny los przy Ludovicu il Moro. Tym razem jednak sprawa nie była tak prosta. Cecilia nie była już naiwną dziewczyną. Teraz wiedziała więcej, stała się kobietą, rozumiała, że jej decyzje mają dalekosiężne konsekwencje. Jej decyzja o pozostaniu w zamku wbrew woli matki była decyzją dziewczyny, której zdawało się, że jest kobietą, ale teraz miała dziecko, o którym musiała myśleć, nie tylko sobie.

– Mój brat zachęcał mnie, abym złożyła śluby w Monastero Maggiore. To mnie właśnie przywiodło do Mediolanu.

Leonardo pokiwał głową. – Logiczne rozwiązanie. W Monastero Maggiore pełno jest wysoko urodzonych, wykształconych kobiet. Znalazłabyś tam takie, które dzielają twoje zainteresowania i talenty.

– Tak mi powiedziano. Ale nie mogę sobie wyobrazić, że miałabym zostawić moje dziecko – spojrzała na nie z taką miłością i uwielbieniem, że dla każdego, kto by ją zobaczył, byłoby jasne jak głęboka jest jej więź z synem. I jakby rozumiał jej słowa, chłopiec pulchnymi rączkami poklepał jej policzki. –

Kocham go bardziej niż kiedykolwiek myślałam, że tak potrafię. Jest taki piękny i sprawia mi tyle radości. Zatem wydaje się, że jedyną inną możliwością dla przyzwoitej kobiety jak ja – powiedziała z półśmiechem – jest wyjść za mąż.

Leonardo uniósł brwi. – I tego właśnie chcesz, Signorina Cecilia?

– Ja... ja nie mogę iść do klasztoru. To nie jest miejsce odpowiednie dla mnie. Chcę się uczyć i pisać wiersze i spędzać całe dni w bibliotece. Może kiedyś, zanim zamieszkałam w zamku, ale teraz już nie mogę. Teraz jestem kobietą i... co najważniejsze... nie ma mowy, żebym zostawiła Cesarego.

– Zatem decyzja podjęta. Wychodzisz za mąż – stwierdził.

– To jedyna droga dla przyzwoitej kobiety, czyż nie? Jest tylko jeden problem. Kto weźmie splamioną kobietę z bękartem? Nawet wysoko urodzonym?

Przez chwilę stali w milczeniu, słuchając ptaków w zaroślach na zapuszczonym dziedzińcu. Cesare z zadowoleniem oparł głowę na ramieniu matki i z zainteresowaniem patrzył na Leonarda.

Leonardo przestał się przechadzać i wyciągnął rękę do piąstki chłopca.

– Przyszedłem tu również po to, aby przekazać zaproszenie – oznajmił. – Na świętego Jakuba spotykam się z nowym, potencjalnym klientem, który zaprosił mnie do San Giovanni in Croce nieopodal Cremony. Jest hrabią. Wdowcem.

Cecilia też się zatrzymała i popatrzyła podejrzliwie na Leonarda, ale on mówił dalej: – Hrabia Brambilla jest poważnym mecenasem malarstwa i rzeźby. Muzyki. Poezji. Zażyczył sobie, abym przywiózł ze sobą przykład mojej pracy i mu pokazał. Wieści o mojej pracy dla Ludovica il Moro rozeszły się i teraz regularnie otrzymuję takie obiecujące zaproszenia z całej Lombardii. Tym razem pomyślałem, że mógłbym wziąć twój portret, widząc, że jest to jeden z najlepszych przykładów moich umiejętności. I może chciałby zobaczyć również modelkę, żeby upewnić się co do podobieństwa. Weźmiesz to pod uwagę i pojedziesz ze mną?

## EDITH

Monachium, Niemcy  
Styczeń 1946

Edith siedziała sama po turecku na zimnej posadce, wpatrując się w ogromny obraz przedstawiający bitwę morską, kiedy nagle zorientowała się, że ktoś stanął w drzwiach. Szeregowy Bonelli. Dominic.

Zobaczyła, że się zawahał, po czym zaczął się odwracać, żeby odejść, ale ona pozbierała się, wstała i wygładziła spódnicę. Zimowe światło z wysokich okien padało na nią zimne i srebrne, odbijając się w łzach spływających po jej zaczerwienionych policzkach.

Dominic zatrzymał się. – Proszę pani?

Edith podniosła białą dłoń do twarzy i otarła łzy.

– Przepraszam – powiedziała, pociągając nosem. – To nic.

– Nie wygląda to na nic – zauważył Dominic.

Edith zebrała jedną ręką włosy opadające na twarz i odgarnęła je do tyłu.

– Obrazy takie jak ten Heinrich lubił najbardziej – wskazała obraz z bitwą morską, na którym okrętowe działa ziały ogniem w ciemną dal. – Zwykle przywodziłam go do muzeum po godzinach, kiedy już nie było publiczności i chodziliśmy razem po galeriach. To było... urocze. – Uśmiech rozjaśnił twarz Edith, chociaż jeszcze więcej łez polało się po jej policzkach. – Niewiele rozumiał ze sztuki, ale zawsze uwielbiał dramatyczne sceny. Zawsze też dostrzegał, kiedy coś było piękne, nawet jeśli nie potrafił zrozumieć dlaczego. Kiedy poszłam na studia, śmiał się ze mnie, że wszystko opisuję tak... co to było za słowo... prawidłowo, odpowiednio... technicznie – pociągnęła nosem i prawie się uśmiechnęła. – Powtarzał, że najlepsze piękno to takie, które nie

stara się być piękne – głos jej się załamał na ostatniej sylabie. Przycisnęła dłoń do ust i rozszłochała się.

Amerykanin niezdarnie położył rękę na jej ramieniu. Edith usiłowała zapanować nad głosem. – Oni wszystko zniszczyli – spojrzała na Dominica, nie starając się już powstrzymywać od płaczu. – Dlaczego musieli to wszystko zabrać?

– Chciałbym wiedzieć – odparł Dominic. Edith wyczuła w jego głosie, że gardło ma ściśnięte, zobaczyła łzy w jego oczach i pomyślała, że zaraz się rozpłacze.

– Mój ojciec zawsze uczył mnie, że sztuka jest jedną z tych rzeczy, dzięki którym ludzie mają po co żyć, więc musimy ją chronić i dzielić się nią. Nigdy nie rozumiem, jak ktoś może rościć sobie prawo do zawładnięcia części przeszłości, jaką jest dzieło sztuki... części przeszłości, która należy do nas wszystkich.

Dominic pozbierał się. – Pani ojciec jest mądrym człowiekiem. Nigdy nie myślałem, że mógłbym ryzykować życie dla obrazu. A jednak to właśnie robiliśmy od miesięcy. Cieszę się, że przynajmniej kilku ludzi uważa, że było warto.

– Było warto, panie Bonelli – powiedziała prawie szeptem. – Dominicu.

W ciszy, która zdawała się trwać wiecznie, stali oboje niepokojąco blisko siebie, a jedynym dźwiękiem był urywany oddech Edith, której brakowało powietrza. Czuła poruszenie w swoim ciele, odczucie, którego nie doznała od dnia poprzedzającego ten, w którym wsiadła do pociągu do Krakowa. Czuła się dziwnie bezpiecznie w obecności tego amerykańskiego żołnierza. W jednej chwili pomyślała, że mógłby przytulić ją mocno do piersi, a wtedy nie byłoby odwrotu. To byłoby coś najbardziej naturalnego na świecie. Jakaś jej część chciała znaleźć się w ciepłe i bezpieczeństwie jego objęć. Wiedziała w głębi serca, że gdyby spróbował ją objąć, nie opierałaby się.

W tym momencie Dominic powrócił do rzeczywistości. Zrobił krok w tył, ona otarła dłońmi łzy z policzków. Idąc za jego przykładem, też się odsunęła, zwiększając odległość między nimi. On splótł palce za plecami i zaczął przechadzać się po ciemnym pokoju.

Przed stojącym na sztaludze portretem Cecylii Gallerani Dominic zatrzymał się. Podszedł bliżej do obrazu i wskazał białe stworzenie na rękach Cecylii.

– To zwierzę – powiedział. – Wygląda jak szczur.

Całe napięcie, jakie narastało w pokoju, nagle prysło. Edith odwróciła głowę ze śmiechem przynoszącym ulgę po płaczu.

– To gronostaj – wzruszyła ramionami. – Ale byłeś blisko, trochę przypomina szczura.

– Dlaczego taka bogata, śliczna dziewczyna obnosi się ze szczurem?

Edith pokręciła głową. – Zabawny jesteś, Dominicu – powiedziała z uśmiechem przesłoniętym pasmem włosów. – Biały gronostaj jest symbolem czystości. Ludzie szlachetnie urodzeni obszywali szaty ich futrem. Tutaj jest to prawdopodobnie bardziej symbol niż prawdziwe zwierzątko trzymane w domu dla przyjemności, chociaż niektóre damy trzymały dla przyjemności fretki.

– Dziwna przyjemność – stwierdził Dominic. – Dla mnie wciąż wygląda na szczura.

Edith roześmiała się i lekko go popchnęła. – Idź dokończyć swój rysunek i nie zawracaj mi głowy.

## DOMINIC

Monachium, Niemcy

Luty 1946

Dominic przyglądał się palcom Edith przesuwającym się czule po krawędziach portretu Leonarda. Jej dotyk był zarazem delikatny i pewny, kiedy oddzielała go od ramy, ostrożnie, centymetr po centymetrze, mozolnie, w absolutnym skupieniu. Zauważył, że kiedy była skoncentrowana na czymś, zagryzała dolną wargę z jednej strony, uchylając w kąciku pełne, różowe usta. Nie wydawała żadnego dźwięku, ruchy jej rąk były pewne, szare oczy skupione na pracy. Dominic podziwiał jej naturalną urodę przez kilka chwil, zanim się odezwał:

– To oryginalna rama?

– Na pewno nie. – Edith nie podniosła wzroku, delikatnie wypychając ostatni róg obrazu z ramy. – Bardzo niewiele włoskich obrazów renesansowych ma swoje własne ramy, chyba że pierwotnie była to integralna część deski, na której malowano. – Wyprostowała się i cofnęła o krok. Kasztanowe włosy podwinięte na końcach łaskotały jej policzek, kiedy tak przyglądała się efektowi swojej pracy krytycznym okiem. – Najprawdopodobniej Leonardo zaprojektował oprawę do tego obrazu, prawdopodobnie wyglądała inaczej niż ta. Obraz musiał być w którymś momencie z niej wyjęty.

Do tej pory Edith odpowiadała na pytania Dominica automatycznie. Potrzebował tygodni, żeby zebrać się na odwagę i pokazać jej jeden ze swoich rysunków. Nawet wtedy nie był to jego ulubiony i bardzo osobisty – rysunek z pamięci ukazujący Sally, nie całą twarz, ale tę część, której nie mógł zapomnieć: ostrą linię szczęki łączącej się z szyją łagodną zakrzywioną linią. Zamiast tego pokazał Edith jeden z wielu rysunków wzorowanych na wizerunku czarującej dziewczyny, którą Leonardo da Vinci namalował wieki

temu. Od tego momentu Edith traktowała jego pytania poważnie. A miał ich wiele.

– Na jakiego rodzaju desce jest namalowany ten obraz? Jak to się dzieje, że rozpuszczalnik czyści obraz, nie uszkadzając farby? Jak się nauczyłaś konserwacji dzieł sztuki?

To ostatnie prowadziło do kolejnych pytań, które nie zawsze dotyczyły sztuki. Początkowo odpowiedzi Edith były wymijające. O ile na mnożące się pytania o sztukę odpowiadała szybko i cierpliwie, o tyle pilnowała się, jeśli chodziło o jej życie osobiste i kiedy w końcu się otworzyła, Dominic zrozumiał, dlaczego. Te szare oczy robiły się ciemne jak gradowa chmura z bólu, kiedy pytał o jej rodzinę. Wiedział, że mieszka w domu rodzinnym ze swoim chorym, starym ojcem i wyglądało na to, że jest on jedyną rodziną, jaka jej została. Kiedy opowiadała mu o tym, jak straciła narzeczonego, który zginął w Polsce, Dominicowi pękało serce.

W miarę jak mijały tygodnie, potem miesiące, Dominic ze zdumieniem dowiadywał się, że Edith Becker, skromna konserwatorka, nie tylko przeżyła jako osobista asystentka tego, którego gazety nazywały teraz „rzeźnikiem Polski”, ale że osobiście przewoziła portret Leonarda da Vinci pociągami i pojazdami opancerzonymi przez Polskę i Niemcy wiele razy.

Dominic siedział na jednym ze stołów w pracowni konserwatorskiej. Jego zadanie jako strażnika było jak bułka z masłem po tym wszystkim, z czym się zetknął w terenie. Teraz przyglądał się jak Edith, w brązowym, płóciennym fartuchu okrywającym jej prostą sukienkę, miękkim pędzelkiem nakłada na ramę płatki złota.

– Nigdy cię nie kusiło, żeby zwać z obrazem? – chciał wiedzieć. – Mieć go tylko dla siebie?

– Nie.

– Ale na pewno zasłużyłaś, żeby zatrzymać przynajmniej jedno arcydzieło – zażartował. – Tak ciężko pracowałaś, żeby te obrazy były bezpieczne. Narazałaś się, ryzykowałaś.

Jej uśmiech zgasł. – Wszyscy byliśmy w niebezpieczeństwie, Dominicu, czy nam się to podobało, czy nie.

– Co racja, to racja.

– To może brzmieć dziwnie w ustach kogoś, czyje życie zawodowe obraca się wokół sztuki, ale ja nigdy nie chciałam mieć żadnego z tych dzieł na własność. Chciałam tylko je badać, ratować. A teraz ostatecznie zwrócić tam, gdzie ich właściwe miejsce. Kiedy wrócę do swojej pracy w muzeum, to będzie moją misją. Zwrócić każde dzieło właścicielowi. Tym, którzy zostali.

Dominic zastanawiał się, co można by powiedzieć o zniszczonym kontynencie, o roztrzaskanym świecie wokół nich, szerniałym wskutek wojny. Trzeba czegoś więcej niż sztuka, żeby pozbierać kawałki rozbitego świata. Jednak teraz już wiedział, że sztuka odegra w tym rolę, której ważności nie sposób zaprzeczyć.

– Ty sam powinieneś to rozumieć. Odegrałeś ważną rolę – stwierdziła.

Dominic wzruszył ramionami. – My tylko robiliśmy, co w naszej mocy, żeby ratować życie. I ratować dzieła sztuki, które mogliśmy uratować.

W tym momencie otworzyły się drzwi i do pracowni weszli dwaj mężczyźni. Dominic poderwał się z miejsca i zsalutował, rozpoznając w jednym z nich dyrektora Centralnego Punktu Zbiorczego.

– Sir!

– Spocznij, żołnierzu – powiedział dyrektor. – Szukam pani – skinieniem głowy ukłonił się Edith.

Edith odłożyła pędzel i wytarła ręce w fartuch.

– Tak?

– Fräulain Becker należy do najlepszych konserwatorów, jakich mamy – wyjaśnił towarzyszącemu mu mężczyźnie. – Pracowała również przy ołtarzu. Edith, to jest major Karol Estreicher. Jest polskim oficerem współpracującym z nami przy identyfikacji obiektów, które muszą wrócić do jego kraju.

Major Estreicher skłonił się z roztargnieniem, nie patrząc na Edith. Jego wzrok utkwiał w wielkim Ołtarzu Wita Stwosza, który rozmontowany stał z boku, czekając, aż przywrócony zostanie mu dawny blask.

Pracownia zapełniona była teraz bardziej niż prawie rok temu, gdy Dominic wszedł tutaj po raz pierwszy. Połowę przestrzeni zajmował ogromny Ołtarz Wita Stwosza, ciemna bryła w mroku. Na pięcioczęściowy ołtarz, rozmontowany na poszczególne elementy, składały się malowane tablice



i kunsztowne rzeźby. Dominic wyobrażał sobie, że ołtarz złożony w całość może mieć trzynaście metrów wysokości.

Dominic spędził już wiele godzin na rysowaniu ołtarza, ale na razie udało mu się skończyć wszystkie figury z jednego ze skrzydeł. Rozpoznał Marię Pannę i większość apostołów, ale były tam też sceny, których nie potrafił zinterpretować. Obserwował konserwatorów i kustoszy uwijających się wokół ołtarza, badających jego konstrukcję i rozmawiających o tym, jak go bezpiecznie zapakować, przygotowując do transportu do Polski. Edith powiedziała mu, że jest to jeden z największych polskich skarbów narodowych. Zawsze zdobił ołtarz główny bazyliki Mariackiej w Krakowie, zanim przywłaszczyli go naziści.

Dominic widział, że polski oficer podszedł do ołtarza i dotknął jednej ze złożonych płaskorzeźb. Jego twarz skurczyła się, łzy napłynęły do oczu. Odwróciwszy się do Dominica, Edith i dyrektora Punktu Zbiorczego wykrztusił: – Dziękuję.

Potem zdjął czapkę i padł na kolana, chłonąc ołtarz oczami. Na kilka długich minut w pracowni zaległa pełna nabożnego szacunku cisza, jakiej Dominic nie spotkał od czasu, gdy widział wikariusza Stephany'ego klęczącego przed relikwiami Karola Wielkiego w kopalni Siegen.

Major Estreicher w końcu zebrał się w sobie i wstał. Włożył czapkę, przełknął ślinę, po czym wrócił do nich z zaczerwienionymi oczami, ale wyprostowany i zdecydowany.

– Jestem tu, żeby go zabrać do domu. Jestem zaszczycony, że mnie, skromnemu, powierzono to zadanie. To jeden z największych skarbów Polski. Jedna z niewielu rzeczy, jakie mojemu krajowi zostały. Dziękuję, że dobrze się nim opiekowaliście przez ten czas.

Dominic zauważył, że wzruszenie zawładnęło Edith, ale zapanowała nad nim. – Majorze, muszę przedstawić panu Dominica Bonellego – dotknęła jego ramienia. – Jest jednym z naszych najlepszych strażników. Wykonuje doskonałą pracę, pilnując bezpieczeństwa ołtarza i innych dzieł sztuki znajdujących się tutaj, w Monachium. Zasłużył się również, chroniąc dzieła sztuki w Europie. Pomógł nawet odzyskać Leonarda z prywatnej rezydencji Hansa Franka.

Estreicher przeniósł wzrok na Dominica, który poczuł, że wysoki Polak bada go, przesuwając spojrzenie inteligentnych oczu po jego drobnym ciele od stóp do głów.

– Co ja słyszę? – zwrócił się do niego. – W takim razie, panie Bonelli, dopilnuję, żeby pojechał pan z nami do Polski, zawieźć powracające skarby. Wyraźnie widać, że jest pan odpowiednią osobą do wykonania tego zadania. Poza tym będziemy potrzebować najwyższej klasy ochrony dla naszego pociągu.

Dominic uśmiechnął się, ale było mu ciężko na sercu. Dom jeszcze nigdy nie wydawał się tak daleki.

## DOMINIC

Monachium, Niemcy  
Kwiecień 1946

Plecak nie miał gładkiej powierzchni, ale Dominic nauczył się rysować prawie na wszystkim – na ziemi, na kolanach, nawet na kolbie karabinu. Jego ołówek posuwał się szybko po papierze, rysując kształty młodej kobiety. Jego modelka, niczego nie podejrzewając, stała na rampie kolejowej w rześki wiosenny poranek, a światło padające z tyłu obrysowywało zarys jej sylwetki – łagodną wypukłość bioder w długiej, wełnianej spódnicy, skręt włosów przy brodzie.

Edith znów zagryzała od środka dolną wargę. Trzymała w rękach drewnianą podkładkę i nie zważając na zimno wnikające pod jej wełniany żakiet, sprawdzała listy przewozowe zbioru obiektów odsyłanych z powrotem do Polski. Pociąg złożony z wagonów towarowych wydawał się nie mieć końca. Na widok takich wagonów Dominicowi wciąż robiło się niedobrze. Chociaż lubił pracę w Centralnym Punkcie Zbiorczym, nie żał mu było opuszczać Monachium. Miał nadzieję, że zbliża się do ostatniego przystanku w Europie.

Przechylił lekko ołówek, trzymając go tak, jak nauczyła Edith, żeby dodać rysunkowi trochę światłocienia. To była jedna z ostatnich czystych stron w jego szkicowniku zawierającym dziesiątki studiów *Damy z gronostajem*, której prywatnie złożył uszanowanie wczesnym rankiem. Była jedną z niewielu rzeczy w Europie, za którą będzie tęsknić. Nie była jednak jedyną damą, której będzie mu brakować, ale tę myśl odsunął od siebie.

Pomyślał natomiast o liście od Sally, który miał w kieszeni koszuli, blisko serca. Najlepszym jak na razie skutkiem zakończenia wojny było to, że poczta znów działała. Wysłał do Sally mnóstwo rysunków, pokazując jej węglem na papierze swoje życie – ludzi, budowle, a przede wszystkim dzieła sztuki.

Wkładanie każdego z nich, starannie złożonego, do koperty, wypisywanie na niej swojego domowego adresu i wysyłanie do Ameryki wywoływało odczucie, że może jednak ten dom istnieje naprawdę. Jakby nie był dawnym szczęśliwym snem, z którego obudził się w zimnym i nieprzyjaznym realnym świecie, w którym był przerzucany z miejsca na miejsce wedle kaprysu dowodzących.

Cieszył się, że opuszcza Monachium, ale każda jego cząstka krzyczała, że jedzie w złym kierunku. Zamiast na zachód i do domu, ten pociąg towarowy wiozł go na wschód – do Polski, razem z wracającymi do kraju skarbami narodowymi. Widział z pospiesznego pisma i śladów łez na papierze, że Sally cierpi tak samo jak on.

Dominic po raz ostatni rzucił okiem na szybkie studium postaci Edith. Chciał zapamiętać ją właśnie taką: bystrą, sprawną, naturalnie piękną. Zwinął kartkę i trzymał w jednej ręce, podczas gdy drugą wsunął szkicownik do plecaka.

Oparty o ścianę budynku dworca obserwował robotników niosących ostatnie obiekty przechowywane w dawnej kwaterze głównej nazistów. Przez wiele dni starannie pakowali obrazy, rzeźby, książki i manuskrypty do wyściełanych skrzyń i ładowali ostrożnie do wagonów kolejowych. To wszystko były skarby, z których naziści ograbili Polskę, a teraz wracały do domu. Dominic chciałby, żeby jego też odesłano do domu.

Minęły prawie dwa lata, jak wylądował na plaży w Normandii. Cecilia do tej pory już na pewno biega. Ominęło go wszystko: jej pierwsze słowa, jej pierwsze kroki, jej rozwój od niemowlęcia do małego człowieka z własnymi myślami, pomysłami, wyrażeniami. Z bólem zdał sobie sprawę, że nigdy nie słyszał, jak jego prawie trzyletnia córka mówi. Zacisnął powieki, przypominając sobie słowa Sally z ostatniego listu.

*Cecilia pytała wczoraj, kiedy Tatusz wróci do domu – napisała. Ja nie mogę się doczekać, kiedy będę mogła jej odpowiedzieć.*

Otworzył oczy. Wiatr porwał spódnicę Edith i przycisnął do jej kształtnej figury. Dominic powiódł wzrokiem po linii jej biodra. Czas o niej zapomnieć, zostawić ją tutaj, w jej ojczyźnie. Ona chciała, żeby życie wróciło do normalności, tak samo jak on. Major Estreicher podszedł do niej na rampie, trzymając swoje listy przewozowe. Porównali dokumenty i skinęli głowami.

Dominic wiedział, że to dla niego sygnał. Major Estreicher przywołał go gestem, następnie przeszedł wzdłuż pociągu, żeby wydać komendę odjazdu.

Dominic rozejrzał się wokół siebie, sprawdzając, czy żadna kartka nie wypadła ze szkicownika, i podszedł do pociągu. Edith stała na rampie załadunkowej z dokumentem przewozowym w opuszczonej ręce. Kiedy patrzyła na niego zbliżającego się do pociągu, jej oczy nagle posmutniały. Stała samotna i opuszczona.

– Nie martw się – powiedział. – Cecilia będzie w dobrych rękach. Możesz mi zaufać.

– Już ci zaufałam w sprawie Cecylii – odparła. – Raz ją uratowałeś. Wiem, że zawiesz ją do domu.

Żołnierski worek Dominica już był załadowany do pociągu. Zerknął jeszcze na zachód, zanim zwrócił się twarzą do Edith. Przez dłuższą chwilę stali oboje w niezręcznym milczeniu. Z braku słów Dominic wyciągnął rękę ze zwiniętym rysunkiem.

Wzięła go od niego, rozwinęła i przyjrzała się uważnie. Zawsze miała coś do powiedzenia o jego rysunkach, a każda pochwała była zrównoważona krytyką, motywującą go do poprawy. Ale nie dziś. Uśmiechnęła się do niego przez powstrzymywane łzy.

– Jest doskonały – stwierdziła.

Była jego przyjaciółką w mrocznym czasie. Ale jego serce rwało się do domu, do dziewczyny, która wychowywała dwójkę dzieci bez niego, do dziewczyny, która cierpliwie czekała na jego powrót. Wyciągnął do niej rękę na pożegnanie, a wtedy jej uśmiech zrobił się smutny.

– Bezpiecznej podróży, żołnierzu – powiedziała. – Mam nadzieję, że niedługo dotrzesz do domu, do żony i córeczek. – Sięgnęła do kieszeni i wyczarowała całkiem nowy blok rysunkowy. – To taki drobiazg, żebyś miał się czym zająć w pociągu. Masz nie przestawać rysować, wiesz.

Dominic pomyślał, że głos go zawiedzie, jeśli spróbuje się odezwać, więc tylko kiwnął głową i uśmiechnął się do Edith. Potem odwrócił się i wskoczył do pociągu w chwili, gdy rozległ się gwizd parowozu. W stukocie kół po szynach, przy rytmicznym posapywaniu tłoków, oddalał się od Monachium, z którego ostatnim widokiem w jego oczach była sylwetka Edith na peronie. Wyglądała

tak samo jak wtedy, kiedy natknął się na nią na bawarskim wzgórzu wiele miesięcy temu. Całkiem sama. Silna. I dzielna.

## CECILIA

Pałac Verme w pobliżu Mediolanu  
Październik 1491

*Attento. Attento!*

Z okna na piętrze Cecilia patrzyła, jak jej matka macha pulchną dłonią przed nosem służącego ładującego niewielką skrzynię na tył powozu. Wachlując się, matka spieszyła za umykającym chłopakiem do pałacu, potem pokrzykiwała na niego przez całą drogę z powrotem do powozu. Matka przypominała utrapioną srokę, wrzeszcząc i następując mu na pięty, kiedy biedak krążył w tę i z powrotem, przynosząc dobra Cecilii.

Cecilia mogła tylko kręcić głową i chichotać na ten widok.

Mimo że opuszczała progi Ludovica il Moro z dużo większą ilością rzeczy niż miała, wstępując w nie, teraz stan posiadania wydawał się mizerny. Miała kufer pełen sukien, szkatułę z ozdobami do włosów oraz klejnotami i skrzynię butów z atlasu, skóry i aksamitu. Szal z lisa. Pudełko drewnianych zabawek i pluszowych zwierzątek dla Cesarego.

Wtem niespodzianka. W chłodny poranek – matka.

Signora Gallerani zjawiała się w pałacu Verme niezapowiedziana, z Faziem u boku. Za nimi stary muł ciągnął wózek z jej skrzynią posażną, wypełnioną szytymi w pośpiechu obrusami i bielizną pościelową, starą narzutą należącą kiedyś do jej dziadka i ulubionym kocykiem z jej dziecięcego łóżeczka.

Cecilia stała z otwartymi ustami, ale matka nie powiedziała wiele tytułem wyjaśnienia. Zamiast tego szybko porwała Cesarego w swoje obfite ramiona, obsypując go pocałunkami i szeptanymi obietnicami. Cecilia wciąż oniemiała,

z ręką na klamce, patrzyła, jak matka wkracza w jej życie po tylu miesiącach milczenia. Fazio tylko wzruszył ramionami.

I teraz Cecilia patrzyła z okna, jak matka beszta chłopaka ładującego powóz, który zawiezie ją do nowego życia, do jej nowego męża.

– Moja córka jest hrabiną! – powtarzała matka. – Musisz traktować jej rzeczy z większą dbałością.

Cecilia zatkała usta pięścią, żeby nie było słyhać jej śmiechu.

Hrabina. Żona hrabiego. Następnego Ludovica.

W zadbanej, eleganckiej willi na wsi hrabia Ludovico Carminati de Brambilla czekał na Cecilię. Pudło ze wszystkimi jej tytułami własności ziemi, ciężkimi od pieczęci z metalu i wosku, posłaniec zawiózł do domu hrabiego Brambilli w San Giovanni in Croce, aby zapewnić stosowne miejsce. Do tego dochodził żywy inwentarz – owce, stada bydła i stadnina koni. Teraz zostały tylko jej rzeczy osobiste, ona sama i mały Cesare. Zastanawiała się, czy hrabia Brambilla jest przygotowany również na jej matkę.

Hrabia wydawał się dość miły. Skłonił się i przemówił do niej cicho, patrząc łagodnymi, niebieskimi oczami. Jego wygląd nie robił wielkiego wrażenia. Dużo starszy od niej, z siwiejącymi włosami i pobrużdżonym czołem. Co do szczegółów, Cecilia polegała na mistrzu Leonardzie. Od niego dowiedziała się, że hrabia Brambilla jest wielkim posiadaczem ziemskim z długą tradycją rodu w produkowaniu wełny. Jego młoda żona doświadczyła licznych poronień, a ostatnia próba wydania na świat żywego dziecka odebrała jej życie. Od niemal dziesięciu lat mieszkał samotnie w wielkim domu, nie mając dziedzica. Cecilia widziała to na własne oczy: wypielegnowane ogrody z leniwie brzęczącymi owadami; puste pokoje w idealnym porządku; wielka kuchnia z kucharzem głównie drzemiącym na drewnianym stole.

Hrabia Brambilla jest wielkim mecenasem poezji, malarstwa i muzyki, powiedział jej Leonardo. Kiedyś odbywały się u niego świetne zgromadzenia licznych, starannie dobranych gości, ale teraz życie uszło z jego domu. Cieszy się towarzystwem malarzy i muzyków, ale chciałby wskrzesić swój dwór, a nie jest w stanie tego zrobić sam. Cecilia wiedziała, że to rola w sam raz dla niej i nowa szansa, żeby śpiewać, pisać wiersze, spędzać czas w towarzystwie ludzi wykształconych. Przeczynała, że będzie umiała ożywić to miejsce.



Szybko stało się jasne, że hrabia chce ją pojąć za żonę. Za ledwie kilka dni zajęło mu wysłanie do jej brata notariusza z kontraktem małżeńskim. I ku zaskoczeniu Cecylia, jej pozycja jako kochanki Ludovica il Moro – a nawet matki jego nieślubnego syna – nie była przeszkodą. W rzeczy samej, zamiast być traktowana jak zwykła dziwka, nagle mogła się cieszyć szacownym statusem. Samym swoim pożądaniem Cecylia Ludovico Sforza nadał jej wyższą rangę społeczną. Nawet zakonnice chętnie przyjęłyby ją do siebie i wysłały swojego spowiednika z petycją do jej brata. Ale nic nie mogło przekonać Cecylia, która miała tylko jedno pragnienie. Jeden warunek. I jedną wątpliwość.

Dopiero kiedy notariusz wrócił z kontraktem małżeńskim, w którym hrabia zobowiązywał się dbać o Cesarego tak samo jak o Cecylię, mogła wreszcie odetchnąć. Nie miała złudzeń, że w zasadzie obcy mężczyzna mógłby przyjąć chłopca jak własne dziecko, ale nigdzie by się nie ruszyła bez syna. Myśl o życiu za murami klasztoru bez Cesarego w ramionach była nie do zniesienia. Skinieniem głowy wyraziła zgodę, aby Fazio podpisał kontrakt małżeński zawarty z hrabią Ludovikiem Carminati de Brambilla w imieniu rodziny Gallerani. Na wieść, że jej córka ma zostać hrabiną zamiast wysokiej klasy konkubina, matka Cecylia pospieszyła do pałacu Verme z mułem i skrzynią posażną, omiecioną z pajęczyn i kurzu.

I teraz oto Cecilia wychodziła po raz ostatni z pałacu Verme i z życia Ludovica il Moro. Wyszła na chłodny ale słoneczny dziedziniec przed pałacem. Były tylko dwie rzeczy, których chciała: jej dziecko i jej portret.

W powozie Cesare, zadowolony w ramionach babci, nie wrywał się w stronę Cecylia. Widząc jego uśmiech i uśmiech matki, ona też się do nich uśmiechnęła.

– Gdzie jest portret? – spytała służącego.

– Jest tutaj, Signora Contessa – powiedział, podnosząc portret, który Leonardo da Vinci starannie opakował przed podróżą. Potem pomógł Cecylia wsiąść i zająć miejsce koło swojego obrazu.

Konie ruszyły. Rozszedł się zapach mokrej ziemi spod końskich kopyt, koła skrzypiały do czasu, aż powóz nabrał prędkości i wytoczył się za bramę.

## LEONARDO

Mediolan, Włochy  
Październik 1494

Patrzę, jak chłopcy wtaczają to, co zostało z maszyny latającej, przez wielkie dwuskrzydłowe wrota stajni wewnątrz Corte Vecchia. Niewiele więcej niż szkielet z popękanego drewna i podartego jedwabiu. Tym razem setki ludzi ściągnęły na plac przed katedrą. Kolejny spektakl. Kolejne pośmiewisko. Mógłbym spróbować innego podejścia następnym razem, to znaczy jeśli potrafię zapomnieć o wstydzie i znajdę energię, żeby zacząć od nowa.

Równie dobrze mogę zacząć od nowa, myślę, bowiem Ludovico il Moro jest teraz zajęty innymi sprawami i niewiele poświęca mi uwagi. W końcu jest księciem Mediolanu i ma poważniejsze sprawy do rozważenia. Myślę, że ten nowy tytuł niewiele zmienia, skoro Ludovico il Moro przez wiele lat grał rolę księcia, chociaż był tylko regentem.

Każdy mógł przewidzieć usunięcie biednego Gian Galeazza, małego księcia, który błakał się po korytarzach tego samego domu jako chłopiec, aż w końcu urósł na tyle, żeby stać się rzeczywistym zagrożeniem. Otruty w biały dzień, szepnął mi harfista Marco w pałacowym korytarzu. Do tego siedząc u szczytu stołu. Służba mówi, że lekarz Jego Wysokości sporządził miksturę, powiedział Marco. Ale jedyną konsekwencją będzie przejęcie tytułu przez Ludovico il Moro, bo kto mógłby sprzeciwić się jego władzy?

Cecilia Gallerani opuściła pałac księżęcy w dobrym momencie, jak sądzę. Nie mogę się powstrzymać od uśmiechu na myśl o Cecylii, obecnie prawdziwej hrabiny, mieszkającej zaledwie o dzień jazdy powozem stąd. Myślę, że muszę ją odwiedzić. Chciałbym zobaczyć, gdzie powiesiła moje dzieło, dowiedzieć się, czy jej mężowi, innemu Ludovicowi, podoba się portret małżonki.

Poza tym tyle jest do opowiadania. Cecilia mogłaby zaakceptować wieczorne zgromadzenia Beatrice pełne nowych sonetów, nowych występów, nowych gier w kości. Miałem wątpliwości, ale księżna okazała się udaną i utalentowaną towarzyszką dla Ludovica il Moro, pomimo młodego wieku.

Jednak Beatrice nie całkiem udaje się zapewniać rozrywkę Jego Wysokości. Na korytarzach służba szepcze, że Lucrezia Crivelli nosi dziecko i że Ludovico zapisał sady i wieżę nad jeziorem Como na jej nazwisko.

Chociaż ucieszyłyby mnie odwiedziny Cecylia Gallerani w jej posiadłości, daleko za murami Mediolanu, zastanawiam się, czy ona powitałaby z radością mnie i moje opowieści z książęcego pałacu. Być może nie powinienem dostarczać jej umysłowi takiej strawy. Jednak dobrze, że zostawiła to już wszystko za sobą.

## DOMINIC

Pittsburgh, Pensylwania, USA

Maj 1946

Miesiąc po opuszczeniu Krakowa Dominic znów jechał pociągiem. Tym razem jednak nie miał karabinu na plecach. Nie miał hełmu obok siebie. Żadnych obrazów pod nadzorem. W jego żołnierskim worku nie było amunicji ani racji żywnościowych. Serce miał lekkie, kiedy ciepłe promienie słońca wpadały przez okno pociągu wiozącego go przez zielony pejzaż kraju, w którym się urodził.

Dominic nie myślał dużo o Ameryce podczas długiej podróży z Europy do domu, jego myśli zaprzętała całkowicie Sally i dzieci. Ale kiedy jego stopy dotknęły ziemi Governors Island, trafiło go. Nie zważając na patrzący tłum, rzucił worek, padł na kolana i ucałował ziemię, a z oczu płynęły mu łzy.

Nie zatrzymali się w Nowym Jorku na długo. Tylko tyle, żeby się ogolić i przebrać w czysty mundur. Potem wraz z grupą innych młodych mężczyzn wmieszał się w tłum przepływający przez Grand Central Station. Zszedł na peron, przy którym stały dwa pociągi – jeden do Pittsburgha, drugi do San Antonio. Zatrzymał się na chwilę i patrzył, jak pociąg do Teksasu odjeżdża. Bez Paula. Dla tak wielu żołnierzy nie ma powrotu do domu.

Jedyną pociechą była dla Dominica świadomość, że dane mu było odegrać rolę, niewielką ale jednak, w sprowadzeniu do domu nie tylko namalowanego przez Leonarda da Vinci portretu wzbudzającej zachwyty Cecylii Gallerani, ale też wielu innych dzieł sztuki, o których wiedział, jak bardzo są drogie Polakom. Wrócił myślami do podróży pociągiem z Monachium do Krakowa, wśród drewnianych skrzyń zawierających wiele obrazów i rozmontowany na części wielki Ołtarz Wita Stwosza. Pomyślał o wynędzniałych ludziach biegnących

obok pociągu, z taką ulgą i ekscytacją witających aliantów na dworcu w Krakowie.

A teraz rozległy i zdecydowanie amerykański krajobraz – znajomy i jednocześnie dziwnie obcy – przesuwał się za oknem wagonu. Dominic otworzył worek i wyjął z niego szkicownik. Przerzucał kartki, aż dotarł do rysunku, który trzymał specjalnie dla Sally. Zbyt cenny, żeby go wysłać pocztą, pierwszy rysunek *Damy z gronostajem* technicznie nie był najlepszy – dowodził jego nieporadności sprzed spotkania Edith – ale każda niepewna linia przemawiała z zachwytem, jaki czuł, patrząc w twarz oryginalnemu Leonardowi. Nie mógł się doczekać, żeby pokazać go Sally i wszystko jej opowiedzieć. Wiedział, że nigdy już nie zobaczy tego arcydzieła na żywo, ale czuł się usatysfakcjonowany. Całymi dniami rysował ponadczasowe arcydzieło, jakim była jego piękna żona, zachęcony słowami, które pozwoliły mu przetrwać wiele trudnych chwil.

*Nie przestawaj rysować.*

Ostatni etap podróży wydawał się trwać wieki, ale w końcu konduktor zawołał „Pittsburgh”. Pociąg wjechał na Union Station w atmosferze ogromnego rozemocjonowania. Żołnierze wychylali się z okien, machali, krzyczeli, płakali, dostrzegając swoich bliskich, nazwy ulic i sklepy świadczące, że wrócili do domu. Serce Dominica biło w zawrotnym tempie, nagle brzuch go rozboleł ze zdenerwowania. Przywarł do okna. Tyle czasu minęło. Czy w ogóle pozna Sally? Czy ona pozna jego po dwóch latach na wojnie?

Kiedy ją zobaczył, to było jak kubeł zimnej wody wylany na głowę. Nie mógł oddychać. Mógł tylko patrzeć. Najpierw zobaczył jej włosy jak płomień dotykające runda granatowego kapelusika na jej głowie. Potem jej ciało, kształtniejsze niż wcześniej i jej twarz, jej oczy szukające go w tłumie. Jej piegowate policzki były zarumienione z emocji, jej wargi wygięte w uśmiechu, który przeszył jego serce jak piorun. Była najpiękniejsza ze wszystkiego, co kiedykolwiek widział. Widział Rembrandty i Vermeery, Rubensy i Fragonardy – nawet portret pędzla Leonarda da Vinci – ale żaden z nich nie mógł nawet próbować równać się z uśmiechem jego żony.

Małe dziecko na jej rękach dotykało pulchnymi piąstkami twarzy matki. U jej boku, obejmując małą rączką szczupłe palce matki, stała Cecilia. Dziewczynka

miała oczy Sally, a niemowlęcy puszek na jej głowie zamienił się w kruczoczną burzę włosów

Dominic chciał biec do nich, ale czuł, że nie może się ruszyć, pociąg tymczasem powoli zatrzymał się ze zgrzytem. Na widok swojej rodziny w wirze tłumy serce w nim rosło, aż poczuł, że mogłoby go unieść w powietrze, ku słońcu i obłokom. Wojenne wspomnienia krążyły wokół niego. Lądowanie na zasnutej mgłą plaży. Rodząca się przyjaźń z Paułem podczas nieszczęsnych forsownych marszów. Widok Akwizgranu. Znalezienie Stephany'ego chowającego się pod amboną. Krwisty kwiat rozrastający się pod cierpiącym ciałem Paula. Zbombardowane muzea. Walki w drodze do Renu. Zapach Siegen. Rysowanie na metryczkach muzealnych w Marburgu. Paradowanie po Monachium. Odnalezienie wspaniałego Leonarda w domu Franka. Edith. Łzy majora Estreichera. Kraków z wiwatującym tłumem, kiedy wywiesił polskie i amerykańskie flagi z okien pociągu. Lata bólu i strat, cierpienia, oglądania bezmyślnych zniszczeń z egoistycznych pobudek, bezzasadnych uprzedzeń i nienawiści wobec uznanych za niegodnych życia. Panowanie terroru zakończone przemocą.

Patrzył na swoją rodzinę i wiedział, że dla zapewnienia im bezpieczeństwa, dla ofiarowania im świata, na którym jest sztuka i piękno, warto było toczyć tę długą walkę.

Gwizd pociągu przywrócił mu zdolność poruszania się. Kiedy drzwi się rozsunęły, chwycił swój worek i zaczął się przepychać przez tłum.

## LEONARDO

Mediolan, Włochy

Luty 1497

W refektarzu kościoła Santa Maria Delle Grazie zaległa cisza, jeśli nie liczyć brzęku łyżek i od czasu do czasu odgłosu przesuwania krzesła po kamiennej podłodze. Łyżka za łyżką wkładam do ust wodnistą polentę i obserwuję ponad dwudziestu braci z zakonu dominikanów zgromadzonych przy stole. Po mojej prawej Jego Wysokość. Ale Ludovico nie tyka strawy.

Zamiast tego książę Mediolanu siedzi nad talerzem i wpatruje się w ścianę przed nami. Ściana jest w zasadzie pusta, przynajmniej na razie. Z grubsza naszkicowałem kompozycję, symetryczne wyobrażenie Chrystusa wśród uczniów. Mężczyźni siedzą przy stole, zupełnie tak, jak my teraz. *Ostatnia Wieczerza*. Jego Wysokość poprosił mnie o przygotowanie fresku wiele miesięcy temu, ale teraz chce tylko siedzieć tu wśród mnichów i przyglądać się postępom mojej pracy.

Prawdę mówiąc, od początku stycznia, kiedy to Śmierć zwyciężyła nad Narodzinami, zabierając jego młodą małżonkę i ich dziecko w zaświaty, Jego Wysokość robi niewiele, tylko siedzi i patrzy. Nie je. Prawie się nie odzywa. Ludovico jest tak załamany stratą swojej Beatrice, że rozkazał wszystkie okna w książęcym pałacu zasłonić czarną draperią. Muzyka, uczyty, zgromadzenia. Wszystko ustało. Nawet Lucrezia Crivelli, sama ciężarna, nie potrafi go pocieszyć. Teraz tylko pokojówki przemykają ciemnymi korytarzami.

Jego Wysokość zdobył się jedynie, aby poprosić mnie o ukończenie *Ostatniej Wieczerzy* na północnej ścianie tego refektarza i zażądać, abym towarzyszył mu przy posiłku tutaj, dwa razy w tygodniu. Zatem siedzę i jem, patrząc na ścianę

razem z Ludovikiem i zastanawiając się, jak mógłbym uczynić ten obraz piękniejszym i innym od wszystkiego, co wcześniej widziano w Mediolanie.

Zatem rusza nowy projekt. Nie jest to pojazd opancerzony ani machina latająca, ale dopóki Jego Wysokość nie jest w stanie znów myśleć o takich sprawach, wystarczy, aby utrzymać mnie na jego usługach.



## CECILIA

San Giovanni in Croce

Kwiecień 1498

Cecilia przygląda się, jak Cesare i jej mała córeczka zbiegają po trawiastym zboczu, goniąc za białą gęsią. Dziewczynka ledwo nauczyła się chodzić. W dłoniach Cecilia trzymała list zapieczętowany woskową pieczęcią z herbem Ferrary.

– *Attento* Cesare! Nie pozwól jej podejść za blisko. Uszczypnie ją!

Ale dziewczynka tylko piszczala z radości i Cecilia nie mogła się nie uśmiechnąć. Jej dzieci miały się świetnie w tej spokojnej posiadłości hrabiego Brambilli. Oni wszyscy mieli się świetnie.

Kiedy dotknęła woskowej pieczęci, zaniepokojona ściągnęła brwi. List od Isabelli d'Este, starszej siostry Beatrice, małżonki Ludovica il Moro. Minął rok, odkąd Cecilia otrzymała od Isabelli oficjalny list z wiadomością o śmierci Beatrice w pałacu książęcym w Mediolanie.

Wtedy z niedowierzaniem przyjęła do wiadomości, że Beatrice, jej była rywalka, odeszła z tego świata. Oboje, ona i jej martwo urodzone dziecko, stali się ofiarami bezlitosnego porodu. Cecilia wzdrygnęła się, czując jak stary strach zagląda do jej duszy. Tylko szczęście uratowało ją przed takim samym losem, myślała. Padła na kolana, aby podziękować Bogu za życie w tym cichym, wiejskim raj. Za życie swoje, swojego syna i córki.

Od czasu przekazania wiadomości o Beatrice i jej dziecku Isabella d'Este pisywała do Cecylii, a nawet odwiedzała ją, wymieniając się poezją i muzyką powstałymi na dworze w Ferrarze. Isabella szukała towarzystwa wszystkich wykształconych dam w regionie, powiedział Cecylii mąż. Nie było powodu nie

cieszyć się z jej towarzystwa. Cecylii powinno pochlebiać zainteresowanie markizy, mówił. W końcu znaczyło to, że jest kimś ważnym.

Teraz Cecilia patrzyła, jak gęś niezgrabnie wskakuje do stawu i odpływa, a na brzegu Cesare woła do niej i macha rączkami jak skrzydełkami. Cecilia uśmiechnęła się, po czym złamała pieczęć i rozwinęła pergamin.

*Markiza Isabella d'Este, Ferrara*

*Do Hrabiny Cecylii Gallerani, San Giovanni in Croce*

*Ujrawszy dziś kilka pięknych portretów malowanych ręką Giovanniego Belliniego, zaczęliśmy dyskutować o dziełach Leonarda i życzylibyśmy sobie móc je porównać z tymi obrazami. Pamiętając, że namalował twoją podobiznę, usilnie prosimy, byś była tak dobra i przysłała nam twój portret przez tego posłańca, którego wyprawiamy konno, tak abyśmy mogli nie tylko porównać dzieła tych dwóch mistrzów, ale też mieć przyjemność ponownego ujżenia twojej twarzy. Obraz zostanie następnie zwrócony ci z wyrazami naszej wdzięczności za twoją uprzejmość.*

## EDITH

Monachium, Niemcy  
Październik 1946

W tramwaju Edith zobaczyła twarz Hansa Franka. Na długi moment serce jej stanęło.

To był on, bezsprzecznie. Tam, na pierwszej stronie gazety. Rozpoznała czarne oczy Franka, włosy gładko zaczesane do tyłu nad szerokim czołem. Ale wyraz jego twarzy, uchwycony na małej, ziarnistej fotografii prasowej, wydawał się dziwny i niecharakterystyczny.

Poczuła, że jej serce znów zaczęło bić, tym razem waląc w piersi jak młotem. Mężczyzna przeglądał rozłożoną gazetę, zza której widać było spodnie starannie zaprasowane w kant, lśniące buty i kapelusz. Edith chciała odwrócić wzrok, ale nie mogła się do tego zmusić.

GÖRING POPEŁNIA SAMOBÓJSTWO.  
POZOSTAŁYCH 10 POWIESZONYCH

Obok zdjęcia Franka zamieszczone były wizerunki dziewięciu mężczyzn. Frick, Seyss-Inquart, Von Ribbentrop, inni, nazwiska wydrukowane grubą czcionką pod zdjęciami. Czy on naprawdę nie żyje? Powieszony w więzieniu w Norymberdze, jak głosi tytuł?

Metalowe koła zatrzymały się ze zgrzytem, drzwi tramwaju rozsunęły się. Edith chwyciła torbę i wysiadła na chodnik, zostawiając za sobą zdjęcie Franka na pierwszej stronie gazety. Inny obraz Franka przemknął jej przez głowę – dyszącego nad jej karkiem, kiedy stali przed portretem pędzla Leonarda da Vinci w Schoberhof. Wzdrygnęła się i odsunęła od siebie to wspomnienie.

Jej oczom ukazała się znajoma, imponująca fasada Alte Pinakothek, której jedno skrzydło zamienione było teraz w stertę gruzu. Skup się na terażniejszości, powiedziała sobie. Bardzo się starała myśleć o ojcu i Ricie czekających w domu, o zakupach składników na ciasto, którym mogliby się cieszyć po niedzielnym obiedzie. Myślała o planowanym spotkaniu z dawną szkolną koleżanką, na którą natknęła się przypadkiem na ulicy i która też straciła narzeczonego na froncie. Myślała o starym obrazie na sztaludze w swojej pracowni konserwatorskiej, za który chciała się zabrać jak najprędzej. W końcu poczuła, że rytm jej serca wrócił do normy.

Jednak wspomnienia i pytania czały się w jej świadomości. Gdzie jest teraz *Dama z gronostajem*? Kilka miesięcy wcześniej przeczytała w prasie o śmierci księcia Augustyna Józefa Czartoryskiego, właściciela portretu, który rozchorował się podczas pobytu z rodziną na wygnaniu na dworze hiszpańskim. Było jej smutno, że księżę Augustyn już nigdy nie zobaczy portretu. Czy jego mały syn kiedykolwiek wróci do Krakowa, aby wystąpić o zwrot rodzinnej kolekcji sztuki? Miała nadzieję, że zanim to nastąpi, polski rząd tymczasowy wykaże się dalekowzrocznością i troską o bezpieczeństwo obrazu.

Pozdrowiła strażnika przy wejściu dla pracowników muzeum i radośnie przeszła długim korytarzem do pracowni konserwatorskiej. Czekał tam na nią obraz, XVII-wieczna martwa natura sprowadzona z Niderlandów. Płótno zostało rozdarte podczas transportu. Spodziewała się, że praca nad nim zajmie jej kilka tygodni.

– Edith!

Jej stary przyjaciel Manfred czekał, aż ona powiesi płaszcz. Już zdążył opowiedzieć jej o wszystkim, co ją ominęło, kiedy była zajęta pracą w alianckim Centralnym Punkcie Zbiorczym. Mimo że jedno skrzydło muzeum było zburzone i trzeba lat, żeby móc je znów otworzyć dla publiczności, wiele dzieł sztuki, a także galerii i biur pozostało nietkniętych. Niestety, nie mogli tego samego powiedzieć o wielu swoich kolegach. Dwóch kustoszy zginęło w terenie, kiedy przemieszczali się razem z wojskiem. Inny umarł na miejscu, w Monachium, jako ofiara obżarstwa i pijaństwa, za które w końcu spotkała go kara. A sam dyrektor muzeum, Ernst Buchner przebywał w areszcie w związku z kradzieżą Ołtarza Gandawskiego dokonaną we Francji.

Kiedy wreszcie zamknęła drzwi swojej cichej pracowni konserwatorskiej, poczuła ulgę. Ustawiała światło tak, żeby padało na całą powierzchnię martwej natury, wydobywając kontury owoców i liści namalowanych trzysta lat temu. Przyjrzała się uważnie drobnym pęknięciom warstwy malarskiej. Zbliżyła do nosa buteleczkę rozpuszczalnika, aby sprawdzić, czy wciąż nadaje się do użytku po tak długim czasie stania na półce. Zanurzyła w nim długi pędzel i na próbę przejechała po szmatce. Musi robić co w jej mocy, myślała: ratować dzieła sztuki jedno po drugim.

Tylko że tak kiedyś ulubiona cisza w pracowni wywołała teraz w jej głowie nowe, niepożądane zamieszanie. Pytania bez odpowiedzi. Niepokojące autorefleksje. Nowy rachunek sumienia, który, jak się obawiała, może pozostać niezamknięty.

*Niszcz zło w zarodku,* powiedział jej ojciec.

Wyobrażała sobie, że ten ciężar autorefleksji może jej towarzyszyć już zawsze, ale postanowiła, że od teraz będzie czujna, że będzie mieć oczy otwarte na miasto i świat wokół. Będzie gotowa działać, jeśli zobaczy, że zapada mrok, i to prędzej niż później.

Czy w Niemczech są inni niosący brzemień swojej spóźnionej reakcji? Edith zastanawiała się, ile czasu może zająć jej rodakom i rodaczkom – i jej samej – odpokutowanie za to, że służyli złu zamiast dobru?

## CECILIA

San Giovanni in Croce, Włochy  
Kwiecień 1498

*Hrabina Cecilia Gallerani, San Giovanni in Croce*

*Do Markizy Isabelli d'Este, Ferrara*

*Przeczytałam list Waszej Wysokości i skoro życzysz sobie widzieć mój portret, wysyłam go bez zwłoki, a wysłałabym go z jeszcze większą przyjemnością, gdyby bardziej mnie przypominał. Malowany był bowiem przed wielu laty, gdy byłam naiwną młodą dziewczyną, świeżo przybyłą do Mediolanu.*

*Nie myśl, proszę, Wasza Wysokość, że bierze się to z jakiegoś defektu mistrza, gdyż doprawdy nie ma na świecie drugiego malarza równego Mistrzowi da Vinci, a jedynie stąd, że portret był malowany, gdy ja byłam dużo młodsza. Od tego czasu zmieniłam się wielce, więc gdybyś ujrzała portret i mnie razem, nigdy nie uwierzyłabyś, że miałby przedstawiać mnie. Niemniej jednak mam nadzieję, Wasza Wysokość, że przyjmiesz ten dowód mojej dobrej woli i uwierzysz, że jestem gotowa i chętna czynić zadość twoim życzeniom.*

*Czule spoglądam wstecz na czas, jaki spędziłam z Mistrzem da Vinci i Mistrzem Bernardem Bellincionim, który zasmucił mnie ogromnie, popadając w chorobę wkrótce po skomponowaniu ody, którą załączam do portretu.*

*Załączam również niewielki szkic, w którym Mistrz da Vinci przedstawił mnie, gdy przybył w odwiedziny w ubiegłym roku. Niezmiernie mnie uszczęśliwił widok starego przyjaciela. W tym rysunku możesz rozpoznać bardziej dokładne odzwierciedlenie mojej powierzchowności.*

*Nie ma już młodej piękności z portretu, kiedyś rozpoznawanej jako ja. W zamian ujrzysz szczęśliwą starą kobietę z domem pełnym dzieci, muzyki i sztuki. Pogodziłam się*

*z tym, że ta wojna jest nieuchronna. Uroda przemija. Tylko miłość i sztuka trwają.  
Przynajmniej tego mnie nauczył Mistrz da Vinci.*

## LEONARDO

Mediolan, Włochy  
Sierpień 1499

W moim notesie jest wiele szkiców stworzenia, które zwą gronostajem. Nigdy go nie widziałem. Jego wygląd wywiodłem z obserwacji fretek znajdujących się w posiadaniu kilku dam, które miałem szczęście malować, tych o bardziej egzotycznych gustach. Fretka wydziela mocny odór z części intymnych, kiedy jest przestraszona czy podniecona. Wiele lat minęło, odkąd rozmyślałem o tym stworzeniu.

Wkładam szkice do skórzanej teki, wraz ze stertami innych bazgrołów, które zgromadziłem przez lata spędzone w Mediolanie. Wielkie mechaniczne skrzydła. Dłonie. Głowy. Świdry górnicze. Czaszki. Madonny. Pojazdy kołowe. Machiny latające. Święci. Demony. Wszystko to rysowałem lub malowałem.

Na koniec Jego Wysokość mógł być łaskaw pozwolić mi zrealizować jeden z wielu projektów machin wojennych, zamiast kazać mi ślęczeć godzinami nad powielaniem twarzy jego kochanek, których młodość i czas w jego domu były przemijające. Gdyby był łaskaw, mógłbym nie musieć tak szybko opuszczać mojej wygodnej komnaty w miejskiej rezydencji Jego Wysokości.

Ale fortuna kołem się toczy. Teraz ludzie francuskiego króla maszerują na południe. Mimo wszelkich wysiłków Ludovica il Moro, aby sprzymierzyć się z Francuzami, zrobił z nich wrogów. Ludzie zawsze będą wszczynać wojny.

Myślę jednak, że sztuka i piękno dają nam coś, dla czego warto żyć.

Zatem czas na mnie, by wrócić do Florencji, gdzie są lepsze widoki na przyszłość. Czas wrócić do mojego ojca, moich braci, moich kotów. Do moich przyjaciół. Moich wrogów. Czy będą mnie pamiętać po tak długim czasie?



Zamykam swoją skórzaną tekę na skobel i ogarniam wzrokiem krajobraz za oknem. Zanim ogień z dział i dym ukażą się nad wzgórzami na północy, będę z powrotem w moim rodzinnym mieście.

Może nie jestem budowniczym machin wojennych, ale dowiodłem swojej wartości jako malarz. I mogę znów pracować we Florencji.

# PODZIĘKOWANIA

Nigdy nie wyobrażałam sobie, że będę pisać książkę o II wojnie światowej. Zawsze unikałam książek czy filmów fabularnych albo dokumentalnych na temat wojny. Zawsze czułam się bezradna wobec skali bestialstwa. Nawet jako historyk nie byłam w stanie pojąć, jak coś tak piekielnego jak Holokaust mogło zaistnieć.

Trudno znaleźć w historii II wojny światowej wydarzenia bardziej brutalne niż napaść nazistowskich Niemiec na Polskę. Dlatego kiedy kilka lat temu mój nastoletni syn Max zaprosił mojego męża i mnie do obejrzenia telewizyjnego dokumentu o Hansie Franku, „rzeźniku Polski”, moją pierwszą reakcją było wycofać się i zagłębić w powieść, której akcja toczy się we Włoszech w epoce renesansu. Tymczasem mój syn (który, zbiegiem okoliczności, urodził się niedaleko mediolańskiego Castello Sforzesco) wyrósł na żądnego wiedzy pasjonata II wojny światowej. Już jako małe dziecko znał wszystkie typy samolotów i głównych graczy od plaż Normandii po teatr działań wojennych na Pacyfiku. Przeprowadzał wywiady z weteranami II wojny światowej w ramach swojego projektu na odznakę Eagle Scout. Uwielbiał grę planszową *Axis and Allies* (Oś i alianci) i tak, zawsze wygrywał. Zatem w imię spędzania czasu z rodziną, dołączyłam do mojego męża i syna na kanapie.

Film dokumentalny z 2015 roku *What Our Fathers Did: A Nazi Legacy* (Co zrobili nasi ojcowie: dziedzictwo nazizmu) zawierał wywiady z Niklasem Frankiem, synem Hansa Franka. Natychmiast wciągnęła mnie niebywała historia, a kiedy Niklas Frank opisał, jak *Dama z gronostajem* Leonarda da Vinci wisiała kiedyś na ścianie w domu jego dzieciństwa w Bawarii, zamurowało mnie. Prawda jest często bardziej niezrozumiała niż fikcja, ale jak coś takiego mogło się stać? Byłam ciekawa, więc zrobiłam to, co zawsze: rzuciłam się w wir poznania tematu. Jak to mogłoby być, zastanawiałam się, być osobą, która dostaje zadanie grabieży obrazu Leonarda da Vinci? Ciekawość prowadziła

mnie od jednej króliczej nory do drugiej, aż historia opowiadana na dwóch planach czasowych wyklarowała się w mojej głowie. Edith i Cecilia nagle wydały mi się tak realne jak sąsiadki z naprzeciwka. Potem książka już właściwie napisała się sama.

Staralam się trzymać się bardzo ściśle, jak to możliwe, rzeczywistego przebiegu zdarzeń w czasie, zarówno w XV, jak i w XX wieku. Dążyłam również do zachowania wierności znanym faktom biograficznym dotyczącym postaci historycznych występujących w książce. Źródła, do których sięgałam, są zbyt liczne i różnorodne, aby je tu wymienić, ale zamieściłam pełną bibliografię, ilustracje i listę kolejnych źródeł na mojej stronie internetowej dla każdego, kto chce zgłębić historyczne tło tej powieści, zarówno w latach 90. XV wieku, jak i w latach 40. XX wieku. Po więcej odsyłam do [lauramorelli.com/NightPortrait](http://lauramorelli.com/NightPortrait).

Dwa źródła zasługują szczególnie na uwagę. Po pierwsze, jestem wdzięczna Monuments Men Foundation za dokumentowanie istotnego wkładu członków tej służby w nieustające wysiłki mające na celu zwrot wszelkich zagrabionych dzieł sztuki ich prawowitym właścicielom. Po drugie, katalog wystawy z 2012 roku w londyńskiej National Gallery *Leonardo da Vinci: Painter at the Court of Milan* miałam zawsze pod ręką podczas pracy nad poszukiwaniem materiałów do tej książki. Jestem wdzięczna badaczom: Luke'owi Sysonowi i Larry'emu Keithowi za to fantastyczne źródło.

Jenny Bent, moja agentka literacka, dostrzegła potencjał tego projektu i zasugerowała *Nocny portret* jako tytuł, na widok którego czytelnicy powiedzą „O! O czym to jest?”. Jenny zapewniła temu projektowi solidną opiekę redakcyjną, jak również doradztwo biznesowe – jestem jej szczerze wdzięczna za jedno i drugie.

Składam podziękowania Tessie Woodward i zespołowi Williama Morrowa za pomoc w przekształceniu tej historii w książkę i wypuszczeniu jej w świat z takim profesjonalizmem.

Mój mąż Mark i nasze dzieci – Max, Giulia, Anna i Leonardo – znoszą od wielu lat żonę i matkę z głową w chmurach i palcami na klawiaturze. Niemniej jednak robią, co mogą, żeby mnie rozerwać i sprawiają mi radość. Są dla mnie wszystkim.

## Poznaj Laureę Morelli

Laura Morelli uzyskała doktorat z historii sztuki na Uniwersytecie Yale i jest autorką publikacji z gatunku zarówno fikcji literackiej, jak i literatury faktu, inspirowanych historią sztuki. Nauczała studentów college'ów w Stanach Zjednoczonych i we Włoszech i przygotowywała wykłady dla TED-Ed. Jej słynny przewodnik zakupowy *Made In Italy* od ponad dwudziestu lat sprowadza podróżujących z utartych ścieżek. Jej nagradzane powieści historyczne to m.in. *The Painter's Apprentice*, *The Gondola Maker*, *The Giant: A Novel of Michelangelo's David*.

Więcej informacji na [lauramorelli.com](http://lauramorelli.com)

## Od Autorki

Z tego, co wiemy, żaden z militarnych wynalazków, jakie Leonardo da Vinci zaprojektował dla Ludovica il Moro, nigdy nie został zrealizowany. Wkrótce po ukończeniu portretu Cecylii Gallerani Leonardo przystąpił do malowania swojej słynnej *Ostatniej wieczerzy* w refektarzu przy kościele Santa Maria delle Grazie, pod patronatem Ludovica. Sukces artystyczny Leonarda w służbie dworów mediolańskiego i francuskiego pozwolił ostatecznie artyście uratować reputację i powrócić do rodzinnej Florencji jako uznany twórca, a nie przestępca.

Cecilia Gallerani została poważaną autorką poezji i muzyki i mecenaską sztuki. Jej syn z Ludovikiem il Moro, Cesare Sforza Visconti, został przeznaczony do życia klasztornego. Pełnił funkcję opata San Nazaro Maggiore w Mediolanie. Cecilia miała jeszcze czworo dzieci z innym Ludovikiem, hrabią Carminati de Brambilla znanym jako Il Bergamini. Cecilia ostatecznie przewodziła jednemu z najznamienitszych dworów północnych Włoch, przyciągającemu artystów, pisarzy, szlachtę i polityków z całej Europy. Dożyła sędziwego wieku i nawet zaprzyjaźniła się ze starszą siostrą Beatrice, Isabellą d'Este, jedną z najbardziej wpływowych kobiet włoskiego renesansu.

Po odesłaniu Cecylii Gallerani z książęcego pałacu Ludovico il Moro zainteresował się Lucrezią Crivelli, która urodziła mu syna. Lucrezia jest być może przedstawiona przez Leonarda da Vinci na jego pięknym portrecie zwanym *La Belle Ferronière*, chociaż tożsamość modelki jest dyskusyjna. Pasma rozwiązań siłowych i miłosnych podbojów księcia skończyło się. Po urodzeniu mu dwóch synów jego małżonka Beatrice d'Este zmarła przy porodzie w wieku dwudziestu jeden lat. Ludovico został wkrótce obalony przez wojska Ludwika XII, które zajęły Mediolan w 1499 roku. Zmarł jako więzień króla Francji w lochach zamku Loches w 1508 roku.

W 1940 roku historyk sztuki Kajetan Mühlmann przygotował 521 dzieł sztuki jako „dar” dla Adolfa Hitlera od Hansa Franka, gubernatora generalnego okupowanych ziem polskich. Mühlmann nadzorował jedną z najbardziej skomplikowanych w historii sieci służących grabieży dzieł sztuki. Do 1944 roku naziści albo zrabowali, albo usiłovali zrabować wszystkie znane obrazy Leonarda da Vinci. Po wojnie, zatrzymany przez aliantów, pomagał zidentyfikować liczne ważne dzieła sztuki. W 1948 roku uciekł ze szpitala i nigdy nie został ponownie schwytany, nawet po

wyroku wiedeńskiego sądu, który uznał go zaocznie za winnego zdrady. Dekadę później zmarł na raka.

Większość niemieckich specjalistów w dziedzinie sztuki, którzy zostali włączeni w nazistowską machinę grabieży dzieł sztuki – funkcjonariuszy takich jak fikcyjna Edith Becker – po wojnie po cichu wróciła do swojego dawnego życia i pracy. Kilku z nich opowiadało później o swoich usiłowaniach współdziałania z ruchem oporu, czy to przez dokumentowanie zagrabionych obiektów, chronienie konwojów przed bombardowaniami, czy działania umożliwiające zwrot dzieł sztuki prawowitym właścicielom. Inni niewątpliwie zabrali wiedzę o tej tajnej działalności do grobu.

Kiedy alianci zlokalizowali Hansa Franka w jego bawarskim domu nad jeziorem w maju 1945 roku, *Dama z gronostajem* była wśród kilku czy kilkunastu arcydzieł pozostających w prywatnym posiadaniu generalnego gubernatora. Po aresztowaniu Frank podjął dwie nieudane próby samobójcze. Podczas procesów norymberskich zeznał, że robił wszystko co w jego mocy, aby zabezpieczyć skarby sztuki. W tym samym czasie określono go mianem „rzeźnika Polski” i uznano jego częściową odpowiedzialność za śmierć zawrotnej liczby sześciu milionów ludzi. W październiku 1946 roku został powieszony wraz z dziewięcioma innymi wysokiej rangi przywódcami nazistowskimi w więzieniu w Norymberdze.

Wysiłki w ramach Allied Monuments, Fine Arts and Archives Program mające na celu ochronę ważnych europejskich zabytków i dzieł sztuki znalazły uznanie dzięki Monuments Men Foundation i spopularyzowane przez książkę i film fabularny, w którym wystąpili George Clooney i Matt Damon (*Obrońcy skarbów*). Dzięki Monuments Men Foundation nazwiska osób pracujących na rzecz programu i ich niebywały wkład w realizację celu zostały udokumentowane dla potomności. Jednak ludzie, którzy pomagali chronić, odzyskiwać i transportować arcydzieła – zwłaszcza żołnierze pełniący służbę, tacy jak fikcyjny Dominic Bonelli – pozostają nieznani.

Lubię myśleć, że Edith Becker i Dominic Bonelli, oboje zrodzeni w mojej wyobraźni, mogli zostać wciągnięci w wielki wir historii II wojny światowej jako bezimienni bohaterowie, a po 1946 roku wieść dużo spokojniejsze życie.

Portret Cecylia Gallerani pędzla Leonarda da Vinci znany jako *Dama z gronostajem* wrócił do Polski po II wojnie światowej i w czasach komunistycznych znajdował się w zbiorach Muzeum Czartoryskich, Oddziale Muzeum Narodowego w Krakowie. Po zmianach ustrojowych w 1991 roku obraz został oficjalnie zwrócony rodzinie

Czartoryskich. Pieczę nad zbiorami muzeum sprawowała Fundacja Książąt Czartoryskich. Przez dwie dekady obraz odbywał liczne podróże, był wystawiany w Europie i Ameryce. W 2016 roku Fundacja sprzedała całą kolekcję Skarbowi Państwa. *Dama z gronostajem* jest wystawiona w Muzeum Czartoryskich, Oddziale Muzeum Narodowego w Krakowie, gdzie inspiruje zwiedzających z całego świata.

Ta książka jest fikcją literacką. Jednak dołożyłam wszelkich starań, aby przedstawić rzeczywistych ludzi, o których piszę, z szacunkiem. Szukając materiałów i pisząc, starałam się zrozumieć decyzje i wybory tych, których życia dotknęły wydarzenia historyczne dla wielu z nas niewyobrażalne.

*Aby skorzystać z darmowego kursu online na temat portretów Leonarda da Vinci i zyskać dostęp do obszerniejszego tła historycznego, wideo, obrazów, badań, i źródeł związanych z grabieżą dzieł sztuki podczas II wojny światowej i tą książką, wejdź na [lauramorelli.com/NightPortrait](http://lauramorelli.com/NightPortrait).*

## **Rozmowa z Robertem Edselem, założycielem Monuments Men Foundation**

Robert Edsel jest według „New York Timesa” autorem bestsellerowych książek na temat nazistowskiej grabieży dzieł sztuki i Monuments Men (Obrońców Zabytków). Jego nieustrudzona praca tropienia dzieł sztuki zrabowanych przez nazistów stanowiła inspirację do filmu *The Monuments Men* (tytuł polski *Obrońcy skarbów*) i serialu telewizyjnego *Hunting Nazi Trasure*. Oprócz dokonań na polu przedsiębiorczości i filantropii Robert Edsel powołał Monuments Men Foundation i z oddaniem realizuje jej misję. Organizacja non profit składa hołd heroicznej pracy tych, którzy chronili najważniejsze artystyczne i kulturowe skarby cywilizacji w czasie wojny.

Możecie sobie wyobrazić moje emocje, kiedy pan Edsel zgodził się odpowiedzieć na kilka moich pytań na temat nadzwyczajnej historii *Damy z gronostajem* i tych, którzy starali się chronić ją podczas II wojny światowej.

**Z oszałamiającej liczby dzieł sztuki zagrabionych przez nazistów, co takiego szczególnego ma w sobie portret Cecilii Gallerani pędzla Leonarda da Vinci? Jak pan myśli, czemu ten obraz był przedmiotem aż takiego pożądania?**

Przez wieki zdobywcy odbierali pokonanym cenne przedmioty o wartości artystycznej i kulturowej. Tym, co wyróżniało nazistowską operację grabieży, był rozmiar jej planowania i przeznaczonych na nią środków. Niemieccy historycy sztuki sporządzali listy dzieł sztuki do zrabowania przed napaścią na każdy z krajów. *Dama z gronostajem* Leonarda, *Portret młodzieńca* Rafaela i *Krajobraz z miłosiernym Samarytaninem* Rembrandta były oczywistymi celami. Były to trzy najwybitniejsze i najcenniejsze obrazy w Polsce. Historia nieprzerwanie uznaje Leonarda za geniusza, od jego młodości do dziś. Wobec zaledwie około szesnastu w pełni potwierdzonych dzieł tego mistrza renesansu, posiadanie *Damy z gronostajem* przydałoby znaczenia, jakie Hitler wyobrażał sobie dla swojego Führermuseum.

**Dlaczego pańskim zdaniem naziści nastawili się na posiadanie dzieł starych mistrzów malarstwa, w szczególności Leonarda da Vinci, Johanna Vermeera**



## **i Jana van Eycka?**

Hitler używał sztuki jako broni propagandowej, definiując według swojego postrzegania, co stanowi „dobrą” sztukę – obrazy XIX-wiecznych malarzy niemieckich i austriackich oraz starych mistrzów – w odróżnieniu od sztuki, którą uważał za „zdegenerowaną”, czyli tworzoną przez impresjonistów i modernistów. Z perspektywy Hitlera posiadanie arcydzieł takich tuzów jak Leonardo, Rafael, Vermeer i van Eyck świadczyło o jego wybitnej wiedzy o sztuce i wyrafinowanym guście. Niedostępność dzieł tych artystów i ich znaczenie w historii sztuki sprawiały, że Führermuseum nie mogłoby się bez nich obejść.

## **Co jest najbardziej interesujące w historii rabunku tego portretu i jego odzyskania? Czy dziwi pana, że nie przepadł ani nie został zniszczony?**

Zwiedzający dziś muzea znają aż za dobrze upomnienia strażników i przewodników: „nie robić zdjęć z fleszem”, „nie stawać za blisko”, no i przede wszystkim „nie dotykać”. Podczas II wojny światowej natomiast miliony dzieł sztuki, w tym wiele najcenniejszych dla cywilizacji arcydzieł, były transportowane drogami zrytymi przez bomby, często luzem, bez skrzyń czy ochronnego opakowania, a potem ukrywane w kopalniach soli, jaskiniach i zamkach. Niektóre, tak jak *Dama z gronostajem*, były w czasie wojny wielokrotnie przewożone z miejsca na miejsce. To, że tak wiele przetrwało, na ogół nieuszkodzonych, jest prawdziwym cudem. Zwrot milionów zrabowanych obiektów stanowił gigantyczne przedsięwzięcie, możliwe do przeprowadzenia dzięki przywódcom zachodnich sił sprzymierzonych, generałowi Eisenhowerowi w szczególności, i oczywiście pracy obrońców zabytków.

## **Co może nam pan powiedzieć o prawdziwych obrońcach zabytków zaangażowanych w odzyskanie tego portretu? Co powinniśmy o nich wiedzieć?**

Na początku maja 1945 roku obrońca zabytków porucznik Daniel Kern otrzymał zadanie przeszukania w Neuhaus w Niemczech domu nazistowskiego gubernatora generalnego okupowanych ziem polskich Hansa Franka, gdzie odkrył *Damę z gronostajem* i *Krajobraz z miłosiernym Samarytaninem*. Frank, który był odpowiedzialny za wymordowanie milionów polskich Żydów, uciekł ze swojej siedziby w Krakowie kilka miesięcy wcześniej, zabierając, oprócz Leonarda i Rembrandta, dziesiątki bezcennych obiektów, takich jak ornaty, szkatułki z kości słoniowej i manuskrypty. Kern przekazał te obiekty oficerowi obrońców zabytków,

porucznikowi Craigowi Hugh Smythowi, dyrektorowi Centralnego Punktu Zbiorczego w Monachium, gdzie Obrońcy Zabytków przygotowywali restytucję niemal miliona zrabowanych obiektów.

Jak wielu Obrońców Zabytków Daniel Kern był osobą wykształconą i miał przygotowanie artystyczne. Pochodził z Brooklynu, gdzie mieszkał całe życie. Biegłe władał pięcioma językami. Poza pracą nauczyciela języków klasycznych w St. Francis Preparatory School na Brooklynie był niezależnym artystą, pisarzem, malarzem murali, scenografem teatralnym i wykładowcą. Zmarł w 1979 roku w wieku 79 lat. Na rok przed śmiercią przekazał swoje papiery Brooklińskiemu Towarzystwu Historycznemu.

### **Portret młodzieńca Rafaela, również zrabowany z kolekcji Czartoryskich, jest nadal zaginiony. Jakie wysiłki są podejmowane w celu odzyskania tego arcydzieła?**

Co roku od zakończenia wojny wyplływają pogłoski o losach tego pięknego obrazu na desce, ale żadna nie stała się konkretnym tropem. Obrońca Zabytków porucznik Bernard Taper spędził na poszukiwaniu go niemal dwa lata, od 1946 do 1948 roku. Taper i polski Obrońca Zabytków major Karol Estreicher przesłuchiwali obu doradców Franka do spraw sztuki, Kajetana Mühlmanna i Ernsta von Palézieux, ale na próżno. Kilka lat temu robiliśmy do naszego programu telewizyjnego *Hunting Nazi Treasure* wywiad w Niemczech z człowiekiem, który twierdził, że widział ten obraz w czyimś domu, ale po upływie tylu lat nie potrafił powiedzieć, w czyim. I tak to się toczy. Ja trzymam się opinii, że ten długo poszukiwany obraz, tak jak wiele innych, w końcu się odnajdzie. Do tego czasu mamy nadzieję... i idziemy za każdym tropem.

### **Co Obrońcy Zabytków chcieliby, żebyśmy wiedzieli o ich pracy i dokonaniach?**

Przez wiele lat moich badań i pisania o Obrońcach Zabytków poznałem 21 oficerów. Ci mężczyźni i kobiety, bohaterowie cywilizacji, byli ogromnie dumni ze swojej służby wojskowej i wszystkiego, czego dokonali jako oficerowie tej formacji. Jeden z nich powiedział mi: „Po wszystkich tych wojennych latach, kiedy nie było niczego poza śmiercią i zniszczeniem, wreszcie możemy zrobić coś pozytywnego!”. Podczas ostatnich sześciu lat za granicą, od 1945 do 1951 roku, Obrońcy i Obrończynie Zabytków zorganizowali zwrot niemal czterech milionów zrabowanych obiektów

kultury i zabezpieczyli kolejny milion obiektów należących do niemieckich muzeów i bibliotek do czasu ich odbudowania. Większość piękna naszego świata, które dziś podziwiamy, przetrwała dzięki ich wysiłkom.

Komandor podporucznik George Stout, oficer, którego wysiłki na temat ochrony dóbr kultury doprowadziły do utworzenia sił Obrońców Zabytków, mówił o wadze ich misji. Jego słowa są ponadczasowe. Są niepodważalne. Kiedy polityczni i wojskowi przywódcy świata lekceważą je, cierpi cywilizacja. Odnosząc się do ochrony zabytków jako „właściwego postępowania w czasie wojny”, Stout powiedział: „Ochrona tych rzeczy nie wpłynie na przebieg bitew, ale wpłynie na relacje armii najeźdźców z tymi narodami i ich rządami... Ochrona tych rzeczy będzie świadczyć o szacunku dla przekonań i obyczajów wszystkich ludzi i dowiedzie, że te rzeczy należą nie tylko do określonego narodu, ale do dziedzictwa ludzkości”.

**Wobec malejącej liczby żyjących weteranów II wojny światowej, którzy mogą dzielić się swoimi historiami, jak w ostatnich dekadach ewoluowała misja Monument Men Foundation? Jak widzi pan przyszłą rolę organizacji?**

Podczas pierwszych dwunastu lat działania Fundacji udało się zwiększyć świadomość świata co do Obrońców i Obrończyn Zabytków poprzez film, telewizję i książki; uhonorować ich służbę wojskową przyznaniem Złotego Medalu Kongresu – najwyższego cywilnego odznaczenia państwowego Stanów Zjednoczonych – i zabezpieczyć ich spuściznę przez partnerstwo z Narodowym Muzeum II Wojny Światowej, które umożliwiło udostępnienie przebogatych archiwów Fundacji studentom i naukowcom z całego świata.

Teraz, w drugiej dekadzie działalności, Fundacja skupia się na celach w dłuższej perspektywie czasowej. Wierzymy, że ważne jest kontynuowanie misji Obrońców Zabytków odnajdywania i zwracania prawowitym właścicielom dzieł sztuki i innych obiektów kultury, które zaginęły w trakcie i po wojnie. Niewiarygodne, że setki tysięcy dzieł sztuki i innych obiektów kultury, wartych miliardy dolarów, do dziś pozostają zaginione. Poza tym Fundacja przekazuje swoją spuściznę do opracowywania programów edukacyjnych dla szkół i muzeów. Wreszcie Fundacja będzie kontynuować działanie w swojej szczególnie ważnej i wyjątkowej roli jako organizacja ponad podziałami w kwestiach restytucji i ochrony dzieł sztuki, zapewniając w razie potrzeby bezstronną i obiektywną pomoc.

## **Co chciałby pan, aby czytelnicy wiedzieli o misji Monument Men Foundation dzisiaj?**

Żaden kraj nie ma takich zasobów finansowych, aby zapłacić za ochronę wszystkich swoich skarbów narodowych. Kiedy rządy państw stoją w obliczu stale rosnących wymagań budżetowych, zachowanie naszego wspólnego dziedzictwa kulturowego dla przyszłych pokoleń zależy od zbudowania publicznego wsparcia teraz. Stwarza to wspaniałe możliwości angażowania młodzieży w ochronę dzieł sztuki, zabytków i innych skarbów kultury, tak samo, jak angażuje się ona w ochronę środowiska. To ambitny plan, ale błędnie w porównaniu z wyzwaniem, z jakim musiała się mierzyć garstka oficerów Obrońców Zabytków. Ich osiągnięcia nie tylko są wskazówką dla misji Fundacji, ale dostarczają inspiracji studentom, edukatorom, przywódcom i ogółowi społeczeństwa.

## **Jak możemy wspierać Monuments Men Foundation?**

Datki w dowolnej kwocie są podstawą kontynuacji działania. Łatwo dokonać darowizny przez stronę Fundacji:

[monumentsmenfoundation.org/donate](https://monumentsmenfoundation.org/donate).

Fundacja ciągle stara się rozszerzać swoją radę nadzorczą i grono doradców. Jesteśmy otwarci na ludzi podobnie myślących, którzy podzielają nasz entuzjazm dla tej ważnej misji. Zainteresowanych przywództwem naszej organizacji lub zostaniem dużym donatorem, proszę o kontakt bezpośrednio ze mną

[robertedsel@monumentsmenfoundation.org](mailto:robertedsel@monumentsmenfoundation.org)

Zapraszamy do obserwowania nas w mediach społecznościowych, by dowiedzieć się więcej i mieć wgląd w ogłoszenia o odkryciach i zwrotach zrabowanych obiektów.

## Polecane lektury

Robert Edsel, Brett Witter *Obrońcy skarbów. Alianci na tropie skradzionych arcydzieł*, W.A.B. 2014

Lynn H. Nicholas, *Grabież Europy. Losy dzieł sztuki w Trzeciej Rzeszy i podczas II wojny światowej*, Rebis 2014

# Przypisy

[1] Leonardo da Vinci pracował nad maszynami latającymi w latach 1478-1480 (red.)

[2] Ciężarówka wojskowa o ładowności 2,5 tony (tłum.).

[3] Hitler rozpoczął wojnę ze Związkiem Radzieckim 22 czerwca 1941 roku (red.).

[4] MFAA – Monuments, Fine Arts and Archives (program ratowania zabytków, dzieł sztuki i archiwów) (tłum.).